

— MISTRZOWIE SF I FANTASY —

Tytuł
HARRY POTTER
jest popularniejszy
w Stanach i Wielkiej
Brytanii niż

SIERGIEJ ŁUKIANIENKO LINIA MARZEEŃ

Tytuł i autor tej dylogii
uhonorowani prestiżową nagrodą Miecz Ramaty



Siergiej Łukjanienko

Linia Marzeń

Przekład Ewa Skórska

Spis treści

STRONA TYTUŁOWA

CZEŚĆ PIERWSZA BÓG OJCIEC I SYN BOŻY

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

CZEŚĆ DRUGA OCHRONIARZ

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

CZEŚĆ TRZECIA ŚLISCY PRZYJACIELE

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[CZEŚĆ CZWARTA KAMIENNI GOŚCIE](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[CZEŚĆ PIĄTA DOWODY I SZANSE](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[CZEŚĆ SZÓSTA NIEŚMIERTELNOŚĆ DLA ŻEBRAKA](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[CZEŚĆ SIÓDMA LEGOWISKO BOGA](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

Siergiejowi Bieriezinowi i Andriejowi Czertkowowi, którym znana jest przestrzeń Marzeń

CZEŚĆ PIERWSZA
BÓG OJCIEC I SYN BOŻY

Rozdział 1

Najbardziej na świecie Key nie lubił dzieci. Czy była to wina jego własnego dzieciństwa w przytułku „Nowe Pokolenie” na Altosie? Nie wiadomo. W każdym razie nigdy nie przebywał na żadnej planecie dłużej niż dziewięć miesięcy. Na planetach, które podczas Wielkiej Wojny przeszły odpowiednią obróbkę i uczciwie służyły jako dostawcy mięsa armatniego dla Imperium, zatrzymywał się najwyżej na cztery i pół miesiąca.

Key nie lubił także, gdy go zabijano. Czasem było to wyjątkowo bolesne, zawsze wiązało się z poważnymi stratami finansowymi.

A Key bardzo potrzebował pieniędzy. Lubił swój hiperkuter, wymagający kosztownych zabiegów, i kobiety, które nie wymagały aż tyle, oraz wina Imperium i Asocjacji Mrszanu, zapach pracy starych klakońskich mistrzów i te przyjemności innych ras, które człowiek jest w stanie zrozumieć i wytrzymać.

No i właśnie z tymi dwiema rzeczami, których nie cierpiał, miał do czynienia jednocześnie. Przy czym najbardziej nieprzyjemne nie było to, że chciał go zabić dzieciak z powodu innego dzieciaka, i w dodatku w wyjątkowo niemiły sposób, lecz to, że Key nie zdążył przedłużyć aTanu.

A to, jak wiadomo, fatalna sprawa.

Hotelowy pokój był wystarczająco nędzny, by nie budzić specjalnego zainteresowania rabusiów, choć na tyle porządny, żeby ustrzec Keya od drobnych złodziejasków. Chłopiec stojący przy jego łóżku wyglądał na tę drugą kategorię. Skąd wziął elektroniczny klucz, żeby otworzyć drzwi, i nulifikator do zablokowania sygnalizacji, pozostawało zagadką. Prostsza sprawa była z bronią w jego ręku algopistolet, tania broń sadystów i nieudaczników.

– Zróbmy tak – zaproponował Key, rozpaczliwie próbując zachować spokój. – Przesuniesz lufę i porozmawiamy jak poważni ludzie.

Chłopiec uśmiechnął się:

– Nie jestem poważny.

Rzeczywiście, wyglądał raczej niepoważnie – smagły czarnowłosy smarkacz, jakieś dwanaście lat. Wesolutka koszula z różowego jedwabiu i krótkie białe spodenki sprawiały sympatyczne wrażenie.

– Posłuchaj – spróbował znowu Key – nawet jeśli wyrzucisz pistolet przez okno...

Chłopiec zmarszczył brwi.

– Nawet jeśli go wyrzucisz, nie będę ci mógł nic zrobić. Przecież widzisz...

– Widzę.

– Nie mogę rozmawiać pod lufą.

– Po co miałbym z tobą rozmawiać? – zdumiał się chłopiec.

Key błogosławił w myślach wszystkich znanych mu bogów. Im dłużej uda mu się zagadywać, tym mniej szans, że chłopak naciśnie spust. Nie jest łatwo zabić człowieka, z którym się rozmawiało... Key nie był jednak pewien, czy ta reguła ma zastosowanie do dzieci.

– Chcesz mnie zabić? – spytał.

Mały skinął głową.

– Śmierć od algopistoletu to najstraszniejsze, co można sobie wyobrazić. Zaufaj mi.

– Zabijałeś? – zainteresował się chłopak.

– Byłem zabijany.

Szczeniak zmrużył oczy. Zrozumiał.

– No więc – ciągnął Key najbardziej przyjaznym tonem, na jaki było go stać – jeśli już chcesz użyć tego draństwa, powiedz mi chociaż, za co. To chyba niezbyt wielka łaska, prawda?

– Prawda – zgodził się niespodziewanie łatwo chłopak. Podeszedł do stojącego pod ścianą fotela, usiadł, założył nogę na nogę, położył pistolet na poręczy. Niestety, niczym nie ryzykował. Key leżał na łóżku nagi i kompletnie bezbrony. Jego ciało pokrywała cienka srebrna pajęczyna, dokładnie łącząc je z pościelą, łóżkiem i ścianą, pod którą łóżko stało. Butelkę sprayu chłopak postawił na stole, jakby miał zamiar w razie potrzeby powtórzyć procedurę.

– W takim razie, czym ci podpadłem, przyjacielu? – Ostrożnie, żeby cieniutkie nici nie wbijały się w ciało, Key odwrócił głowę.

Jesteś złodziejem? Gratuluję, masz szczęście, i talent. Powiem ci, gdzie jest gotówka, podam kod karty. Jutro muszę stąd odlecieć, więc nie będę cię szukał, a wasza policja...

Przez twarz chłopca przebiegło drżenie.

– Nie jestem złodziejem. I nigdzie nie polecisz. Wystarczy, że przyleciałeś.

Na chwilę w pokoju zapadła cisza. Potem Key bardzo cicho zapytał:

– Kim była dla ciebie ta dziewczyna?

– Siostrą.

– Przyjacielu, to był nieszczęśliwy wypadek. Lądowałem na polu kosmodromu. W granicach strefy...

– Ale nie w kręgu! Specjalnie ją zabiłeś! Wiem, co powiedziałeś dyspozytorowi: „Nienawidzę dzieci, te szczeniaki wiecznie włączają pod dysze”. Ludzie widzieli twoje lądowanie... Specjalnie skręciłeś nad polem, że uderzyć Lenkę promieniem!

Głos chłopca zaczął się rwać. Key z przerażeniem zrozumiał, że chłopak nakręca się, żeby nacisnąć spust.

– Uwierz mi, nie widziałem jej. Po co miałbym to robić?

– Tak, jeszcze mi powiedz, że tańczyłeś w powietrzu – podsunął z pogardą chłopak.

Key zakrztusił się przygotowanym zdaniem. Jak wytłumaczyć temu chłopcu, że naprawdę tańczył? Jak przekazać ciężar hełmu pilota i głębię wokół, i nieważkość statku, którym się stałeś? Huk grawitacyjnych silników, strumienie powietrznych prądów, upojenie lotem... Tak, tańczył. I nie patrzył na betonową równinę, gdzie dziewczyna, która dała w łapę ochroniarzom kosmodromu, czekała na jego statek, żeby móc pierwsza dobiec do luku i zaproponować najtańsze na planecie narkotyki albo siebie w charakterze przewodnika...

Tańczył, a promień grawitacyjny przesunął się po dziewczynie, wcierając ją w beton, przemieniając w krwawy pył, w tę szarobrunatną plamę, którą zobaczył po wyjściu ze statku.

– Chłopcze, szwankował mi pilot automatyczny. Przejąłem stery, ale statkiem zakołysało...

– Kłamiesz – przerwał mu bezlitośnie chłopiec. – Wszyscy w porcie wiedzą, że twój kuter jest w najlepszym porządku.

Wziął pistolet, zdjął bezpiecznik i podeszedł do łóżka.

– Słuchaj – Key poczuł lekki chłód. – Mam aTan. Nie możesz mnie zupełnie zabić, rozumiesz?

Wróć i zrobisz mi coś takiego, że algopistolet wyda ci się wybawieniem.

– Kłamiesz – powtórzył chłopak i zawahał się ledwo zauważalnie.

– Nie. Widzisz moje ciało? Nie ma na nim blizn. Ludzie mojej profesji tak nie wyglądają, ożywiono mnie miesiąc temu, rozumiesz?

Chłopiec nie zainteresował się zawodem Keya, na co on po cichu liczył. Za to ocenił zakończenie zdania.

– Jeśli ożyłeś miesiąc temu, to mogłeś jeszcze nie odnowić aTanu – powiedział z namysłem. – Zaryzykuję.

Key wrzasnął. Oczywiście, w myślach. Przyleciał na Cailis właśnie po to, żeby odnowić swoją nieśmiertelność – tutaj było to znacznie tańsze niż na Sigmie-T, gdzie go zabili. Lubił pieniądze, uprzyjemniały życie. A teraz miał stracić życie.

– Przynajmniej – poprosił cicho – przynajmniej nie zabijaj mnie z algopistoletu. Twoja siostra umarła błyskawicznie, nie męcz mnie.

To dla ciebie szansa, że moja zemsta będzie mniej okrutna.

Chłopiec obejrzał uważnie Keya, szczególnie starannie oceniając mięśnie karku. I pokręcił głową:

– Nie jestem pewien, czy zdołam cię udusić.

– W szafie, na drugiej półce od dołu, znajdziesz blaster. Desantowy trzmiel, model oficerski. Są tam też pieniądze i karta kredytowa. Kod dostępu: trzydzieści dwa, pomarańczowy, WILK. To twoja nagroda. Zabij mnie z blastera.

– Dobra – zgodził się chłopak, wsunął pistolet za pas i podszedł do szafy. Key zerknął na swoją lewą rękę. Pajęczyna oplatała ją niedokładnie – zaczęła tylko koniuszki palców. Od ramienia do środkowych kłykci dłoni ręka była wolna.

– Jak wszedłeś do hotelu? – zainteresował się Key i zagryzł wargi, żeby poczuć smak krwi i bólu. Szarpnął ręką. Polimerowa nic obojętnie przyjęła ofiarę, odcinając czubki czterech palców. Kciuk był nieuszkodzony. Dobrze.

– Przedstawiłem się jako chłopak na telefon – objaśnił smarkacz, ostrożnie otwierając szafę. – Zapłaciłem portierowi... Ej, tu są tylko pieniądze, pistoletu nie ma...

– Jest tutaj – oznajmił Key wyjmując rękę spod poduszki. Krew z obciętych palców biła cienkimi pulsującymi strumyczkami. Lufa trzmiela chwiała się. Chłopiec odwrócił się, podnosząc swój pistolet i zamarł na widok fontann krwi.

– Nienawidzę dzieci – wyszeptał Key. – Szkoda, że nie zauważyłem twojej siostry, zabiłbym ją świadomie...

Kikut palca wskazującego nacisnął spust. Gdy obnażone tkanki dotknęły metalu, Key krzyknął. Ręka drgnęła, cienki czerwony promień strzelił nad ramieniem chłopca. Teraz on krzyknął – albo ze strachu, albo Key rzeczywiście go zranił. Dzieciak przysiadł i algopistolet rozkwitł migoczącym stożkiem zielonego światła, zdumiewająco efektownie łącząc się z rozpryskami krwi.

Z broni dla nieudaczników trudno chybić.

Gdy pole neuronowego aktywatora, czyli, jak mówiono potocznie, algopistoletu, dotknęło Keya, zapomniał o bólu ręki. Cały stał się bólem. Już kiedyś tego doświadczył, ale wtedy miał opłacony aTan. I przynajmniej mógł wierzyć, że się zemści...

Key nie krzyczał długo – chwilę później nie miał już sił na krzyk.

Po dwóch minutach potwornego bólu umarł, oślepiony, ogłuszony, pocięty na kawałki „pajęczyną”, w której się szamotał.

Rozdział 2

Śmierć to ostatnia przygoda.

Zmartwychwstanie nie niesie ze sobą niczego nowego – przypomina zwykle przebudzenie.

Najpierw Key zobaczył światło. Potem pokrytą naroślami szarą sylwetkę, wznoszącą się nad nim, nieruchomą, jakby nieżywą. Zresztą spór, czy wobec Silikoidów można użyć słowa „żywy”, trwa od wielu setek lat.

– Imię – rozległo się od strony szarej postaci.

Ignorując pytanie, Key podniósł się. Silikoid mu nie przeszkadzał. Ta rasa poruszała się niechętnie, z wyjątkiem tych wypadków, kiedy zabijała. Pomieszczenie, w którym Key się znajdował, było mu doskonale znane: reanimacyjny moduł kompanii aTan, tylko ekran na ścianie, na którym powinna wyświetlać się nazwa planety, był wyłączony. Key leżał na białym dysku dwumetrowej średnicy, molekularnym replikatorze, który przed chwilą odtworzył jego ciało, nowe, zdrowiutkie, takie samo, jakim je zapisano siedemnaście lat temu. Nad głową zwisała ażurowa siatka emitera aTanu, która wprowadziła do jego mózgu dziecięce krzywdy, głupstwa wieku młodzieńczego i przestępstwa dorosłego życia, czyli wszystko, co składało się na jego osobowość. Ożywili go. Ożywili, chociaż aTan nie był opłacony?

– Imię? – powtórzył cierpliwie Silikoid.

– Key Altos.

– Poddaństwo?

– Imperium Ludzi.

– Kod?

Głos Silikoida wydobywał się z całej powierzchni jego ciała.

Nie mając strun głosowych, mówił, napinając kamienną muskulaturę, co powodowało wibrację. Dawało to wrażenie dziwnej polifonii, trójwymiarowości brzemienia – jakby to chór szeptał słowa.

– Trzy, dziewięć, sześć, trzy, jeden, cztery, dziewięć, jeden wyrecytował półgłosem Key. Nie należało się afiszować ze swoim osobistym kodem, nawet w kompanii aTan, która doskonale go znała. Zerknął na swoją lewą rękę – palce były na swoim miejscu. No tak, przecież nie łatali go chirurdzy, tylko został ożywiony. Dlaczego?

– Kod prawidłowy – Silikoid odwrócił się, co było gestem uprzejmości, i popłynął do wyjścia. Pod sklepieniem szarej kamiennej kolumny jego ciała potrzaskiwały niebieskie iskierki. Przed drzwiami zatrzymał się na sekundę i Keyowi wydawało się, że Silikoid się uśmiecha. Ale to przecież niemożliwe.

– A kto mi wyjaśni, co to wszystko znaczy? – spytał retorycznie Key, patrząc na pokrywające ściany płaskorzeźby: kwiaty, nagie dziewczęta, nadzy młodzieńcy.

– Ja.

Key odwrócił się. Za jego plecami, kilka metrów od dysku replikatora siedział człowiek. To już coś. Key nie był rasistą, ale serdeczna rozmowa z Silikoidem nie mieściła mu się w głowie. A mężczyzna wydawał się przyjaźnie nastawiony. Wyglądał na czterdzieści lat, miał wypielęgowaną cerę i dość cherlawe ciało, czego nie ukrywał nawet szary garnitur. Urzędnik aTanu?

– Dziękuję za nowe życie – powiedział Key, spuszczać nogi z dysku.

– Nie ma za co.

Słowa brzmiały normalnie, ale ton nie spodobał się Keyowi.

Wolał się na razie nie odzywać.

– To jakie ma pan pytania?

– Ja... – Key ugryzł się w język.

– Śmielej, śmielej... – Mężczyźnie ta rozmowa sprawiała wyraźną przyjemność. – Nie opłacił pan aTanu? Wiem o tym.

– Mam pieniądze. Przedłużałem nieśmiertelność sześć razy i...

– To nieistotne. Zasady kompanii są proste: nieśmiertelność opłaca się z góry i tylko jednorazowo. Wie pan, dlaczego?

Key pokręcił głową. Mężczyzna najwyraźniej należał do ludzi, którzy całymi godzinami mogą rozprawiać o subtelnościach ceremonialnej kuchni Bullraty, przewagach interfazowego napędu statków czy taktycznych błędach Mrszanu w Wielkiej Wojnie. Zazwyczaj takie rozważania są tyleż zajmujące, co prowadzone nie w porę.

– GdyPsyłończycy sprzedali ludziom, bardzo dalekowzrocznym ludziom, jak pan sam rozumie, urządzenie nazwane później aTanem, postawili tylko jeden warunek, co może wydawać się dziwne, jeśli nie zna się ich psychologii. Zażądali, by człowiek w ciągu całego życia mógł skorzystać z aTanu tylko raz. Rozumie pan, Key?

Życie jest dla nich najwyższą wartością, ale boją się nieśmiertelności. A co my zrobiliśmy?

Key wzruszył ramionami.

– Po podpisaniu kontraktu udowodniliśmy im, że ożywiony człowiek jest nową osobowością. Prawnie przejmuje poprzednią, ale jednak jest kimś innym, i ma prawo znowu zawrzeć aTan. Dobrze mówię?

– Wspaniale. – Key starannie rozejrzał się po sali w poszukiwaniu ubrania i przygotował się na dłuższe czekanie.

Mężczyzna roześmiał się.

– W porządku, to była dygresja. O co chce pan zapytać?

– Gdzie jestem? Czy to Cailis?

– Nie, nie Cailis. Terra.

Jeśli spodziewał się zobaczyć na twarzy Keya zdumienie, nie zawiódł się. Key uznał, że nie warto skrywać emocji, które pochlebiały ambicji silniejszego przeciwnika.

– Ale kompania aTan nie ma filii na Terrze...

– To nie filia. To prywatny aTan.

Key zaśmiał się sztucznie i rozłożył ręce.

– Doskonale. Ja tego nie słyszałem, pan nie mówił. Kompania ma ekskluzywne prawo na wyłączność, prywatni ozywiciele nie istnieją...

– Mylisz się, Keyu Altos. To prawo dostała prywatna osoba.

I ta prywatna osoba założyła kompanię aTan.

– Wiem, kim pan jest – powiedział powoli Key. – Curtis van Curtis, właściciel kompanii aTan, najstarszy człowiek w galaktyce Curtis skinął głową.

– Zuch z pana, Key. Zaraz przyniosą ubranie, i przejdziemy do mojego letniego gabinetu wypić kieliszek wina. Miałeś dużo szczęścia. Dostałeś nie tylko życie, ale i wspaniałą pracę.

Rozdział 3

Na brzegu Jeziora Genewskiego, w selwie Amazonki, w pustkowiach Krajów Nadbałtyckich, w bagiennych nizinach Chin, w syberyjskiej tajdze są prywatne posiadłości, strzeżone przez tęczowe mury pól siłowych oraz nazwę kompanii aTan. Stanowią część majątku Curtisa, a połączone są w jedną całość tunelami hiperprzejęć.

Z zewnątrz – założmy, że udałoby się wam zajrzeć za krawędź pola siłowego, zobaczycie tylko dziwne fragmenty budynków z prowadzącymi donikąd balustradami i wyrastającymi z powietrza galeriami. Od wewnątrz obraz jest inny – pałace, zrodzone przez szaloną fantazję i jeszcze bardziej szalone pieniądze. Wjeżdżając kolejką na zbocze Everestu, możecie zjechać na nartach prosto w kryształowe wody Bajkału. Gdy popływacie w lodowatej wodzie syberyjskiego jeziora, wzniesiecie się na rozpaloną słońcem plażę Kuby. A jeśli po spacerze zaproszą was w odwiedziny do gospodarza posiadłości, to droga do domu – trzy stumetrowej wieży – zajmie wam tylko kilka minut.

Key stał na odsłoniętym tarasie wieńczącym budynek. Wiatr szarpał mu włosy, jakby zapraszał do zakosztowania krótkiej radości swobodnego lotu. Ten „gabinet” na świeżym powietrzu z pewnością otaczało niewidoczne pole... Zresztą czy Curtis, władający nieskończoną liczbą istnień, czy bałby się upadku ze swojej wieży? Na tę myśl Key cofnął się od nieogrodzonej krawędzi. Curtis potrzebował go w jakimś celu, ale wartość Keya mogła spaść razem z nim. Dobry pracownik nie powinien mieć zawrotów głowy.

– Smakuje panu wino, Key?

Key dotknął wargami kieliszka.

– Tak, Curtis. To rzadki gatunek... ale wolę błękitne gatunki mrszańskich win.

– Może ma pan rację. Ale żółte wina są znacznie zdrowsze dla organizmu, nie uszkadzają wątroby i przedłużają życie.

Zabrzmiało to ironicznie, ale Key nie zareagował. Obracał w ręku stary kryształowy kielich, wart zapewne nie mniej niż nieśmiertelność, i patrzył na Curtisa. Właściciel aTanu siedział przy zwykłym drewnianym stole z takim samym kielichem w ręku. Fotel na tarasie był tylko jeden – albo rozmyślne niedbalstwo, albo nikt nie dostępował zaszczytu siedzenia razem z Curtisem na szczycie jego imperium.

– Jak się panu podoba widok? – zainteresował się Curtis.

– Przyprawia o zawrót głowy – wymamrotał Key. – Wolę patrzeć w dal.

– Kalejdoskop, co? – zachichotał Curtis. – Rozumiem... pustynia, jeziora, oceany, lasy, stepy, a wszystko na jednym skrawku ziemi.

Nie potrzebuję wiele, Key, nie pragnę Morza Czerwonego albo całych Himalajów, chociaż mógłbym je kupić. Po trochu wszystkiego.

Umiar i różnorodność, oto gwarancja podtrzymania zainteresowania długim życiem. Jeszcze pan tego nie rozumie, młodzieńcze. Ożywał pan tylko sześć razy, nie licząc dnia dzisiejszego. ATanu wystarczyło panu najwyżej na pięć lat. Co za rozrzutność. Nawet przy pańskich kwalifikacjach i dochodach na długo tego nie starczy.

– Czego pan ode mnie chce, Curtis? – spytał ze znużeniem Key.

– Podarowane życie niewarte jest morałów. – Podeszedł do Curtisa i usiadł na stole.

– Potrzebuję pana, by umarł pan za mnie. Na zawsze, bezpowrotnie. Albo uzyskał życie wieczne.

Na los szczęścia.

Rozdział 4

Daleko od Ziemi, daleko od Cailisa, gdzie został pan zabity, Key... – Van Curtis stał na krawędzi tarasu, patrząc w dół.

Tam był kawałeczek oceanu, ciemny pas lasu i wciśnięty pomiędzy nie skrawek nocy. – Planeta Graal.

– Nie słyszałem o niej.

– Nic dziwnego. Nowy, mało oswojony świat. Interesy wymagają mojej obecności tam.

Van Curtis nieoczekiwanie splunął w pustkę. Key stłumił uśmiech – nie pasowało to do właściciela aTanu.

– Dobrze, że się pan nie śmieje, Key. To, co pan usłyszał, jest ściśle tajne. A będę musiał opowiedzieć panu znacznie więcej... i znacznie bardziej zaufać. Rzykuję...

Odwrócił się do Keya i ścisnął go za ramię.

– Wie pan, co to znaczy być najpotężniejszym człowiekiem w całej galaktyce? Nienawidzą mnie miliardy. Ci, którzy nie mogą pozwolić sobie na aTan, ci, którzy zrujnowali się, fundując go sobie, i ci, którym kością w gardle stoi luksus mojej rezydencji... miliardy nienawidzących oczu, miliony nienawidzących rąk... Opłacam nie tylko ochronę przeciwko potencjalnym zabójcom. Utrzymuję jeszcze cały pułk psychologicznej obrony przed nieżyczliwymi, którzy mogą, sami o tym nie wiedząc, mieć zdolności nadprzyrodzone. Poza granicami tej rezydencji, poza granicami Terry nie zabiją mnie, o nie... będą mnie męczyć latami, dopóki nie zwariuję i nie zacznę robić pod siebie. Żaden aTan mi nie pomoże. A jednak gotów jestem zaryzykować...

– Potrzebuje pan ochroniarza? – nie wierząc własnym uszom spytał Key.

– To nie takie proste. Jeśli opuścę to miejsce choćby na dobę, dowiedzą się o tym. Konkurencja, wrogowie... Setka myszy może zagryźć kota, Key, a ja jestem bardzo tłustym i leniwym kotem. Będę musiał zaryzykować i powierzyć tę sprawę synowi. A pan, Key Altos, zawodowy ochroniarz, będzie mu towarzyszył.

– Zgadzam się, jeśli moja zgoda coś tu znaczy – rzekł Key. Praca to praca. Nawet jeśli bardziej niebezpieczna niż zazwyczaj.

Ale mógł pan mnie po prostu wynająć...

– Żeby wszyscy się o tym dowiedzieli? Każdy wchodzący w te mury staje się obiektem zainteresowania licznych wpływowych kompanii i rządów. Wychodzący tym bardziej. Ale pan tu trafił... jakby to wyrazić... wirtualnie, i w taki sam sposób pan wyjdzie.

– Jasne – Key zmusił się do uśmiechu. – Mam nadzieję, że bezboleśnie?

– W każdym razie nie tak boleśnie, jak po algopistolectwie. Sądząc po raporcie policji Cailisa, właśnie w ten sposób pana zabili?

Key milczał.

– Długo czekałem, Key. Miałem na oku ze stu ludzi. Doświadczeni piloci, ochroniarze, najemni zabójcy. Musiało się tak zdarzyć, by ktoś z nich zginął, nie opłacając aTanu. Jak pan zapewne wie, neuronowa siatka zainstalowana pod pańską czaszką działa bez względu na to, czy opłaci pan nowy aTan, czy nie. Zawsze spełnia swoje zadanie: wysyła w przestrzeń dokładny raport o znikającym życiu. I tylko od kompanii zależy, czy wymaże ten sygnał z bloków pamięci, czy skopiuje w nowiutkie ciało. Nie przedłużył pan nieśmiertelności i w regionalnym urzędzie kompanii sygnał został

wymazany. Wymazana została również matryca ciała. Ale ja, w swoim jedynym na całe Imperium Ludzi prywatnym punkcie ożywiania, zdecydowałem inaczej: przywróciłem panu życie, mój pechowy młody przyjacielu. Oficjalnie już pana nie ma. A jednak stoi pan przede mną.

– Dziękuję – powiedział szczerze Key.

– Na razie nie ma za co. Odpracuje pan każdy miesiąc, który panu dałem, każdy gruczoł, nawet Kal w jelitach, który trzeba było zrekonstruować do kompletu. Jeśli dostarczy pan mojego syna na Graal, to oprócz nowych dokumentów i wysokiego rachunku w banku otrzyma pan główną nagrodę: nieśmiertelność, Key! Bez względu na to, ile razy pan zginie, pański aTan opłaci kompania. Czy to uczciwa cena?

– W zupełności.

– Podoba mi się pańska lakoniczność, Key. Jestem stary... chociaż moje ciało ma dopiero pięćdziesiąt lat. Mam prawo być gadatliwy. A pan jest młody i stanie się zdolny do wielu rzeczy, z wiekiem.

Tak, Key. Chciałbym wyposażyć pana w nowe ciało, ale doświadczenie pokazuje, że byłby pan w nim mało efektywny. Trzeba będzie zaryzykować. Dzisiaj wieczorem wszystkie filie kompanii otrzymają matryce trojga ludzi: pana i pani Ovald oraz ich syna.

– Wyruszymy we trójkę?

– Nie. W katastrofie zginie tylko pan i Artur. Jest pan wolnym kupcem, kręci się pan na pograniczu. Rozbił się wasz statek... prawdopodobnie na skutek dywersji. Wszystko zostanie zainscenizowane, w budynku jest doskonały imitator. Rozumie pan, przegląd pamięci klienta jest zabroniony, ale zawsze znajdzie się jakiś ciekawski spryciarz. Mam nadzieję, że obejrzy najwyżej trzy ostatnie godziny przed waszą śmiercią.

– Pan oglądał moją pamięć?

– Key! – Van Curtis klasnął w ręce. – Może pan tego nie rozumie, ale jeśli się ustala reguły gry, trzeba ich przestrzegać. Przegląd pamięci jest zabroniony! Jeśli szeregowy pracownik kompanii dowie się, że van Curtis narusza, niechby nawet sporadycznie, ustanowione przez siebie prawa, moja reputacja i moje imperium zaczną trzeszczeć w szwach. Poza tym jest mi obojętne, co za dziwka... a może był to złodziej?... zaskoczyła pana w momencie odprężenia.

Znam pańskie dossier. Cztery razy umierał pan, zasłaniając sobą klienta, z tego raz w absolutnie nierównej walce. Raz zwałił się pan pijany do rzeki...

– Popchnęli mnie, Curtis.

– Wszystko jedno. Mam nadzieję, że cena zmusi pana do absolutnej koncentracji i tymczasowego zapomnienia o drobnych przyjemnościach życia... w imię samego życia.

– Oczywiście, Curtis.

– No więc, ożywią was. Nie wiem gdzie, Key. Nie chcę wiedzieć... dla waszego bezpieczeństwa. Dwanaście szans na sto, że jesteśmy śledzeni nawet tutaj...

Key spojrział na bezchmurne niebo.

– Młodzieńcze, nad nami jest tyle ekranów, że różnica między piwnicą i dachem niemal nie istnieje. Więc ożyjecie. Kupicie statek.

Wasz kredyt nie będzie nieograniczony, w przeciwnym razie wzbudziłoby to podejrzenia. Proszę mnie jednak nie uważać za skąpca.

Wraz z ubywaniem pieniędzy na wasze konto będą wpływać nowe sumy. Kiedy przybędziecie na

Graala, wysadzi pan mojego syna w dowolnym bezpiecznym miejscu i może pan robić, co się panu podoba. A on zajmie się naszymi rodzinnymi sprawami.

– Brzmi prosto, Curtis.

– Zwycięża tylko prostota, Key.

– W takim razie pomówmy o gwarancjach.

Van Curtis ściągnął brwi.

– Gdzie są gwarancje, że mój aTan będzie przedłużony? Gdzie gwarancja, że odetchnąwszy powietrzem waszego drogocennego Graala, Curtis junior nie strzeli mi w kark? Gdzie jest gwarancja, że dziesięciu kilerów nie wyruszy, by zlikwidować Keya Altosa, który wie zbyt wiele?

– Tak, tak, tak – van Curtis cmoknął i przez chwilę wyglądał jak starzec. Przeszedł się wzdłuż krawędzi tarasu:

– Jakże pan ryzykuje, Key...

– To mój zawód.

Curtis przyglądał się rozmówcy przez chwilę. Key, walcząc z pragnieniem odwrócenia wzroku, patrzył mu w twarz. W końcu van Curtis zaśmiał się.

– Zawód, mówi pan? A mój zawód, prezesa galaktycznej korporacji, poznał pan z filmów? Wie pan, że ponad dwieście lat temu, gdy moja firma była jedynie osobliwą nowinką, aTan wykupił mój największy wróg? I wkrótce zginął... w niespodziewanym wypadku. Wtedy jeszcze klientów było niewiele, ciągle w to nie wierzono.

Poza tym na świecie po konflikcie tukajskim cena życia wydawała się bardzo wysoka. Osobiście nadzorowałem procesy ożywiania. Mogłem... tak, mogłem...

Curtis zamilkł, patrząc gdzieś w przestrzeń.

– Byliśmy wrogami jeszcze wiele lat, Key. On nie zapominał o przedłużaniu aTanu. W końcu doprowadziłem go do bankructwa.

Wtedy Schoolman zerwał kontrakt z firmą, wyleciał swoim jachtem i wziął kurs na najbliższą gwiazdę.

– Mógł to być gest podyktowany okolicznościami – powiedział bardzo miękko Key.

– Nie jest pan głupi. Gest? Oczywiście. Ale proszę sobie przypomnieć, czy wśród wszystkich kłamstw, którymi jestem zalewany co godzina przez każdą sieć informacyjną, była mowa o niesolidności w interesach?

Key pokręcił głową.

– Ludzie pracują dla mnie nie tylko przez wzgląd na pieniądze czy życie. Pracują dla mnie z przekonania. Nie zdradzam swoich.

– W porządku – Key poczuł się zmęczony tym sporem. W jaki sposób zagwarantuje pan sobie moją solidność?

– Solidność? Bardzo prosto. Za pomocą neuronowej siatki w pańskim mózgu. Jeśli mnie pan zdradzi, wcześniej czy później, obojętne, gdzie by się pan ukrył, dopadnie pana śmierć. Ożyje pan, proszę mi wierzyć, w tym właśnie domu, a ja zaangażuję najlepszych katów, jakich można kupić za pieniądze. Będą pana torturować bez końca. To będzie pańskie prywatne piekło. Setki, tysiące lat tortur. Ból stanie się pańskim powietrzem, pożywieniem, snem. Będzie pan umierał i rodził się dla jeszcze straszniejszej męki. Pozwolą panu odpocząć, by cierpienia zalały pana z nową siłą. Zwrócę

się do pisarzy zdolnych wymyślić nowe tortury i reżyserów, którzy potrafią przemienić je w spektakl. Wyciągnę z więzień sadystów, a ze szpitali psychiatrycznych – amatorów ludzkiego mięsa. Zwrócę się o pomoc do innych ras, a oni przekopią archiwa z czasów wojen z ludźmi. A od czasu do czasu przyprowadzą pana tutaj, do najspokojniejszego i najbardziej przytulnego miejsca w tym domu, a ja panu przypomnę tę rozmowę.

Curtis van Curtis, pan życia i śmierci, stał przed Keyem Altosem z planety Altos, awanturnikiem i sierotą bez własnego nazwiska, i przemawiał spokojnie i dobitnie. Gdy skończył, Key rozłożył ręce:

– Jest pan bardzo przekonujący, van Curtis. Jestem pański na wieki.

– Nie wątpiłem w to ani przez chwilę. – Curtis wzdrygnął się. – Zimno. Key. Chodźmy do gabinetu, jeszcze nam tylko przeziębienia brakuje.

Podłoga pod nimi posłusznie zjechała w dół. Płynęli w czarnej; kapsule pola siłowego, a van Curtis z ciekawością oglądał człowieka, któremu obiecywał największą nagrodę – i najstraszniejsze męki od czasów stworzenia świata. Czuł się jak bóg, dziwny bóg Imperium Ludzi, który miał prawo karać i ułaskawiać, zabijać i wskrzeszać do życia, Bóg, który bał się opuścić swój własny Olimp.

– Pański syn umie pilotować małe międzygwiazdne statki?

Wydawało się, że Key zapomniał już o niedawnej rozmowie.

– Nie tylko małe.

– Broń?

– Ręczną władą nieźle, bronią na statku dobrze. Gorzej z białą bronią... wszystkie te płaszczyznowe miecze i inna egzotyka.

– Kondycja?

Curtis zachichotał i poklepał się po miękkim brzuchu:

– Lepsza niż moja. Powiedziałbym, że jak na swoje lata, jest w doskonałej formie.

– Cóż, całkiem znośnie... – Key podniósł oczy. – Ile on ma lat, Curtis?

– Urodził się szesnaście lat temu – zaczął ciepło Curtis.

Key skrzywił się, ale w grymasie więcej było ulgi niż niezadowolenia.

– Ale biologicznie ma dwanaście lat.

Rozdział 5

– Co to panu przeszkadza, Key? – Curtis przemierzał zamasyżycie gabinet. Czy to dla kontrastu z „gabinetem” na dachu, czy z innych przyczyn, pomieszczenie było bardzo małe. Pięć na pięć, biurko, fotel i kanapka. Key rozwalił się na kanapce, gospodarz nie mógł usiedzieć w fotelu. – Ojciec i mały syn to niezbyt podejrzana para. Lecicie na Graala w poszukiwaniu nowych towarów: narkotyki, ruda, egzotyczne zwierzęta. W czym rzecz?

– Powtarzam panu, Curtis, nigdy przedtem nie pracowałem z dziećmi. Po prostu ich nie lubię.

– Wiem o tym! A także o przytułku na Altosie... tłum pętałów ewakuowanych z Trzech Planet przed desantem Sakrasów. Wiem, co się tam działo, znam pańskie krzywdy... co najwyżej nie jestem zorientowany, który z kolegów zmuszał pana do seksualnej bliskości, a który tylko wsadzał panu głowę do pisuaru. Wiem, że fizycznie był pan najslabszy i że długo pan to znosił. W końcu zarznął pan w nocy kilku swoich dręczycieli i uciekł. Przystał pan do cyrkowej grupy, która była tam na gościnnych występach...

Key zeszywniał.

– Mówią, że wy tam wszyscy na Drugiej...

– Dwie mielizny na krzyż i ocean zgniłej wody...

– Ty, a skrzela masz? Chłopaki, zanurzmy Keya głębiej...

Zwyczajnie miał pecha. Trafił do bloku, w którym mieszkali chłopcy z Trzeciej Planety – Trzech Sióstr, trzech zamieszkanymi planet systemu Shedar. Błąd w dokumentach... Druga i Trzecia były wrogami od wielu lat, aż do dnia, w którym pragnące rozszerzyć swoją przestrzeń życiową Sakrasy zmusiły ludzkość do zjednoczenia się. Dorośli zawarli pokój – razem latali na bojowych statkach, razem pracowali w fabrykach, razem ginęli w planetarnych desantach. Dzieciom została tylko jedna wojna ze sobą.

– Jak będziesz posłuszny...

– Chłopaki, który pierwszy?

– Key, słyszałem, że ty nieźle...

Nawet nie zauważył, kiedy wstał, zagradzając drogę rozmyślającemu głośno Curtisowi:

– Oczywiście, po tych smutnych latach odpowiednie traktowanie ze strony ludzi dorosłych miało duży wpływ na pańską psychikę.

Dobry psychiatra mógłby pomóc...

– Curtis – Key chwycił swojego najemcę za klapy marynarki nie obchodzi mnie, czy bogiem, czy diabłem... nawet pański parszywy aTan, kupiony od naiwnych Psyłończyków, nawet obiecane tysiące lat piekła... Nie powinien pan grzebać w moim życiu.

Curtis ze zdumieniem popatrzył na rękę Keya, odrywającą go od podłogi. Ściągnął brwi, podniósł wzrok.

– Przepraszam, Key – powiedział nagle. Głos mu drgnął. Zbyt długo był pan dla mnie abstrakcją, jednym z kandydatów do największego przedsięwzięcia w historii. Nie mogłem nie zbadać życiorysów wszystkich tych, którym miałem zamiar powierzyć los mojego syna i sporo tajemnic. To naturalne, Key. Ale byłem zbyt bezwzględny, zapomniałem, że jest pan obok, że sprawia to panu ból. Proszę mi wybaczyć.

– Chyba już wiem, dlaczego osiągnął pan takie wyżyny – wyszeptał Key, rozluźniając chwyt.

Dopiero teraz do niego dotarło, co się stało. Podniósł rękę na boga.

A bóg go przeprosił.

– Mam nadzieję, że zapanuje pan nad emocjami. – Curtis usiadł na kanapie i gestem zaprosił Keya, by zajął miejsce obok niego. Mój syn nie należy do małych szpanerów.

– To dziecko.

– Ma szesnaście lat, Key.

– Biologicznie dwanaście! Gdy wracam do tego ciała... trzydziestoletniego ciała, czuję, jak zmienia się świat. Psychika to przypadkowy osad na gruczołach wydzielania wewnętrznego! Pański syn nie utracił swojej wiedzy, ale nie jest młodzieńcem, stał się znowu chłopcem, tego jestem pewien. Dlaczego pan, władca aTanu, tak rzadko zdejmował matrycę z jego ciała?

Curtis skrzywił się.

– Trzy procent ludzi przerywa zdejmowanie matrycy, rezygnując z aTanu. Rezygnują z nieśmiertelności, Key! A przecież wiedzą, że trzeba wytrzymać tylko jeden raz! Połowa moich inżynierów pracuje nad problemem bezbolesnego skanowania molekularnego. I przez dwieście lat żadnych rezultatów. Kocham swojego syna. Zeskanowałem jego ciało i wszczepiłem neuronową siatkę, kiedy tylko lekarze na to zezwolili. Powtórzyłem skanowanie, gdy miał dwanaście lat. Nie miałem odwagi prosić go, by zdecydował się na to po raz drugi. Umówiliśmy się, że w wieku osiemnastu lat zostanie ponownie zeskanowany i to ciało zostanie jako baza. Niestety... Ocean, Key! Utonął! Skurcz nogi i...

W tym momencie Key zrozumiał, że bogu też można współczuć. Nawet wiedząc, że nie potrzebuje on współczucia. Curtis znowu patrzył w przestrzeń, w czarną materię swojej długiej pamięci.

– Wie pan, jak ożywają topielcy, Key? Kaszlą, charcząc wodą, której nie ma. Drapią pierś, ponieważ zdrowe płuca nadal bolą...

– Curtis, bardzo mi przykro... ale czy warto wysłać chłopca...

– Nie mam kogo posłać, Key. Słudzy mogą zdradzić, przyjaciele tym bardziej. Moja żona... to najlepsza żona, jaką można kupić. Jest ozdobą każdego wieczoru. Jest wspaniałą, piękną matką Artura. I nawet mnie kocha – mnie, a nie moje pieniądze, i wie, o czym można mówić, a o czym nie. Ale zemdleje przy pierwszym wystrzale, a połowa mężczyzn, których spotkacie, zechce się z nią przespać.

A pan zapomni o obiecanej karze... i przyprawi mi rogi!

Van Curtis zachichotał:

– Niech się pan z tym pogodzi, Key. Niestety, mam tylko jednego syna. Gdy jest się nieśmiertelnym, człowiekowi nie zależy na spadkobiercach. Ja mogę mu zaufać, a on zdoła wykonać zadanie.

Dla pana mam wielką, słodką marchewkę i mocny kij. Umowa stoi?

– Szczegóły zadania?

– Macie trzy dni. Zapozna się pan z legendą, wejdzie pan w rolę.

Trochę pan potrenuje, moi instruktorzy znają masę sprytnych chwytów. Przywozi pan Artura na Graal i zostajemy przyjaciółmi na wieki.

– A jeśli złapią nas ci słynni wrogowie...

– Wtedy, Key, przejawia pan wszystkie swoje talenty. Jeśli okażą się niewystarczające, zabije pan

mojego syna. Na tyle bezboleśnie, na ile będzie to możliwe. Nie może wpaść w ręce wrogów.

Key popatrzył na Curtisa:

- Dobrze, wchodzę w to. A co stanie się ze mną, jeśli zginę?
- To już będzie zależeć od relacji mojego syna.

Rozdział 6

Key wyspał się doskonale. Amfilada pokoi oddanych mu do dyspozycji była nieskończenie długa i nie chciało mu się szukać sypialni z obiecany grawitacyjnym łóżkiem. Kanapa w bibliotece wystarczyła w zupełności, a owoce w kryształowej misie posłużyły za śniadanie. Po raz drugi w życiu spróbował kapryśnych ziemskich owoców – śliwek i zdecydował, że są całkiem jadalne.

Silikoid, prawdopodobnie ten sam, który był obecny podczas ożywienia, przyniósł tacę ze śniadaniem. Key uzupełnił owocową dietę filiżanką kawy i zagadnął:

– Obiecano mi instruktora. Czy to przypadkiem nie ty?

Szary kamienny słup zignorował ironię.

– Proszę iść za mną. Instruktor czeka na pana.

Albo van Curtis lubił piesze przechadzki, albo Silikoid nie uznał za konieczne korzystać z komunikacji. Szli pustymi korytarzami, od czasu do czasu wychodząc na świeże powietrze. Z nocnej dżungli, gdzie ostry głos jakiegoś ptaka próbował rozpędzić ciszę, wyszli na zalany zachodzącym słońcem brzeg oceanu. Silikoid sunął nad pasem przyboju, a bryzgi wody syczały, pryskając na jego kamienne ciało. Key zdjął buty i szedł za nim. Jasnowłosy chłopiec, bawiący się piłką przy brzegu, odprowadził ich wzrokiem.

– Curtis junior? – zapytał Silikoida Key.

– Nie.

Ocean skończył się gwałtownie na żywo płocie. Silikoid zatrzymał się przy furtce:

– Dalej pójdzie pan sam. Nie powinienem spotkać pańskiego instruktora, jesteśmy w stanie wojny.

Key przebiegł w pamięci wszystko, co wiedział o Silikoidach i skinął głową.

– Doskonale. Pójdę sam. Masz prawo odpowiadać na pytania?

– Czasami.

– Dlaczego służysz Curtisowi?

– Silikoidy nie służą.

– No właśnie, więc dlaczego,..

– Spłacam dług.

– Aha. Jasne.

Szara wieża cierpliwie czekała.

– Możesz powiedzieć mi coś o Curtisie?

– Co?

– Cokolwiek.

Po kamieniu przebiegł dreszcz, a niewidzialny chór wyszeptał:

– Jest podobny do swojego domu.

– Niewesoło, co? – uśmiechnął się krzywo Key, otwierając furtkę. – Dziękuję, głazie...

Wszedł na żółty piasek, ciągnący się aż po horyzont, gdzie przez tęczową mgielkę bariery przeświecały nocne ulice Genewy. Tutaj słońce stało w zenicie; krople potu wystąpiły Keyowi na czoło. Ale nie tylko z powodu upału. Zobaczył instruktora.

Bullraty były jedną z najpotężniejszych i najbardziej niebezpiecznych ras nieludzkiego kosmosu.

Zewnętrznie przypominały dwumetrowego niedźwiedzia, gdyby tylko jakiś niedźwiedź mógł się pochwalić taką szybkością ruchów, twardą jak stalowy drut sierścią i rozumem.

Ten Bullrat był stary. Ciemnobrązowa sierść straciła blask i zwijała się w niewinne loczki. Zęby w wyszczerzonej na powitanie paszczy były do połowy spiłowane.

– Witaj, Key. Wkładaj pancerz. Jesteś gotów?

Jego głos wydawał się zdumiewająco melodyjny i łagodny – przypadkowa osobliwość ewolucji, jakże często zwodząca ludzi w epoce Pierwszych Kontaktów.

Pancerz leżał obok na piasku. Granatowa szorstka łuska, układająca się w dziwne miękkie kształty. Lekka, plastikowa zbroja przeznaczona była wyłącznie do walki wręcz. Wzmacniacze mięśni usunięto, ale blok medyczny mrugał zielonym ognikiem gotowości.

– Jak cię zwać, staruszkule? – zapytał Key, łącząc rozmontowany pancerz.

Bullrat kłapnął zębami.

– Moje imię nie jest dla ciebie. Jestem twoim instruktorem. Człowieku Key, czy twoje ciało jest dla ciebie cenne?

– Musi przeżyć trzy dni... – Key złożył ostatnie segmenty pancerza i przyjął bojową pozycję. – Jestem gotów, Bullrat.

Cios w brzuch odrzucił go pod żywoplot. Blok medyczny w pancerzu zapiszczał, szpikując Keya stymulatorami i środkami przeciwbólowymi.

– Ten cios nie zabija od razu – wyjaśnił Bullrat, podchodząc do Keya. – Po tygodniu lub dwóch twoja wątroba przestanie pracować.

Nieprzyjemna niespodzianka dla ludzkich jeńców, których puszczaliśmy wolno w dni Wielkiej Wojny.

Wstając, Key kopnął Bullrata w krocze. Sierść osłabiła cios, noga zaboląła, ale instruktor się zachwiał.

– My zazwyczaj kastrowaliśmy jeńców – oznajmił Key. – Albo sterylizowaliśmy planety. Tak było?

– Byłem na planecie, nad którą przeszedł „Żniwiarz” – oznajmił Bullrat. – Twój cios jest bolesny, ale mało efektywny.

Keyowi udało się zrobić unik przed następnym uderzeniem. Bullrat zaczął krążyć wokół człowieka, wzbijając łapami tumany piasku. Niespodziewanie spadł na cztery łapy i rzucił się na Keya.

Altos podskoczył i przeleciał nad otwartą paszczą. Osiodłał ogromne ciało, uderzył nogami w boki – anatomia Bullrata była niemal ludzka, a nerki to słaby organ u wszystkich ras – i przeokoziółkował na piasek.

Instruktor wyprostował się, przesunął łapami po ciele i spokojnie przemówił:

– Zazwyczaj ludzie nie dopuszczają do siebie myśli, że rozumna rasa zaatakuje na czworaka. Zewnętrznie jesteś młody. Walczyłeś z nami?

– Lubię oglądać stare kroniki.

– Wasz niedoskonały wzrok upraszcza zapis informacji – chrząknął Bullrat. – Dlaczego to wy zwyciężyliście w tej wojnie? Jesteście słabsi od nas i głupszy od Psyłończyków. Po prostu przeciętni...

– Jesteśmy przeciętni we wszystkim.

– Tak. Przykre, że w galaktyce włada przeciętność...

Ten atak zaskoczył Keya. Przyciśnięty do piasku dwustukilogramowym cielskiem, nie mógł się nawet ruszyć. Szczęki Bullrata rozwarły się – Key poczuł dziwny, nieoczekiwanie przyjemny zapach – i sięgnęły do jego gardła.

Cienki pisk rozległ się w momencie, gdy Key poczuł dotyk kłów.

Bullrat ryknął i odsunął paszczę. Podniósł prawą łapę – przez sierść błysnął najzwyczajniejszy ludzki zegarek.

– Masz szczęście, człowieku – powiedział zniżając głos. – Wytrzymałeś pięć minut walki bez zasad. Teraz nie mam już prawa cię zabić.

Wstał z zaskakującą gracją. Key leżał, patrząc na swojego niedoszłego kata.

– Wstawaj, Key. Teraz cię nauczę, jak człowiek może zabić Bullrata. I zapamiętaj, że tę wiedzę posiadasz tylko ty jeden.

– Mogę o coś zapytać?

– Mów.

– Dlaczego tak ładnie pachnie ci z paszczy? Przecież lubicie nieświeże mięso?

– To dezodorant, głupku. Każda rozumna rasa dba o higienę.

– Logiczne. – Key wstał. Blok medyczny pracował, ale ciało bolało. – No to mów. Jak można cię zabić?

– Najbardziej czułą strefą naszej rasy jest rejon gruczołu sigmy – zaczął głucho Bullrat. – Jeśli poprowadzisz linię od moich organów płciowych do prawego oka, to po środku tej linii znajdzie się odcinek nieosłonięty mięśniami...

Rozdział 7

Van Curtis zaprosił Keya na kolację. Key wysłuchał krótkiego pouczenia Silikoida na temat przyjętych norm zachowania i wstał z fotela, skrzywiony z bólu. Nie zwracając uwagi na nieruchomego kamiennego kolosa, rozebrał się.

Posępnie obejrzał się lustrze. Przed siniakami pancerz nie chronił, przed ciosem w wątrobę – jeśli wierzyć instruktorowi – również.

– Bullraty to najlepsi wojownicy w galaktyce – powiedział głucho Silikoid.

– Lepsi niż wy? – Key dotknął ramienia i syknął.

– Zapewne. Znaleźli sposób zabijania nas w walce wręcz.

– Tak? Jaki? – zainteresował się Key.

– Nie wspomniałbym o tym, gdybym wiedział.

– Trzeba się będzie zainteresować.

– Kładź się na podłozie.

Key zaskoczony popatrzył na Silikoida, ale nie sprzeciwił się.

Rozciągnął ciało na cienkim, przykurzonym dywanie, a Silikoid powoli nasunął się na niego. Po ciele mężczyzny przesunęła się fala mocnych drgań.

– Masaż grawitacyjny – wyjaśnił nie wiadomo po co Silikoid, kołysząc się. – Poczujesz się lepiej. Umieemy nie tylko zabijać naszym polem...

Ochroniarza z planety Altos nigdy nie prześladowały nieprzyjemne wspomnienia. Ale teraz ni z tego, ni z owego przypomniał sobie kosmodrom Cailisa i krwawą plamę pięćdziesiąt metrów od statku. Te szczeniaki zawsze włożą pod dysze...

– Dziękuję, już mi lepiej. – Key wyturlał się spod Silikoida. Curtis junior będzie obecny na kolacji?

– Prawdopodobnie.

Key włożył drogi garnitur, szeroki, mieniący się krawat, maksymalnie niefunkcjonalne buty z twardej skóry – i poszedł za Silikoidem. Czuł lekką ciekawość połączoną z irytacją, jak zawsze przed poznaniem klienta, któremu nie można odmówić. Zawodowiec powinien mieć, do cholery, prawo wyboru.

– Chciałbyś zadać jakieś pytania?

– Co? Tak, oczywiście. Nosicie jakąś odzież?

– Jestem ubrany – odparł z godnością Silikoid.

Key zakrztusił się, ale powstrzymał śmiech.

– Teraz moja kolej zadawania pytań – Silikoid zwolnił i zrównał się z Keyem. – Jeśli ludzie urosną w potęgę, co zrobią?

– Nie rozumiem – odparł szczerze Key. Wyszli z domu-wieży skierowali się ku małemu okrągłemu pawilonowi w oddali. Po drodze musieli przeciąć sosnowy lasek, przejść obok jakichś idiotycznych kamieni, ustawionych wokół, i małej korwety z czasów Wielkiej Wojny, wtopionej w granitowy postument.

– Sformułuję to inaczej. Jeśli potęga Imperium Ludzi niepomiaralnie wzrośnie, jak zmieni się wasza polityka?

– Przystaniemy zwracać uwagę na inne rasy. Przystaniemy się z nimi liczyć. Wy postąpilibyście inaczej?

Silikoid nie odpowiedział. Nachylił się w stronę korwety.

– W czasie Wielkiej Wojny Curtis van Curtis służył w oddziałach wolnych łowców. Nie istniały dla nich rozkazy, zadania strategiczne i zasady. Do końca nie udało nam się pojąć, jak można walczyć z nieorganizowanym przeciwnikiem.

– Van Curtis to dzielny człowiek! – powiedział głośno Key.

– Zgadza się. Ale mówi się, że jego stateczek był bardzo dobrze chroniony. Silniki wysłużone, ale pancierz cały. Najciekawsze, że z ostatniego lotu Curtis van Curtis wrócił z niesprawnym komputerem... Jesteśmy na miejscu. Nie jadam organicznego pożywienia, ale życzę wam przyjemnych wrażeń smakowych i pomyślnego trawienia.

Silikoid z gracją zatoczył łuk i poleciał z powrotem. Key postąpił chwilę, oglądając starożytny stateczek Curtisa, w końcu otworzył drzwi pawilonu. Miał organiczne ciało potrzebujące jedzenia i doskonały apetyt, pobudzony treningiem z Bullratem.

Rozdział 8

Wewnątrz drewniany pawilon wyglądał jak kamienny zamek. Ogromna sala przypomniła Keyowi kościoły Wspólnej Woli, dokąd prowadzano go w dzieciństwie, i wywołała niejasne uczucie lęku i wrogości. Nogi plątały się w suchej trzcinie, zaścielającej podłogę. Po łukowatym sklepieniem szelest jego kroków brzmiał jak równy szum.

Curtis van Curtis siedział przy okrągłym stole, energicznie krojąc kawałek pieczeni. Na widok Keya lekko się uniósł na miejscu:

– Niech pan siada, Key! Z szacunku dla pańskich porannych wyczynów na obiad jest pieczeń z niedźwiedzia.

Key usiadł przy stole, uśmiechając się mimo woli. Nie wątpił, że Curtis obserwował trening, interesowało go tylko, czy Bullrat popatrzył na zegarek, czy to Curtis dał sygnał, zapobiegający przelewowi krwi.

– Spodobał się panu instruktor?

– Nigdy bym nie pomyślał, że Bullraty zdolne są umrzeć z rozkoszy.

– Gruczoł sigma? Tak, umierają w ekstazie, jeśli ktoś ma dość sił, by przebić skórę. Hormony, hormony... Stary niedźwiedź nie powiedział panu, ale u niego ten konkretny gruczoł osłania, prócz tłuszczu, również wszczepiona tytanowa płytką. W przeciwnym razie któryś z uczniów mógłby go zabić. A jak on lubi ten cios w wątrobę! To jego wynalazek, nie wiadomo ilu jeńców zginęło, zanim doszedł do mistrzostwa... Proszę sobie nalać wina, Key.

Key spojrział na butelkę z niebieskawym płynem i pokręcił głową.

– Pozwoli pan, że naleję sobie z pańskiej, Curtis. Zacząłem z większą uwagą traktować moją wątrobę.

– Ależ proszę bardzo.

Key wypił łyk gęstego, żółtego wina i pokiwał głową. Tak, to był dobry gatunek.

– Curtis, czy rzeczywiście mój trener jest tak stary?

– Bullrat? Tak, brał udział w Wielkiej Wojnie. To mój rówieśnik. Religia zakazuje im aTanu, ale ta rasa i bez tego żyje długo.

– Sporo wiem o tej wojnie. Zawarli sojusz z Sakrą i zagwarantowali zdławienie naszych planetarnych baz. Gdyby nie Bullraty, Sakra nie dożyłaby konfliktu Trzech Planet.

– Key, niech pan tylko nie rozgrzebuje starych krzywd. Pański świat zniszczyły ogromne białe żaby, a nie ogromne brunatne niedźwiedzie. Nie wymagam od pana sympatii do instruktora, ale zajęcia z nim są niezbędne. Jeszcze jeden dzień treningu i od jutra powtarza pan legendę razem z moim synem. Właśnie, otóż i on...

Key odwrócił się. Od strony otwartych drzwi, za którymi było morze i światło słońca, szedł w ich stronę Artur van Curtis, jego klient. Jego przeznaczenie, Artur miał dwanaście lat... biolat – poprawił się Key. Był smagłym, ciemnowłosym wyrostkiem, a jego twarz była znana Keyowi aż do bólu.

Do bardzo silnego bólu od algopistoletu...

Key miał szczęście – van Curtis nie patrzył akurat na niego. Uśmiechał się do swego jedyne go spadkobiercy. Zresztą czy nieśmiertelni mają spadkobierców? Grymas twarzy Keya znikł po sekundzie – Altos bardzo długo uczył się sztuki przetrwania.

– Witaj, tato – powiedział Curtis junior. – Dzień dobry, Key.

Wiem, wiem, pan jest najtwardszym ochroniarzem na świecie. Zdoła mnie pan ochronić?

Teraz, gdy Artur Curtis stał obok, podobieństwo się zatarło. Był nieco młodszy od chłopca, który zabił Keya na Cailisie. Niewiele, ale w jego wieku to wystarczy. Jego ubranie, dres z zielonego jedwabiu, stworzył najlepszy projektant; nie był to jeden z tysiąca fabrycznych dresów z tworzywa drugiego gatunku. Chociaż niższy od tamtego, był odczuwalnie silniejszy i lepiej umięśniony, ponieważ stały za nim pieniądze, a za pieniędzmi – najlepsze na świecie jedzenie, najlepsze symulatory, najlepsi trenerzy i masażyści. W spojrzeniu chłopca nie było głuchej nienawiści zaszczonego zwierzątka, tylko niewzruszona pewność siebie i władczość.

– Rozumiem, że nie jestem w najlepszej formie, wyszło trochę inaczej niż planowaliśmy – ciągnął Artur. – Niedawno utonąłem, przepraszam. No jak, wchodzi pan w to?

Curtis senior uśmiechnął się krzywo. Key wstał i zrobił krok w stronę Artura. Tak, młodszy. Tak, silniejszy. Tak, inne spojrzenie.

Reszta bez zmian.

– Wiesz, co to takiego ochroniarz? – spytał Key, modląc się, był jego głos brzmiał spokojnie i obojętnie.

– Oczywiście.

– Kładź się!

Artur nadal stał, patrząc na Keya. Pchnięcie zbiło go z nóg.

– Jeśli mówię „kładź się”, padasz – wyjaśnił Key, stojąc nad leżącym chłopcem. – Jeśli mówię „skacz”, skaczesz. Ponieważ nigdy, prócz dzisiejszego dnia, nie powiem tego bez powodu. Za każdym razem będzie od tego zależeć twoje życie. Skacz!

Curtis junior podskoczył. Prosto z podłogi. I zamarł przed Keyem.

– Nie należy bić mojego syna – odezwał się z tyłu van Curtis i Key wyczuł, że pomiędzy łopatki spogląda mu lufa.

– Panie van Curtis – powiedział, nie odwracając się – potrzebuje pan prawdziwego ochroniarza. Gotów jestem dla pana pracować, ale za dwa dni mogę nie mieć tej sekundy, żeby odepchnąć Artura z linii ognia. Jeśli zdołam, zasłonię go, ale lepiej, żeby po prostu upadł, pozwalając mi strzelić. Zgadza się pan? Poza tym nie uderzyłem go, tylko pchnąłem. To spora różnica.

– Możliwe – rzekł spokojnie Curtis. – Siadajcie, obaj.

– Tato, Key to dobry ochroniarz – powiedział Artur, jakby nigdy nic klapnął na krzesło obok ojca i zaczął machać nogami. Twardziel.

– Artur? – powiedział z lekkim zdumieniem Curtis. Key prychnął, biorąc się za mięso.

– Ale mi się dzisiaj polowało – ciągnął Artur. – Zabiłem tamtego tygrysa.

– Gratuluję – rzekł kwaśno Curtis.

– Tato, czy one są jadalne?

– Kto? Tygrysy? Wątroba... chyba.

– Fuj, świństwo. Nie będę tego jadł. Zamów jeszcze tygrysa, dobrze?

– Dobrze. Uspokój się, Artur!

Key pił wino, szczerze rozkoszując się tą scenką. Podobał mu się ten zamek ukryty w drewnianym pawilonie. Podobała mu się nerwowość Curtisa seniora.

– Wie pan, Key, zgodnie z legendą ten zamek należał do króla Artura – powiedział pospiesznie Curtis. – A stół, przy którym siedzimy, jest tym samym Okrągłym Stołem. Podarowałem ten zamek mojemu Arturowi na urodziny...

– Nie słyszałem ani o królu Arturze, ani o Okrągłym Stole odparł Key.

– Starożytna legenda – ożywił się Curtis. – Jeszcze sprzed pierwszych lotów do gwiazd...

– Tato, to głupota – przerwał mu Artur. – Przy takim stole nie zmieściłoby się stu pięćdziesięciu wojowników, tym bardziej w zbrojach. Ale bajka ładna. Różne fajne postacie. Był nawet Key. Bohater drugoplanowy.

Przez moment Artur i Key patrzyli na siebie. Potem chłopiec wstał zza stołu i pocałował Curtisa w policzek.

– Pójdę już, tato, dobrze? Nie jestem głodny.

Key poczekał, aż Artur wyjdzie, i dopiero wtedy pozwolił sobie pośmiać się z oszołomionego Curtisa.

– O co chodzi, Key? – spytał jego pracodawca zmęczonym głosem.

– Spodobał mi się pański syn, Curtis. Normalny dwunastolatek.

Będzie nam się dobrze pracowało.

– Mam tylko nadzieję, że pan żartuje. – Curtis lekko się rozluźnił. – To mądry chłopak, ale szok pierwszej śmierci jeszcze nie minął. I rzeczywiście, miał pan rację z tymi hormonami. Konsultowałem się z lekarzami. Pewna infantylność zachowania musiała się pojawić.

Key skinął głową. Stapał po linie i wiedział o tym. Artur van Curtis, który, zdaniem ojca, nie wiedział nic o ich negocjacjach, zakpił z Keya. Zakpił, zachowując się jak dziecko, którym rzecz jasna już nie był.

– Zostaniemy dobrymi przyjaciółmi – zapewnił Key, dopijając wino.

Rozdział 9

Pan nieśmiertelności przywitał poranek w swoim gabinecie.

Nie w tym pokazowe skromnym, w którym przekonywał Keya do pracy z Arturem, ani też w tym demonstracyjnie odsłoniętym na dachu wieży.

Ten gabinet, ukryty pod ziemią, przypominał mostek średniej wielkości krążownika. Curtis rzeczywiście skopiował surowy styl wojskowych statków, na których spędził młodość. Kiedyś marzył, by dowodzić takim statkiem. Bardzo dawno, ponad dwieście lat temu...

Jego zajęcie mogło wydawać się co najmniej dziwne. Odchylony na oparcie fotela, z głową przechyloną na bok, Curtis van Curtis rysował. Świetlne pióro ślizgało się po ekranie, zostawiając cieniutkie różnokolorowe linie. Coś zaczynało się z nich układać, coś niejasno znajomego, przypominającego ludzką twarz, oglądaną z dziwnej perspektywy. Jakby mrówka próbowała spojrzeć na człowieka przez różnobarwny pryzmat...

– O, właśnie – sapnął Curtis opuszczając pióro. Spojrzał na boczny ekran. Tam, na żółtym piasku, stali Key i Bullrat. Jeszcze minutę temu walczyli w sparingu. Teraz Key zdejmował pancerz i bardzo starannie, segment po segmencie układał go na piasku. Obok jego postaci pulsowała czerwona kropka – mentalny czujnik świadczący o silnym napięciu emocjonalnym.

– Powiększenie, dać głos! – Curtis podjechał do ekranu razem z fotelem. Kamery już rozciągnęły twarz Keya na cały ekran, rozszyfrowując w ten sposób niejasne polecenie pana. – Co ty chcesz zrobić, chłopcze? – zapytał sam siebie Curtis.

– Dlaczego poszczuliście nas na siebie z Sakrą? – spytał Key, zrzucając ostatni segment pancerza. Bullrat bacznie obserwował jego ruchy. Żrenice w kształcie rombu zwęziły się w podłużne szczeliny.

– Taktyka. Przejeliśmy waszą metodę: dziel i rządź.

– Nie zdążyliście jej przejąć.

– Tak.

Równie niespiesznie jak pancerz Key zdjął białą bluzę. Przeciągnął się, pod skórą zagrały mięśnie.

– Bullrat, powiedziałeś, że byłeś konsultantem Sakrasów podczas ich wojny z Trzema Planetami. Niewykluczone, że nawet brałeś udział w desantach.

– Niewykluczone. – Bullrat lekko rozcapierzył dłonie. W lewej brak było palca wskazującego, co trochę zbliżało jej rozmiar do ludzkiej.

– Pochodzę z Trzech Planet, Bullrat. Z Trzech Sióstr, jak je niegdyś nazywano. To były kłótniwe siostry, ale nie łąszczyły się na obce planety. Byliśmy na granicy sektora i atak Sakry uderzył w nas.

– Zabawne – rzekł instruktor.

– Było ich zbyt wielu, zmiotli naszą obronę. Krążowniki z Terry nie zdążyły przybyć na czas. Dzieci i część kobiet wsadzono na statki towarowe – mieliśmy dobrą flotę handlową. Większość dotarła na Altos. Dwieście milionów rezydentów, Bullrat! Nienawidzili nas na Altosie, nie przyjęły nas też inne planety. Nasi ojcowie zginęli w walkach z żabami... niezbyt wesola śmierć. Trzy Siostry wypalono mezonowymi bombami. Nie było innego wyjścia. Teraz nie są nikomu potrzebne.

– Strefa buforowa.

Key w milczeniu przesunął dłonią po podbródku, jakby oceniał dokładność ogolenia, – Wiesz, płakałem, gdy ostatnia planeta Sakry znikła w ogniu.

Plakałem, bo już nie mogłem się zemścić. Za wolno rosłem...

– Mam zakaz zabicia cię – przypomniał Bullrat. – Jesteś potrzebny Curtisowi van Curtisowi.

– Wiem. Bullrat, twoja matka żarła trawę i myła się gorącą wodą. Twój ojciec zamykał szereg.

Twoje dzieci ryją rowy na polach.

Z palców Bullrata wysunęły się pazury. Głos stał się cienki jak śpiew fletu.

– Ryzykujesz, człowieku. Nawet dług nie stoi ponad honorem...

– Kuzuar buul-rati, k, haa! K, haa, buli!

– Hazr, khomo! – zaśpiewał falsetem Bullrat.

Curtis van Curtis zerwał się z fotela. Dwoma skokami znalazł się na środku gabinetu, w miejscu, gdzie w powietrzu mieniło się tęczowe migotanie.

– Awaria, poligon – zawołał wyciągając z kieszeni spodni malutki, przypominający zabawkę pistolet. Curtis wiedział, że nie zdąży. I rzeczywiście nie zdążył.

Key siedział obok trupa Bullrata. Po śmierci obcy stracił siłę i majestat – z odległości pięciu metrów można go było pomylić ze zdechłą krową północnych gatunków. Ciało skurczyło się, przyjmując typową pozę czworonoga. Morda z wyszczerzoną paszczą była wciśnięta w piasek. Tylko dwie głębokie bruzdy pod nieruchomymi nogami nie pasowały do spokojnego obrazu.

– Co się stało, chłopcze? – zapytał Curtis, chowając pistolet.

Key odwrócił się lekko w jego stronę. Do tej pory wydawało się, że nie odniósł żadnych obrażeń, dopiero teraz Curtis zauważył długą, lecz niegłęboką ranę na brzuchu.

– Wydaje mi się, że nagle zatrzymanie akcji serca – powiedział miękko Key. – Na szczęście zdążył nauczyć mnie wszystkiego, co uważał za stosowne i co sam wiedział.

Curtis nachylił się, uniósł głowę Bullrata, zajrzał w martwą twarz.

Wydawała się nieco zdziwiona.

– Spontaniczne, mówisz? Biedny Aggasz szczerze wierzył, że nieuzbrojony człowiek może zabić Bullrata w jeden jedyny sposób.

Nie miałem serca wyprowadzać go z błędu. Weź, Key.

Rzucił mu cienką szarą marynarkę. Key w milczeniu przycisnął materiał do brzucha.

– Skąd wiedziałeś o punktach szokowych?

– Miałem przyjaciela, który przeszedł Wielką Wojnę.

– Jasne. Aggasz był cennym współpracownikiem.

– A więc godzien jest ceremonialnego pogrzebu.

– Bullrat, który zginął z rąk człowieka? Żartujesz sobie, Key.

– Czy ktoś tu mówił o ręce człowieka? Albo o zabójstwie?

– Chyba nie... Wiesz przynajmniej, co mu powiedziałaś?

Key pokręcił głową.

– Pozwoliłeś mu polizać swoje ekskrementy.

– Zaledwie – powiedział Key wstając z piasku. Marynarka Curtisa rzucona na trupa, przypadkiem upadła na twarz Aggasza. Keyowi bezwiednie udało się poniżyć Bullrata nawet po śmierci.

Rozdział 10

Bez względu na to, co właściwie Curtis sądził o całym zajściu, nie wracał już do tego tematu. Dwóch lekarzy, z wyglądu młodych, ale dziwnie dobrze ze sobą współpracujących, sklepiło ranę Keya i wkłuło mu kilka ampulek nieznanymi preparatami.

Cienka warstwa aerozolu dopełniła dzieła.

– Pociągnie dwa dni? – zainteresował się Curtis.

– Choćby i dwa lata – wzruszył ramionami jeden z lekarzy. Niedbały ton upewnił Keya, że „chłopaki” niedawno przeszli aTan.

Teraz Key odpoczywał w swoim pokoju. Za oknami zapadał zmrok – rytm życia był związany z rytmem życia wieży.

Silikoid pojawił się w momencie, gdy Key zapadł w drzemkę.

– W pojedynkach z organicznymi formami życia Bullraty czasem używały zatrutych pazurów – oznajmił zamiast powitania.

– Nie miał czasu nanieść trucizny, a lekarze wkłuli mi jakieś toksynoprotektory. Mimo wszystko dziękuję.

– Pozwolisz? – Silikoid podpłynął do kanapy i zanim Key zdążył się zdziwić, wygiął ciało i usiadł obok. Key lekko się odsunął – od kamiennego ciała bił żar. – Pomilczmy chwilę o życiu, które odeszło.

Key milczał dwie minuty. Potem zapytał:

– Trudno ci ustawiać ekran?

– W małej odległości łatwo. Niestety, nie możesz się bardziej zbliżyć... gotowe. Jesteśmy chronieni przed dowolnym podsłuchem.

– Nawet tym, który praktykuje Artur Curtis?

– Tak.

– Jesteś pewien, że mam dla ciebie wiadomość?

– Tak. Mów.

– Bullraty znalazły wasz słaby punkt, głazie. Te struktury, które generują twoje pole siłowe, są niestabilne. Zabawne stwierdzenie dla rasy, która ma fioła na punkcie stabilności i równowagi sił, prawda? Dźwięk określonej częstotliwości i mocy wchodzi z nimi w rezonans, potem wystarczy już tylko słabe pchnięcie, żebyś zmienił się w nieruchomy, bezbronny, lecz nadal myślący kamień.

– Jaki to dźwięk?

– Nie potrafię wyartykułować. Musiałbym mieć gardło Bullrata.

– Możliwe, że kłamiesz.

– Możliwe.

– Dlaczego odkryłeś mi tę tajemnicę?

– Ludzie właściwie z wami nie walczyli. Żyjecie na planetach, na których my z własnej woli nie postawimy stopy. Imperium Ludzi ma swoje interesy, Podstawa Silikoidów – swoje. Brak punktów styczności. A gdyby nawet zaczęła się wojna, nie pognamy przeciw wam tłumy śpiewaków-kastratów. Pistolet laserowy zrównuje nasze szanse, blaster fuzyjny daje sto punktów przewagi. Trzeba być Bullratem ze świrem na punkcie siły, żeby szukać przewagi w walce wręcz z Silikoidami, – To nas

zawsze przygnębiało, Key – zaszumiał Silikoid. – Nie lubimy niejasnych sytuacji.

– Tak sobie właśnie pomyślałem. A co ty mi powiesz, Silikoidzie?

– Curtis van Curtis kupił od Psylończyków prototyp aTanu za dwa i pół tysiąca kredytów.

– No, w tamtych czasach ta cena...

– Była również zdumiewająco niska. Półtora roku później Psylończycy zakapsułowali swoją strefę kosmosu. To wszystko. Powiedziałem, co mogłem. Mój dług wobec Curtisa będzie istniał jeszcze bardzo długo.

Powietrze zakołysało się, ekran ochronny znikł. Silikoid uniósł się w powietrze. Kanapa lekko zapachniała przypaloną skórą, – Złożyliśmy daninę ciszy temu, który odszedł. Tak czystej ciszy, na jaką zasłużył. A teraz, Key, czeka na ciebie Artur van Curtis.

Musicie pracować.

Wchodząc do pokoju Artura, Key przypomniał sobie swój przytułek. Blok G, z wielopoziomową sypialnią, szkolnym i rekreacyjnym modułem, zmieściłby się cały w jednym tylko pokoju Curtisa juniora. Na przykład w tej owalnej sali, obwieszczonej ciemnymi gobelinami. Key nie miał kompleksów, Altos dał mu, co mógł – życie. Po prostu przypomniał sobie dzieciństwo.

– Witaj, tatusiu. – Artur siedział na podłodze w pozycji „lotosu”, z zamkniętymi oczami i rękami złożonymi na kolanach.

– Mylisz się, to ja – odparł Key, siadając obok.

– Wiem, że to ty. Ale chyba musimy zacząć wchodzić w legendę?

– Słusznie. Witaj, synku.

Artur, nie otwierając oczu, skrzywił się:

– Nie sądzę, żebyś mówił do mnie „synku”. Już prędzej „mały”.

– Wątpię.

– Dobra, pomyślimy... Jesteś nudny, bardzo z siebie zadowolony, żałujesz każdego kredytu, starasz się wychować mnie na godnego handlowca. Mówisz do mnie „synu”, albo zwracasz się po imieniu.

– Dobra, synu. Twoje imię ma jakiś skrót?

– Co? – Artur otworzył jedno oko.

– Gdy ożyjemy, będę musiał okazywać rozmaite emocje. Według legendy, to nasz pierwszy aTan. Choćbym był nie wiem jak oschłym dusigroszem, nie mogę powiedzieć: „Artur, mój synu”. Jak odezwał się do ciebie ojciec, kiedy ty, no wiesz...

– Synu. – Artur uśmiechnął się i znowu zamknął oczy.

– Aha. Dobra, zdecydujemy na miejscu. Gdzie mieszkamy?

– Endoria. Mamy domek nad brzegiem oceanu...

– Piętrowy, winorośl, placyk dla flaueru...

– Statek zostawiasz w porcie państwowym, to dalej niż Endoria Plus, ale znacznie taniej...

– Przeszedłeś obowiązkowy kurs w prywatnym college’u, następnie postanowiłem sam zająć się twoim wychowaniem...

– Moja matka prowadzi sprawy finansowe kompanii „Ovald i syn” i nigdy z nami nie lata. Czasem ją zdradzasz, na Ruhii masz stałą kochankę. Udaję, że o tym nie wiem.

– Może być – Key skinął głową. – Oficjalną część znamy. Teraz pomówmy o tym, czego w instrukcji nie ma.

– Asekurant z ciebie – zauważył Artur z wyraźnym zadowoleniem.

– Oczywiście. Muszę nim być. Co najbardziej lubisz jeść?

– Galaretkę tazijańską.

– Syn drobnego kupca nie miałby okazji jej spróbować.

– Dlaczego? Woziliśmy galaretkę z Tazija na Terrę. Dla samego Curtisa van Curtisa. I zjedliśmy te dwa procent, które idą na straty przewozowe.

– Założmy. Czego nie lubisz?

– Kanapek z żółtym serem.

– Dlaczego? – stropił się Key.

– Naprawdę ich nie lubię!

Key skinął głową. Wstał, z trudem prostując zdrętwiały łokieć.

Artur nadal siedział jak skamieniały.

– Dwa pytania poza legendą. Co to za pokój?

– Sala do medytacji. Po co ci to?

– Tak sobie. Masz braci?

– O ile wiem, nie.

– Byłeś poza granicami Terry?

– To już trzecie pytanie.

– Dobrze, kontynuujmy.

Key obszedł Artura dookoła.

– Boisz się ciemności?

– Nie.

– Wysokości?

– Nie.

– Śmierci?

Artur odwrócił głowę. Ich oczy spotkały się.

– Oczywiście, że nie, tato – powiedział chłopiec lodowatym tonem.

– A mnie się boisz?

– Jak się upalisz trebem.

– W życiu nie próbowałem.

– Wszyscy kupcy palą treb. Za portierą, w kościanej szkatułce, jest paczka. Weź.

Za portierą było dużo interesujących rzeczy. Szkatułka z trebem, z dziesięć innych szkatulek, rozłożony, ale niewłączony pulpit komunikatora, uaktywniony robot ochrony, z nieprzerwanie obserwującymi Keya obiektami. Key włożył wypchaną paczkę z narkotykiem do kieszeni i wrócił do Artura.

– Często palę?

– Jak ci nie idzie w interesach. Rzadko.

– Lubię pouczające dyskusje?

– Oczywiście.

– Opowiadałem ci o różnicy pomiędzy słupkami a pręcikami?

Artur uśmiechnął się:

– Tak, gdy skończyłem dziesięć lat, zawołałeś mnie do swojego gabinetu... eee... na swój mostek i powiedziałaś: „Artur, stajesz się dużym chłopcem i powinieneś wiedzieć o pewnych stronach życia dorosłych. Gdy mężczyzna i kobieta kochają się i chcą mieć małe dzieciątko, zajmują się różnymi rzeczami...” – Naprawdę muszę być takim idiotą? – zapytał Key.

– Tak. Zawsze i we wszystkim. Chcesz, żebym zachowywał się naturalnie?

– Dobra. Teraz ty.

– Golisz się?

– Codziennie. Prócz dni, gdy się upalę trebem.

– Chrapiesz przez sen?

– Czasami.

– Zdarza się, że jesteś niechlujny, gdy myślisz, że nikt nie widzi?

– Oczywiście.

Artur przekoziołkował do tyłu i szybko wstał.

– Key, wiesz, jesteś w porządku. Napijesz się soku czy wina?

– Szklankę żółtego mrszańskiego.

– Szklankę żółtego mrszańskiego i szklankę soku pomarańczowego – powtórzył w przestrzeń Artur.

– Do diabła, żeby tak mieć więcej czasu. Zgralibyśmy się.

– Zgramy się. Nie mamy innego wyjścia. Idziemy dalej...

Rozdział 11

Keya obudzono nad ranem. Położył się o trzeciej w nocy i przebudzenia nie można było nazwać przyjemnym.

– Curtis van Curtis czeka na pana – powiedział po prostu człowiek, który po niego przyszedł. Miał pancerz siłowy z uaktywnioną ochroną i rozpiętą kaburę trzymał. Z takimi ludźmi Key wolał nie dyskutować. W milczeniu ubrał się i wyszedł z pokoju. Człowiek w pancerzu – opuszczony hełm skrywał wyraz twarzy – szedł z tyłu, dotykiem ręki wskazując kierunek. Dwa korytarze i trzy lokalne hiperprzejścia – po każdym z nich przybywał kolejny przewodnik doprowadziły go do gabinetu, którego Key nie znał. Pomieszczenie najbardziej przypominało mostek średniej wielkości krążownika ze względu na kształt i liczbę przyrządów. Curtis wyszedł im na spotkanie.

– Sytuacja uległa zmianie, Key.

– I co, wpadłem pod rynnę?

Curtis zmarszczył brwi:

– Dlaczego pan tak pomyślał? Nick, nie kazałem prowadzić Keya pod konwojem!

– Proszę o wybaczenie, van Curtis. Tylko go chroniliśmy.

Curtis objął Keya za ramiona, skinieniem zwalniając ochronę:

– Wszyscy są zdenerwowani. Zatrzymano szpiega... to jeden z moich pracowników. Możliwe, że zdążył coś przekazać, nie wiem.

Musieliśmy go zabić.

– Niech go pan przesłucha.

– Nie żyje.

– Myślałem, że wszyscy pańscy ludzie mają aTan.

– Oczywiście. Ale on nie był człowiekiem.

– Przykra sprawa – przyznał Key.

– Operacja zacznie się natychmiast. Porównaliście legendy?

– Jakby pan nie wiedział, Curtis! – nie wytrzymał Key.

– Ciszej, chłopcze, ciszej – spojrzenie Curtisa błyskawicznie straciło serdeczność. – Najałem cię do bardzo ważnej operacji i oczekuję dobrej pracy. Dostarczysz mojego syna na Graal. Całego i zdrowego. Ani jeden włos nie spadnie mu z głowy. W najgorszym wypadku sam go zabijesz. I zapamiętaj, Key: nieśmiertelność! Wieczna przyjemność lub wieczne męki. Zapamiętaj!

– Tato?

Odwrócili się obaj – Key natychmiast wszedł w rolę. Artur van Curtis nie był już synem bożym. Przed nimi stał chłopiec ubrany w stare dzinsy, przydużą kraciastą koszulę, porządnie znoszone adidasy. Na koszuli błyszczało kilkanaście znaczków z herbami planet – odwieczna dziecięca moda. Key przypomniał sobie, że gdy rok temu pozwolił sobie na wycieczkę „Gwiazdą Południa”, młody steward po każdej planecie przyczepiał sobie taki znaczek.

– Jesteś pewien Keya, synu?

– W sumie tak... – Artur zamilkł. – Tak, ojciec. Będzie się starał.

Gówniarz, pomyślał spokojnie Key. Zrobił krok w stronę Artura i zmierzwił mu włosy.

– Pora, synu?

– Pora, tato.

– Bardzo ładnie – powiedział kwaśno Curtis. – Brzmi przekonująco.

– Wszystko będzie dobrze, panie van Curtis – obiecał Artur, biorąc Keya za rękę.

– Ja, Artur i Key do imitatora. – Van Curtis nawet nie starał się ukryć rozdrażnienia w głosie.

Świat wokół mignął, zmienił się. Wypełnioną pulpitemi salę zastąpił malutki pusty pokój. Ściany z grubego kamienia i jedne jedyne stalowe drzwi.

– Naprzód! – Curtis pchnął Keya w stronę drzwi. – Nie wiem, ile będziecie mieć czasu. Ale wszystko, co się wydarzy, będzie całkiem realne.

Drzwi otworzyły się, gdy tylko Key ich dotknął. Znalazł się w służbie – maleńkiej cylindrycznej kabince z dwoma lukami. Tak...

Prawy prowadzi do ładowni i maszynowni, lewy do modułu mieszkalnego. Malutki statek towarowy, na sto, sto pięćdziesiąt ton ładunku. Jeden z setek tysięcy snujących się po galaktyce. Dwa skafandry w pokrowcach, zdjęcie przyklejone do ściany – sympatyczna kobieta grożąca palcem i zamaszty napis w poprzek fotografii: „Wychodząc, sprawdźcie, czy jest tam planeta!” Taak. Pozdrowienia od troskliwej pani Ovald dla nieposłusznego syna i nieobyczajnego męża. Stary van Curtis pracował solidnie.

Key zerknął na otwarty „zewnątrzny” luk. Curtis van Curtis mówił coś z ręką na ramieniu syna. Do Keya dobiegł fragment zdania:

–...i pamiętaj, zawsze jestem z tobą. Jeśli sytuacja wymknie się spod kontroli, wracaj. Kocham cię, Arturze, i wierzę w twoje siły. Nie spiesz się. Mamy przed sobą całą wieczność...

Wieczne męczarnie.

Key odwrócił się i wygładził pokrowce ze skafandrami. Mniejszy skafander był prawie nowy, duży poważnie wysłużony, ale w bardzo dobrym stanie.

Luk zamknął się z młaśnięciem.

– Tak sobie myślę, synu, czy nie wykosztować się na nowy skafander? – zapytał Key, nie odwracając się. – Jeśli rejs będzie udany.

– Oczywiście, tato.

Oczy Artura były suche, ale Key widział wiele łez, które płyną w środku.

– Coś tak posmutniał, Artur? Czym się zajmujemy?

– Może położymy się spać? Ładunek sprawdziliśmy...

Key skinął głową. Wielu debiutantów myśli, że śmierć we śnie jest najłżejsza. Nieprawda. Zazwyczaj zdążysz się obudzić.

Spał, a raczej dosypiał spokojnie. Siedem śmierci to wystarczające doświadczenie. Poza tym Key był przekonany, że van Curtis nie pozwoli im zginąć w tak trywialny sposób.

Artur chyba tego nie rozumiał.

– Tato, wstawaj...

Przeklinając wszystko na świecie, Key z trudem otworzył oczy.

Nie ma nic bardziej męczącego niż przerywany sen, zwłaszcza gdy spodziewasz się śmierci. Ale Artur, jak wszystkie dzieci, spieszył się do życia. A w jego rozumieniu życia śmierć wpasowywała się całkiem naturalnie.

– Znowu budzisz mnie z powodu jakiegoś głupstwa – wymamrotał. – Co się stało?

Moduł mieszkalny był malutki: dwa fotele pilotażowe w podkowie pulpitu i rozkładane łóżka przy bocznych ścianach. Przednia ściana w kształcie ekranu, idiotyczna maniera, zdaniem Keya. Patrzenie przez okno na „gwiazdy” było głupotą, a sterowanie według nich podczas lądowania – normalnym samobójstwem.

– Coś się dzieje z silnikami – odparł Artur tonem winowajcy.

Key wstał, przyłapując się na nieudawanym pośpiechu ruchów.

Zaczynał wierzyć w „lot” stojącego na ziemi „statku”. To dobrze.

Z silnikami rzeczywiście coś „się działo”. Na kontrolnym ekraniku interfazowego napędu stojącego statku – jakoby stojącego chaotycznie skakały cyfry mocy pola. Alarmowe światelko autopilota stawało się to czerwone, to zielone. Key postukał palcem w monitor i, o dziwo, cyfry posłusznie zamarły, wskazując normalny stan.

– Diabli nadali – powiedział zdumiony Key.

– Może postawimy statek w dryf? – zapytał z tyłu Artur.

– I stracimy dobę na wyliczanie współrzędnych? Już lepiej od razu wezwijmy służbę pomocy i patrol! – oświadczył sarkastycznie Key.

Moc pola znowu się zmieniła, osiągając najwyższą wartość. Statkiem lekko wstrząsnęło. Artur uśmiechnął się żałośnie.

Czy on się boi?

– Tak... albo defekt generatora, albo przekłamanie na bloku kontroli – Key odwrócił się. Szafka środków technicznych... detektory... zapasowe schematy... – Artur, wymień centralny procesor w kontrolnej tarczy napędu. Będę trzymał kontrolę z pulpitu.

Artur nie drgnął.

Boi się?

– Co z tobą, synu?! – wrzasnął Key.

– Tak, tato. – Artur wyjął z rąk Keya plastikowe pudełko z procesorami i poszedł w stronę śluzy.

– Przestań się trząść, przecież wykupiliśmy aTan! – krzyknął za nim Key.

Więc to jest ta obiecana przez Curtisa katastrofa? Humanitarnie.

Błyskawiczny wybuch, ale czy uszkodzony interfazowiec zdolny jest spowodować zniszczenie całego statku?

Coś ty wymyślił, Curtisie van Curtis?

Artur przebiegł przez śluzę, otworzył drzwi do maszynowni.

Cyfry mocy spadły do zera. Syrena zawyła unisono z odgłosem wybuchu.

Keya rzuciło twarzą na pulpit. Obok coś kilka razy trzasnęło i zagwizdał uciekający w pustkę dźwięk.

Sukinsyn, pomyślał bez złości Key, podnosząc głowę. Z rozciętego czoła ciekła krew. Zakłuła wątroba – pozdrowienia od Bullrata.

Zaczęło zatykać uszy.

Potem zobaczył Artura – to, co z niego zostało. Krwawe strzępy ubrania i coś jeszcze. Nie miał ochoty się przyglądać. Dla syna Curtis senior wybrał szybką śmierć.

A dla niego – realistyczną.

Jestem pilotem, nie wierzę w aTan, powinienem walczyć...

Na uginających się nogach Key ruszył w stronę śluzy. Grawitacja jeszcze była. Musi spróbować – nadaremnie – włożyć skafander...

Czegoś takiego Key nie spodziewał się nawet po Curtisie. Śluza była rozerwana na pół, w postrzępionej dziurze dyszał kosmos. Czerń i gwiazdy, i opływowe ciało ładowni powoli odpływające w dal. Po konsoli napędowej pląsały niebieskie ogniki.

Sukinsyn, sukinsyn, sukinsyn, pomyślał bezradnie Key, czując, jak zaczynają mu nabrzmiwać gałki oczne. Po chwili krwawa zasłona zakryła świat.

CZEŚĆ DRUGA
OCHRONIARZ

Rozdział 1

W oddziale aTanu na Incediosie dyżur miał Władimir Czeng.

Był tu najmłodszy – nie skończył trzydziestki. Mało tego, jeszcze ani razu nie umierał.

Nadeszła noc – pora na bal śmierci. Mijała trzecia godzina dyżuru. Starcy umierali od chorób, młodzi od ran, neurotycy wyrównywali porachunki z życiem, jakby zapomnieli o wykupionej nieśmiertelności. Na każdej planecie był to czas najbardziej intensywnej pracy. Ale Incedios był biedną planetą. A w ostatnich miesiącach wielu posiadaczy aTanu wyczerpało swoją nieśmiertelność.

– Sygnał – powiedział Czeng, naciskając przycisk ogólnej gotowości. Na ekranie przed nim wyświetliły się linijki tekstu. Neuronowa siatka przekazywała informację błyskawicznie, ale jej rozszyfrowanie wymagało czasu. Towarzyszka Władimira, Anna Horn, oderwała się od czasopisma.

– Gertruda Khay... człowiek... kobieta...

– Naprawdę? – zaciekawiła się Horn.

– Obywatelstwo: Incedios. Realne lata: czterdzieści dwa, matryca zdjęta w wieku czterdziestu jeden, ożywiona raz.... Odmowa, aTan nie opłacony.

Naciśnięciem guzika Czeng wymazał na wpół rozszyfrowany sygnał.

– Przygotuj raport – powiedziała Horn, znowu biorąc się za czasopismo.

– Właśnie to robię – palce Władimira zatańczyły nad klawiaturą. – Smutne, prawda? Był człowiek, nie ma człowieka.

– Wielu już nie ma. – Annę takie rozmowy nawet już przestały nużyć. Jej ciało kusiło dojrzałością kobiety, która niedawno przekroczyła trzydziestkę. Ale Anna przeżyła niemal dziewięćdziesiąt lat i teraz przyjmowała filozofowanie nowicjuszy jak lekki, nieunikniony szum.

– Po takich dyżurach człowiek zaczyna, inaczej odbierać życie, miłość, piękno... – Władimir zerknął w bok. Anna westchnęła i założyła nogę na nogę. Niski fotel demonstrował ją z najbardziej ponętnej perspektywy. Niestety, Czeng jeszcze nie zrozumiał, że stosunek Anny do niego nawet nie jest macierzyński. Jej najstarszy wnuk mógł być ojcem Władimira, poza tym w ostatnich latach wołała seks z kobietami. – Wiesz, dla mnie nasza praca to nie tylko ulgowy aTan i niezła kasa – ciągnął Czeng, zachęcony milczeniem Horn. – Człowiek zaczyna inaczej pojmować życie, i zdobyłem przyjaciół, poznałem ciebie...

Horn odłożyła czasopismo. Pomyślała, że jedyny sposób uwolnienia się od chłopaka to oddać mu się. Może to będzie mniej nudne.

Ale Czeng nie miał szczęścia.

– Masz sygnał – oznajmiła Anna, wstając z fotela. – A teraz drugi...

Władimir doskoczył do ekranu. Praca ciągle jeszcze wydawała mu się interesująca i lekkie rozdrażnienie natychmiast minęło.

– Artur Ovald... człowiek... mężczyzna... obywatelstwo Endoria. Endoria!

– Ale go zaniósł! – Anna usiadła przy pulpicie obok. – Pismak pewnie, dziennikarz.

– Wiele sępów się tu zleciało – przyznał ochoczo Czeng. – Realny wiek dwanaście lat...

– Dzieciak – Horn pozwoliła sobie na lekki uśmiech.

– Matryca zdjęta... ha! W wieku dwunastu... ożywień nie było, aTan opłacony.

– Farciarz – Horn aż cmoknęła. – Może uciąć mu kosmyk włosów? Na szczęście?

Czeng popisał się pieprznym dowcipem. Horn skrzywiła się. Do Władimira nie pasowało mówienie świństw, tym bardziej o dzieciach.

– Drugi sygnał – zatrajkotał Czeng, czując, że jego szansę na nocny seks gwałtownie spadają. – Key Ovald... człowiek, mężczyzna, obywatelstwo Endoria. Zakładamy się o filiżankę kawy, że to brat?

– Stawiasz kawę. Realny wiek trzydzieści pięć. Matryca zdjęta w wieku trzydziestu pięciu. Ożywień nie było, a Tan opłacony. Najwidoczniej ich statek szlag trafił. To jego tatuś, Czeng.

– Niekoniecznie – odezwał się Władimir bez specjalnego przekonania. – Anno, zajmiesz się reanimatorami?

Horn spojrzała na niego. Miała ochotę palnąć mówkę na temat niedbałych pracowników, ryzykujących utratę ulgowego aTanu i niezłej kasy, ale nic nie powiedziała. Władimir był taki młody i taki zadziornie głupi...

– Ciekawość zgubiła kota, Wład – powiedziała, wstając. Później, idąc po korytarzu, do bloku molekularnych replikatorów, Anna uprzytomniła sobie, że przez to stadium przechodzili wszyscy. Oglądanie śmierci jest bardzo interesujące. Do pierwszego tysiąca. Potem zaczynasz rozumieć, że wszystkie są do siebie podobne...

Czeng został sam i wyjął z kieszeni maleńki czip. Chwilę później podłączył go do centralnego komputera. Pozostało tylko zdecydować, od kogo zacząć.

Technologia, w każdym razie ta, która była mu dostępna, pozwalała nagrać dane audiowizualnego analizatora zmarłego. Wychodził film – nieco dziwny, ale ciekawy. Sumienie nie dręczyło Władimira nigdy. W końcu to on ożywił tych ludzi! Dlaczego nie mieliby się z nim podzielić okrucami swoich wspomnień?

– Zaczniemy od tatuśka – zdecydował.

Wbrew poglądom Curtisa, „patrzałki” – istniejący od dawna, niewinny termin – były wśród jego pracowników szeroko praktykowane. I czasami interesowały ich nie tylko ostatnie minuty życia klientów.

Czeng wydzielił w ogólnej masie informacji trzy ostatnie dni życia Keya Ovalda. Potem włączył monitor. Na chybił trafił.

Obraz był bezładny, jak zawsze. Niektóre detale – bardzo wyraziste, kontrastowe, pozostałe statyczne i rozmyte. Kaprysy pamięci. Key Ovald szedł z kimś przez las. Nagle wyszedł na brzeg morza. Potem znalazł się przy gęstym żywopłocie. Zróznicowana planeta ta Endoria... towarzysz Keya był poza polem widzenia, rozmowy praktycznie nie prowadzili, Władimir przełączył się na ostatnią dobę. O pojedynku z Bullratem oraz wielu innych wydarzeniach miał się nigdy nie dowiedzieć.

– Położymy się spać? Ładunek sprawdziliśmy – powiedział ciemnowłosy chłopiec, patrząc Keyowi w twarz. Syn oczywiście. Na myśl o długich godzinach wypełnionych inwentaryzacją pudeł i kontenerów Czeng zapragnął wyłączyć monitor. Jednak sumiennie sprawdził, czy mężczyzna i chłopiec położyli się do oddzielnych łóżek, po czym, gryząc paznokiec, włączył odtwarzanie ostatnich minut.

Tu jego ciekawość otrzymała bogatą pożywkę. Reżyserzy Curtisa byliby zadowoleni: Władimir Czeng oglądał widowisko kosmicznej katastrofy trzy razy pod rząd. Na bis dwukrotnie obejrzał te same wydarzenia oczami Artura. Jednak ten zapis był krótszy i rzecz jasna, znacznie mniej

interesujący.

Władimir podumał chwilę nad grozą kosmosu i postanowił zachować taśmę z trzema ostatnimi dniami Keya Ovalda. Piękne widowisko – śmierć w pustce. Poza tym warto jeszcze raz popatrzeć na Endorię. Pamięci Artura nie kopiował.

Ciekawość zgubiła nie tylko kota. Władimir Czeng pewnym krokiem zmierzał ku temu samemu losowi.

Rozdział 2

Key zmartwychwstał z wyraźną myślą, że tej śmierci Curtisowi nie wybaczy. Nie chodziło o ból – algopistolet zabijał bardziej boleśnie. Ale ta śmierć była wstrętna. Wstrętna – i wspaniale rozegrana.

– Imię? – zapytał miękki kobiecy głos.

To mój pierwszy aTan...

– Co? Gdzie ja jestem? – Key uniósł się lekko na dysku replikatora, takim znajomym i krzepiąco twardym. Tablica na ścinanie oznajmiła: „Incedios”.

– Wszystko w porządku, proszę pana. Żyje pan. Pańskie imię?

– Key... Key Ovald. Gdzie jestem?

– Obywatelstwo?

– Endoria. Jestem obywatelem Endorii i żądam... to aTan?

– Tak. Został pan uratowany. Otrzymał pan nowe życie. Proszę podać swój kod.

To była bardzo cierpliwa kobieta. – Stara kobieta z młodą twarzą. Key podał kod. Zmieszał się, gdy zauważył, że jest nagi. Naciągnął bezpłatne aTanowskie ubranie, nadające się najwyżej do mycia podłóg.

– Boże, mój syn! On zginął!

– Artur Ovald jest tutaj, obok – powiedziała uspokajająco kobieta. – Obu was przywrócono do życia.

Key rozjaśnił się w uśmiechu i półszepem powiedział:

– ATan okazał się korzystnym zakupem, prawda?

– Mamy nadzieję, że będziemy pańskim stałym partnerem – radość na twarzy kobiety wyglądała prawie szczerze. Zza pleców Keya po cichu usunął się w kąt dyżurny lekarz, kryjąc w garści strzykawkę z trunkwilizatorem.

– Dobrze się pan trzyma jak na debiutanta – zauważyła kobieta.

Osiół...

– Nas, Ovaldów, niełatwo przestraszyć – zapewnił ją Key. – Proszę pani, czy mogę zobaczyć syna?

Zawahała się.

– Zgodnie z zasadami... ale co ja mówię... proszę iść za mną.

– Gdzie się znaleźliśmy?

– Incedios.

– Coś słyszałem...

– Tak, dużo się teraz mówi o tej planecie. Tutaj, panie Ovald.

Proszę wejść.

Artur siedział na brzegu replikatora. Bezpłatne spodnie już założył, teraz wkładał koszulkę. Sądząc po spowolnionych ruchach, tutaj lekarz nie został bez pracy.

Ciekawe, czy grał, czy naprawdę spanikował?

– Stary Curtis nie kłamał w swoich reklamach! – wrzasnął Key.

– Artur, żyjemy!

Artur Curtis podniósł wzrok. Nie stał się młodszy – przynajmniej nie na tyle, żeby było to odczuwalne. Ale podobieństwo do chłopca, który zabił Keya na Cailisie, lekko się zatarło.

– Ojcie... – powiedział urywanym głosem.

– Chłopcze... – Key chwycił Artura na rękę.

Curtis junior kompletnie nieoczekiwanie uznał za stosowne się rozplakać.

Nawet stojąc z dzieckiem na rękach, Key nadal obserwował obecnych spod przymkniętych powiek. W sali reanimacyjnej zgromadziło się z dziesięć osób, chyba cały dyżurny personel. Dwie kobiety w białych kombinezonach – operatorki replikatorów, dwóch mężczyzn w ciemnozielonych ubraniach – lekarze. Jakaś młoda istota nieokreślonej płci, smągła i złotowłosa, raczej dziewczyna. Dwóch krzepkich mężczyzn – ochrona.

Pracownicy aTanu przyszli po moralną satysfakcję.

Tak, z boku musiało to wyglądać wzruszająco. Zarozumiały prowincjonalny kupiec i jego nastoletni syn. Ledwie zdążyli podpisać umowę o nieśmiertelności, a już spotkała ich katastrofa.

Hip hip, hura!

Kto śmie rzucać oszczerstwa na aTan? Prości ludzie, podpora Imperium, powstają z prochu do nowego życia! Tylko najbardziej niebezpieczni przestępcy pozbawieni są prawa do aTanu. Pracuj na nieśmiertelność, pracuj na siebie, pracuj na Curtisa van Curtisa!

aTan dostępny jest jedynie trzem rasom w galaktyce i tylko ludzie nie wprowadzili ograniczeń na nieśmiertelność. Płać – i żyj...

Nagle, na krótkie nieuchwytne mgnienie, Key Altos zobaczył siebie oczami aTanowców. Zobaczył człowieka, który miał szczęście. Zobaczył nudnego kupca, który zmiękł na widok ożywionego syna.

Przez mgnienie Key Altos czuł się z siebie zadowolony.

Młoda istota podeszła do nich i aksamitnym głosem powiedziała:

– Jestem tanatologiem kompanii. Pozwoli pan, że złożę gratulacje z powodu pierwszego aTanu i udzielę kilku rad.

Key skinął głową. Artur nadal wisiał wczepiony w niego.

– Macie prawo do jednej doby rekreacji. Możecie skorzystać z naszego serwisu. Proszę pamiętać: w pomieszczeniach kompanii macie tymczasowy aTan. Odpocznijcie i pomyślcie o możliwości odnowienia nieśmiertelności.

Key posłusznie kiwał głową.

– Sklep i bar są na wasze usługi. Miał pan kredyt w aTanie?

– Tak, kartę... ale ona została tam!

– Proszę się nie martwić, wydamy panu nową. – Młoda istota zniżyła głos:

– Jesteśmy gotowi na... różne rzeczy, by pomóc panu pokonać stres.

Key zerknął na Artura. Tanatolog niewiadomej płci skinął głową ze zrozumieniem.

– Pozwoli pan, że podamy o was informację do gazet? To niesamowity przypadek...

– Tato, nie trzeba, mama się będzie denerwować! – powiedział Artur. Język mu się jeszcze lekko plątał.

– Tak, tak... nie trzeba – Key udał żywy niepokój.

– Jak pan sobie życzy. – Tanatolog był chodzącą uprzejmością.

Jeśli zechce pan porozmawiać, opowiedzieć o tym, co się stało, zrzucić ciężar z serca, jestem stale do pańskich usług.

– Aha... to ten interfazowiec, żeby go cholera. Tam jest ogniskujące pole, chroniące statek przed przestrzenią delta. Czy to ze starości, czy przez zakłócenia w programie, pole zaczęło skakać...

Twarzyczka tanatologa wydłużyła się.

Rozdział 3

Trzeci raz w ciągu ostatniej doby Key położył się spać. Curtis van Curtis zapewniał, że w rekreacyjnych pomieszczeniach aTanu nie ma systemów obserwacyjnych, ale Key, rozciągnięty na podłodze, przez pół godziny dziękował Jedynej Woli za przywrócone życie. Potem kilka minut wyjaśniał pociągającemu nosem Arturowi, że to, co się stało, jest cenną życiową lekcją.

Wreszcie pozwolił sobie i chłopcu się wyspać.

Sądząc po zegarku, nastał ranek, ale okna były zamknięte polem siłowym. Key poszukał wyłącznika, nie znalazł i poszedł do łazienki. Zeskrobał szczecinę jednorazową maszynką do golenia, wziął prysznic. Pogonił do łazienki Artura, który właśnie się obudził.

Przyniesiono im śniadanie: kiełbaski z puree ziemniaczanym, sałatkę, po dwa tosty, dżem w małych słoiczkach i kawę. Jedli w milczeniu – komedia się skończyła, zaczęła się praca.

– Coś tu nie gra... – powiedział Artur, dopijając kawę. Key popatrzył na niego surowo i chłopiec umilkł.

W sklepie aTanu, dwa piętra niżej, zaopatrzyli się w normalne ubranie. Uśmiechając się do siebie, Key pozwolił synowi kupić drogie dżinsy i adidasy, ale przy wyborze koszul, skarpetek i bielizny skłonił się ku tańszym wariantom. Garnitur dla siebie Key wybierał pół godziny. Nie pasowała mu cena, fason, materiał, planeta, na której go wykonano...

– Na zewnątrz jest chłodno. Deszcz. Mamy teraz jesień – zauważyła ekspedientka, która widywała już znacznie gorsze typy.

Key machnął ręką i kupił Arturowi porządną kurtkę. Sobie wybrał ciemny płaszcz i czapkę miejscowego fasonu.

Na koniec uśmiechnął się wstydliwie:

– Czasami używam trebu...

– Jest pan oficjalnie zarejestrowanym użytkownikiem narkotyków?

– Oczywiście! – oburzył się pan Ovald.

– W takim razie przysługuje panu dwudziestoprocentowa zniżka. Jaki gatunek, zielony czy czarny?

– Zielony – zdecydował Key.

Artur spochmurniał.

– Tak... no i broń... – Key skierował się do dawno upatrzonej witryny.

– Proszę wybierać w granicach żółtego sektora – uprzedziła ekspedientka. – Czerwony jest dla pracowników służb imperialnych i zawodowych ochroniarzy.

Key, który już namierzył ulubionego trzmiela, zamarł. Kompletnie zapomniał o tym szczególe.

Żółty sektor zawierał niskoenergetyczną broń, nadającą się najwyżej do obrony przed chuliganami. Stannery w dziesięciu modyfikacjach, różniące się właściwie tylko wyglądem, pistolety igłowe, niezdolne do przebicia pancerza, grawipałki, ultradźwiękowe granaty szokowe...

Artur i Key popatrzyli po sobie. To wyglądało na wpadkę. Zawodowiec mógł się posługiwać dowolnym rodzajem broni, ale miał dwa lub trzy ulubione.

– Przepraszam, do jakiego sektora należy konwój? – zapytał ostrożnie Key.

Konwój był laserowym pistoletem małej mocy. Wystrzał z niego powodował bolesne, lecz niezbyt głębokie oparzenie, pozwalające powstrzymać przeciwnika. Tego, że pistolet miał niezły zasób

energetyczny i wysoką szybkostrzelność, prawo jakoś nie przewidziało.

W trybie automatycznego ognia seria laserowych impulsów przepalała człowieka na wylot w ciągu dwóch sekund.

– Konwój? – dziewczyna zajrzała do spisu. – Żółty sektor.

Kupili dwa konwoje, magazynki, kilka granatów szokowych, pistolet igłowy dla Artura, grawipałkę dla Keya. Ekspedientki nie zdziwiła ta nieoczekiwana wojowniczość.

Przy wyjściu do miasta dogoniła ich młoda istota tanatolog:

– Przedłużacie aTan?

– Na razie nie, finanse... – Key rozłożył ręce.

– Jest pan pewien?

– Co zrobić...

– Dokumenty i broszury orientacyjne dostanie pan od ochrony – oznajmiła sucho istota. – Języki na planecie: standard, rosyjski, niemiecki, koreański. Firma aTan życzy wam szczęścia i zdrowia.

Wzięli nowiutkie dokumenty i cieniutkie szare broszurki z opisem planety. Ochrona otworzyła pancerne drzwi i Key z Arturem wyszli na korytarz – długi i ciemny, prowadzący z podziemnych pomieszczeń kompanii na powierzchnię planety. W oddali świeciło słabe słońce.

– Zrozumiałem, co było nie w porządku – odezwał się nieoczekiwanie Artur. – Śniadanie powinno się składać z miejscowych artykułów. Prócz...

– Prócz czego?

– Wypadków, gdy jest to niebezpieczne.

– Zajrzyj do broszury. – Key wyjął konwój, przesunął bezpiecznik na automatyczny ogień. – Prawie nic nie wiem o Incediosie.

– Za to ja wiem – Artur zatrzymał się. – Trzeba było zapytać mnie, tatusiu. Od trzech miesięcy trwa tu wojna domowa. Używają broni biologicznej.

Rozdział 4

Tunel wychodził na równy kamienny płaskowyż. Betonowy placyk dla flaków był pusty, niskie dekoracyjne ogrodzenie oblepione mokrymi liśćmi, otwarte drzwi budki dyspozytora powoli i bezgłośnie kołysały się na wietrze. Siąpił drobny deszczyk. Bładożółte słońce nad horyzontem prawie nie grzało. W oddali ciągnęły się równe rzędy domków. Nie wyglądały dobrze, były zapuszczone.

– Dzieńdoberek – powiedział w deszcz Key, trzymając konwój przy biodrze. – Dlaczego ci dranie nas nie uprzedzili?

– A pytałeś? – Artur naciągnął kaptur i wsunął ręce w kieszenie. – Uraziło ich, że mając kupę szmalu, nie przedłużyliśmy aTanu.

Broszury z informacjami dali, śniadaniem nakarmili. Zresztą, co by to zmieniło? Ciągle jeszcze możemy wrócić i przedłużyć umowę.

Na to właśnie liczą.

– Tylko że nam to niepotrzebne... – Key głośno wypuścił powietrze. – Niby spokój. Przeczytaj mi ostatni akapit broszury.

– Robi się, tato – odezwał się Artur, lekko błaznując. – Planetologia, ekonomia, politologia, kultura... Jest. Sytuacja operacyjna.

– Skrót – uściślił Key.

– Konflikt pomiędzy dwiema grupami ludności Wielkiej Rosji... Zajmuje cały ten ląd. Jedna strona jest za siłowym odebraniem Wysp Lazurowych, inaczej wysp Jen Shi, okupowanych od siedemnastu lat przez księstwo Segun. Druga – za kontynuacją pokojowych pertraktacji w kwestii terytorialnej. Pierwszych popiera Kaiserland, drugich, naturalnie, Segun. Wojna toczy się na całym terytorium.

Miesiąc temu obie strony zaczęły używać wirusa dum i bioterminatora. Orientacyjna liczba ofiar – cztery miliony. Prognozy niejasne, imperialne władze zachowują neutralność. W tym momencie główne walki toczą się o kontrolę nad Kitejem... to stolica.

– Możemy sobie pogratulować. – Key wyciągnął ze swojej broszury mapę i rozłożył. – Jesteśmy tuż obok. Trzydzieści kilometrów od miasta.

– A kosmoport Imperium?

– Tyle samo od nas w drugą stronę.

– Aha...

Wymienili spojrzenia i Key poczuł przez chwilę sympatię do Curtisa juniora. Chłopak nie był najgorszym z jego klientów. Połowa dorosłych mężczyzn klełaby teraz wszystko w żywy kamień i żądała zagwarantowania i stworzenia bezpieczeństwa.

– To jak pójdziemy? Po prostej czy po łuku?

– Nie mam pojęcia. – Key znowu się obejrzał. – Kitej jest gdzieś tam... ile będziemy szli po łuku?

– Dziewięćdziesiąt cztery kilometry – odparł po chwili milczenia Artur.

– Matematyk... liczymy, że sto. Plus połowa na bezdroża. – Key wsunął pistolet do kieszeni płaszczka i odchylił głowę. Powietrze pachniało tylko deszczem i starymi liśćmi, zresztą wirus dum nie miał zapachu.

– I tak bezpieczniej ominąć miasto – zaczął Artur.

– Oczywiście. Droga zajmie minimum trzy dni. Jedzenia nie mamy. Jesteś zaszczepiony przeciwko wirusowi dum?

– Pytanie!

– Ja też się szczepiłem. – Key przerwał. – Ale nie w tym ciele.

Artur wzruszył ramionami – to twój problem – i zapytał:

– To jak pójdziemy? Po łuku?

– Jak poprowadzą... Na ziemię!

Curtis junior upadł tak żwawo, jakby ktoś mu podciął nogi. Key przykląkł obok niego na jedno kolano, wyrwał pistolet i zamarł.

Przez minutę Artur leżał nieruchomo. Potem odwrócił upačkaną błotem twarz i popatrzył na Keya.

– Zdawało mi się – oznajmił Key, nie opuszczając pistoletu.

– Ty cholerny durniu... – urywanym ze złości głosem zaczął Artur.

– Nie, nie zdawało – powiedział Key z ulgą. Wachlarz fioletowych rozbłysków konwoja przeleciał nad plecami Curtisa juniora, zmuszając go do ponownego przywarcia do ziemi. W chwilę potem na przemian turlali się i pełzli, a za nimi soczyście pluskały po kałużach kule.

W końcu Key wepchnął Artura do betonowego rowu na ścieki, opasującego pole startowe, skoczył w ślad za nim i zachichotał.

– Co z tobą? – spytał Artur, unosząc się na łokciach. Leżał w mętnej stojącej wodzie, przemoknięty do nitki, dygoczący z zimna. Jeszcze mu tylko brakowało szalonego ochroniarza.

Key, ciągle się śmiejąc, przestawił pistolet na pojedynczy ogień i wyjaśnił:

– Było jasne, że tu jest zasadzka. Pomyślałem, że jeśli trochę postoiemy, to oni nie wytrzymają, zaczną podejście. Element zaskoczenia utracony.

– A ja myślałem, że wszystkich zabięś.

– Coś ty. Nikogo nie zabiłem. Kilka oparzeń.

Key zdjął czapkę, włożył Arturowi na głowę i odpętlzył rowem na kilka metrów. Odwrócił się do chłopca i zrobił dziwny gest: machnął dłonią w górę i szybko ją opuścił.

Artur zrozumiał go jednoznacznie. Przekręcił się na brzuch, stanął na czworakach i na ułamek sekundy wysunął się z rowu.

Zacmokały kule. W tym samym momencie, obrzucając Artura wściekłym spojrzeniem, zerwał się Key. Jego pistolet dwa razy plunął ogniem i przez wystrzały dobiegły czyjeś krzyki. Zanim strzelcy zmienili cel, Key już znikł w betonowym rowie. Podczołgał się do Artura:

– Co ty wyrabiasz, chłopcze?

– Przecież...

– Prosiłem cię, żebyś włożył czapkę na lufę pistoletu albo na rękę i podniósł. Zapamiętaj: nigdy nie zażadam, żebyś ryzykował życie. Od tego jestem ja. Rozumiesz?

– Zrozumiem – obiecał Artur, ciężko dysząc.

Key w milczeniu nasunął mu czapkę na oczy i odwrócił się. Artur nadal go widział – przez równiutkie dziury po kulach z opalonymi brzegami.

Strzelanina ucichła.

– Hej! – krzyknął Altos, przystawiając dłonie do ust. – Kto tam u was najstarszy rangą?

Trzask pojedynczego wystrzału, potem odpowiedź:

– Ja jestem najstarszy. Czego chcesz?

– Może zawrzemy tymczasowy pokój i porozmawiamy?

– Jaki pokój, do diabła? Wychodzić z podniesionymi rękami.

Jest nas tu trzydziestu ludzi!

– I chcesz się pozbyć połowy?

– Co proponujesz? – odezwał się rozmówca już spokojniej.

– Wstanę i zrobię dziesięć kroków do przodu. Nie będę miał broni. Podejdź i pogadajmy.

– Wstawaj!

– Daj słowo, że nie będą do mnie strzelać.

– Dobrze – padło po krótkiej przerwie.

Key poszperał w kieszeni i wyciągnął granat szokowy, mały metalowy stożek. Podał go Arturowi.

– Umiesz się tym posługiwać?

– Tak.

– Jeśli mnie zastrzelą, przyciśnij go do czoła i aktywuj. Nie rozumiesz? Z konwoja nie zdołasz się zastrzelić. Wydostać się stąd beze mnie też nie.

– Dobra – Artur wziął granat.

– Pozdrowienia dla ojca. – Key podniósł się.

Stał tak sekundę, czekając na wystrzał. Potem wzruszył ramionami i zrobił kilka kroków do przodu. W drzwiach dyspozytorni pojawiła się jakaś sylwetka.

Spotkali się w połowie drogi – Key i niewysoki mężczyzna w lekkim pancerzu. Ocenili się jednym spojrzeniem.

– Kim jesteście?

– Kupcy z Endorii. Leciałem z synem, nasz statek eksplodował.

– Dokąd lecieliście?

– Na Cailis.

– Pech.

– I to jaki.

Mężczyzna czuł się niezręcznie. Key zachowywał się zbyt swobodnie i zbyt serdecznie.

– Jak się odnosicie do naszej wojny?

– Szczerze? Zwisa nam.

– Rosjanin? – zainteresował się mężczyzna.

– Trochę.

– Pójdziecie z nami?

– Musimy dostać się do kosmoportu. Nie walczymy.

– Aha, widziałem, jak nie walczysz. Dobra, dawajcie broń, dokumenty, pieniądze i zjeżdżajcie.

– Karty aTanu nic wam nie dadzą. Imperialne dokumenty są nie do podrobienia.

– Mamy wojnę, handlarzu. Jeśli twoje koryto rozwalilo się w pobliżu, miej pretensje do losu.

Oddajcie broń.

– Nie dojdziemy bez niej. Zabierzcie jeden pistolet i jeden stanner.

– Nawet tutaj chcesz się targować? – zdumiał się mężczyzna w pancerzu.

– Masz dwudziestu dwóch, dwudziestu trzech ludzi – zaczął Key. – Pancerze ma dwóch, łącznie z tobą. Broń to myśliwskie strzelby ze zwykłymi i odłamkowymi kulami, dwa śrutowce, trzy stannery, z których nawet nie strzelali. Brak amunicji?

Przywódca bandytów milczał.

– Czterem twoim chłopakom lekko przysmażyłem ręce, jednemu brzuch. Jeszcze jeden, obawiam się, nie będzie widział na prawe oko. A weź pod uwagę, że nie strzelałem, żeby zabić. Po prostu studziłem wasz zapal. Zdołacie nas wziąć kupą, ale co najmniej połowa już się o tym nie dowie.

Mężczyzna rozwarł pięść. Krótka rurka mogła być jednorazowym pistoletem... a mogła nie być.

– Jeśli z ciebie taki twardziel, to co zrobisz z kulką w brzuchu?

– Wypluję ci ją w twarz i powiem, że Rosjanie nigdy swoich nie zabijali.

– Liczysz na aTan?

– Moja nieśmiertelność się skończyła. Ale syna jeszcze nie. Wróci i mnie pomści.

Mężczyzna popatrzył w stronę rowu: rów był blisko, a on na widoku. Zacisnął pięść, chowając pistolet.

– No to jak chcesz to zrobić?

– Zwyczajnie. Weź stanner z kabury. Sam bierz, niepotrzebna mi kulka w plecy. Pistolet jest w kieszeni płaszcza. Tam też jest gotówka. Niedużo, ale dla jednego wystarczy. Ja wrócę do syna.

Gdy odejdziecie tak, żebyśmy to widzieli, szybko stąd odbiegniemy.

Mężczyzna prychnął, wyciągnął pistolet razem z pieniędzmi i szybko wsunął pod segment pancerza na piersi.

– Ech, żebyś ty nie był Rosjaninem... A nie kłamiesz?

– Sprawdź. – Głos Keya był kwintesencją uprzejmości.

– Mówisz po naszymu? – padło pytanie po rosyjsku.

– Mówię kiepsko, ale rozumiem – Key lekko się zająknął.

– Idź do tego swojego rowu.

Rozdział 5

Przesiedzieli w rowie pół godziny, aż ucichły wszelkie odgłosy i szelesty, a małe grupki zaczęły odchodzić w stronę domu. Jak ich przekonałeś? – zapytał Artur, kładąc się na wznak. Na wodę już chyba nawet nie zwracał uwagi. Pewnie wydawała mu się ciepła.

– Wszystkiego po trochu. Pochlebstwo, groźby, blef, łapówka, wspólna krew.

– Co?

– Jestem częściowo rosyjskiego pochodzenia. Na to postawiłem: „Rosjanie Rosjan nie zabijają”.

– A to prawda?

– Gdzie tam. Przeciwnie, mają to w tradycji. Ale w ten sposób im pochlebiałem i pomagałem zachować twarz. Wypowiedziałem to zdanie już ze dwadzieścia razy, zmieniając tylko narodowość. Zazwyczaj działa, jeśli przeciwnik ma powód, żeby się wycofać. Rozumiesz, nacjonalizm to zawsze tylko pretekst, i można go wykorzystać w dowolną stronę. „Kochamy pokój”. „Jesteśmy odważni”.

„Jesteśmy pracowici”. „Nie lubimy pracować”. Wyjaśnij dowolną rzecz narodowym albo etnicznym charakterem i wszystko będzie dobrze.

– Zabawne – powiedział Artur po chwili zastanowienia.

– Jeszcze jak. Daj mi swój pistolet, pójdziesz ze stannerem. Oslaniaj z tyłu.

Key wstał i trzymając pistolet w opuszczonej ręce, szybkim krokiem ruszył w stronę przeciwną do osiedla. Artur, rozglądając się, poszedł za nim.

Już do nich nie strzelano.

Po jakichś trzech godzinach wyszli na porządną betonową drogę. Szli nią niedługo, dopóki zgadzał się kierunek. Deszcz do tego czasu zmył z nich całe błoto i znaczną część upojenia zwycięstwem.

– Trzydzieści kilometrów do stolicy i kompletna pustynia – zrywał się Key. – Walczą o prawo do walki o jakieś tam wyspy! Widziałeś je na mapie, Artur?

– Nie...

Key odwrócił się i pokręcił głową.

– Trzeba odpocząć, ale nie tu. Naprzód, Arturze, Graal czeka.

Coście tam zostawili?

– Półkredytową monetę – odparł pośpiesznie Curtis junior.

Po kolejnej godzinie przedzierania się po obsianych, ale nieuprzętniętych polach (miejscowym kolczastym chwastom najwyraźniej nie szkodził ani deszcz, ani rozmiękła gleba) dotarli do ogrodzonego metalową siatką domu. Budynek był niski, szary, prawie bez okien, najwyraźniej gospodarczy, a nie mieszkalny.

– Farmera dzień powszedni – rzekł Key, oglądając budynek. Chlew albo stodoła. Lubisz bekon?

– Co cię tak cieszy?

– Pracuję, Artur. Idziemy.

Przez odchylony kawałek siatki weszli na teren. Znaleźli wejście do budynku – żelazne drzwi przesuwające się na rolkach.

– Puk, puk! – powiedział głośno Key, odsuwając drzwi. W ciemności błysnął laserowy promień.

Odskoczyli w różne strony. Więcej strzałów nie było. Key dał znak ręką – w prawo i od razu z

powrotem. Artur posłusznie zdjął czapkę, zaczepił na lufie pistoletu i wsunął w otwór drzwi. Wystrzał sprawił, że nieszczęsne nakrycie głowy wybuchło. W tym samym momencie Key wśliznął się w ciemność, Nie trzeba było długo czekać. Seria fioletowych rozbłysków oświetliła szopę. W końcu Key krzyknął:

– Wejdźcie, sir Arturze, albowiem wszystko w porządku. Krzywda naprawiona. Siła posłużyła prawu.

Artur wszedł za Keyem i wykrzyknął:

– Hej, wiedziałeś o Arturze i Okrągłym Stole!

– Nie mnie się z wami spierać – odrzekł Key, wyciągając z szopy za nogi ciało zabitego. Artur cofnął się, czując zapach spalonego mięsa.

– Przynajmniej mamy rozwiązany problem aprowizacji – stwierdził Key, zatrzymując się przy drzwiach.

– Mowy nie ma – powiedział szybko Artur.

– Tu przy drzwiach jest torba, głuptasie. Poszperaj w niej. Key poszedł dalej. Zabity był staruszkim i długie siwe włosy wlokły się po błocie, zlepiając się w czarne sople.

Gdy Key wrócił, Artur już otwierał konserwy.

– Tylko jedzenie i kilka butelek piwa – oznajmił.

– Nieboszczyk chciał przeżyć, ale cóż, my chcieliśmy tego samego – podsumował Key. – Niezłe miejsce, nie?

Szopa okazała się farmerskim garażem. Pod ścianami stały niezgrabne, wielkie maszyny, w kącie – szary sześcian akumulatora.

Key obejrzał je dokładniej i pokręcił głową. Wsiadł do jednej maszyny, potem do drugiej...

– Będziesz jadł, Key?

– Obowiązkowo.

Zjedli po puszcze konserwowanego mięsa, wypili na spółkę butelkę piwa. Potem Altos rozpalili ogień, bezlitośnie zdzierając ze ścian drewniane panele. Artur tymczasem umocował przy ogniu metalowe kratki niewiadomego przeznaczenia i powiesił na nich mokre ubranie. Key zrobił to samo.

– Z czego on strzelał? – zainteresował się Artur, patrząc w ogień.

– Broń laserowa. Bogaty był z niego farmer... według miejscowych standardów.

– Mam nadzieję, że miał aTan – rzekł poważnie Curtis junior.

Key zaśmiał się cicho, ale nic nie powiedział. Siedzieli długo, powoli się rozgrzewając. W zamknięte drzwi bębnił deszcz, pod sufitem zawisła błękitna warstwa dymu.

– Artur.

– Co, Key?

– Zadam ci jedno pytanie... nie, nie teraz.

– Dlaczego? Pytaj.

– Nie. Skłamię, a ja chcę znać prawdę.

– Nie warto znać całej prawdy, Key.

– Jakiś ty mądry... Przenocujemy tu, nie ma się co szwendać po ciemku.

Artur nie zrozumiał go, ale nic nie powiedział. Key włożył wilgotne jeszcze ubranie, wsiadł na

najbliższy kombajn i zaczął majstrować przy pulpicie. Artur patrzył na jego sylwetkę, drżącą w płomieniu ogniska, groteskowo wykrzywioną przez szklany bąbel kabiny.

– Wspaniale – odezwał się z zadowoleniem Key. – To dlatego stary nie palił tu ogniska...

– Słuchaj, tato...

– No?

– Dlaczego nienawidzisz dzieci? Wiem, że miałeś gówniane dzieciństwo, ale to jeszcze nie powód.

Key usiadł na podłodze kabiny i zwiesił nogi przez otwarte drzwi.

– Szczerść za szczerść?

– Jak z Silikoidem? Zasuważ.

– Nigdy właściwie nie byłem dzieckiem. Zawsze miałem czterdzieści lat, Artur. To bardzo ciężko nie móc być beztroskim chłopczykiem, starać się upodobnić do rówieśników, zazdrościć im... Zbyt dobre dzieciństwo zmienia dziecko w dorosłego jeszcze szybciej niż złe.

– Więc miałeś dobre dzieciństwo?

– Mój ojciec był senatorem na Drugiej Planecie Shedara. Żyło nam się wspaniale. W dniu ewakuacji skończyłem siedem lat... i przestałem być dzieckiem. Widziałem, jak kapsuły desantowe sypią się na mieliznę, tylko nad kosmoportem ostatnia baza trzymała niebo. Ojciec został z grupą osłony, wtedy jeszcze wierzyli w pomoc Imperium. Może nawet żyli, gdy imperator Grey wydawał rozkaz wypalenia planet. Nie mówię, że nie miał racji. Szturm zabrałby znacznie więcej istnień, a tam była tylko garstka ludzi, bawiących się w partyzantkę na okupowanej planecie... niezbyt posłusznej Imperium. Przyjął nas Altos i przeżyliśmy. Nie zostawili nam nawet nazwisk i przestałem być Keyem Lacitsem. Staliśmy się dziećmi Imperium. A ja już nie mogłem być dzieckiem i wszyscy to czuli. Takie dzieci są lubiane przez rodziców, ale nie mają przyjaciół. Starałem się, Artur, bardzo się starałem. Wychowawcą naszego bloku G był porządny facet. Nieprzeciętny typ, autor dziecięcych seriali nadawanych przez telesieć Altosa. Szczerze wierzył, że dzieci trzeba chronić przed dorosłymi. Wiele mówił o przyjaźni i dobroci i zapewne nie mógł zrozumieć, dlaczego jego wychowankowie nie lubią małego Keya. Dla niego na zawsze zostałem dzieckiem ze wzruszająco chudą szyjką...

Artur uśmiechnął się mimo woli.

– ...i smutnymi oczami. Rówieśnicy widzieli, że tak naprawdę jestem inny, i bronili się przede mną, jak umieli. Gdy zrozumiałem, że dzieckiem już nie będę, dorosłem. Nocą... ale to już nieważne. Przyłączyłem się do cyrku. Zakazane miejsce, ale traktowali mnie niemal po ludzku. Myłem podłogi, sprzedawałem bilety, asystowałem klaunom, przez rok byłem celem dla Redgara Reda, człowieka-pistoletu...

– Jego też zabiłeś?

– Coś ty, Artur? Redgar nauczył mnie wszystkiego. Strzelać, rzucać nożem, nie zamykać oczu, gdy strzelają do ciebie. Potem powiedział, że cyrk to dla mnie tylko etap przejściowy, i zmusił mnie, żebym pracował z Dianą, jego przyjaciółką, akrobatką. Podobało mi się... dopóki nie skręciła karku. Asystowałem wszystkim artystom, chociaż po trochu. Nasi klauni, Jacek i Narik, zrobili dla mnie więcej niż dziesięciu psychologów. I nigdy nie zaciągnęli mnie do swojego dwuosobowego łóżka, chociaż byli zdeklarowanymi homoseksualistami.

Wiem, jak wyglądają zwierzęta, gdy szykują się do ataku, i jak można się obronić przed zmutowanym tygrysem. To zasługa Jassana, naszego jedyne go mrszańca. To dzięki niemu znam się na

winach...

Key zamilkł.

– Nie lubisz dzieci, bo nigdy nie miałaś dzieciństwa – stwierdził bezlitośnie Artur. – Zazdrościsz im. Uważasz, że silniejsza od niechęci kobiet wobec mężczyzn jest zawiść dziecka do dorosłego.

I ciągle czujesz się obiektem nienawiści.

– Tak.

– W takim razie pytaj ty.

– Czy to trudne, próbować być dorosłym i ciągle być dzieckiem?

– Oczywiście, Key.

– Kładźmy się, Arturze van Curtis. – Key zeskoczył. – Wsiadaj do kabiny i zamknij drzwi. Fotel jest szeroki, klimatyzację włączyłem.

– A ty?

– Ja poszukam drugiego kombajnu. Dobranoc.

Rozdział 6

Gdy Artur się obudził, Key już podgrzewał śniadanie. Wyprowadził także jeden kombajn z szeregu i ustawił go naprzeciwko drzwi. Artur sceptycznie popatrzył na niesamowity agregat – bębnowy frez z przodu, cztery ogromne koła, automatyczna ładowarka z tyłu. Korpusu jako takiego nie było – cała maszyna była na wierzchu. O kołyszącej się na cienkich podporach kabynie można było powiedzieć wiele rzeczy, ale nie to, że jest wygodna.

– No, nie wiem, czy to dobry pomysł – zauważył Artur, biorąc swoją porcję.

– Lepszego nie mam. – Key uważnie oglądał koła. – Prędkość do czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę. I to w trybie pracy.

Jak się spało?

– Jak w domu.

– A ja zmarłem. Pewnie ogrzewanie szwankowało.

Skończyli śniadanie i wrzucili torbę z resztką konserw do kabiny. Key wręczył Arturowi laserową strzelbę, niklowany agregat z wielkim magazynkiem i polecił:

– Włóż do kabiny.

Ze szklanego pęcherza Artur patrzył, jak Key otwiera drzwi.

Postać chwilę i głośno powiedział:

– Jak pięknie! Deszcz przestał padać, rosa leży na polach, żeby tylko zboże nie zamokło, synku!

– Key, prosiłem cię, żebyś nie mówił do mnie „synku”!

– Dobrze, synku – rzekł Key, ładując się do kabiny. – Pora żąć, prawda? Posuń no się.

Jego oczy błyszczały z podniecenia. Artur stropiony zsunął się z fotela i usiadł na podłodze. Key położył ręce na dźwigniach.

– Ucz się, wszystko się w życiu przydaje...

Kombajn ryknął i wyjechał z garażu, rozpryskując kałuże. Key zaśmiał się. Kolczaste pole ciągnęło się aż po horyzont.

– Zastało się zboże, nie sądzisz?

– To nie pszenica, Key.

– Wiem, Artur. – Na chwilę twarz Keya utraciła błazeński wyraz. – Dreszcz, euforia... potem przyjdą halucynacje. To hodowla wirusa dum. Jedziemy!

Frez zawył, opuszczając się do ziemi. Taranując płot, kombajn wjechał na pole. Z tyłu mlaskała ładowarka, rytmicznie wyrzucając plastikowe worki ze sprasowaną trawą.

– Ile mamy czasu? – zapytał cicho Artur.

– Trzy godziny. Potem okres nieumotywowanej agresji i paraliż serca. Spróbuję cię dowieźć, mały.

Prawie przez godzinę jechali w milczeniu. Artur patrzył w okno, trzymając na kolanach strzelbę, Key śpiewał frywolne piosenki.

W pewnym momencie zapytał:

– Czego oni chcieli?

– Kto?

– Ci ludzie... na koniach... w czapkach z niebieskimi gwiazdami.

– Nikogo nie widziałem – odparł Artur, odwracając wzrok.

– Aha... Jak powiem do ciebie Loszka, strzelaj. Dobrze?

– Obiecuję.

Dwa razy Artur widział w oddali słupy dymu. Czasami Key kręcił, omijając coś albo goniąc kogoś niewidzialnego. Artur milczał.

Potem próbowano ich zatrzymać. Niewielka grupka uzbrojonych mężczyzn – być może tych samych, którzy powitali ich przy wyjściu – otworzył ogień.

– Grad pada – zauważył sucho Key. Artur nie zrozumiał, czy to dowcip, czy zniekształcona świadomość nie przyjmuje już realności. Kombajn zakręcił i ruszył na tłumek. Artur uchylił drzwi i zaczął strzelać ze strzelby. Była szybkostrzelna i miała pojemny magazynek.

– Żadna niepogoda nie przeszkodzi mi zebrać mojego ostatniego urodzaju – oświadczył Key, gdy kule zastukały o kabinę. Szkło, niczym pancerne, pokryło się pęknięciami, ale nie kapitulowało. Key doprowadził krwawe żniwa do końca i wrócił poprzednim kursem.

Plastikowe worki w kontenerze dawno się skończyły i przemieszane z trawą ciało chlustało z kombajnu potwornymi strzębami.

– To ciekawe, że nawet cię nie mdli – zauważył Key, zerkając na Artura. – Warto by było zabić twojego tatusia, ale to niemożliwe.

Artur nie rozumiał.

Przelecieli przez peryferie Kiteja, obok płonącej drewnianej cerkwi, wzdłuż rozwalonych przez artylerię domów i troskliwie osłoniętych pokrowcami pomników. Pomników było dużo.

– Naród, który nie pamięta o swojej przeszłości, jest skazany skomentował ten fakt Key. – Nasz naród jest nieśmiertelny. Machniemy się przez rzekę, jak sądzisz?

– Machniemy – zgodził się Artur, patrząc na zbliżającą się wstęgę szosy. Sforsowali zaporę i pojechali prosto na tęczową barierę pola siłowego. Dwie maszyny imperialnej piechoty leniwie wyjechały z bramy i odwróciły wieże laserów w ich stronę.

– Razem zginiemy, Loszka – powiedział Key mrużąc oczy. Nie najlepszy wariant, co?

Artur wyciągnął stanner i starannie wypalił Keyowi w skroń.

Potem ściągnął bezwładne ciało z fotela i zatrzymał kombajn. Trudniej było znaleźć wyłącznik frezu – dopóki Artur go nie zatrzymał, piechota nie spieszyła się z podchodzeniem.

Curtis junior wyskoczył z kombajnu i pobiegł do ochrony. Miał tylko dwanaście lat, więc i żołnierze nie strzelali.

– Pomóżcie mojemu tacie! – krzyczał Artur. – Pomóżcie mu, on ma gorączkę dum, ale ja go unieruchomiłem! Pomóżcie, zapłacimy! Jesteśmy z Endorii, z ojczyzny Imperatora! Pomóżcie!

Płakał bardzo naturalnie, a porucznik imperialnych wojsk też miał dzieci. Skinął na żołnierzy i dwóch z nich, opuszczając przyłbice hełmów, ruszyło w stronę pokiereszowanego, zachlapanego krwią, poprzebijanego kulami kombajnu.

Rozdział 7

Dochodząc do siebie – w tych rzadkich momentach, gdy zastrzyk z bakteriofagów obniżał poziom toksyn we krwi Key rozmyślał w sterylnej czystości pustej sali. Gorączka minęła, świadomość była jasna, ale leniwa. Teraz mógł już tylko wyzdrowieć – albo umrzeć, jeśli wprowadzane ogromnymi dawkami bakteriofagi zmutują się i uznają jego ciało za wirusa. Miękkie łapy manipulatorów obmywały go, zmieniały pościel, wstrzykiwały lekarstwa i mętny płyn odżywczy.

Gdy do sali weszła kobieta ubrana w zielony strój lekarza, ale z wyłączonym hełmem, Key zrozumiał, że przeżył.

– Mam na imię Izabela – odezwała się, siadając na brzegu łóżka.

– Piękne imię – odparł Altos, z trudem poruszając nieposłusznym językiem. – Jest pani jak biały anioł...

– A jak na imię pańskiej żonie?

– Karina.

– Też ładnie – kobieta skinęła głową. – Jestem pańskim lekarzem. Nie ma pan luk w pamięci?

Niebieskie oczy kobiety były lodowato zimne. Długie życie i długa praca dla Imperatora. W jakimś sensie na pewno była lekarzem chirurgiem wycinającym niepotrzebne komórki społecznego organizmu.

– Nie... chyba nie... a co, mogę stracić pamięć?

– Sprawdźmy.

Sprawdzili. Key opowiedział jej o swoim dzieciństwie, o dziadku Raulu, który zostawił niewielki spadek, o klimacie Endorii, o tym, jak czasem uchylał się od płacenia podatków, o początkach znajomości z Kariną i o urodzeniu się Artura.

– To dobry chłopiec. Nie zostawił ojca. Z nim wszystko w porządku, proszę pani?

– Imperator nie opuszcza w nieszczęściu swoich poddanych oznajmiła z godnością Izabela. – Co się stało z waszym statkiem?

– Startowaliśmy z Endorii, wieczorem, trzynastego, w szóstą dekadę wschodnich wiatrów...

-...interfazowce zazwyczaj nie kapryszą, ale widocznie...

-...Artura rozerwało na strzępy, nie daj Boże oglądać coś takiego!

Twarz Izabeli pozostała obojętna. Widziała rzeczy znacznie gorsze niż rozerwany na kawałki mały chłopiec.

– ATan zadziałał, a ja nigdy do końca nie wierzyłem... doszliśmy do tej szopy, a tam martwy staruszek i różne traktory...

Izabela położyła dłoń na gardle Keya. Bez emocji powiedziała:

– Nieładnie okłamywać sługi Imperatora. Potrzebna nam cała prawda i tylko prawda, Key. Pańskie życie jest jeszcze takie kruche, a pan kłamie.

– Proszę pani – zachrypiał Key – on do nas strzelał, co mogłem zrobić? Boże, przecież oni tu powariowali...

Izabela wytarła rękę o prześcieradło i uśmiechnęła się.

– Teraz lepiej. Imperator nie przejmuje się śmiercią bandytów i buntowników, ale lubi szczerłość.

Key skwapliwie pokiwał głową.

– Zręcznie wykręcił się pan z kłopotów, Key. Ten kombajn, we krwi od kół po kabine, jakby prosto z rzeźni...

– Nie bardzo wiedziałem, co się dzieje, gdy prowadziłem maszynę. Próbowano nas zatrzymać... ale... ale nie raniłem ludzi Imperatora?!

– Na pańskie szczęście, nie – odezwała się chłodno Izabela. Zuch z pana. Zwyczajny kupiec i takie umiejętności. Zawsze niepokoiłi mnie ludzie, którzy wychodzili poza ramy swojego zawodu. Pańską sprawą jest handel, a nie wojskowe wyczyny.

– My, Ovaldowie, zawsze z oddaniem służyliśmy Imperatorowi Greyowi! – Key podniósł głos. – Mój dziad, Artur... to na jego cześć nazwałem syna... w czasie Wielkiej Wojny...

– Niech pan da spokój, Key. O wyczynach pańskiego dziada nasłuchałam się już od chłopca. Z panem nie mają one nic wspólnego. Proszę odpoczywać.

Już stojąc w drzwiach Izabela dodała:

– Daliśmy znać na Endorię o pańskim cudownym ocaleniu. Co przekazać żonie?

– Że ją kocham... i proszę, żeby się nie martwiła.

– To ostatnie jest na razie przedwczesne.

Drzwi się zamknęły i Key opadł na poduszkę. Miał tylko nadzieję, że stary chytry lis van Curtis przewidział wszystko. Że jest mądrzejszy od starych kobiet ze Służby Bezpieczeństwa Imperialnego.

W swoim ascetycznie umeblowanym gabinecie Izabela Kal pisała cotygodniowy raport. Rutynowa praca, już tradycyjnie zwalana na zastępcę regionalnego dowódcy, sprawiała jej przyjemność. Proste cyfry – o stratach ludności, wydatkach Służby, liczbie zwerbowanych agentów. A ile za nimi pracy, ile ludzkiego życia – a jeszcze więcej śmierci.

I ile władzy!

Wiadomość z Endorii przyszła dopiero pod wieczór. Izabela przekartkowała oficjalną informację, przejrzała film nagrany w domu Ovaldów. Wysoka szczupła kobieta, Karina Ovald, rozplakała się, widząc zdjęcie męża z zapadniętą, nieprzytomną twarzą. Ale natychmiast wzięła się w garść i zasypała agenta pytaniami: jak się z nim skontaktować? Dlaczego nie dali znać wcześniej? Nie jesteśmy ostatnimi ludźmi na Endorii! Czy Służba nie opłaci jej przelotu na Incedios?

– Chuda suka – stwierdziła Izabela, wyłączając nagranie. Ten kupiec nie miał gustu. Ładna buźka to w kobiecie jeszcze nie wszystko. Ale teraz wiadomo, w kogo wdał się syn. – Artur Ovald, obserwacja – poleciła.

Ekran znowu ożył, ale Artura w małym pokoiku nie było.

– Odszukać.

Artur stał pod prysznicem. Izabela przechyliła na bok głowę, uważnie oglądając chłopca. Ładny szczeniak. Ojciec też niczego sobie, ale bardziej toporny.

Chłopiec tymczasem usiadł na dnie wanny i zajął się tym, czym zwykle zajmują się młodzi chłopcy i dla czego prysznic jest najlepszą przykrywką.

Kal poczuła rosnące podniecenie. Praca rzadko zostawiała jej czas na seks.

Włączając ekranowanie, wyjęła z dolnej szuflady biurka wibrator. Nie odrywając spojrzenia od monitora, zarzuciła nogi na stół. Artur brał prysznic wystarczająco długo, by Izabela mogła przeżyć wszystkie emocje. Doprowadziła się do porządku, włączyła autosekretarkę i powiedziała:

– Rodzina Ovaldów. Czerwony tryb odwołany. Żółty tryb utrzymać przez tydzień. Praca

operacyjna – Louis Nomachi. Kontrola wideo... kontrola wideo pozostaje na mnie.

Spodobały jej się niedawne odczucia. Igraszki z dyrektorem Służby, Kurtem, nie były takie przyjemne.

Rozdział 8

Następnego dnia Arturowi Ovaldowi pozwolono odwiedzić ojca. Key półleżąc jadł rzadką owsiankę. Miała boski smak w porównaniu z ciepłą wodą mineralną, którą pił dnia poprzedniego.

– Tato...

Key w milczeniu oddał talerz pielęgniarce – rudej dziewczynie, smukłej i delikatnej. Popatrzyli z Arturem na siebie.

– Cieszę się, że nie zhańbiłeś imienia dziada – powiedział Key.

Artur uśmiechnął się.

– Dużo lepiej wyglądasz, tato.

– Nic dziwnego.

Artur zerknął na pielęgniarkę i oznajmił:

– Skontaktowali się z mamą... Rozmawiała ze mną. Powiedziałem, żeby nie przyjeżdżała... przecież za trzy dni cię wypiszą i polecimy do domu. Prawda?

Stary lis van Curtis, pomyślał Key. Jednak przechytrzył Służbę.

Rzeczywiście mam domek na Endorii i żonę o imieniu Karina...

– Trzeba będzie polecieć, synu. W naszym kosmoporcie ktoś potrzebuje porządnego skandalu. Wytrząśniemy z nich za wszystko, i za statek, i za te cierpienia.

Rudowłosa pielęgniarka uśmiechnęła się i odwróciła. Ten kupiec, kawał chłopa zresztą, jest okropnie zarozumiały. Służby techniczne kosmoportów mają doświadczenie w podobnych sprawach.

Zresztą kto wie, Endoriańczyk jest piekielnie uparty, a na dodatek ma szczęście. Możliwe, że wyciśnie jakąś sumę... za kilka lat.

– Artur, przynieś mi normalną kanapkę – wyszeptał za jej plecami Key Ovald. Zawsze to samo. Wystarczy, żeby pacjent zaczął się ruszać, od razu chce złamać dietę...

Louis Nomachi był człowiekiem o zwodniczym wyglądzie.

Pulchny jak bochenek chleba, radosny optymista, na pozór zadowolony ze wszystkiego, co działo się wokół niego. Jego umiejętność szybkiego wspinania się po szczeblach kariery budziła zdumienie kolegów. Louisa uważano za donosiciela, mówiło się o wysoko postawionych protektorach. A jednak chodziło o coś zupełnie innego.

Po prostu ten facet umiał przyjmować dowolne zasady gry. Tacy jak on przeżywali na okupowanych planetach, potrafili przetrwać zmianę całego kierownictwa i iść do góry, powoli, lecz nieuchronnie.

Przedtem taką wspinaczkę warunkowała długość życia. Teraz nastał ich czas, ich szansa. Umiejąc przystosować się do każdego warunków, przetrzymać zwycięstwo i klęskę, rośli niczym kolczasta trawa na ciele Imperium Ludzi. Trudno było nawet nazwać ich amoralnymi. Po prostu odpowiadali na zapotrzebowanie chwili.

Nomachi dostał nieskomplikowane zadanie – kontrolę dwóch Endoriańczyków, znajdujących się w żółtym trybie. Ojciec i syn. Dotarli do kosmoportu z regionalnego wydziału aTanu – mieli szczęście. Kal przeprowadziła wstępne rozpoznanie i zrzuciła sprawę na niego. Pasywna obserwacja, sprawdzanie danych – cóż może być prostszego...

Ale dlaczego Izabela Kal osobiście prowadziła Endoriańczyków?

Dlaczego przetrzymała ich tydzień na czerwonym trybie, dopóki nie przeprowadziła rozmowy z Ovaldem seniorem i nie wysłała odpowiednich pytań na ich planetę? Nomachi był pozbawiony zwierzęcego węchu Izabeli, jej siedemdziesięcioletniego doświadczenia. Ale wierzył w cudze doświadczenie. I miał dozę uporu równą mocnej sprężynie w drzwiach.

Pochylony nad terminalem komputera, co chwila pogryzając herbatniki, Louis otwierał po kolei pliki „sprawy Endoriańczyków”. Raport porucznika ochrony zewnętrznej, diagnoza lekarska, protokoły wstępnych przesłuchań chłopca, nagranie rozmowy Izabeli z Keyem, meldunek Służby z Endorii... ocena ogólnego prawdopodobieństwa informacji – osiemdziesiąt sześć procent. Pięknie, złoty środek – nie za mało i nie tyle, by wzbudzić podejrzenia, w którymś miejscu obaj kłamali, jak każdy porządny człowiek. Ale Izabela Kal miała co do nich wątpliwości. Louis wrócił do informacji operacyjnych... Zdjęcia Keya i Artura... Stop. Nie są zbyt podobni. Karina Ovald przyprawiła mężowi rogi? Możliwe. Louis otworzył plik z krótką informacją o Karinie. Portret... No, jeśli ona jest matką chłopca, a on jego ojcem... Louis uaktywnił program analizy fizjonomicznej.

Pięćdziesiąt dwa procent. Artur mógł być ich synem, ale mógł też zostać poczęty przez innego mężczyznę albo być adoptowany. Znowu średni wynik. A jeśli jest inaczej? Prawdopodobieństwo, że Artur jest synem Kariny, prawdopodobieństwo, że Artur jest synem Keya...

Dwadzieścia procent. Sześć procent. Pięknie. Coś się programowi nie spodobało. Chłopiec, który był synem Kariny i Keya, nie mógł być synem Kariny albo synem Keya. Niezwykłe...

Program mógł szwankować. Karina mogła zdradzić męża. W biurze adopcyjnym przy wyborze dziecka mogli użyć tej samej techniki i wybrać odpowiednie dziecko dla pary, a nie dla Kariny i Keya oddzielnie. Nie warto było nawet rozpocząć badań.

Ale człowiek-sprężyna nie umiał się zatrzymywać w pół drogi.

Sprawdzono Endorię, przeprowadzono kontrolę na miejscu. Co zostało? ATan? Bielmo na oczach wszystkowiedzącej Służby. Wieczna hańba. Korzystali z aTanu na ogólnych zasadach i po obustronnie udanej strzelaninie czasem zmartwychwstawali obok swoich zabójców. Imperium Curtisa van Curtisa, państwo w państwie. Jakie to poniżające wiedzieć, że wszystkie tajemnice Służby Specjalnej mogą zostać wyciągnięte z pamięci zmarłego i wielkodusznie ożywionego pracownika. Pomimo zapewnień, składanych przez Curtisa samemu Imperatorowi, pomimo pokazowych serdeczności i ulgowych taryf, aTan miał swoje tajemnice...

Ale nawet najmocniejszy pancerz ma słabe miejsca.

Louis wysłał polecenie ponownego uruchomienia agenta zwerbowanego w szeregach aTanu. Zrobił to bez motywacji, z lekką nadzieją, że nic z tego nie wyjdzie. Nie chciał się grzebać w tej sprawie, ale nie umiał się wycofać.

Udało się.

– No więc tak – powiedział Nomachi do terminala komputerowego. – Rozkręcimy was jak się patrzy. Nie na darmo płacicie podatki...

Key trenował. Ciało okazało się niezbyt osłabione, widocznie w czasie choroby sztucznie stymulowano mięśnie. Znacznie więcej problemów sprawiał możliwy podgląd – Altos musiał trenować na pół gwizdka. We wspaniale wyposażonej sali sportowej małego szpitala było to cholernie przykre.

Z zalem schodząc i kolejnego przyrzędu, Key odszukał wzrokiem Artura. Chłopiec siedział na

konstrukcji przypominającej szafot. Ręce miał przymocowane do hydraulicznych sprężyn.

– Dalej, dalej – zachęcił syna pan Ovald. – Skoro już zapłaciliśmy takie pieniądze, to trenuj do siódmego potu.

– Uhu – obiecał Artur, powoli rozsuwając ręce.

Key poszedł do sauny. Położył się na drewnianej półce, czując, jak pot wysycha na skórze. Wbrew regułom, ale za to jak ciało odpoczywa... Potem znowu się spocił i zaczął cierpliwie czekać, aż wyparuje i ta wilgoć.

Przyszedł Artur i ułożył się na niższej półce. Poleżał chwilę, a wreszcie powiedział:

– Mama na pewno się denerwuje. Kiedy polecimy do domu?

To była dawno umówiona kwestia. Artur czegoś się bał czy po prostu spieszył się na swojego Graala?

– Za trzy dni jest rejs na Ilion. Stamtąd nasz dom jest już na wyciągnięcie ręki.

– A jutro odchodzi liniowiec na Epsilon Volantisa. Można też stamtąd. Wyliczyłem, że wychodzi jeszcze szybciej.

– Synu, musimy również brać pod uwagę wydatki – pouczył go Key. – Sam wiesz, w jakiej znaleźliśmy się teraz sytuacji... zanim wyciśniemy pieniądze z tych krwiopijców... Pójdę do basenu, a ty się wypoć jak należy.

W odległości sześćdziesięciu kilometrów od imperialnego kosmoportu, nieopodal budynków imperium aTanu, Louis Nomachi rozmawiał ze swoim agentem.

– Jest pan... jest pan pewien, że nasze spotkanie jest bezpieczne?

– Ekran jest pewny – powiedział pogardliwie Nomachi.

– Nie zna pan możliwości naszej służby ochrony...

– Za to pan zna nasze!

Złotowłose stworzenie niewiadomej płci płaczliwie skrzywiło anielską buzię:

– Takie ogromne wymagania... jestem gotów służyć Imperatorowi, ale...

– Masz jakieś „ale” na temat Imperatora? – zainteresował się Louis. – Jeszcze czegoś takiego nie słyszałem!

Stworzenie ucichło.

– Mam gdzieś twoje problemy. Jestem przekonany, że pieprzysz się z połową mężczyzn i kobiet waszego gnojowiska. No i mam pewność, że film, na którym pieścisz genitalia Bullrata, bardzo ich ubawi.

– Proszę po-posłuchać, powinien mnie pan zrozumieć, jak mężczyzna mężczyznę...

Louis zaniósł się dobrodusznym śmiechem:

– Ależ z ciebie dowcipniś... słowo daję. Powinieneś być się urodzić wielorazową prezerwatywą, byłbyś na właściwym miejscu.

– Właśnie zaczęło mi się układać spokojne życie seksualne... miauknął tanatolog smętnie.

– Niech ci się dalej układa. I pamiętaj: im więcej nam przekażesz danych o Ovaldach, tym dłużej zostawimy cię w spokoju. Pozdrowienia dla ukochanych.

Louis poszedł w stronę flaeru. Nie bał się odwracać plecami do ludzi tego pokroju. Dobrze, że większość nie uznaje międzyrasowego seksu. Dzięki temu mniejszość staje się pożyteczna dla Służby Specjalnej...

Wsiadając do kabiny, pomyślał, że jeśli międzyrasowe stosunki zostaną zalegalizowane, trzeba będzie nastawić społeczeństwo przeciwko czemuś innemu. Przeciwko masochizmowi, homoseksualizmowi albo pocałunkom w usta – coś się wymyśli.

Nie można przecież stracić tak wygodnej kategorii informatorów.

Rozdział 9

Na betonowej gładzi lądowiska dwustumetrowy liniowiec wydawał się niewielki. Grube szkło skutecznie izolowało wszelkie dźwięki. Samochody kursujące od budynków do liniowca i z powrotem wyglądały jak zabawki bogatego dziecka.

Takiego jak Artur van Curtis na przykład, pomyślał Key. Ale nie czuł już poprzedniej wrogości do chłopca. W końcu to on go wyciągnął. Motywy były nieważne – grunt, że wyciągnął.

Obok nich przez poczekalnię przeszła kolejna grupa pasażerów.

Najbogatsi obywatele Wielkiej Rosji woleli nie emigrować na Kaiserland czy Segun, lecz od razu na inną planetę. Zapewne, jak to zwykle bywało, najbogatszymi okazywali się ci, którzy rozpętali wojnę. Kobiety w futrach, mężczyźni w garniturach, skromnych tylko na pierwszy rzut oka; wystrojone dzieci. Wiele osób prowadziło na smyczy pieski, nieładna ciemnowłosa paniusia niosła na rękach kota.

– Bardzo tęsknię za mamą – powiedział Artur.

– Nie marudź, synu – odparł spokojnie Key.

– Naprawdę tęsknię!

Key przystanął i zająknął Arturowi w oczy. Chłopiec był na krawędzi hysterii. Dlaczego?

Rwał się do nieistniejącej matki? Albo do tej prawdziwej, której Key nigdy nie widział?

– Chłopcze, weź się w garść. – Key pogłaskał Artura po twarzy. Dłoń zwilgotniała. – Co się z tobą dzieje?

Artur milczał.

Curtis van Curtis zdobył swoją pozycję nie tylko szczęściem, pancernym tyłkiem i umiejętnym podejściem do ludzi. Miał doskonałą intuicję, jak ta wspaniała kobieta Izabela z miejscowego wydziału Służby. Artur mógł tę intuicję odziedziczyć.

– Chodź, zobaczmy, co da się zrobić, synu. – Key wziął Artura za rękę i podeszli do kasy.

– Miejsca jeszcze są – oznajmiała ochoczo dziewczyna w staromodnych okularach. – Luks, pierwsza klasa, bussiness class...

Na małej, odwróconej w stronę Keya tablicy wyświetliły się cyfry. Key podrapał się w kark.

– A... przepraszam... w drugiej klasie?...

– Na takich odległościach nie latają statki z drugą klasą – powiedziała kasjerka surowo. Jednak kiedy zerknęła na błagalną minę Artura, zmieniła ton. – Kłopoty finansowe, proszę pana?

– Tak... Rozumie pani, musimy dotrzeć na Endorię, a nasz statek... przecież sam jestem pilotem, handluję... handlowałem...

– Zobaczmy, co możemy dla pana zrobić... – palce dziewczyny zatrzepotały nad klawiaturą. – Wiek chłopca?

Louis obracał w rękach dyskietkę. Zuch tanatolog. Kanalia, ale zuch. Trzydniowy zapis pamięci Keya Ovalda! Może tam i były bzdury niegodne uwagi, ale już sam fakt istnienia takiego nagrania to sensacja. Oto moralność aTanu. Oto cena nieśmiertelności!

Włożył dyskietkę do komputera i zaczął dopasowywać wideoadaptację. Przeklęty aTan wykorzystywał własne komputery, programy i kody...

– A więc, biorąc pod uwagę wiek dziecka, brak bagażu, wolne miejsca w rejsie, waszą przesiadkę na Volantisie na statek naszej kompanii... cena wyniesie czterdzieści osiem procent pierwotnej! Kasjerka wzruszyła ramionami, jakby ją samą zdumiał otrzymany rezultat.

– Tato... – wyszeptał Artur.

– Proszę się spieszyć z podjęciem decyzji, można wsiadać jeszcze tylko przez piętnaście minut.

– No, z takiej okazji nie można nie skorzystać! – machnął ręką Key. – Bierzemy.

Wsunął pod przezroczystą tarczę kasy dokumenty i położył kartę kredytową na panelu interfejsu.

– Honorujecie kartę aTanu? – zapytał.

– Oczywiście...

No, nieźle chłopaka rozwalilo, pomyślał Louis, oglądając krwawe plamy na ścianach mostka. Potem obraz zasnuł się różową mgłą, to Ovaldowi seniorowi zaczęły pękać gałki oczne.

Nomachi wyjął z biurka paczkę herbatników i rozerwał plastikowe opakowanie. Odwalił kawał dobrej roboty i do diabła z nadwagą.

– Przewiń dwa dni – zaproponował maszynie. Wyszkolony program serwisowy zrozumiał.

Na ekranie pojawiła się wyszczerzona morda Bullrata.

Louis zakrzuszył się ciastkiem.

– Kuzuar buul-rati, k, haal K, haa, buul! – powiedział głos Keya Ovalda.

– Hazr, khomo! – odkrzyknął falsetem Bullrat.

Z otwartych ust Louisa posypały się na klawiaturę okruchy.

Mikrobus zatrzymał się pod brzuchem liniowca. Ostatni pasażerowie pośpiesznie pakowali się do wnętrza rurowej windy.

Ochroniarz, nerwowo przysłuchując się hukowi rozgrzewanych generatorów, przesunął po dokumentach Keya defektoskopem. Pasywna obserwacja? Cóż, nie przeszkadza w opuszczeniu planety.

Idący za nim chłopiec też był pod obserwacją. Powariowali w tym wydziale operacyjnym Ochroniarz poklepał wsuwającą się w korpus statku windę – na szczęście – i poszedł szybkim krokiem do trąbiącego niecierpliwie mikrobusu. Przebywanie zbyt blisko statku startującego na silnikach grawitacyjnych to niebezpieczna rzecz.

Gdy Key odwrócił wzrok od martwego Bullrata – jak on go zabił? jednym dotknięciem? – Louisa czekał nowy szok.

Twarz tego człowieka znali wszyscy. Curtis van Curtis. Dziwnie przypominał... syna Keya Ovalda, a raczej Artur Ovald był do niego podobny.

– Zdjęcie Artura van Curtisa! – ryknął Nomachi. Maszyna walczyła z nieoczekiwanym zadaniem piętnaście sekund. Louis podrygiwał przy biurku i przebierał nogami.

– Jedyne dostępne zdjęcie wykonane w wieku pięciu lat oznajmił uprzejmie komputer.

Z ekranu uśmiechał się pulchny chłopczyk.

– Prawdopodobny wygląd dzisiaj! – wrzasnął Louis.

Pojawił się siedemnastoletni chłopak o mocno zaciśniętych wąskich wargach.

– A w wieku dwunastu lat?

Artur Ovald, prawie taki sam, jakim Nomachi widział go rano, pojawił się na monitorze.

– Ooo – jęknął Louis. – Ooo.

– Mało danych – zaniepokoił się komputer.

– Wyłącz się, złomie! – krzyknął Nomachi wybiegając z gabinetu. Przez korytarz... obok ochroniarzy... przez poczekalnię...

Wpadł do gabinetu Izabeli Kal. Przeżył tak ogromny szok, że w głowie miał pustkę.

– Niech pani włączy ekran – poprosił zamiast powitania.

Izabela w milczeniu włączyła ekran i osobisty sprzęt nagrywający.

– Skąd to podniecenie? – spytała.

– Mamy w rękach – Nomachi podszedł do stołu – mamy w rękach Artura van Curtisa!

– I kogo jeszcze? – Kal nie kryła pogardy.

– Pewnie jego ochroniarza. Człowieka, który przemilił kombajnem dwudziestu powstańców.

Twarz Izabeli pobladła.

– Zatrzymał ich pan, Louis?

– Nie... ja... spieszylem się... – Nomachi z przerażeniem zauważył w swoim głosie intonację identyczną jak u płacznego zboczeńca tanatologa.

– Artur i Key Ovaldowie. Odszukać – krzyknęła Izabela do ekranu.

– Pracuję... pracuję... Artur Ovald – oznajmił zadowolony komputer. – Opuścił planetę na liniowcu „Volantis Travel” kompanii Star Trek dziesięć minut temu. Key Ovald. Opuścił planetę na liniowcu „Volantis Travel” jedenaście minut temu.

Na swoje szczęście Nomachi zdążył się powstrzymać przed zadaniem samobójczego pytania: jak jeden i ten sam statek mógł startować w różnym czasie.

– Dyspozytora kosmoportu – poleciała Izabela, obrzucając Louisa nienawistnym spojrzeniem. – Jestem zastępcą dowódcy planetarnej filii Służby Bezpieczeństwa Imperialnego, nazywam się Izabela Kal – oznajmiła mężczyźnie, który pojawił się na ekranie. Jeszcze nigdy własny tytuł nie wydawał jej się tak długi i niepotrzebny. Żądam zawrócenia na planetę liniowca „Volantis”. Sprawa najwyższej wagi. W imieniu Imperatora.

Rozrywając kołnierz bluzy, wyciągnęła swój identyfikator na łańcuszku i przysunęła do obiektywu. Louis wytrzeszczonymi oczami wpatrywał się w jej obnażone piersi, pokryte purpurowymi plamkami od oparzeń i małutkimi nacięciami. W życiu by nie pomyślał, że Kal jest skłonna do masochizmu.

– Za późno – oznajmił dyspozytor, patrząc na jakiś inny ekran.

– Liniowiec właśnie wszedł w hiperskok. Coś się stało? Terrorysty?

Bomba?

Izabela rozłączyła się. Opadła na fotel i zapytała zmęczonym głosem:

– Więc kto był w naszych rękach? I skąd ten zdumiewający domysł?

Zerknęła na swoje piersi i z irytacją zasłoniła się bluzką. Louis zrozumiał, że jego szansę na karierę – i przeżycie – gwałtownie spadają.

Rozdział 10

Liniowce klasy „Volantisa” startowały miękko. Artur i Key siedzieli wprawdzie przypięci pasami, ale było to tylko daniną złożoną tradycji. Dziesięć minut lekkich przeskoków grawitacji – biorąc pod uwagę rozmiary liniowca, było to nieuniknione. Nawet najbardziej doskonałym konstrukcjom nie udawało się skompensować wszystkich przeciążeń.

Potem coś się niezauważalnie zmieniło. Podłoga stała się stabilna jak grunt planety, daleki szum silników zmienił ton.

– Weszliśmy w hiperskok – rzekł Key, zrzucając pasy bezpieczeństwa. – No i co powiesz?

Artur podniósł mokrą od łez twarz i zduszonym głosem wykrzyczał:

– Nie chcę... nie chcę... znowu...

Key przykląkł obok niego.

– Pamiętasz, jak na planecie chciałem zadać ci jedno pytanie?

Zadam je teraz.

Artur skinął głową.

– Ile razy umierałeś, chłopcze?

Twarz Curtisa juniora drgnęła.

– Ile razy? – powtórzył bezlitośnie Key.

– Siedemdziesiąt trzy razy. – Oczy Artura zaszkliły się znowu.

Keya przeszedł dreszcz.

Siedemdziesiąt trzy skoki z kruchego mostka życia przerzuconego nad ciemnością kosmicznej nicości. Ból odpływającej świadomości, zimny oddech wieczności i szarpnięcie siatki neuronowej, przywołującej cię z powrotem. To śmierć jest straszna, nie zmartwychwstanie. Nikt w galaktyce nie przechodził aTanu tyle razy nikt nie mógł sobie pozwolić na taką rozrzutność. Oprócz van Curtisa i jego syna. Chłopca, który umierał przez całe swoje życie.

– O Boże – Key poczuł, że kręci mu się w głowie. – Masz szesnaście lat?

Artur skinął głową.

– Po raz pierwszy umarłeś...

– Jak miałem dwanaście.

A więc Curtis junior umierał co miesiąc. Częściej – co trzy tygodnie. Co tam wieczne męki, które Curtis obiecał Keyowi za niepowodzenie – jedyny syn Curtisa znosił takie męki z własnej woli.

Były jego powietrzem, jego chlebem, jego szkołą. Jego życiem. Ten chłopiec był ze śmiercią na ty, Ten chłopiec nie mógł dorosnąć.

– Jesteś trzydziesty siódmy – wyszeptał Artur, – Prowadzili mnie mężczyźni, kobiety, chłopcy, mrszaniec, dziesięcioletnia dziewczynka. Znam was wszystkich... wszystkich was widziałem w trumnie.

Wszyscy z początku jesteście twardzi. Za wami ciągnie się krwawy ślad, nikt z was nie przetrwa. Wszyscy byliście twardzi... byliście.

– Ja cię doprowadzę.

– Oni też tak mówili. Każdy z nich miał kij i marchewkę. Czuję, kiedy coś się załamuje. Jak teraz.

Rozgryźli nas.

- Ale uciekliśmy, Artur.
- Dogonią.
- Dlaczego nie mogłeś dojść do celu wcześniej?
- Nie wiem. Jakby mnie coś trzymało.
- Graal jest dla najgodniejszych. Pamiętasz?

Artur uśmiechnął się słabo. Podrzucił głową w rozpaczliwej próbie powstrzymania łez.

– Już nie ma godnych, mój wierny sługo – powiedział. Ja jestem ostatnim z tych, którzy mają prawo dotknąć Graala. Posłałem was wszystkich... wiedząc, że tylko ja jestem nieśmiertelny. Albowiem ja... ja...

Key miękko przyciągnął Artura do siebie. Po raz pierwszy w życiu objął dziecko, które było jeszcze bardziej nieszczęśliwe niż on. Spotkali się w przestrzeni i czasie – dwie zranione dusze: dorosły, który nigdy nie był dzieckiem i dziecko, które nie mogło stać się dorosłym.

– Doprowadzę cię – powtórzył Key. – Nie jestem twoim sługą, sir Arturze. Jestem twoim przyrodnim bratem, mały królu. Zobaczysz Graala.

Artur cicho płakał na piersi Keya. Liniowiec szedł w poprzek przestrzeni, stalowy zbiornik pełen ludzkiego cierpienia.

– Co jest na Graalu? – zapytał Key.

– Bóg... – wyszeptał Artur, nie odrywając twarzy od przemoczonej koszuli ochroniarza.

– Co?!

– Bóg. Bóg z maszyny. – Palce Artura wczepione w ramiona Keya zadrżały i mężczyzna wołał więcej nie pytać.

Przy drzwiach odezwał się brzęczyk. Key po sekundzie odsunął Artura. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę, podał chłopcu i otworzył drzwi.

Na progu stała mała dziewczynka w wyszywanym kubraczku; włosy miała splecione w dwa krótkie, grube warkoczyki.

– Dzień dobry panu – ukloniła się niezgrabnie. – Jesteśmy sąsiadami. Czy pana syn nie zechciałby pokazać mi statku? Lecę pierwszy raz.

Z drzwi sąsiedniego przedziału wyjrzała kobieta o kasztanowych włosach. Pomachała Keyowi ręką.

– Dzień dobry! – przywitała się.

– Dzień dobry! – odpowiedział dobroduszny pan Ovald. Odwrócił się do syna:

– Nie chcesz pokazać statku panience?

– Chcę, tato – odparł posłuszny syn. – Dzień dobry, panienko.

Rozdział 11

Izabela Kal patrzyła na portret Artura van Curtisa. Chłopiec uśmiechał się, bezpiecznie ukryty we wnętrzu komputera i na idącym przez hiperprzestrzeń statku. Ile pieniędzy, zdrad, bohaterstwa, stało za jego jednym jedynym zdjęciem... Jak łatwo było dostać Artura żywego.

– Powinnam była zrozumieć – mruknęła. – Jest bardzo podobny do Curtisa seniora.

– Mamy zapis pamięci mężczyzny – próbował ją pocieszyć Louis. – Jego pobyt w rezydencji van Curtisa... to niemało.

Spojrzenie Kal nie wymagało odszyfrowywania. Mieli więcej niż „niemało”, a teraz cała zasługa przypadnie pracownikom Służby na Volantisie.

Nomachi zagrał *va banque*.

– Nikt prócz nas nie wie, kim są Ovaldowie – rzucił w przestrzeń. – Możemy zażądać deportacji z Volantis... albo przejąć ich tam.

– Mówisz o zdradzie – zauważyła beznamiętnie Kal.

– Mówię o doprowadzeniu operacji do końca. Powinniśmy sami zatrzymać Curtisa juniora.

– Dwoje to za dużo, by prowadzić operację tej skali.

– Mam aTan – powiedział szybko Louis.

– Rozumiem. Ja też. – Izabela zawahała się. – Jeśli wyjdzie na jaw, że ryzykowaliśmy interesy Służby dla osobistej kariery...

– Ale jeśli weźmiemy Artura...

– Kto wie o nagraniu pamięci?

– Mój informator w atanie i człowiek, który to nagranie zrobił. Raczej nie przejrzał całej taśmy... tylko ostatnie minuty.

– Likwidacja jest możliwa?

– Ludzi z aTanu? – Louis osłupiał. – Przecież są nieśmiertelni!

– Nagrania!

– Ostatnio bandy nabrały tupetu, pchają się nawet na kosmoport Imperium. Dlaczego nie miałyby zaatakować aTanu?

– Doskonale. Jeśli jeszcze powstańcy wezmą do niewoli tych dwóch i potrzymają ich na granicy życia i śmierci...

– Załatwione.

– Louis – Izabela przyciągnęła go do siebie niemal czule i zajrzała mu w oczy. – Jeśli pójdziesz za mną... do końca... wzniesiemy się wyżej niż mogłeś marzyć. Ale jeśli pociągniesz kołdrę na siebie, załatwię, żeby ogłosili cię „człowiekiem z jednym życiem”.

Nomachi skinął głową. Wierzył, że Izabela wywalczyłaby u Kurta Rockheima, Dowódcy Służby na Incediosie, taki wyrok. Kurt był gadatliwym wielkoludem, nieobciążonym ani lotnym umysłem, ani specjalną głupotą. Przesłuchując kobiety, często gasił cygara na ich piersiach.

Kochanka, która pozwoliłaby mu na to samo, mogła wiele zdobyć.

– Weźmiemy najlepszych ludzi... i najlepszych nie ludzi – ciągnęła Izabela. – Wezwij Ahara i T/sana. Ja odwołam Kadara i Marjan z operacji.

– Warto brać nie ludzi?

– Louis, warto brać każdego, kto nie korzysta z aTanu. Ahara, T/sana, wiecznie zadłużonego Kadara i Marjan, która wierzy w swojego starożytnego boga. Rozumiesz? I dowiedz się, kim jest Key Ovald. Choćbyś miał sprawdzić wszystkich poddanych Imperium, dowiedz się, kto to taki.

Dziękując losowi za w porę przedłużony aTan, Louis wybiegł z gabinetu. Kal patrzyła w ślad za nim. Powinien być jakiś sposób zabicia nieśmiertelnego, naprawdę... w przeciwnym razie pracownicy idioci zaleją cały świat.

Artur van Curtis powie jej, jaki to sposób.

– Że też to nie ja cię wypatrzyłam, chłopaczku! – zamruczała Kal niczym kotka. – Oszukałeś mnie, szczeniaku.

Artur van Curtis uśmiechał się do niej z ekranu.

Rozdział 12

W barze (ogromny ekran z fałszywym widokiem kosmosu, trzy stoliki, uprzejmy chłopak za kontuarem), Key pozwolił sobie na kieliszek ziemskiego wina. Było jak na jego gust za słabe i za kwaśne, ale wypił do dna.

Planował spędzić w półmroku baru sporo czasu, słuchając spokojnej muzyki. Ale po kilku minutach przysiadła się do niego parka z Incediosa – młodzi małżonkowie, a może po prostu zakochani.

Chcieli z kimś pogadać, namierzili Keya z daleka i przyklapnęli obok. Przez pierwsze dziesięć minut rozmowa była nawet interesująca. Później Key się znudził i wyszedł. Miał niejasne wrażenie, że parka chciała zakończyć znajomość w łóżku dla trojga, ale nie zdecydowała się na sprecyzowanie swojej propozycji.

W sklepiu liniowca Key kupił wielką torbę, ubranie dla siebie i Artura, stanner i konwój w zamian za te, które Służba odebrała im na Incediosie. Co prawda, broni do rąk nie dostał – otrzyma ją dopiero przy zejściu ze statku. Key wiedział, że jeśli przecucia Artura się sprawdzą i przy wyjściu z hiperskoku powita ich sfera patroli, tych kilka pistolecików im nie pomoże, ale bez broni czuł się jak goły.

Zaczął mu się psuć humor. Key odwykł od denerwowania się ewentualnymi nieprzyjemnościami, ale coś go gnębiło. Dopiero podchodząc do kajuty, zrozumiał, o co chodzi.

Zmieniał się jego stosunek do Artura. Nie traktował go już jak klienta. Najważniejsza zasada – nie ochraniać przyjaciół.

Key Altos pozwolił sobie na sympatię do chłopca. Nie myślał już o kiju i marchewce – po prostu nie chciał, żeby Curtis junior po raz kolejny umarł. To była katastrofa...

Telesieć statku nadawała jakiś miejscowy serial. Bohaterka młoda dziewczyna z biednej, lecz uczciwej rodziny – kradła owoce w sadzie bogatego handlarza nawozami. Handlarz, który przyłapał ją na miejscu przestępstwa, wpadł w ekstazę na widok urody dziewczyny i zapewnił jej pracę w sklepie. Właściciel sklepu, ugodzony w samo serce, pomógł jej zaciągnąć się na statek pasażerski. Kapitan statku...

Najbardziej przykre było to, że liczne sceny miłosne zaprezentowano ze zdumiewającą monotonią i brakiem gustu. Patrząc na okrągłą twarz młodej aktorki o szeroko osadzonych oczach, Key nie mógł pojąć, kto, prócz skazańca po dziesięcioletniej odsiadce, mógł zwrócić na nią uwagę. Czyżby na Incediosie taki był ideał kobiecej urody?

Zamówił ostatni, dziewięćdziesiąty szósty odcinek i po dwóch minutach świetnie się orientował, co wydarzyło się w poprzednich.

Bohaterka pracowała w centralnym biurze aTanu, na Terrze, przy okazji poszukując małoletniego syna, który urodził się w dziesiątym, a został porwany w jedenastym odcinku. Gdy do kajuty wrócił Artur, Key z zadowoleniem oznajmił:

– Patrz, to Curtis van Curtis.

– Tak? – zainteresował się Artur i wpatrzył się w szczupłego jasnowłosego chłopaka, bezskutecznie próbującego oszukać piękność. Zapytał:

– Kto był jej pierwszym kochankiem?

– Handlarz nawozami.

– Wróci do niego.

Artur nie pomylił się. Gwiazda powróciła na Incedios, po drodze rozpoznając w dzielnym poruczniku wojsk imperialnych zaginionego syna. Handlarz, który gdzieś w połowie serialu stracił pamięć i majątek, ujrawszy kochankę z lat młodości, wyzdrowiał.

Pewnie z przerażenia.

– Wreszcie zrozumiałem – powiedział Key, wyłączając telewizor. – Ten naród jest beznadziejny. I nieludzko odporny.

– Daj spokój – powiedział Artur, ścieląc łóżko. – To film sponsorowany przez aTan. Wszystkie filmy, na których Curtis van Curtis jest przedstawiony jako jasnowłosy młodzieniec-sklerotyk, zakochujący się w kompletnej idiotce, są sponsorowane przez aTan. To obniża zawiść i agresję.

Key nie był pewien, czy Artur mówi poważnie. Sądząc po tonie, chyba tak.

– Pokazałeś damie statek?

– Wszędzie, gdzie puścili. Potem jej mama dała nam herbaty.

– Miła kobieta.

– Key – Artur usiadł na łóżku, rozsznurowując adidasy. W dzień nagadałem ci różnych rzeczy, zapomnij o wszystkim. Albo nie, nie o wszystkim. Bo chcę cię poprosić...

– Mów.

– Nie zabijaj mnie. Nigdy mnie nie zabijaj, bez względu na to, co się stanie... Bo nie będę mógł być twoim przyjacielem.

– Myślisz, że to dla mnie ważniejsze niż rozkaz Curtisa?

– Tak.

Wieczne męki...

– Nie zabiję cię.

– Dziękuję.

Key usiadł na swoim łóżku i wyłączył światło.

Kim stanie się człowiek, który zabija od dzieciństwa? Ochroniarzem. A kim stanie się człowiek, który od dzieciństwa umierał?

– Dobrej nocy, Arti.

Artur bardzo długo milczał.

– Dobrej nocy, Key. Pamiętaj, obiecałeś.

CZĘŚĆ TRZECIA
ŚLISCY PRZYJACIELE

Rozdział 1

Płynęły spokojne dni. Liniowiec szedł przez hiperprzestrzeń, jak osobny świat. Mogła wybuchnąć gwiazdna wojna, mogły spłonąć wszystkie planety – krucha metalowa skorupa żyła własnym, przyspieszonym życiem.

Artur, jak dobrze wychowany chłopiec, spacerował z dziewczynką z sąsiedniej kajuty. Key znowu zetknął się w barze z parką nowożeńców, którzy również tym razem nie okazali większej śmiałości.

Mógł ich zachęcić... gdyby tylko nie myślał o ludziach Służby, czekających na nich na końcu drogi. Nawet nie zauważył, kiedy uwierzył w tę myśl i zżył się z nią. Teraz po prostu z nim była krótka walka na końcu lotu. Key nie chciał mnożyć liczby osób zmartwionych jego śmiercią.

W końcu pocieszyła go dziewczyna z serwisowej załogi liniowca.

Potrzebowała tylko odrobinę zdrowego seksu i nieco więcej niż odrobinę pieniędzy. Pieniądze Curtisa van Curtisa Key trwoniał bez litości.

Odrętwienie przerwał Artur.

– Mama Wiery Andriejewny podziękowała mi – wypalił, wpadając do kajuty. Key oglądał prospekt reklamowy „Volantisa”, po raz kolejny zastanawiając się, czy można porwać statek w pojedynkę. Wychodziło, że nie.

– I tak cię to wzburzyło? – zdziwił się.

– Pożegnały się. Wieczorem schodzą ze statku.

Do Volantisa były jeszcze trzy doby podróży. Wyjścia z hiperprzestrzeni nie planowano. Key oznajmił o tym Arturowi, a ten uśmiechnął się triumfalnie.

– Liniowiec wyrzuca czółno w systemie Dogara. Leci tam mnóstwo pasażerów.

Key przeklął brzydko sam siebie i wyskoczył z kajuty. Powinien był przewidzieć taką ewentualność, zamiast szykować się na nieuchronną śmierć.

Trzeciego pilota, który odpowiadał za dowieszenie pasażerów, Key znalazł na pokładzie załadunkowym. Niepozorny człowieczek, któremu nawet elegancki mundur nie był w stanie poprawić wyglądu, cierpliwie go wysłuchał. Bardzo starannie obejrzał dokumenty i zapytał:

– Zdaje pan sobie sprawę, że lot w czółnie niesie ze sobą określone ryzyko?

– Oczywiście. – Key przyglądał się facecikowi gładzącemu wąsy i nie mógł zrozumieć, do czego on zmierza.

– Ma pan aTan?

– Tak, ale nieopłacony.

O dziwo, pilota to usatysfakcjonowało. Wyciągnął z kieszeni poliniowaną kartkę papieru i powiedział:

– Jest tylko jedno miejsce. Może pan wysłać syna albo polecieć sam.

– Niech mi pan da tę listę – poprosił Key.

W końcu udało mu się namówić niejaką Gertrudę Teffer, żeby leciała na Volantis. Opisał jej luksusowe sklepy, swobodę obyczajów młodzieży i dał dość pieniędzy, by wystarczyło na jedno i drugie. Gertruda zrezygnowała ze swojego miejsca.

Można było powiedzieć, że sam Bóg miał ją w swojej opiece.

Chociaż... Drugi poranek na Volantisie Gertruda powitała nago, przywiązana do kamiennego stołu

w ogrodzie wspaniałej rezydencji. Gościnny gospodarz stał obok z nożem w ręku i czekał na wschód słońca. Obyczaje młodzieży na Volantisie były jeszcze bardziej swobodne niż przypuszczał Key, a w ostatnich latach kult Słońca-Opiekuna stał się szalenie popularny.

Gdy słońce wzeszło, Bóg odwrócił się od Gertrudy Teffer.

Rozdział 2

Statek patrolowy Służby Bezpieczeństwa Imperialnego był słabo uzbrojony, ale mógł rozwinąć dużą prędkość. W systemie Volantisa wynurzył się w momencie, gdy ożywieni pasażerowie liniowca wsiadali do czółna.

Na pokładzie korwety było dwoje nie ludzi, jeśli ktoś nie uważał T/sana za człowieka, przy czym on, wbrew logice, czasem się upierał, i czworo ludzi, jeśli zaliczyć do nich Marjan, co z kolei było kwestionowane na wielu planetach.

– Liniowiec nadal w drodze – powiedział Louis, oglądając informację operacyjną. – W Imperium spokój.

Planeta krążyła pod nimi – idealna kula, całkowicie pozbawiona warstwy chmur i niemal zupełnie wody. Ażurowa sieć osłony słonecznej dryfowała pomiędzy planetą a gwiazdą, obniżając śmiertcioność radiację.

– Nie zbliżaj się do osłony, Kadar – przypomniała pilotowi Izabela. – Spalą nas bez uprzedzenia.

– Wiem, szefowo – odpowiedział Kadar bez zbytniego szacunku. Był starszy nawet od Izabeli, a Tan odnawiał od przypadku do przypadku i jego długie życie można było wyjaśnić jedynie szczęściem. Kadar miał gdzieś regulaminy, rangi i karierę. Uczestniczył w najbardziej ryzykownych awanturach i wychodził z nich bez szwanku. Kal wzięła go między innymi ze względu na jego fart. Człowiek, który z konfliktu tukajskiego wyszedł bez zadrapania, będzie godnym przeciwnikiem Keya Ovalda, miłośnika jazdy na kombajnie.

– Otrzymałeś odpowiedź, Louis? – głos Izabeli brzmiał nieco cieplej. W czasie lotu przespali się ze sobą i w ich wzajemnym stosunku pojawił się cień sympatii. Intymności i tak było aż nadto Artur Curtis skutecznie scementował ich w związek.

– Otrzymałem – odparł Nomachi bez entuzjazmu. – W żadnej kartotece, włączając cywilną, nie ma tego człowieka. Możliwe, że zmieniono mu ciało...

– Nie – ucięła Izabela.

– Ale Keya Ovalda nie ma wśród żywych!

– To poszukaj wśród martwych. – Z tą radą Kal zeszła z mostka. Podobała jej się praca z Nomachim – potrzebował tylko wskazówek, a następnie z wytrwałością Silikoida doprowadzał sprawę do końca. Samej Izabeli nigdy nie starczyłoby cierpliwości... Szkoda, że Louisa trzeba będzie zlikwidować.

Czółno zostało wyrzucone w realny kosmos. Lekka wibracja korpusu, potem przeskoki grawitacji i wesoły głos pilota:

– Obywatele Imperium, jesteśmy w przestrzeni Dogara. Lot do bazy orbitalnej zajmie sześć do siedmiu godzin. Zrelaksujcie się i podziwiajcie widoki.

Nie było specjalnie co podziwiać, najwyżej pomarańczową tarczę gwiazdy na ekranie. Ale Key i Artur siedzieli na końcu pokładu, więc nawet od tej wątpliwej przyjemności byli odgradzeni dwudziestoma rzędami foteli.

– Teraz wszystko w porządku, Artur? – zapytał Key. Artur pokręcił głową.

Czółno wytracało prędkość, zbliżając się do planety. Ktoś wstał i poszedł do automatycznego baru w poszukiwaniu alkoholu. Key obejrzał drzwiczki sejfu umieszczonego przy drzwiach komory

śłużowej. Tam trzymano broń pasażerów, na razie nieodstępną. Sejf wyglądał na dość łatwy do otwarcia.

Key Ovald poklepał Artura po ramieniu i podszedł do sejfu. Kilka osób zareagowało na jego poczynania zdumionymi spojrzeniami, ale milczało. Jedyne pilot zbyt był zajęty sterowaniem, by obserwować, co się dzieje na pokładzie.

– Znalazłem go – oznajmił Nomachi. – Nazywa się Key. Key Altos. To zawodowy ochroniarz, miał patent i obywatelstwo Imperium. Zginął dwa tygodnie temu na Cailisie. Nie zdążył przedłużyć aTanu i ktoś załatwił go w pokoju hotelowym.

– Nie robi zbyt dobrego wrażenia.

– Zaliczał się do pierwszej setki dwa lata temu. Potem trochę zjechał...

– Dziwne. Van Curtis mógł znaleźć dla syna lepszego ochroniarza. A skąd obywatelstwo Imperium? Wybitne zasługi?

– Nie, Altos jest z Trzech Sióstr.

– A więc włóczęga...

Izabela przeszła się po swojej kajucie, usiadła na łóżku.

– Coś przegapiamy, Nomachi. Albo Key, albo Artur mają w sobie coś niezwykłego.

– Szczeniak van Curtisa nie może być zwyczajny.

– Chciałabym na niego popatrzeć, gdy dorośnie. – Kal uśmiechnęła się. – Szkoda, że mu się to nie uda. – Przeniosła spojrzenie na Louisa. – Chodź tu do mnie.

Sejf był rzeczywiście prosty. Gdyby Key miał choćby konwój albo zwykłe wiertło... Albo cokolwiek, poza podaną wraz ze śniadaniem wykałaczką. Wziął z automatu kubeczek dzinu z tonikiem i wrócił na swoje miejsce.

– Wkrótce dolecimy – obiecał Arturowi. W tym momencie znowu ożył głośnik:

– Obywatele Imperium, zbliża się do nas kwarantannowy statek Dogaru. Drobne formalności... lądowanie nieco się opóźni.

Pilot starannie próbował ukryć zdumienie – i prawie mu się udało. Tylko w pierwszych rzędach zapłakało malutkie dziecko – dla niego ton był ważniejszy niż słowa. Key położył rękę na ramieniu Artura i zamknął oczy.

Grube nieprzyjemności zaczynają się zwykle od drobnych formalności.

Rozdział 3

Marjan modliła się, klęcząc. Izabela stanęła na progu kajuty, obserwując rytuał – służbowy żeton pozwolił jej otworzyć drzwi bez sygnału.

Tyłem, w ubraniu, starszy agent Służby Marjan niczym nie różniła się od człowieka. Ciemne rozpuszczone włosy zasłaniały szyję, złożonych na piersiach rąk nie było widać. Jedynie lekki szum, towarzyszący każdemu jej ruchowi nie mógł być wydawany przez człowieka.

– Albowiem ciało jest słabe i nie ma innej drogi, a nasza droga jest dla ciebie... – Marjan zamilkła. – Czym mogę służyć, zastępco dowódcy Kal?

– Przed wstąpieniem do Służby byłeś ochroniarzem. Tak, Marjan?

Muhammadi wstała płynnym ruchem, odwracając się jednocześnie, niczym śruba wykręcana z drewna.

– Tak.

Już nie przypominała człowieka. Dłonie miała zbyt duże, a na czarno-zielonych palcach było tyle ciała co teflonu na patelni. Twarz maska ze srebra i kryształu. Mechanicy zawsze zaczynali przeróbkę organizmu od twarzy. Szyja składała się z pierścienia ciemnego metalu, spod których wyglądała plastikowa osnowa.

– Marjan, co pani mówi nazwisko Key Altos?

– Bardzo wiele. – Miękkie ludzkie usta na srebrnej twarzy uchyliły się. Muhammadi nie zmieniała jeszcze krtani na syntezator mowy.

Kal poczuła ożywienie. Wojownik znający przeciwnika to duże szczęście. Czasem większe niż pluton piechoty imperialnej.

– To obiekt naszej operacji. – Kal wołała na razie nie mówić o chłopcu.

– Rozumiem. – Jeśli nawet Marjan była zdumiona, srebrna maska skryła emocje.

– Co może pani o nim powiedzieć?

Kryształowe soczewki pociemniały, zostawiając Marjan sam na sam z pamięcią.

– Key Altos... niezwykle interesujący... widziałam go trzy razy.

Bardzo wysokie walory fizyczne, doskonała umiejętność syntez-yodo powerkillingu, świetna reakcja, stała samokontrola. Duże... bardzo duże zdolności językowe, w tym do języków innych ras. I co za tym idzie, w razie potrzeby umiejętność nawiązywania kontaktów.

Siła psi bliska zeru. Skryty, nie afiszuje się ze zdolnościami, ale potrafi się otworzyć i serdecznie porozmawiać.

– Wspaniałe dane... jeśli nie liczyć siły psi.

– Siła psi nie jest ochroniarzowi potrzebna – odparła pogardliwie Marjan. – Szczególne, lecz niestabilne możliwości tylko dekoncentrują.

– Uważasz Altosa za poważnego przeciwnika? – indagowała dalej Kal.

– Nie. – Soczewki Marjan pojaśniały. – Jest w nim jakaś beznadziejność.

– Co?

– Jest skazany – wyjaśniła cierpliwie Muhammadi. – To charakterystyczne dla ludzi, których planety zginęły. Pomogłoby mu doskonalenie ciała, ale on woli aTan.

– Dziękuję, Marj. Przedstaw swoje informacje w raporcie. Wieczorem opowiesz wszystkim to, co

przypomnisz sobie o Keyu.

Wychodząc z kajuty, Kal wzruszyła ramionami. Key Ovald nie wydawał się jej skazany. Pod żadnym względem.

Może zapomniał już o swojej planecie.

Czółno szarpnęło się w objęciach pola stykowego. Lekko zmieniła się grawitacja – widać podciągano ich do statku kwarantannowego. Na ekranie nadal był kosmos, majestatyczny i obojętny. Na pokładzie trwało pełne napięcia milczenie – ludzie przypominali sobie swoje grzeszki. Key Ovald myślał o van Curtisie i obiecanej wieczności.

Curtis van Curtis umiał dotrzymywać słowa.

– Artur...

– Nie – odparł chłopiec, nawet się nie odwracając. Poruszył ramieniem i strząsnął rękę Keya. – Nie. Obiecałeś.

Z luku komory służowej dobiegł łoskot. Znowu zapłakało dziecko w pierwszym rzędzie. Drzwi kabiny pilotów otworzyły się i młody mężczyzna, przytrzymując kaburę przy pasie i uśmiechając się nieszczerze, przebiegł pomiędzy fotelami do służy.

– Co się dzieje?! – krzyknęła histerycznie ciemnoskóra dziewczyna. Pilot nie zwracał na nią uwagi. Służa już się otworzyła i na pokład czółna weszło dwóch mężczyzn. Wbrew oczekiwaniom Keya, nie nosili emblematów Służby Imperialnej, tylko naszywki Służby Kwarantannowej: białe koło w czerwonym pierścieniu. Jeden był chyba nieuzbrojony, drugi miał trziemiela.

– Kwarantannicy? – zapytał cicho Artur. Key wzruszył ramionami. Służba Kwarantanna miała prawo zatrzymać czółno z Incediosa, ale dlaczego w takim razie wchodzący mieli podniesione przyłbice hełmów?

Pilot porozmawiał z nimi po cichu, spojrział na jakiś papier, po czym odwrócił się i głośno powiedział:

– Osoby z czynnym aTanem, proszę wstać.

Po rzędach przetoczył się ruch, ale nikt nie wstał. Pilot zaczął się o coś spierać z kwarantannikami. Ten, który nie nosił broni, niedbałym gestem opędził się od niego i zwracając się do towarzysza, powiedział:

– Zamelduj dowódcy: Tiss-al arah, zeygisal...

Artur Curtis zobaczył, że twarz jego ochroniarza wykrzywia grymas, jak od nieprzyjemnego i niespodziewanego wspomnienia.

– Parę formalnych procedur dla ogólnego dobra – oznajmił głośno kwarantannik z pistoletem. – Wszyscy pozostają na swoich miejscach aż do specjalnego zarządzenia...

Key wstał z fotela i wyciągając z kieszeni dokumenty podszedł do służy.

– Panowie, mam tu napisane, może zechcielibyście popatrzeć... nie planowano przystanków...

Nie zwracając uwagi na podniesiony pistolet, podsunął dokumenty pilotowi.

– A co ja mam do tego? – opędził się on. – Służba Kwarantanna mi nie podlega!

Teraz Key przeniósł uwagę na tych, którzy weszli. Dokumenty przewędrowały do rąk nieuzbrojonego kwarantannika, który zdumiony przebiegł je wzrokiem:

– Nazywa się pan Key Ovald i jest pan z Endorii. I co z tego?

– To, że jesteś trupem.

Pistolet pilota, który nie wiadomo jak znalazł się w ręku Keya, wydał świszczący dźwięk. Pomarańczowe światło zapłonęło na pancerzu kwarantannika. Pancerz szczęknął, rozdymając się. Ochroniarz cicho, nieludzko zapiszczał i zrobił krok do przodu. Ze słonecznego pancerza chlusnęła wrząca krew.

Żeby trafić człowieka pociskiem plazmowym w szczelinę pomiędzy segmentami i ugotować go w jego własnym pancerzu, potrzebne były umiejętności wysokiej klasy. Kwarantannik z trzmielom rozumiał to i nie zamierzał współzawodniczyć z Keyem w szybkości. W milczeniu rzucił pistolet na podłogę i podniósł ręce.

– Mądra decyzja. – Key przesunął pistolet w stronę pilota, który grzebał ręką w pustej kaburze. Mężczyzna cofnął się, odruchowo kryjąc się za oparciami foteli.

– Czólno nie zdoła odejść od krążownika – oznajmił bezbronny kwarantannik.

– Wiem o tym – rzekł obojętnie Key. – Zaar-co, sswiss? Darlok shi cero?

– Zaa Dar? Sheri sicz human?

– Nie – pokręcił głową Key. – Tu się mylisz, nie pracuję dla was.

Kwarantannik rzucił się do służy. Wystrzał dogonił go w skoku, rozdarł pancerz, zostawił w plecach dymiący lej i rzucił na podłogę.

Człowiek z przestrzelonym kręgosłupem wstał z podłogi i chwiejnie powlókł się do służy. Na pokładzie krzyknęła kobieta, potem druga. Key wystrzelił jeszcze raz – kwarantannikowi oderwało pół głowy. Ale dopiero trzeci wystrzał, między łopatki, sprawił, że upadł na podłogę.

Od krzyków aż dzwoniło w uszach. Najbardziej domyślni skulili się na fotelach, kilkoro oszołomionych ludzi siedziało bez ruchu, nie mogąc oderwać wzroku od tego, co się dzieje. Pokład przypominał rozgromioną rzeźnię. Beżowe panele ścian zalane były krwią, powietrze wypełniał mdlący zapach spalonego białka. Niewzruszony, niczym oko wywołanego przez siebie huraganu, Key podszedł przez pokład do Artura, trzymając pistolet przy biodrze. Chłopiec, wciśnięty w fotel, patrzył na niego z przerażeniem.

– Nie mamy innego wyjścia, Arti! – Key niemal krzyczał. – Powiedz, że mogę to zrobić!

Artur pokręcił głową.

– Mały, to nie Służba, to gorzej!

Curtis junior patrzył na lśniący otwór lufy. Od pistoletu płynęło ciepło, wyczuwalne nawet z półmetrowej odległości.

– Artur... – Key obejrzał się i jednym wystrzałem dołączył pilota do pracowników Służby Kwarantannowej. Podniesiony przez pilota trzmiel znowu poleciał na podłogę. Mężczyzna siedzący obok służy skoczył do luku. Do niego Key nie strzelał.

– Mały, uwierz mi! – Key usiadł na swoim fotelu, nie odsuwając lufy pistoletu od Artura. – Nie możemy pozwolić, by wzięli nas żywcem... To Darloksanie, Darlok!

Artur milczał. Jego ochroniarz jednak oszalał. Rasa Darlok przypominała ludzi tylko liczbą kończyn. Zabici przez Keya kwarantannicy byli podobni do Darloksan mniej więcej w tym samym stopniu, co Silikoidy.

– Arti... – Palec Keya spoczął na spuście i Artur zobaczył w oczach Altosa starą znajomą – śmierć. Key był teraz jej pełnomocnym posłem, bezlitosnym i nieposkromionym. Trzy Siostry, zdeptane przez Sakrasów i spalone ludzkimi bombami, nieletni dręczyciele małego Keya, który nie

umiał być dzieckiem, dwadzieścia lat pracy z bronią w ręku, Artur rozerwany wybuchem interfazowego silnika i powstańcy Incediosa – wszystko było w tym spojrzeniu.

I zostało tam jeszcze wystarczająco dużo miejsca na śmierć nieśmiertelnego Artura van Curtisa.

– Nie zabijaj mnie – powiedział chłopiec, który nie mógł dorosnąć.

Key Altos zaczął krzyczeć. Pistolet w jego ręku ożył, posyłając na pokład ognistą śmierć. Artur zrozumiał, że Key w pierwszej kolejności zabija dzieci. Zdażył wystrzelić trzy razy, zanim czółno wypełnił huk rzuconej ze śluzy bomby.

Rozdział 4

Liniowiec „Volantis” wyszedł z hiperprzestrzeni w rejonie ojczystej planety. Po powłoce przebiegły rozbłyski statycznych ładunków i zgasły, wessane w metal. Liniowiec zaczął płynny skręt, wychodząc na trajektorię hamowania.

W tym momencie lokatory odnalazły małe stateczki, idące na zbliżenie.

– Służba Incediosa?... – drugi pilot z niedowierzaniem popatrzył na rozkodowane sygnały wywołania. – Hej, kto okradł Incedios? I co się tam udało capnąć?

Nie czekając na polecenie, liniowiec otworzył port cumowniczy. Trajektoria stateczku była wystarczająco jednoznaczna.

– Ahar, pamiętaj, chłopca trzeba wziąć żywcem. – Kal, już zapakowana w pancerz siłowy, wydawała ostatnie polecenia. – Może próbować skończyć ze sobą... Nie dopuść do tego.

Najemnik – Bullrat, jeden z nielicznych nie ludzi pracujących w Służbie Incediosa, skinął łbem. Nie uznawał pancerza i jego jedynym ubraniem była krótka spódniczka z twardego srebrnego materiału. Broń Ahar mimo wszystko wziął. Dziesięć lat Wielkiej Wojny oduczyło Bullraty polegać jedynie na sile fizycznej.

– Marjan, T/san, wy zapewniamie wsparcie ogniowe. Ja, Louis i Kadar osłaniamy was.

Izabela Kal przeżyła wystarczająco wiele akcji, by nie bać się zarzutu tchórzostwa. Ale nie miała zamiaru ginąć w chwili swojego triumfu. Tylko ona i Nomachi mieli na sobie ciężki pancerz siłowy znacznie spowalniał ruchy, ale mógł wytrzymać dwa, trzy strzały z blastera.

– Naprzód.

Ze stannerem w lewej ręce – prawą Bullraty zawsze zostawiają wolną do walki wręcz – Ahar skoczył w krótki tunel śluzy. W ślad za nim, z gracją dobrze wyregulowanego mechanizmu, runęła Marjan. T/san, który leżał na podłodze w zrelaksowanej pozycji, odczekał trzy sekundy i ruszył za nimi. Jego metalowe ciało, stanowiące dla Muhammadi niedościgniony ideał, błysnęło lustrzaną przeciwlaserową osłoną. Segmentowe nogi wyprostowały się, rzucając T/sana do przodu, i jednocześnie tęczowy nimb pola siłowego otoczył jego głowę – najbardziej wrażliwą część ciała Mekłończyka. Jego przodkowie byli istotami organicznymi, w podłużnym pysku gada nadal pozostawały wrażliwe tkanki.

Kapitan liniowca sam wyszedł do śluzy. Jego ciało było zbyt młode na takie stanowisko – nieomylna oznaka praktykowanego aTanu. Skomplikowany tatuaż na lewym policzku i długie rude włosy świadczyły o przynależności do elity Volantisa. Służba rzadko zatrzymywała statki klasy „Volantisa” i kapitan uznał za swój obowiązek jak najszybciej wyjaśnić wszelkie nieporozumienia. Kilku wolnych od wacht członków załogi stało za jego plecami, gotowych do rutynowej kontroli albo całkowitego przeszukania statku. Niemal każdy wiózł z Incediosa rzeczy podpadające pod kategorię kontrabandy, ale w ogromnym statku było bardzo wiele ustronnych miejsc.

Gdy z tunelu wyskoczył ogromny Bullrat – z wyszczerzoną w przeczuciu walki paszczą i stannerem, wyglądającym na zabawkę w kudłatej łapie – kapitan cofnął się. Dawne strachy ożyły z nową siłą, w głowie mignęła mimowolna myśl, że najstraszniejsi przeciwnicy ludzkości znowu wkroczyli na wojenną ścieżkę.

Ahar zaszczycił zebranych krótkim spojrzeniem, po czym, nie zauważając ani Keya, ani Artura, zamarł w bojowej pozycji. Znaczek służby, połyskujący przez gęstą sierść, powstrzymał ręce już sięgające po broń.

W ślad za Bullratem na statek wdarły się dwie istoty – jedna była cyborgiem-Mekłończykiem w transformacji bojowej, druga, wyglądająca na jego karykaturę, urodziła się jako kobieta. Następnie zjawili się ludzie – dwóch mężczyzn, krańcowo odmiennych: niewysoki, dobrodusznie uśmiechnięty grubas, zakuty w szarą kolczugę pancerza siłowego, wymachiwał trzmielcem jak stekiem, drugi zaś – kościsty i żyłasty, przypominał chodzącą podstawkę do swojego dowodu 36.

Jako ostatnia, również w pancerzu siłowym, do służby weszła jasnowłosa kobieta. Na pancerzu wisiał na łańcuszku złoty medalion Służby – kobieta należała do wyższego składu dowódczego.

– Potrzebni są nam ludzie znani jako Key i Artur Ovaldowie powiedziała.

Rozdział 5

Key ocknął się.

Bomba miała ich tylko ogłuszyć. Nie pamiętał, jak go wzięli.

Ale pistoletu już nie miał, a giętka taśma kajdanków skuwiała ręce za plecami.

Leżał na podłodze w ogromnym pomieszczeniu – najwidoczniej sali treningowej krążownika. Wokół leżeli ludzie, również ze skutymi rękami. Artura Key nie widział. Za to na jego przebudzenie czekał szczupły jasnowłosy człowiek o wąskich ustach, w wojskowym mundurze Dogara. Strzykawka-tubka, którą miał w rękach, najwyraźniej przyspieszyła przebudzenie się Keya.

– Popeliłeś przestępstwo – oznajmił człowiek o wąskich ustach.

– Ponieśliście straty, ress tis-al – odparł Key, z trudem zmuszając krtań do wydawania dźwięków obcej mowy.

Mężczyzna odezwał się po chwili milczenia:

– Skąd znasz język Darloka do drugiego stopnia prawdy?

– Nie było to twoją sprawą, zanim mnie poznałeś, i nie stanie się nią teraz – Key podciągnął kolana do brzucha i wyprostował się w niewygodnej, ale jednak półsiedzącej pozycji.

– Będziesz musiał umrzeć – oznajmił Dogarczyk.

– I zabrać ze sobą wiedzę – przyznał Key.

Dogarczyk wstał i popatrzył na salę pełną ogłuszonych, powoli odzyskujących przytomność ludzi.

– Wiele tu wiedzy, która nigdy nie stanie się naszą – powiedział. – Dlaczego twoja miałaby być cenniejsza, illis?

– Dlatego, że znam mowę Darloka do trzeciego stopnia prawdy, ne cik.

Mężczyzna zawahał się. Key nawet się roześmiał – głuchym, pozbawionym wesołości śmiechem skazańca.

– Czy pomoże to, co teraz powiem? Tiszcz darlok, zens aalfoz.

Człowiek o wąskich ustach zastanowił się chwilę. Pokręcił głową.

– Nie. Upadłeś zbyt nisko, by podnieść się po źdźbło trawy.

– A gdybym nie zaczął strzelać w czólnie?

– I tak nie.

– Dziękuję. Już zaczynało mnie to dręczyć.

Dogarczyk pokręcił głową, dziwnym ruchem, jakby przeszkadzała mu ruchomość własnej szyi.

– Z kim będziesz szczery?

– Nazywali go Bart Paolini... skazany za szpiegostwo na Rilusie.

– Mało danych.

– Ja nazywałem go Ezsanti Kri Cesciafo, Mężczyzna skrzywił się.

– Powtórz.

Key powtórzył.

– Spróbujemy – zdecydował Dogarczyk. – Masz jakieś prośby niewychodzące poza granice rozsądku?

– Mój syn... byliśmy obok siebie, gdy wzięliście czólno. Nasze losy powinny być splecione.

– Dobrze. – Dogarczyk odwrócił się i ruszył w stronę drzwi, starannie przechodząc nad poruszającymi się i jęczącymi ludźmi.

Key poczekał, aż zamkną się za nim drzwi, i wstał, z trudem utrzymując równowagę. Ciało bolało, a w uszach trwało ciche brzęczenie – efekty bomby. Snuł się po sali, dopóki nie zobaczył Artura leżącego na wznak na podłodze.

– Witaj – powiedział Artur.

– Witaj. – Key usiadł obok. – Z czego się cieszysz, głuptasie?

– Nie zabiłeś mnie.

– Jeśli ten, którego można nazwać królem Pendragonem, dobierze się do mnie, nie znajdę usprawiedliwienia. Nie mam go nawet przed samym sobą. – Key położył się na podłodze i przybrał wygodną pozycję. – Rozprostuj palce, Arturze, żeby ci dłonie nie zdrętwiały.

– Dobra.

Leżąca metr od nich kobieta otworzyła oczy. Jeden policzek miała purpurowy od oparzenia. Gdy jej wzrok stał się bardziej przytomny, szarpnęła się i krzyknęła:

– Sukinsyn! Zabiłeś Ricki, ty bydlaku!

Związane ręce nie pozwalały jej dobrać się do Keya. Splunęła mu w twarz. Key odwrócił głowę, wytarł plwociny o podłogę i powiedział po prostu:

– Jeszcze zrozumiesz, jak wiele dla niego zrobiłem. A teraz zamilcz, bo zabiję i ciebie.

Kobiety te słowa nie uspokoiły. Miotła się w hysterii, póki pod sufitem nie rozbłysnął strzał ze stannera.

Po nim nawet jęki przycichły.

Rozdział 6

- Pozwoliliście im uciec – oznajmiła Izabela. Dla tych, którzy ją dobrze znali, ten spokojny ton był zwiastunem nadciągającej burzy. Ahar podszedł bliżej.
- Pozwoliłem pasażerom wypuszczonym przez was z planety zająć wolne miejsca w czólnie. – Kapitan liniowca nie miał zamiaru kajać się za nieistniejące grzechy. – To moje prawo.
- Ahar zrobił lekki ruch i kapitan zgiął się w pół, padając pod nogi swoich ludzi.
- Oto pańskie prawo – powiedziała Kal. – Dlaczego nie dał pan znać na Incedios o zrzuceniu czółna?
- Kapitan dostał ataku kaszlu i stracił ochotę na dyskusję.
- Odpowiadać! – szczechnął Bullrat. Uwielbiał swoją pracę. Dawała mu możliwość rządzenia ludźmi. Czasem tymi samymi, którzy pognębili jego cywilizację w latach Wielkiej Wojny.
- Regulamin... regulamin tego nie wymaga...
- Izabela nachyliła się nad sapiącym człowiekiem.
- Kolego, nie jesteś już tym naiwnym chłopcem, którym byłeś w tym ciele po raz pierwszy. Nauczyłeś się asekuracji i nie musisz jęczeć o regulaminie.
- Silniki panczerza zawyły, gdy uniosła kapitana w powietrze. Trzymając go w wyciągniętej ręce, obrzuciła spojrzeniem jego ludzi.
- Członkowie załogi przywarli do ściany. Mogli stać się kozłem ofiarnym arystokraty ponizzonego w obecności plebejuszy.
- Ja... zwróć się do władz – wycharczał kapitan. – Nie jesteście na Incediosie...
- Służba wyraża wolę Imperatora na wszystkich planetach wtrącił się do rozmowy Nomachi. – Mamy prawo...
- Cisza! – Izabela wolną ręką chwyciła kapitana za krocze. – Chcesz być mężem dla swoich żon czy eunuchem w cudzym haremie?
- Zakute w metal palce zacisnęły się lekko.
- To Red, Red Garsch! – zawył kapitan, dokonując niezbyt skomplikowanego wyboru pomiędzy zwykłym poniżeniem i poniżeniem pomnożonym przez ból. – Płacił mi za dochowanie tajemnicy!
- Zanim kapitan dokończył, niepozorny człowieczek stojący w tylnych rzędach załogi skoczył w stronę otwierających się usłudnie drzwi.
- Brać go! – rozległ się spóźniony okrzyk Kal. Marjan i T/san rzucili się w pogoń, wyprzedzając nawet Ahara. Izabela ze wstrętem opuściła kapitana, obejrzała się na pozostałych ludzi i zapytała: Radar, przypomnij mi, jaka jest kara dla handlarzy niewolnikami?
- Zgodnie z prawem planety, najwyższa – chudy mężczyzna, gładzący lufę dowodu 36, był wyraźnie zadowolony z tego, co się tu działo.
- W takim razie temu spryciarzowi oberwie się tylko za niepłacenie podatków.
- Kapitan wił się na podłodze, obmacując cudem ocalałe narządy.
- Cena jego życia spadała w zawrotnym tempie. A wszystko z powodu tej cholерnej baby, która wmieszała się w ich mały, wypieszczony biznes.
- Zatrzeszczał rozrywany plastik – spieszącej się z powrotem Marjan nie usatysfakcjonowało tempo pracy serwomotorów i rękami wcisnęła skrzydła drzwi w ściany.

– On się zabił, Kal!

Izabela spochmurniała. Handlarze niewolnikami, po cichu sprzedający jedną czy dwie setki bezbronych uciekinierów, nie są na ogół skłonni do samobójstw. ATan jest drogi, a prawo Volantisa bije tylko po kieszeni...

– Zastępco dowódcy... – Marjan przysunęła się do Izabeli. Puszczając sobie promień w skroń, zawołał jedno słowo...

Kal czekała w milczeniu.

– Darlok!

Tylko agenci Darloka, zamkniętej, starożytnej rasy mieli ten dziwny zwyczaj – ujawniać przed śmiercią swoich najemców. Kiedy indziej Kal byłaby szczęśliwa – wyjawienie spisku wróżyło i sławę, i awans w karierze, ale teraz Izabelę ogarnęła rozpacz. Wymykał się jej z rąk aTan, tajemnica nieśmiertelności i śmierci nieśmiertelnych.

– Marjan, wyciśnij z tego wyrodka wszystko, co wie. Wyciśnijcie wszystko ze wszystkich. Ja i T/san pójdziemy na mostek i postawimy statek w dryf.

Muhammadi skinęła głową i odwróciła srebrną maskę twarzy do kapitana. Jej głos zabrzmiał figlarnie, jakby znów przemieniła się w człowieka:

– Kotku, ręczę, że takich jak ja jeszcze nie miałeś...

Kapitan zaczął krzyżeć. Nie myślał już ani o honorze, ani o biznesie. Miał bujną wyobraźnię.

Nie zawiodła go.

Rozdział 7

Karmiono ich dwa razy dziennie, niewielkimi grupami, rozwiązując ręce i czujnie obserwując każdy ruch. Pożywienie było maksymalnie uproszczone i zrównoważone: Dogarczyków (Key z uporem nazywał ich ludźmi Darloka) obchodziło zdrowie jeńców, a nie ich gastronomiczne gusta. Trzy razy dziennie prowadzano ich do toalety, tak samo starannie pilnując. Początkowo u niektórych dziewcząt wywołało to histerię i najdziwniejszy ze wszystkich możliwych strajków. Ale pod wieczór wypróżniały się już bez zbędnego krzyku.

Nikomu nie przeszkadzano rozmawiać. Dwie próby bójki – za każdym razem obiektem agresji był Key – zakończono wystrzałami ze stannera. Key nie przypisywał tego swemu szczególnemu znaczeniu, bo tak samo przerwano by każdą awanturę. Ale dla pasażerów czołną był tylko jeden wspólny wróg – on. Jego postępek sprawił, że znaleźli się w uprzykrzonej niewoli, jego strzały zabiły troje niewinnych dzieci, nie mówiąc już o pilocie i kwarantannikach takie było powszechne mniemanie. Musiał umrzeć.

Jednak Dogarczycy, dyżurujący przy luku pod sufitem, nie podzielali opinii ogółu. Wieczorem, gdy zgaszono światło i do Keya zaczęli podpełzać zwolennicy linczu, nadzorcy kilkoma wystrzałami przypomnieli o istnieniu noktowizorów. Po tym incydencie nienawiść do Keya wyrażano wyłącznie werbalnie.

Na złe słowa Key nie zwracał uwagi. Jedyne, co go niepokoiło, to stan Artura. Chłopiec rozmawiał z nim, jeśli Key zaczynał rozmowę, odwracał się, gdy któryś z pasażerów przeklinał zabójcę i jego syna. I myślał, myślał o jakichś swoich sprawach.

– Dasz radę się zabić? – zapytał kiedyś Key.

Artur skinął głową, zresztą Key niczego innego nie oczekiwał.

Związane ręce nigdy nie były przeszkodą w popełnieniu samobójstwa.

– Zrób to, Artur.

Chłopiec pokręcił głową. To również nie było dla Keya zaskoczeniem. Zamilkł, patrząc w wyłożony miękką płytą sufit, czując całym ciałem pęd przemierzającego przestrzeń krążownika. Zwykły ludzki krążownik, z załogą składającą się ze zwykłych ludzi... znających język Darloka.

Wieczorem trzeciej doby lotu do Keya podturlał się młody mężczyzna. Jego marynarka sprawiała wrażenie niedawno wyprasowanej – droga tkanina ze wszystkich sił stawiała opór niewygodom. Ale nieogolona twarz i wyciągnięta ze spodni koszula nie pozostawiała złudzeń.

– Nazywam się Wiaczesław – powiedział szeptem. – Jestem lekarzem, ekspertem sądowym. Nie wygląda pan na chorego.

– Jestem zdrowy – zgodził się Key.

– Dlaczego otworzył pan ogień? Słyszałem, jak mówił pan synowi o Darloku.

– Porwali nas najemnicy Darloka.

– Założmy. Ale po co?

– Pamięta pan Wielką Wojnę?

– Urodziłem się znacznie później...

– A historię pan przerabiał? Ludzie walczyli z Darlokiem tylko dwa lata, potem Imperator zawarł pokój. Niezbyt korzystny, straciliśmy nawet kilka planet. Ale dalsza walka kosztowałaby nas zbyt wiele. Sabotaże w fabrykach i bazach raketowych, nieustanne szpiegostwo i straty w najnowszej

technologii. Agenci Darloka byli wszędzie – ani jednej rasie nie udało się zwerbować tylu zdrajców. Gdy ich demaskowano, umierali z okrzykiem: „Darlok!” Wiaczesław skrzywił się.

– Judasze byli zawsze i w każdej rasie...

– Ale nie w takiej ilości i nie tak fanatyczni. Na przesłuchaniach zabijali się, nie mówiąc ani słowa. A wiwisekcja...

Lekarz energicznie pokiwał głową – w pozycji leżącej wypadło to zabawnie.

– Pamiętam. Syndrom neuronowej destrukcji. Ich mózgi gniły w kilka minut po śmierci.

– Aha – potwierdził Key z posępną satysfakcją. – Władają techniką kontroli psychicznej, zmieniającej człowieka w marionetkę.

Potrzebni są tylko jeńcy... i Darlok ich zdobywa. Gdy tych dwóch weszło do czółna, wymienili się jednym zdaniem w języku Darloku.

Wie pan, jakim? „Zamelduj, że mamy setkę półfabrykatów”.

Przez jakąś minutę Wiaczesław leżał w milczeniu. Key nie miał pewności, czy mu uwierzono, póki lekarz nie zapytał:

– To dlatego zabił pan dzieci?

– Postanowiłem zacząć od nich. Dziecko, które pracuje dla Darloka, jest bardziej niebezpieczne niż dorosły. Wasz emigrancki tłum już nie osiągnie wysokich stanowisk. A dziecko będzie się piąć w górę i przy poparciu całej rasy zrobi karierę w armii, Służbie, w administracjach planet.

– Mówi pan tak, jakby dzieci były czemuś winne.

– Oczywiście – przyznał Key. – Jest pan bardzo opanowanym człowiekiem.

– Jestem ekspertem sądowym Incediosa, a rolę półfabrykatu gram od dzieciństwa.

– Dla mnie to też nic nowego.

Dyżurujący na pokładzie nad nimi Dogaryjczyk długo obserwował rozmawiających mężczyzn. Luk umożliwiający nadzór zrobiono byle jak: zwykła dziura w podłodze korytarza. Od niewygodnej pozycji dyżurnemu zdrętwiało całe ciało. Gdy mężczyźni zaczęli chichotać, dyżurny wsadził każdemu pocisk ze stannera.

Nie lubił słuchać ludzkiego śmiechu, który od wielu lat musiał imitować.

Rozdział 8

Z przedstawicielami Służby na Volantisie Kal nie miała problemów. Oddała im zbyt tłusty kąsek – pomocników Darloka – by drobne naruszenie zasad mogło kogoś zainteresować.

Nomachi uważał, że Izabela nie ma racji. Skoro wysłiznął im się Curtis junior, należało rozpracować szajkę handlarzy niewolników.

To też wróżyło nowe tytuły i niemałe premie. Ale Kal jakby straciła rozum, więc Louis wolał nie dzielić się z nią swoimi przemyśleniami.

Posłuszny rozkazom Izabeli stateczek zrobił skok do Dogara.

Tu już poszło w ruch ciężkie koło zamachowe Służby, miażdżąc sprzedajnych urzędników i liczne pionki. Wyszło na jaw, że „Volantis” regularnie zrzucał w systemie Dogara czółna z pasażerami, które czasem dolatywały do planety z dziwnym opóźnieniem – miesiąc, półtora później. Teraz Służba wyławiała w całym Imperium Ludzi tych, którzy przeszli niewolę na Darloku. Niezbyt przyjemne zajęcie, ale dwadzieścia lat temu już przeprowadzano taką operację.

Kal odwiedziła Dyрекcję Służby Dogara. Przyjęto ją uprzejmie o dziwo, Izabela stała się bohaterką dnia. Demaskując siatkę szpiegowską i rezygnując z podziału nagród, mimo woli zdobyła popularność.

Ale rozmowa o przestępcach znajdujących się na czółnie wywołała zdumienie i brak zrozumienia. Przecież jeśli wpadli w łapy Darloksan, zostali dostatecznie ukarani. Nie wiadomo, w jaki sposób Darlok prał mózgi swoim ofiarom, ale z pierwotnej osobowości zostawały marne resztki.

Izabela kiwała głową, przyznając im słuszność. I nadal czekała na powrót czółna. Szykowała się do porwania darloksańskich agentów, i nawet niewzruszony T/san starał się nie wchodzić jej w drogę.

Obudzono ich w nocy. Dogarczycy podnieśli jeńców z podłogi i popędzili korytarzem bez specjalnej brutalności, ale i bez najmniejszej pobłażliwości. Strumień potykających się, wpadających sobie pod nogi ludzi przesączył się korytarzami i zgromadził w przestronnym hangarze ładowni.

Keya i Artura rozdzielił tłum. Wiaczesław trzymał się blisko Altosa. Dogarczycy rzadkim kordonem otoczyli tłum, czekając na otwarcie luku.

– Zaraz zobaczymy, czy miałeś rację – powiedział lekarz, przekrzykując płacz dzieci i szloch kobiety.

– Podoba mi się twój styl – odparł Key, z trudem utrzymując równowagę.

Luk schował się w podłodze. Słoneczne światło, oślepiające po lampach statku, raziło oczy. Powietrze innego świata, przepojone ostrym korzennym aromatem, upajało jak młode wino. Iskrząca się szklana tafla, na której stał statek, ciągnęła się aż po horyzont. Nieopodal stało kilka maszyn o niezwykłych kształtach. Na ich tle odcinała się postać okutana w obszerny płaszcz.

– Jeden zero dla ciebie, Key. – Lekarz skulił się.

Darloksanin powoli wszedł do służby. Key zerknął na ochroniarzy, spodziewając się zobaczyć na ich twarzach choćby cień lęku, wstrętu czy szacunku. Ale agenci Darloka patrzyli na wchodzącego jak na równego sobie.

To się Keyowi nie spodobało.

Budową ciała obcy przypominał człowieka, ale ramiona wydawały się zbyt wąskie, a złożone na

brzuchu ręce wyginały się w nienaturalny łuk. Cienkie rękawiczki zakrywały palce, spod kaptura widać było tylko błyszczące oczy.

Zapadła absolutna cisza. Ucichły nawet dzieci, kręcące się w tłumie w poszukiwaniu rodziców.

– Ludzie Imperium – rzekł półgłosem Darloksanin. – Witam was w przestrzeni Jedności Darloka.

Czyjeś przekleństwo było jedyną odpowiedzią. Ale istota w płaszczu nie zwróciła na nie uwagi.

– Dostaniecie szansę przyłączenia się do idei Darloka – ciągnął, i – Posłużycie przyszłości galaktyki, przyszłości, w której jest miejsce także dla ludzi. Bisse.

Ochroniarze szturchańcami skierowali tłum do wyjścia. Ludzie przeszli obok postaci w płaszczu, która się odsunęła.

– Keyu Ovald, podejdź do mnie... – ciemna jama kaptura odwróciła się do Altosa. Altos zatrzymał się, pozwalając ludziom przechodzić dalej. Wiaczesław zachwiał się i lekko szturchnął go w ramię, jakby życzył szczęścia.

Zostali sami.

– Keyu Ovald, pozbawił pan Darlok sześciu sług.

– Byłem na swojej drodze.

– Ale nie miał pan szczęścia.

– Nie miałem – przyznał Key.

– Pod jakim imieniem znał pana Ezsanti Kri Cesciafo?

– Key Altos.

– Dobrze. Przybędzie na rozmowę, ale to nie zmieni twojego losu.

Key, posłuszny gestowi Darloksanina, opuścił statek. Obejrzał się na przysadzisty stożek – zwykły krążownik kwarantannowy, zarażony trądem zdrady. Darloksanin stał w służbie, rozmawiając z oficerem Dogarczykiem.

Jeńców załadowano na wiszącą w powietrzu odsłoniętą platformę. Ochroniarzy zastąpili Darloksanie. Platforma popłynęła ponad szklanym polem w stronę wyrastających w oddali budynków. Małe białe słońce ostro paliło, wiatr nie przynosił ulgi. Key odszukał w tłumie Artura i stanął z tyłu, pozwalając chłopcu oprzeć się o siebie.

– Umrzemy? – zapytał Artur.

– Znikniemy jako swobodne osobowości – odparł Key. – To jeszcze gorzej, Arti. Nawet aTan nie pomoże. Siatka neuronowa nie będzie miała powodu, by się aktywizować.

Artur odezwał się po chwili zastanowienia:

– Nie mamy żadnych szans?

– Jedną na milion. – Key nie miał zamiaru litować się nad chłopcem.

– Czyli to, czego się spodziewałem – Artur van Curtis uśmiechnął się.

Rozdział 9

Statek kwarantannowy Dogara wyszedł z hiperprzestrzeni.

Pół setki ludzi, znających darlok i nieumiejących się śmiać, szykowało się do powrotu do domu. Wszystko przebiegło pomyślnie, pełne półfabrykatów czółno dostarczone na bazę, tylko dla dwóch, którzy zginęli, trzeba było znaleźć odpowiednie wyjaśnienie. Ale kosmos jest okrutny i ludzie często giną.

Statek leciał na Dogar. Dziesiątki jednostek krążyły po jego orbitach – statki handlowe i pasażerskie liniowce, prywatne jachty i wojskowe krążowniki... Planetę pogranicza często odwiedzały Siły Imperialne.

Ale teraz było ich więcej niż zwykle.

Orbitalna baza czekała na statek.

Czekały dziesiątki oficerów i setki zakutych w pancerz żołnierzy. Czekali pracownicy Służby w pospiesznie urządzonych salach przesłuchań. Czekały wyszkolone automaty i kilkunastu najemników-Bullratów.

Statek zbliżał się do węzłów stykowych.

Posłuszny gestowi oficera Sił Imperialnych dyspozytor bazy (dogłębna kontrola przeprowadzona trzy dni temu, pewność – 0,93, dopuszczenie do operacji – zaakceptowane) włączył mikrofon. Mrugnął do oficera i powiedział:

– Ka-eS, czekają na was na drugim pokładzie załadunkowym.

– Drugi pokład, zrozumiałem – odezwał się statek.

– Jak praca? – zainteresował się dyspozytor.

– Jaka płaca, taka praca.

– No i dobrze. Aczi!

Oficer podrzucił stanner.

Dyspozytor bazy (pewność 0,93 – pewność 1,00 ma tylko Imperator) wyskoczył z fotela. Przeturlał się po podłodze, zerwał i znalazł się przed żołnierzem w pancerzu siłowym.

Odruch był szybszy niż myśl. Żołnierz podniósł lewą rękę i umocowana na przedramieniu Straż zrobiła w dyspozytorze opaloną po brzegach dziurkę średnicy dziesięciu centymetrów.

– Darlo... – wyszeptał dyspozytor, upadając pod nogi żołnierza.

Statek kwarantannowy zaczął niezgrabnie skręcać, oddalając się od bazy. Ale już podchodziły do niego kutry Służby, abordażowe kapsuły Sił Imperialnych, małe figurki w skafandrach. Systemy obronne bazy otworzyły ogień, zamieniając rezonator hipersilników w pajęczynę stopionego metalu.

Służba nie wypuszczała tych, których podejrzewała.

Agenci Darloka nie dawali się wziąć żywcem.

Szary stożek statku kwarantannowego drgnął, tracąc zarysy. Płomień liznął podchodzących komandosów i opadł, ukazując rozlatujący się rój odłamków.

Jeśli nawet któryś z ekskwarantanników zdążył krzyknąć „Darlok!”, to nie miał go kto usłyszeć.

Zagnano ich do tunelu, a potem przepędzono przez całą serię luków i przesłon. Długo prowadzono w delikatnym żółtym półmroku, cudownym wytchnieniu po palącym białym słońcu. Wiaczesław

rozglądał się na boki, zachowując się niczym turysta na wycieczce, a nie jeniec skazany na śmierć.

W ciasnej sali, przedzielonej kratą na dwie części, ludzi na chwilę zostawiono w spokoju. Nikt już nie zwracał uwagi na Keya, nawet rodzice zabitych przez niego dzieci. Ktoś się modlił, ktoś stał przy kracie, przyglądając się Darloksanom – jeden siedział przy pulpicie pod ścianą, podobny w swoim płaszczu do starożytnego mnicha. Trzech cicho rozmawiało – Key, nawet wyżejając słuch, nie zdołał usłyszeć ani słowa.

– Jak myślisz, to się zacznie już teraz? – spytał Keya lekarz.

– Nie wiem. – Altos popatrzył w twarz Wiaczesława. – Wiesz, że aTan zadziała tylko wtedy, gdy człowiek umrze. A na razie jesteśmy pilnowani.

Lekarz uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Przechodziłem szkołę samokontroli Jeng.

– Nawet z zatrzymaną akcją serca pociągniesz jeszcze trzy, cztery minuty. Lepiej odejdz, gdy kryje cię tłum.

Człowiek, który miał opłacony aTan, zawahał się:

– Im więcej zobaczę...

– Nie myśl o nagrodach – poradził Key.

– Myślę o Imperium.

– Okaż mu przysługę i nie ryzykuj.

Lekarz milczał. Posiadając aTan i gwarantowane samobójstwo, czuł się nietykalny.

Krata wygięła się, tworząc wąskie przejście na środek sali. Na końcu zaświeciło się pole lokalnego hipertunelu.

– Przechodzić pojedynczo – zakomenderował któryś z konwojentów. Ludzie nie ruszyli się z miejsca. Darloksanin podniósł broń i skurcz bólu przetoczył się po tłumie. – Będę zwiększał intensywność – zapowiedziała istota w ciemnym płaszczu.

Ktoś powlókł się chwiejnie w stronę kraty, wszedł w pole i znikł.

To złamało wolę pozostałych. Tłum zaczął wsiąkać w tunel, prowadzący ku niewiadomej.

– Obiecano nam wspólny los! – krzyknął Key, przyciskając do siebie Artura.

– Wszystkich was czeka jeden los – odparł Darloksanin.

Rozdział 10

Dziwniejszego miejsca Key nie widział jeszcze nigdy. Więzienie Darloksan było szklane.

Małe przezroczyste cele – sześciany o długości boku dwa metry – otaczały go ze wszystkich stron. Niektóre były puste, w innych stali, chodzili, leżeli na podłodze ludzie – niedawni towarzysze podróży Keya. W każdej celi był przezroczysty sedes, małe przezroczyste umywalka i żadnego śladu drzwi. Najwidoczniej komunikacja odbywała się wyłącznie przez hiperprzejście. Daleko w dół, kilka pięter szklanych cel niżej, ciemniała podłoga. Z góry lało się światło – równe, zimne, bladożółte.

Key popatrzył w górę, potem obrócił się dookoła, oglądając sąsiadów. Nad nim, patrząc na Keya szalonymi oczami, leżała młoda ciemnoskóra dziewczyna. Dwie cele obok były puste, w trzeciej, rozglądając się w zadumie, stał lekarz z Incediosa. Pomachał Keyowi ręką, Altos zrobił to samo. W czwartej celi na podłodze siedział Artur.

Powoli podchodząc do szklanej ściany, Key przywarł do niej czołem. Artur patrzył na niego bez ruchu.

Chyba się chłopak załamał...

Taśma kajdanków nagle zwiotczała i ześliznęła się na podłogę; najwidoczniej był w nich blok zdalnego sterowania. Key potarł nadgarstki – szeroki czerwony pasek zejdzie nieprędko – przykucnął i przyłożył dłoń do szkła. Artur wyciągnął rękę.

– Na co ty czekasz, chłopcze... – powiedział Key sam do siebie.

– Na cud – odparł cicho Curtis junior. „Szkło” doskonale przepuszczało dźwięk.

Izabela Kal siedziała przed admirałem Lemakiem. Admirał miał już ponad sto pięćdziesiąt lat, ale jego pierwszy aTan, wykupiony w niepamiętnych czasach, do tej pory nie został wykorzystany. Mówiono, że jest szczęściarzem. Kal bez wahania zmieniłaby charakterystykę na „ostrożny”.

– Pani gorliwość jest godna pochwały. – Lemak przeszedł się po kajucie, zbyt luksusowej, zbyt różniącej się od surowych pomieszczeń orbitalnej bazy Sił Imperialnych. Zatrzymał się przy panoramicznym oknie – może nawet prawdziwym. Patrzył na płynący pod nimi Dogar: biel na niebieskim tle, śnieg i oceany.

– Przyszłam do Służby, by pracować – odparła ostro Kal.

– A my próżnujemy – rozłożył ręce admirał. – Wykonujemy rozkaz Imperatora: nie reagować na prowokacje.

– Pański honor...

– Nie trzeba, Kal. Nie żądam uprzejmości od kapitanów, a my przecież jesteśmy równi rangą. Zostawmy wzajemne urazy... tymczasem. Czego pani chce?

– Ukarania Darloka.

– Kogoś jeszcze? Darlok ma przymierze z Alkarisem, z Pylonem pakt o wzajemnej pomocy. Taka wojna mogłaby mieć na celu tylko całkowitą zagładę, a obcy do tej pory nie wybaczyli nam Sakry.

– Nie mówię o wojnie... A tym bardziej o genocydzie – zaczęła ostrożnie Kal.

– A czym zakończy się wypad regularnych Sił Imperialnych w przestrzeń Darloka? – Admirał odwrócił się od okna. Malutki i suchy, wydawał się karykaturą tego dzielnego oficera, którego Kal pamiętała z dzieciństwa – z filmów CNB, z okładek czasopism i patriotycznych plakatów na ścianach

domów. Czy mogła wtedy pomyśleć, że będzie siedzieć w jego kajucie, tak samo młoda... cieleśnie... i wywierać presję na bohatera konfliktu tukajskiego.

– Wypad nie będzie potrzebny, admirale... Imperium nie odpowiada za postęпки pojedynczych obywateli, którzy zażyczą sobie, na przykład, by ratować ich bliskich i przyjaciół.

– Chce pani stworzyć grupę szturmową z cywilów? – zaciekał się Lemak. – Świeża myśl... owocna...

– Mam już grupę szturmową. Pójdziemy z mortbombami i po zaginionych nie zostaną nawet molekuly. Żadnych dowodów.

– Założmy. A czego żąda pani ode mnie?

– Statku z detektorami gorącego śladu – Izabela wstrzymała oddech. Zagrała va banque.

Admirał chwycił się za głowę:

– Co się wyprawia! Służba kontroluje nawet nas?

– Oczywiście, że nie, Lemak. W każdym razie ja nic o tym nie wiem. – Kal pozwoliła sobie na uspokajający uśmiech. – Ale kontrolujemy wojskowe projekty i logiczne jest założenie, że tak słynna flota jak pańska otrzymała nową technikę.

– Słynna... – Lemak chrząknął i Kal zrozumiała, że trafiła w czuły punkt. – Teraz to już nie flota, lecz tłum urzędników i chłopców na parady. Gorący ślad, co jeszcze?

Izabela wzruszyła ramionami.

– No, trochę ciężkiego uzbrojenia. Ultimatum, blitz-d, szansa, kondor...

– A może excalibur? – spytał ironicznie Lemak.

– Nie znam tego modelu – powiedziała twardo Izabela. – Ale jeśli go pan poleca, admirale, weźmiemy.

Lemak zamilkł.

– I jeszcze statek elektronicznego wsparcia – ciągnęła Kal. Coś w rodzaju „Kręgu Ciszy” z nulifikatorem planetarnego typu.

Bez załatwienia planetarnych baz się nie obejdzie.

– Najwyraźniej mówi pani zupełnie poważnie. – Lemak usiadł w fotelu, podparł rękami podbródek i popatrzył badawczo na Kal. Miła z pani dziewczyna...

– Jestem do pańskich usług, Lemak.

Admirał zaniósł się suchym kaszlącym śmiechem:

– Niech pani da spokój, Kal. Nie mam złudzeń co do siebie.

Kiedy dosięgnie mnie ostatni wylew, wtedy serdecznie zapraszam.

Będę krzepkim pięćdziesięciolatkiem, jak na tych fotografiach, które w dzieciństwie wieszala pani nad łóżkiem. Wieszala pani, prawda? Kal, co panią kieruje?

Izabela nie odpowiedziała, zresztą nikt tego od niej nie oczekiwał. Lemak rozmyślał na głos:

– Patriotyzm? Bzdura, nie należy pani do takich ludzi. Służbowa gorliwość? Cały wasz Incedios nie jest wart ryzyka. Darloksanie zdolni są zdobyć ludzi z aTanem i pani o tym wie. Zemsta? Możliwe, ale po co mścić się za martwych? Miłość? Co, Kal? Na czólnie był ktoś... Czyżby była pani taką romantyczką?

– Tak – powiedziała Izabela. Sama była wstrząśnięta, jak szczerze to zabrzmiało.

- Dam pani statek z gorącym śladem, „Krań Ciszy”, dam niszczyciela konwoju, ciężkie uzbrojenie
- Lemak potarł dłonie – i ze dwudziestu ochotników, których jestem tak samo pewien jak siebie. W szóstkę się planet nie szturmuje, Kal. Was uczono inaczej, ale ja to wiem.

Izabela wstała z fotela i krótko się ukloniła.

- I jeszcze jedno, Kal. Bullrati Mekłończyk to doskonały dodatek do grupy szturmowej. Ale czy warto ich brać na taką akcję?

– Oni nie praktykują aTanu, admirale – odpowiedziała po prostu Izabela.

Rozdział 11

Wieczorem światło zgaszono. Key leżał na podłodze. Teraz, gdy miał wolne ręce, wydawało się to nawet wygodne i niemal naturalne. Za cieką przezroczystą przegródką kręcił się Artur, nad głową krzątała się dziewczyna. Dopiero teraz, w ciemności, zdecydowała się skorzystać z sanitariatów.

– Na jaki cud czeka król? – zapytał cicho Key.

Artur milczał bardzo długo, jakby nie usłyszał. W końcu powiedział:

– Trzydzieści siedem razy... Powinienem był to zrobić, niechby nawet przypadkiem.

– Zgadzam się.

– Key, jestem zmęczony. Nie chcę wywahać tych drzwi w nieskończoność. Jeśli coś we mnie przeszkadza mi... – Niech droga się skończy. A jeśli mogę, jeśli mam prawo, niech ujrzę znak. Cud. Uratujmy się.

– Arti, to był łańcuch przypadków. Spróbujmy jeszcze raz i ja cię doprowadzę.

– Nie – uciął Artur. Po minucie bardziej miękko dodał:

– Dla ciebie to przypadki, Key. A ja już do nich przywykłem.

Szklane mrowisko cichło powoli. Wstydliwi zakończyli wieczorną toaletę, wierzący odmówili modlitwy, zrozpaczeni zmęczeni się Izami.

Key Altos i Artur Curtis rozmawiali, oddzieleni cienką zimną ścianką.

– Arti, powiedz, czy Bóg jest dobry, czy zły?

– Jest Bogiem.

– A jeśli jest maszyną?

Nawet przez szkło Key poczuł, jak chłopiec się spał.

– Tym bardziej, Key.

– To dobrze...

Kilka rzędów szklanych klatek dalej ktoś krzyknął – strasznie i beznadziejnie. Key zaczął czujnie nasłuchiwać, ale krzyk przeciągał się, zrodzony nie z bólu, lecz z samotności i rozpacz. Potem zabłysł stan-promień i krzyk umilkł. Za to zapłakało dziecko, ale tak cicho, jakby jego płacz tylko się snił.

– Opowiedz mi bajkę, tato – poprosił nieoczekiwanie Artur.

– Co?

– Rodzice zawsze opowiadają dzieciom bajki na dobranoc – rzekł Artur niezbyt pewnym tonem. – Opowiedz coś.

– Nie miałem dzieci... znajomych.

– Ale teraz masz syna.

Altos milczał.

– Key!

– Dawno, dawno temu... – Key ze zdumieniem usłyszał własny głos. Nie bał się nieuniknionego podsłuchu, po prostu nie chciał wyjść na idiotę.

Ale dzieciom zawsze opowiada się bajkę przed snem. Czemu tylko nikt nie opowie bajki tej dziewczynce, która płacze w samotności swojej klatki?

-...gdy ludzie żyli jedynie na Terrze i jeszcze nie umieli latać do gwiazd, na maleńkiej wysepce mieszkał chłopiec, który powinien być zostać królem... – Key zamknął oczy. Był zmęczony patrzeniem w ciemność.

Ale ciemność została.

– I wysyłał swoich ludzi na poszukiwania... Nie po to, żeby odnaleźli Boga, lecz by odszukali najlepszych z nas. Nikt i nigdy nie zadał królowi pytania: dlaczego on sam nie wyruszy w drogę? I on cieszył się z tego, ponieważ wiedział, że ten, który włada najlepszymi, nie musi być najlepszy. Ma tylko być królem...

...Wrócili wszyscy, prócz najgorszych, którzy zginęli w drodze, i najlepszych, którzy znaleźli Boga. I król, który chciał tylko się przekonać, kto jest kim, pożałował, że sam nie wyruszył w drogę.

Zdjął koronę i ciemną nocą, gdy straż zmorzył już sen, wyszedł z pałacu.

– Tego nie było naprawdę – powiedział sennie Artur.

– To jest w bajce. Król wyszedł z pałacu, osiodłał swego konia, przypasał starożytny miecz i wyruszył w drogę. Jechał i nie napotkał w drodze niebezpieczeństw, ponieważ jego rycerze przejechali nią trzysta razy. Jego miecz zrósł się z pochwą, a koń zaczął się potykać ze starości. I wtedy odnalazł Boga.

Król stał, nie odwracając oczu, aż Bóg nie wytrzymał i zapytał: „Czego chcesz? Twoi rycerze przyszli do mnie i ja ich przyjąłem. Więc po co zjawiałeś się sam?” I król odpowiedział, spuszczać wzrok, ponieważ i tak już oślepl: „Chciałem się tylko dowiedzieć, czy istnieje Bóg dla królów”. Bóg roześmiał się, ponieważ jeszcze wtedy bogowie byli podobni do ludzi, i zapytał: „Teraz już wiesz?” Król pokręcił głową i odparł: „Nie, nadal nie wiem. Przecież kiedy byłem królem, nie widziałem Boga. A teraz, gdy go zobaczyłem, przestałem być królem”.

– W dodatku przestał widzieć – odezwał się nieoczekiwanie przytomnie Artur.

– A na co miałby teraz patrzeć?

Rano obudziło ich światło błędzące po szklanych płaszczyznach.

Key leżał na wznak i patrzył, jak kilka metrów dalej myje się Artur.

Woda płynąca z kranu była lodowata, ale chłopiec i tak rozebrał się do pasa i oblał, jak mógł. Potem odwrócił się do Keya i postukał palcem w ścianę.

– Zrozumiałem, co jest nie tak w twojej bajce.

– No?

– Król wcale nie przestał być królem, gdy zobaczył Boga. Zobaczył Boga, ponieważ przestał być królem!

Key tylko rozłożył ręce. Artur uśmiechnął się, a potem opuścił oczy i powiedział:

– Ale w twojej bajce nie ma mowy o tym, jak przestał nim być.

W południe na podłodze każdej celi pojawił się pojemnik z jedzeniem – standardowa racja wojsk imperialnych. Key pochłonał wszystko z apetytem i jednym surowym spojrzeniem zmusił Artura do zjedzenia obiadu.

Później w kilku celach pojawiły się postacie w płaszczach. Zabrały ze sobą trzech mężczyzn, kobietę, przyjaciółkę Artura, Wierę i dziewczynkę, która płakała całą noc.

Nikt z nich nie wrócił.

Rozdział 12

Załoga niszczycieli nie znała celu lotu. Nawet kapitanowie.

Trzymali się za „Gończym” – malutkim stateczkiem z nieproporcjonalnie wielkim przedziałem agregatowym. „Gończy” szedł po hiperprzestrzennym śladzie, który został w przestrzeni Dogara po statku Służby Kwarantannowej. W jaki sposób to robił, pozostawało zagadką nawet dla personelu, obsługującego urządzenie gorącego śladu. Ale po każdej wachcie musieli ustawiać zegarki i sprawdzać datę.

Za nimi szła korweta Służby Bezpieczeństwa Imperialnego z piętnastoma komandosami.

Niewielką eskadrę zamykał „Krağ Cizy”. Zbudowany jako tankowiec, wydawał się wyjątkowo dobrym celem. Ogromne zbiorniki, służące niegdyś do przewozu płynnych produktów, teraz były wypełnione kilometrami elektronicznych schematów i dodatkowymi blokami energetycznymi. Półkilometrowy stożek anteny, wyniesiony na ażurowych kratownicach w bok, trzeba było wyposażyć w samodzielny napęd – w przeciwnym razie statek rozwaliłby się przy pierwszym manewrze.

Trajektoria, wyznaczona przez „Gończego” w oceanie minionego czasu prowadziła eskadrę w przestrzeń Darloka, do maleńkiej białej gwiazdy Lajon, o którą sto lat temu Imperium Ludzi trzy razy bezskutecznie walczyło.

Kal snuła się po korwecie szczęśliwa i cicha. Nomachi starał się jej unikać – nawet jego gorliwość w ostatnim czasie była na wyczerpaniu.

Dzień ciągnął się w nieskończoność, jak senny koszmar. Od czasu do czasu Darloksanie wyprowadzali z cel ludzi – po dwoje, po troje.

To załamało jeńców. Key widział, jak stary mężczyzna próbuje rozbić głowę o ścianę. Przezroczyście tworzywo sprężynowało, ale po trzecim uderzeniu poczerwieniał od krwi. Wtedy z góry błysnął promień stannera i sparaliżowanego człowieka wyniesiono.

Keya, Artura i lekarza z Incediosa na razie nie ruszano. Doczekali wieczoru, gdy ponownie ich nakarmiono i zgaszono światło.

– Dobrej nocy, Key – powiedział Artur zza ściany. Ciągle czekał na cud, mały król w poszukiwaniu Boga.

– Dobrej nocy – zgodził się Key. Na szczęście dzisiaj Artur nie prosił o bajkę. Nerwy Altosa były napięte jak struny.

Przeleżał kilka godzin, daremnie próbując zasnąć. Cisza przygniatała – martwa cisza darloksańskiego więzienia. Tortura ciszą, czy ludzie wymyślili coś takiego? Na pewno. Rasa ludzka zawsze słynęła z pomysłowości w poniżaniu sobie podobnych.

W odróżnieniu od ludzi, Darlok nie był okrutny. Czy można nazwać okrucieństwem przeróbkę potencjalnych wrogów? „Półfabrykaty” – tak nazwał jeńców były człowiek służący Darlokowi. Nie można nienawidzić półfabrykatu.

Key Altos też nie czuł nienawiści do Darloksan. Śmierć w męczarniach wszystkich przedstawicieli tej rasy całkowicie by go usatysfakcjonowała.

W głębi duszy liczył, że z czasem tak właśnie się stanie.

Gdy Altos zaczął mimo wszystko zasypiać, na środku celi pojawiła się ciemna postać, której obecności raczej się domyślił niż wyczuł. Przyszli po niego.

– Key? – spytał nie wiedząc po co gość. I dodał w darloku: Idź za mną, nie używając przemocy.

Wymowa była bez zarzutu – świszczącego głosu Darloksan człowiek nie potrafił imitować. Ale coś w konstrukcji zdania wydało się znajome. Key wstał w milczeniu, rzucił spojrzenie w stronę Artura i wszedł w hipertunel.

Przejście z ciemności w światło nie było przyjemne. Znaleźli się w małym owalnym pokoju – Darloksanin w swoim ciemnym płaszczu i Key Altos, nieogolony, w pomiętym, brudnym garniturze. Stały tu dwa krzesła, jednakowo wygodne dla człowieka i dla obcego, niski stół, a na nim misa z owocami rozsiewającymi delikatny zapach.

– Mnie i synowi obiecano wspólny los – powiedział Key.

– To tylko rozmowa, Key – przeszedł na standard Darloksanin.

– Przecież chciałeś rozmowy?

– Będę mówił tylko z Bartem Paolini... z Ezsanti Kri Cesciafo

– Więc mów.

Key zaśmiał się. Długo i szczerze. Potem powiedział:

– Na co ty liczysz, obcy? Bart pracował dla was, ale był człowiekiem. Zdejmij kaptur!

Darloksanin powoli zsunął nakrycie z głowy. Ukazał się kłęb niebieskich macek, lekko podrygujących, poruszających cienkimi końcami. Przez macki połyskiwało dwoje okrągłych, nieruchomych oczu.

– Key, to ja – rzekł Darloksanin. Głos płynął z głębi splotów macek, z niewidocznych ust lub tego, co je zastępowało. – Tego, co najważniejsze, nie widać. Pamiętasz, jak opowiadałeś mi tę historię?

Altos opadł na krzesło i obcy poszedł za jego przykładem. Macki poruszyły się szybciej – część z nich wyciągnęła się w stronę człowieka, część w stronę misy. Obcy wziął nieduży owoc i podał mackom. Cienkie żądła wpiły się w owoc, który zaczął schnąć w oczach.

– To niemożliwe – szepnął Key. – Bart był człowiekiem...

– Prawda może okazać się bardziej nieprzyjemna niż twoje domysły – odparł Darloksanin. – Co sprawi, że uwierzysz? Wydobywaliśmy kryształy dzot i musieliśmy pracować w nocy. Wyciągnąłeś mnie spod zawałonej ściany... A ja rozwaliłem głowę grubemu Hemowi, gdy on postanowił cię zabić. Nasze łóżka stały obok siebie.

Gdy leżałem z gorączką, wynosiłeś moje odchody, chociaż mogłeś się zarazić. Siedziałeś za przekroczenie praw ochroniarza, a twój aTan nie był opłacony...

– Byłeś człowiekiem!

– Ezsanti Kri Cesciafo był w ciele Barta Paolini – wyjaśnił cierpliwie obcy. – Co cię tak dziwi? Odszedłem z pracy operacyjnej.

Niepotrzebny mi już ludzki wygląd.

– Więc całkowicie zmieniacie świadomość?

– Można to tak nazwać – odrzekł obcy po chwili wahania. Fragmenty pamięci zostają, ale jest ich mało. Ten, kto zajmie twoje miejsce, niewiele się o tobie dowie. Dlatego przyszedłem, by się dowiedzieć.

– Tylko dlatego?

– Przede wszystkim, Keyu Altosie.

– Rozumiem – Key rozłożył ręce. – Jestem durniem, Kri.

– Myślałeś, że w twój mózg włożą miłość do Darloka, dadzą nowe imię i odeślą z powrotem? Nie, Key. To nie takie proste – rzekł łagodnie obcy.

– Pamiętasz, Kri... gdy powiedziałaś mi, że pracujesz dla Darloka, obiecałeś ochronę.

– Znasz zbyt wiele prawdy, Key – Jasne – Altos spróbował się uśmiechnąć. – A mój syn? Możesz go uratować? Niewiele widział i nie sądzę, by coś zrozumiał.

– Częstuj się owocami, Key. Są jadalne dla człowieka.

– Jasne – powtórzył Altos.

Człowiek i obcy siedzieli naprzeciwko siebie. Ezsanti Kri Cesciafo cierpliwie czekał.

– Jak to będzie? – zapytał Key.

– Bezboleśnie. Przed operacją pozbawią was przytomności.

– Mogę prosić, żeby mnie pozwolili zachować świadomość?

– Po co?

– Ciekawość, Kri.

– Wtedy poczujesz ból.

– Głupstwo.

– Dla człowieka będzie to wyjątkowo nieprzyjemny widok.

– Domyślam się.

– Zrobię to dla ciebie, Key.

– Dzięki choć za to – Altos ziewnął. – Teraz już nie będziecie tego odwlekać?

– Wszystko stanie się rano. Chcesz mi coś opowiedzieć?

– Nie. Nie chcę.

– Rozumiem. Pozwolono mi użyć tortur, ale nie skorzystam z nich. Zbyt dobrze znosisz ból.

– Zaprowadź mnie z powrotem, Kri. Chcę spać.

Darloksanin wstał, ale nie spieszył się z włączeniem hipertunelu.

– Keyu Altos, dlaczego prosisz, by zostawić ci przytomność do końca?

Altos wybrał z misy największy owoc. Podeszedł do obcego i podniósł owoc do kłębówiska macek, które zadrgało, czując pożywienie.

– Ciekaw jestem, jak wyglądają prawdziwi Darloksanie.

– Jak to rozumiałaś? – głos obcego po raz pierwszy podniósł się o ton wyżej. Altos starannie włożył owoc w macki, wytarł dłoń o spodnie.

– Te ciała zawsze wydawały mi się zbyt samodzielne. Rozumni nie mają tylu instynktów. Jeśli przenosicie świadomość w całości, wniosek nasuwa się sam.

– Wiesz zbyt wiele, Key. – Istota, której macki w podnieceniu rozszarpywały niespodziewany dar, podniosła rękę, z wysiłkiem wyrwała owoc i rzuciła na podłogę. – Żałuję, że twój umysł zginie, ale wyobraź sobie, jak postąpiłoby Imperium, gdyby poznało prawdę?

– Jeszcze tak postąpi, Kri. Nie unikniemy drugiego zarzutu o genocyd.

Darloksanin podeszedł do Keya i położył mu rękę na ramieniu.

Altos nie odsunął się.

– Uratowałaś mi życie, Key, gdy byłem w ciele człowieka. ATan jest dla nas niedostępny, więc jestem ci wdzięczny.

– Nawzajem...

– Dajesz słowo, że gdy zostawimy cię przytomnym, nie będziesz stawiał oporu? Już i tak przyniosłeś nam niemałe szkody.

– Daję słowo do siódmej warstwy prawdy, że nie będę stawiał oporu – obiecał Key, patrząc w twarz obcego.

– Idź...

Resztę nocy Key przespał. Ale sen nie przyniósł ani odpoczynku, ani sił. Obudzony włączonym światłem, Key umył się, patrząc na śpiącego Artura.

Odrobinę pocieszała go myśl, że nie umrze sam.

Rozdział 13

Marjan Muhammadi doskonale zgrała się z imperialnymi komandosami. Może dlatego, że ci w swojej pracy przyzwyczaili się polegać na półrozumnych mechanizmach, a wielu z nich mogło pochwalić się częściami ciała, jakich nie mieli od urodzenia.

Izabela Kal patrzyła na to ze spokojem. Nie lubiła mechanistów, a przepowiednie absolutnej cyborgizacji ludzkości doprowadzały ją do szału. Ale teraz to było nieważne, ponieważ wszyscy uczestnicy wypadu, prócz niej i Louisa, byli skazańcami. Komandosi mogli wierzyć w opłacony aTan i cieszyć się na ostrą przygodę, ale Kal już przesądziła o ich losie. Artur Curtis i sekrety nieśmiertelności staną się jej kartą przetargową na drodze w górę i nie będzie się z nikim dzielić nawet cząstka tajemnicy.

Najważniejsze – to zdążyć. Darlok, w swojej wiecznej pogoni za nowymi agentami, mógł zniszczyć rozum Artura, wykorzystać drogocenny kamień do brukowania ulicy. Kal jeszcze nigdy nie czuła takiej nienawiści do obcych. Zetrze ich w pył, wyrzuci z galaktyki, jeśli Artur van Curtis da jej możliwość wspięcia się po piramidzie władzy.

Imperium od dawna potrzebowało porządnego wstrząsu.

Najpierw przyszli po Wiaczesława. Uśmiechnął się krzywo do Keya i znikł wraz z konwojentem. Potem, niemal jednocześnie, Darloksanie zjawili się w celach Keya i Artura.

Termin „wspólny los” Darlok traktował bardzo poważnie.

Hiperprzejście dostarczyło ich do przestronnej sali. Białe plastikowe ściany wyglądały na świeżo umyte, powietrze przepojone było zapachami chemikaliów i świeżej krwi. Cztery metalowe stoły pośrodku sali wydawały się wypożyczone z sali operacyjnej.

Keyowi to miejsce bardziej kojarzyło się z kostnicą.

Jeden Darloksanin z bronią, kształtem przypominającą stanner, stał w odległym kącie sali, obok wielkiego plastikowego kontenera.

Kontener był niedomknięty i wystawał z niego rękaw swetra. Sądząc po rozmiarze zdjęto go z kobiety albo dziecka.

Czterech Darloksan, konwojentów raczej, nie miało przy sobie broni. Dwóch pilnowało Keya i Wiaczesława, jeden przytrzymał za ramię Artura, ostatniemu zwiśla na rękach młodzianka rudowłosa dziewczyna. W oczach miała obłęd, nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

– Keyu Altos, czy chcesz zobaczyć wszystko? – zapytał Darloksanin ze stannerem. Głos był znajomy.

– Tak, Ezsanti Kri Cesciafo – odparł Key.

Obcy trzymający dziewczynę zaczął ją rozbierać. Nie sprzeciwiała się. Key słuchał równego szumu oddechu obcego za swoimi plecami. To, co się działo, przypominało stary, marny, niskonakładowy film – obcy szykujący się do zgwałcenia dziewczyny.

Ale jej los miał być znacznie bardziej nieprzyjemny.

– Sam chciałeś wszystko zobaczyć – rzekł ten, którego Altos znał pod imieniem Barta Paolini, gdy nagą dziewczynę położono na stole twarzą w dół. Key milczał. Próbował odgadnąć, gdzie jest ukryta aparatura służąca do przemieszczenia świadomości. Dopiero gdy otworzyły się drzwi i wszedł jeszcze jeden Darloksanin, Key zrozumiał, że żadnej aparatury nie ma i nigdy nie było. W rękach

obcego zobaczył małe odrażające stworzenie.

Żmija. Zwykła półmetrowa cienka żmija, pokryta zieloną łuską.

Wąski łepiek kończył się wianuszkami krótkich macek. Oto prawdziwe oblicze darloksańskiej rasy. Tak małe ciało oczywiście nie mogło zawierać normalnego mózgu. Zresztą, Darloksanie i tak go nie mieli. Urodzeni jako pasożyty, wykorzystywali nie tylko ciało, ale i świadomość nosiciela. W taki sam sposób malutki szpiegowski mikroschemat przestraja komputer, przemieniając go w coś bardzo odległego od zamysłu twórców.

– Wasza rasa powinna zniknąć – stwierdził Key. Obcy za jego plecami napiął się, ale milczał. Darloksanie zbyt byli zajęci tym, co się teraz działo.

Ten, który wszedł, położył żmiję na plecach dziewczyny. Dziewczyna drgnęła, ale nie poruszyła się. Uciekła w swój strach, jedyne miejsce pozostawione jej przez los. Żmija poruszyła się i wianek macek wpił się w skórę rudowłosej pomiędzy łopatkami. Trysnęła krew.

Artur zaczął krzyczeć. Odwrócił się i usiłował wyrwać z rąk Darloksanina. Kiedy spojrzenie Ezsanti Kri Cesciafo zwróciło się na chłopca, Key skoczył.

Zbijając swojego konwojenta z nóg, upadł też sam. Przeturlał się do nóg Kri i gdy lufa stannera przesunęła się w jego stronę, kopnął Darloksanina w pierś. Promień ześliznął się po podłodze.

– Key! – krzyknął Artur. Jego konwojent przycisnął go do podłogi i Artur ukląkł. Pokorna poza, nie pasująca ani do tonu, ani do zachowania. Chłopiec nie próbował strząsnąć z ramion rąk obcego, tylko gwałtownie uderzył głową Darloksanina w krocze.

W tej kwestii anatomia ludzi i istot, których ciało Darloksanie zazwyczaj wykorzystywali, była identyczna. Obcy wydał chrapliwy dźwięk i puścił Artura.

Walcząc z Ezsanti Kri Cesciafo, Key obejrzał się na ułamek sekundy. Jego ochroniarz jeszcze nie wstał. Konwojent dziewczyny i obcy, który przyniósł żmiję, nie włączali się do walki. Zastygli przy stole, na którym szamotała się ofiara; przytrzymywali ją, nie pozwalając przekreślić się na plecy i zmiążyć pasożyta, który wpił się w ciało. Konwojent Wiaczesława miał własne problemy. Lekarz z Incediosa walił w niego krótkimi, celnymi ciosami profesjonalisty.

W ciągu kilku sekund ciało obcego złamało się w kilku miejscach, ale konwojent nadal walczył.

W końcu Keyowi udało się wydrzeć stannera i zerwać się na nogi.

Ezsanti Kri Cesciafo nachylił się w jego stronę; kaptur zsunął się z ohydnej głowy, obnażając ruchliwe macki. Dwoje owalnych, pokrytych siecią brązowych żyłek oczu na cieniutkich szypułkach wysunęło się ze splotu macek.

– Obiecałeś! – krzyknął były przyjaciel Keya Altosa.

– Możesz mnie uznać za podłego kłamcę – zgodził się Key, naciskając spust.

Ciało obcego zwiotczało. Altos uderzył obcasem w to, co tradycyjnie nosiło nazwę głowy – miękkie macki pękały z młaskującym dźwiękiem. Nie wyjmując nogi z lepkiej masy, Key odwrócił się gwałtownie.

Przeciwnik Wiaczesława leżał na podłodze – podrygująca bezkształtna masa, przykryta płaszczem. Lekarz już zajął się konwojentem Artura. Przytrzymując go za macki głowowe raz za razem uderzał w pierś. Po każdym ciosie obcy wił się w drgawkach. Key wystrzelił w stronę Darloksan trzymających dziewczynę. Osunęli się na podłogę, ale ich ofiara już się nie ruszała. Żmii na plecach nie było, została tylko pusta, pomarszczona skórka między okrwawionymi łopatkami. To, co było ciałem prawdziwego Darloksanina, weszło w ciało dziewczyny, wcisnęło się w kręgosłup, przemieszało z

ludzkimi tkankami.

Artur podniósł się chwiejnie. Zerknął na dziewczynę, zgiął się w pół i zwymiotował. Key stojąc w miejscu trzymał stanner w pogotowiu i obserwował drzwi, zwłaszcza ten punkt, w którym wyłonili się z hipertunelu.

– Więc tak to robią – odezwał się Wiaczesław, pochylając się nad nagim ciałem.

– Kim jesteś? – spytał Key, spluwając krwią. Rozbite w bójce wargi bolały.

– Tarcza, specgrupa Imperatora. – Lekarz zmierzył Keya oceniającym spojrzeniem. – Macie aTan?

– Tak.

– Cieszę się. Oslaniajcie mnie przez trzy minuty, chodzi o to, żeby mózg zdążył umrzeć. Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

Twarz Wiaczesława na chwilę zastygła w skupieniu, jakby zapatrzył się w głąb samego siebie. Potem usiadł na podłodze – technika jeng pozwalała na niemal błyskawiczne samobójstwo.

W dwóch skokach Key znalazł się przy Arturze. Chwycił go pod rękę, nie zważając na to, że chłopak ciągle wymiotuje. Cofając się, opuścił go na podłogę, skąd lepiej było widać pomieszczenie.

Jego konwojent w końcu się poruszył i Key wsadził mu pocisk ze stannera.

– Key – wyszeptał, a raczej jęknął Artur.

– Zadowolony? – zainteresował się Key, przesuwając lufę to w lewo, to w prawo. – Ujdzie za cud?

– Nie... ale i tak... – Artur nie dokończył zdania.

Key położył rękę na cienkiej szyi i poczuł napięte mięśnie. Nie miał broni, więc nie miał też specjalnego wyboru w sposobie zabójstwa. Dziewczyna na stole nagle się przeciągnęła, podniosła głowę, obrzuciła spojrzeniem pobojuwisko. Key strzelił do niej.

– Key, szybciej – płakał Artur. – Ja tak nie chcę, Key!

Altos lekko zacisnął palce, wyczuwając pulsujące arterie i... cofnął rękę.

– Poczekaj, Arti. Poczekaj.

– Co?

– Mogli nas wziąć co najmniej trzy razy. Tu muszą być monitor stacjonarny stanner.

– No i co z tego?!

– Cicho – powiedział miękko Key. – Cicho. Zacząłem wierzyć cud.

Artur ucichł i przywarł do Altosa. W ciszy, jaka zapadła, poczuli lekką wibrację pola. Falami nadciągał daleki huk, płynący zewsząd, jakby nie miał źródła.

– To bombardowanie orbitalne, Arti – powiedział Key, ciągle jeszcze nie dowierzając. – Ktoś łupie w planetę po okręgu, wokół tego miejsca. Nie wiedziałem, że Darlok z kimś walczy.

Zamilkł i pogłaskał chłopca po głowie tą samą ręką, którą przed chwilą miał zacisnąć na jego gardle. Stanner nadal trzymał w pogotowiu.

– Tylko nie mam pojęcia, czy się z tego cieszyć – dokończył Key.

CZĘŚĆ CZWARTA
KAMIENNI GOŚCIE

Rozdział 1

Światła zgasły dziesięć minut później. Odległy huk nie milkł – Lajon bombardowano na całego. Pierwszą myślą Keya było to, że jednak postanowiono się nimi zająć.

Ale szturm nie nastąpił. Siedzieli w kącie, Artur przytulony do Altosa, który cały czas trzymał palec na spuście. Od czasu do czasu sparaliżowani Darloksanie zaczęli się ruszać, wtedy Key strzelał w ciemność, szczerze obdarzając obcych nową porcją promieniowania.

– Dlaczego nikt o tym nie wiedział, Key? – zapytał Artur po kolejnym wystrzale.

– Dlatego, że nie pozwalali wziąć się do niewoli, a ich tkanki rozpadały się po śmierci nosiciela. Syndrom destrukcji mózgu, tak to nazywano. Uważano, że jest spowodowany psychotroniczną przeróbką świadomości.

– I nikt nic nie wiedział?

– Ci, którzy się dowiedzieli, nie byli już ludźmi.

– W takim razie to cud – powiedział poważnie Artur. Od dawna już nie płakał, ale przyciśnięta do Keya twarz ciągle była mokra.

– Cud będzie dopiero, jak się stąd wydostaniemy. – Key wstał, odsuwając chłopca. – Trzymaj się mnie i nie zostawaj w tyle.

Poszli wzdłuż ścian. Gdy Key wyczuwał pod nogami ciało Darloksanina, starał się go jak najdokładniej rozdeptać.

W końcu wymacał wąską szczelinę w ścianie. Po minucie poszukiwań znalazł szorstką płytkę – najwyraźniej zamek sensoryczny.

– Stój tutaj – polecił Arturowi i przeszedł w głąb pokoju. Tym razem nie rozdeptał sparaliżowanego Darloksanina. Przyciskając nogą cienką rękę, spróbował wyłamać mu palec. Brak choćby najwykleszego noża doprowadzał go do wściekłości. Z ludzkim trupem byłoby łatwiej, ale obcemu Key nie chciał odgryzać palca. Pracował tak przez kilka minut, rozdzielając stawy. Darloksanin zaczął charczeć – ból przebił się nawet przez ogłuszenie.

– Prościej podciągnąć go w całości – powiedział z ciemności Artur. Nietrudno było się domyślić, co robił Key.

– Tak jest ciekawiej – odparł Altos, kończąc swoją brudną robotę. Podeszedł do Artura i przyłożył oderwany palec do płytki sensorycznej. Rozległ się szcęk – zamek miał niezależne zasilanie, ale otwierającym drzwi silnikiem kierował system centralny. Z pewnym wysiłkiem Key wsunął drzwi w ściany.

Długi, niski korytarz słabo oświetlały pomarańczowe lampy. Key uznał, że nie jest to oświetlenie awaryjne – tutaj musiało być właśnie takie światło. Ściany korytarza były przezroczyste, a za nimi panował półmrok.

Tam było terrarium. Drobnny żółty piasek, na nim rozrzucone płaskie czarne kamienie, rzadkie kolczaste krzaczki – i żmije, setki zielonych żmij. Niektóre leżały nieruchomo – wygrzewały się? inne skupiły się przy na wpół obgryzionych kawałkach mięsa. W odróżnieniu od swoich nosicieli-symbiontów, tak długo uważanych za Darloksan, żmije były mięsożerne.

– Są... rozumne? – spytał zza pleców Keya Artur.

– Nie sądzę – odrzekł Altos, nie odrywając spojrzenia od Darloksan oddzielonych od nich szkłem.
– Same z siebie raczej nie...

Chodźmy, Arturze, nie jestem biologiem.

Drugie drzwi, otworzone tym samym kluczem, dały im znacznie więcej. Nie było tu wprawdzie niezależnego oświetlenia, ale przez okno z terrarium padało słabe światło. Przestronna sala przypominała supermarket albo teatralną rekwizytornię. Rzędy wieszaków z odzieżą, starannie wypraną i wyprasowaną, pod wieszakami buty w różnych rozmiarach. Na długim stelażu leżała broń.

– Cóż za nieostrożność – zauważył Key, odkładając stanner. Wybrał sobie ultimatum, ludzką broń, niezmienną od czasów Wielkiej Wojny. Pasek na ramię pomagał utrzymać dziesięciokilogramowy agregat z metaloceramiki, dwa krótkie boczne uchwyty zawierały wszystkie elementy sterujące. – Odwróć się – nakazał Arturowi, mierząc z ultimatum w okno terrarium. Darloksanie grzejący się na piasku zaczęli się poruszać. Jeśli nawet ich własny mózg działał bardzo słabo, potrafili zrozumieć, czym jest broń.

Ultimatum z cichym pyknięciem wypuściło cienki biały promień.

To nie był właściwie wystrzał; impulsowy laser wypalił molekuly powietrza na linii ognia, oczyszczając drogę wiązce antycząstek.

Szkoło pękło, ognistym gradem wpadając do środka terrarium.

W miejscu szyby kipiała teraz ściana błękitnego płomienia – starożytni twórcy ultimatum nie wierzyli w celność szkolonych pospiesznie żołnierzy. Ciężki szerokopolowy dezintegrator – to broń, która przesądziła wynik niejednego planetarnego boju – wypalał wszystko w płaszczyźnie trafienia.

– Teraz jestem gotów do bliskich spotkań – powiedział Key, odsuwając się od fali duszącego żaru. Artur chwycił ze stelaża trzmiela i poszedł za nim.

Innych drzwi nie napotkali, a hipertunelu nie umieli zaktywizować, więc Key wypalił jedną ze ścian – po krótkim rozbłysku odsłonił się przed nimi ciemny, biegnący w dal korytarz. Zanim tam weszli, Altos wziął od Artura pistolet i rozczłonkował wszystkie sparaliżowane ciała.

Rozdział 2

To musiały być podziemne pomieszczenia. Ani jednego okna i gniotące wrażenie obecności warstw kamienia nad głową.

Przecięli kompletnie pustą salę o niewiadomym przeznaczeniu. Świecąc sobie wystrzałami z trzmiela, odkryli dwa korytarze – jeden z nieprzyjemnie niskim sufitem i wilgotnym klepiskiem, drugi wyłożony kamiennymi płytami, bardziej odpowiedni dla ludzi. Poszli tym drugim, co chwila wpadając na ściany – korytarz wyginał się pod przedziwnymi kątami.

– Lubicie nory – mamrotał Key, sunąc do przodu. – Takie przytulne, wężutkie norki. Idiota!

Ostatni epitet Altos najwyraźniej wypowiedział pod swoim adresem. Zatrzymał się, przełączył coś w ultimatum i Artur zobaczył bladobłękitny blask nad lufą.

– To blok noktowizora – wyjaśnił Key. – Rzadko z czymś takim pracowałem, wszystko zapomniałem...

Artur nie pytał, gdzie Key pracował z ultimatum – bronią, na którą zezwolenie mieli jedynie imperialni komandosi. Napięcie ostatnich dni teraz się w nim skumulowało. Żeby nie zostać w tyle, trzymał ochroniarza za pasek. Korytarz biegł pod górę, ale nie wiedzieli, na jaką głębokość opuścić ich hipertunel.

– Key, dlaczego zmieniłeś zdanie i mnie nie zabiłeś?

– Spodobała mi się myśl o cudzie – odparł Altos, nie zatrzymując się.

– Nie, powiedz!

– Wiesz o kiju i marchewce, które obiecał mi twój ojciec?

– Jasne.

– No więc jeszcze nie chciałem tracić twojej przyjaźni – dodał Key.

– Czyżby się w jakiś sposób objawiła?

– Czyżby to było potrzebne?

Szli jeszcze pół godziny. Key zaczął ciężko dyszeć – ultimatum nie należało do lekkich broni – a potem zatrzymał się tak gwałtownie, że Artur wpadł mu na plecy. W słabym świetle ekranu noktowizora Curtis junior zobaczył napięcie na twarzy towarzysza. Key najwyraźniej coś zauważył. Ale nie strzelał.

– Nie ruszać się – krzyknął w ciemność.

Niegłośny, brzmiący jak chór głos odpowiedział:

– Trwam nieruchomo. Kim jesteście?

Artur nie musiał patrzeć na ekran. Znał rasę, która mówiła całym ciałem.

– Key Altos i Artur van Curtis! – oznajmił bez wahania.

– To dobrze – zagruchał Silikoid. Nie uznał za stosowne imitować ludzkich emocji, najlepszy dowód, że wystarczyło mu prawdziwych przeżyć. – Zostaliśmy po was wysłani. Mogę się zbliżyć?

– Tak. Utrzymaj ciało w pozycji pionowej. Odchylenie po osi zostanie uznane za atak.

Silikoid podpłynął do nich – ciemny słup z płaszącymi u podstawy iskierkami – i zapytał:

– Mogę zrobić światło?

– Niezbyt jasne.

Nad Silikoidem pojawiła się mała kula ognia. Mogłaby posłużyć jako broń, ale Key nie protestował.

– Chcemy was zabrać z Lajona – powtórzył Silikoid.

– Po co? Nie walczycie z Darlokiem i nie popieracie ludzi.

Key nie opuszczał ultimatum.

– Interesy Podstawy.

– Nie obchodzą nas interesy Podstawy Rozumu. – Key przyglądał się Silikoidowi, który wyglądał niezwykle – kamienne ciało pokrywał złocisty nalot, gdzieniegdzie przetykany zwęglonymi plamami.

– Co z nami będzie, głazie?

– Rozmowa na statku. Później zapewne śmierć. – Silikoid wyraźnie nie chciał kłamać.

– Idziemy. – Key odsunął od niego lufę.

– Idźcie korytarzem, czekają na was. Ja zostaję.

– Dlaczego?

– Odczuwalna obecność darloksańskich symbiontów, idących za wami. Spieszcie się.

– Aha, więc tak nas znaleźliście – oznajmił usatysfakcjonowany Key. – Wesołej walki i lekkiej śmierci.

– Moje ciało nie pasuje do symbiozy z Darloksanami, więc śmierć będzie lekka – odparł z dostojeństwem Silikoid. – Idźcie.

Poszli dalej, Silikoid został z tyłu. Złocisty słup nieruchomo wisiał pośrodku korytarza. Gdy ludzie oddalili się za zakręt, Silikoid zgasił świecenie. Pięć minut później dogonił ich miękki napór fali uderzeniowej.

Legnij u Podstawy, odpoczywaj

Oto czas na rozmyślania.

Byłeś jednym – stałeś się wieloma,

I świat się umocnił...

– zadeklamował śpiewnie Key.

Artur nie zrozumiał tych słów, ale Silikoid był równie zadowolony, co zdumiony – pożegnalne życzenie Podstawy Rozumu nigdy nie zostało przetłumaczone z języka elektromagnetycznych drgań na język głosek.

Potem do Artura i Keya dołączyły jeszcze trzy Silikoidy, zwęglone niemal doszczętnie. Tylko gdzieniegdzie połyskiwały resztki złocistego pancerza. Artur pomyślał, że to od nich płynie zapach spalenizny, ale pomylił się. Dochodził z góry.

W tym towarzystwie wyszli na powierzchnię, w ciemne południe Lajona. Panował półmrok, chociaż słońce mimo wszystko próbowało przedrzeć się przez chmury popiołu. Powietrze było przesycone gryzącym dymem. Dymiły ruiny budynków, pomiędzy nimi płynęły, zlatując się do ogromnego statku, Silikoidy. To była stosunkowo mało uszkodzona strefa – nie użyto tu ciężkiego uzbrojenia.

– Porządna robota – skomentował Key.

Artur zaczął kasłać; ledwie szedł. Key zarzucił ultimatum na plecy i wziął chłopca na ręce.

Pomyślał o Trzech Siostrach. Druga Planeta Shedara po ziemskim bombardowaniu wyglądała inaczej – tam było dużo wody i zamiast dymu buchała para.

Ale Key i tak przypomniał sobie swój spalony dom.

Rozdział 3

To niemożliwe – wyszeptała Kal. Pochyliła się nad stołem operacyjnym, oglądając hologram stworzony przez komputer bojowy. Lajon był na niej czarną jak węgiel kulą, tu i ówdzie upstrzoną zielono-białymi łysinami. Tam, gdzie znajdowały się bazy planetarne, ziały leje trzykilometrowej głębokości. Zresztą dojrzeć to wszystko było dość trudno, bo srebrzyste kropki statków krążących po orbitach Lajona zasłaniały znaczną część widoku.

– Około trzydziestu dwóch tysięcy statków. – Kapitan niszczycieli patrzył na Kal z ekranu. – Zmiotli obronę w ciągu kilku godzin.

Tutaj jest chyba cała ich flota.

– Czy Podstawa Rozumu walczy z Jednością Darloka? – spytała retorycznie Kal.

– Teraz tak – odparł z widocznym zadowoleniem kapitan.

T/san, leżący w kącie mostku, zarechotał ochryłym śmiechem, imitującym ludzki. Mekłończyk miał swoje porachunki i z Darlokiem, i z Silikoidami.

Zresztą czy była jakaś rasa w galaktyce, która nie miałaby pretensji do innej?

Po desantowym statku Silikoidów Artura i Keya prowadzono przez pół godziny. Nie było tu wind ani transporterów – ta rasa ich nie potrzebowała, więc droga wyglądała jak szereg podciągnięć i skoków. Towarzyszące im Silikoidy co jakiś czas się zmieniały, jeden odchodził w boczne przejście, jego miejsce zajmował inny.

Pomiędzy sobą porozumiewały się na niedostępnych ludziom częstotliwościach, więc ich zachowanie wydawało się spontaniczne.

Przed kolejnymi drzwiami konwojenci zatrzymali się wreszcie.

Key poczuł, że rzemień ultimatum zaczyna mu się zsuwać z ramienia, i podniósł rękę, pozwalając, by pole siłowe go rozbroiło. Drugi Silikoid z tą samą wirtuozerią wyciągnął Arturowi pistolet zza pasa.

Jedyna rozumna rasa, która nie miała niczego przypominającego ręce, ale nie odczuwała z tego powodu żadnego dyskomfortu.

– Mamy wejść? – zapytał Key. Nie odpowiedziano mu; możliwe, że ci komandosi po prostu nie znali odpowiedzi. Key pchnął drzwi, które posłusznie złożyły się w harmonijkę i odpełzły pod sufit.

Tę kabinę przygotowano dla ludzi. Były tu dwa fotele, niewygodne, ale wyposażone w pasy bezpieczeństwa. Pod ścianą, nad wysuniętą z podłogi ażurową tarczą, wisiał Silikoid. Nie zwracając na niego uwagi, Key posadził Artura w fotelu, przypiął pasami, wreszcie usiadł sam.

Czekano najwidoczniej tylko na nich. Niemal natychmiast statek zawibrował. Przyspieszenie wcisnęło ich w fotele – statek Silikoidów nie miał grawikompensatorów.

– Mogę zapytać, co robisz? – zapytał Key Silikoida.

– Uczestniczę w rozpędzaniu się statku – zaśpiewał Silikoid.

– Aaa... To prawda, że przedtem lataliście w korpusach bez żadnego wyposażenia, a pomysł samodzielnych silników zapożyczyliście od nas?

– Tak. Pomysł zewnętrznych silników, podobnie jak zewnętrznej broni, został przez nas przejęty od ludzi.

– Zresztą nie o to mi chodziło. Co robicie na Lajonie?

– Ratujemy galaktykę – wyjaśnił krótko Silikoid.

Przeciążenia nasiliły się tak, że Altos zamilkł. Odezwał się, gdy tylko niewidoczna prasa osłabła.

– Jesteś w stanie teraz mówić?

– Tak. Te funkcje mogą być prowadzone niezależnie.

– Pięknie. Mogę zapytać o twoje imię?

– Dla ludzi brzmi ono jak Sedmin.

Key przymknął oczy.

– Ciekawe – powiedział. – Zawsze sądziłem, że wasze imiona są związane z pozycją społeczną i że Sedminem można nazywać jedynie Podnóże Podstawy.

– Masz rację. W naszym społeczeństwie zajmuję pozycję analogiczną do stanowiska Imperatora u ludzi.

– Niezmiernie mi to pochlebia – powiedział Key.

– Śmierć to zawsze śmierć, bez względu na to, czy zadaje ją imperator, czy żołnierz – nie zgodził się z nim Sedmin.

– Odchodzą – powiedziała Kal w przestrzeń. Na mostku statku byli wszyscy jej ludzie i nieludzie oraz sierżanci grup desantowych, przysłanych przez Lemaka. Spojrzenia wszystkich przykuwał hologram operacyjny. Srebrzyste punkty nad planetą kipiały, znikając jeden po drugim, jak stado żelaznych motylków, które zleciały się do światła lampy i zgasiły ją.

– Dla Silikoidów ta planeta nie ma strategicznej ważności – zauważył Nomachi. – Likwidowanie jej było bezmyślnością.

– Chyba że nie chodziło o planetę – rzucił Kadar.

– A o co? – Kal odwróciła się do niego, ale Kadar wytrzymał jej wzrok.

– Myślę, że pani wie lepiej, nadrzędna.

Teraz wszyscy patrzyli na Izabelę. Wszyscy prócz Nomachiego, który krzywo uśmiechnięty odszedł na bok.

– Bzdura! – powiedziała ostro Izabela. – Naszym celem jest odbicie jeńców. Silikoidów oni nie obchodzą... T/san, możesz coś zasugerować?

Mekłończyk wyprostował kończyny, przyjmując pozycję przypominającą stójkę psa myśliwskiego. Wysunięta morda warana nie wyrażała żadnych emocji.

– Sąd o naszej bliskości z Silikoidami jest błędny – powiedział.

– Nigdy nie przestaliśmy być istotami organicznymi i nigdy nie udało nam się zrozumieć kamiennej rasy.

– Ale trzy razy z nimi walczyliście?

– Bullraty walczą do tej pory – wyjaśnił T/san i znów przeszedł z pozycji rozmowy do pozycji wypoczynku. Dorzucił:

– Co się zaś tyczy mnie osobiście, to mam zbyt wiele elementów wykonanych rękami człowieka i według praw Meklonu nie jestem pełnowartościowym przedstawicielem swojej rasy. Moja psychika jest bliższa psychiki szanownej Marjan Muhammadi...

– Ahar?

Bullrat podniósł ciężkie spojrzenie i odezwał się niechętnie:

– Silikoidy zaatakowały nas w okresie największego rozkwitu, w momencie, gdy nasza flota szykowała się do pokonania Imperium Ludzi. Ich polityka podyktowana jest prawami Podstawy Rozumu: utrzymać równowagę sił. Silikoidy prawdopodobnie uznały, że Darlok staje się zbyt potężny.

– I zaatakowały peryferyjną, niczym się niewyróżniającą planetę?

– Kto teraz może wiedzieć, co tam było? – Łapa Bullrata wskazała czarną zwęgloną kulę na hologramie.

Rozdział 4

Przeciążenia skończyły się po pół godzinie, gdy desantowy krążownik wszedł w hiperskok. Sedmin ciągle wisiał nad swoim dyskiem – możliwe, że kontaktował się z innymi Silikoidami.

– Rozumiem, że moje pytanie jest naiwne – zaczął Key. – Ale może jednak macie jakieś organiczne pożywienie? Albo chociaż wodę?

– Mamy – odparł krótko Sedmin. W ścianie otworzyła się nisza. Key odpiął pasy, wyjął z niej kilka pojemników i zerknął na opakowanie.

Dwa tysiące dwieście trzydziesty drugi rok. To wszystko zostało przygotowane ponad wiek temu. Z jakiego statku – a może laboratorium? – Silikoidy zabrały to zaspawane w plastik jedzenie?

To by znaczyło, że przynajmniej nie miały zamiaru zabijać ich od razu. Pożywienia wystarczyłoby na kilka tygodni – jeśli jeszcze nadawało się do jedzenia.

Key otworzył pojemniki – konserwujący gaz zasyczał, ulatniając się. Każde danie było zapakowane w oddzielne zbiorniki-naczynia – trzeba było tylko na nich przesunąć aktywatory. Technologia bardzo przypominała obecną.

Gdy naczynia się nagrzały, Key podał jedno Arturowi. Drugie zostawił sobie. Zerwał folię z największego pojemnika. Groch z mięsem i skrawek polimerowego papieru na wierzchu, upakowany sosem, skręcony w trąbkę od ciepła. Najpierw Key pomyślał, że to serwetka. Potem zobaczył litery.

Drogi żołnierzu! Bij mocno obce gady, broń Ziemi. Zadzwoń po wojnie: 0945336n76. Anna.

Artur patrzył na Keya z ciekawością. Ten podał mu liścik i zapytał:

– Wiesz, co to takiego Ziemia?

– Stara nazwa Terry. A dlaczego numer jest taki dziwny?

– Też stary system kodowania. Takie zapiski często wysyłano do oddziałów desantowych w czasach Wielkiej Wojny albo Tukajskiej Rzezi. W fabrykach pracowały przede wszystkim kobiety.

Sedmin jakby nie zauważał ich rozmowy. Kierowany nieświadomą potrzebą sprzeciwu, Artur starannie złożył kartkę i włożył ją do kieszeni. Przez kilka minut jedli w milczeniu.

– Możemy teraz rozmawiać – raczej stwierdził, niż zapytał Silikoid.

– Możemy – powiedział Key, dopijając kawę z kubeczka. Kawa była wspaniała, może prawdziwa? – Po co zaatakowaliście Darlok?

– Żeby z wami porozmawiać.

– I to jest warte gwiazdnej wojny?

– Jeszcze nie wiem. Ale wojny nie będzie. Darlok nie jest w stanie prowadzić przeciwko nam pracy dywersyjnej, a to jego główny atut.

– W takim razie pogadajmy.

– Keyu Altos, zostałeś przywrócony do życia i otrzymałeś zadanie: ochraniać Artura van Curtisa. Czy tak?

– Założmy.

– Czego szuka Curtis na Graalu?

– Nie wiem.

– Zapewne mówisz prawdę – zdecydował Sedmin po chwili milczenia – ale to nie zmienia faktów. Keyu Altos, czy wiesz, że Artur van Curtis piąty rok próbuje dostać się na Graal?

Key nie odpowiedział.

– Wiesz, że Curtis van Curtis stał się tym, kim jest, przynosząc na Ziemię aTan? Ta technika zmieniła równowagę sił i ludzkie Imperium przewodzi teraz w galaktyce.

– Mrszanie też wykorzystują aTan, no i Psylon, który go wynalazł.

– Psylon nie wynalazł siatki neuronowej ani molekularnego replikatora.

Key popatrzył na Artura. Chłopiec odwrócił oczy.

– Żadna rasa nie stworzyła technologii zdolnej powtórzyć aTan. Zasada działania wychodzi poza ramy bazowego obrazu świata chóralny głos Silikoida stał się smutny. – Keyu Altos, zgodnie z naszymi danymi w latach Wielkiej Wojny Curtis van Curtis był na planecie później nazwanej Graalem. Stamtąd przywiózł aTan. Aż do Dzisiaj każde ostatnie stadium aTanu przeprowadza osobiście Curtis van Curtis. Bez niego aTan to tylko zbiór nieczynnych agregatów.

– Nie wiedziałem – odparł szczerze Key.

– Teraz wiesz. Właśnie dlatego Imperator ludzi zgodził się na szczególną pozycję Curtisa, faktycznie stawiającą go poza prawem.

– Po co mi to mówisz? – spytał ostro Key.

– Żebyś się zastanowił, po czyjej jesteś stronie.

– Nie widzę tu żadnej afery, Sedmin. Bez względu na to, gdzie Curtis zdobył aTan, służy on jedynie dobru, i nie tylko ludzkiej rasie. Mrszańcy i...

– Key! Ludzkość zawsze była silną rasą. Przetrwiała Wielką Wojnę, gdy wszystkie cywilizacje galaktyki zwróciły się przeciwko ludziom. Ale wtedy powstrzymał was krótki okres życia... i ogromna liczba mało wartościowych osobników. Wraz z pojawieniem się aTanu wszystko się zmieniło. Największe talenty i najsilniejsze osobowości otrzymały nieśmiertelność. Nie tylko przedłużenie życia do nieskończoności, ale także wskrzeszenie po nieszczęśliwych wypadkach i chorobach. Wasza nauka ogromnie posunęła się do przodu, odkąd uczonych nie ogranicza czas trwania życia. Wasi wojskowi gotowi są iść na śmierć, bo wiedzą, że zostaną wskrzeszeni. I, co najważniejsze, macie nowy czynnik ewolucyjny. Nie negatywny, bo nieudane osobniki nie dają potomstwa, lecz pozytywny, skoro te udane żyją bez końca...

Artur skulił się na krześle. Sedmin nie zaszczylił go nawet jednym słowem – rozmawiał wyłącznie z Altosem.

– I co takiego wzbudza wasz niepokój? – Key wzruszył ramionami. – Tak, zaczęliśmy żyć dłużej, ale wy taką przewagę mieliście zawsze. Imperium od dawna nie walczy. Mamy dość własnych problemów, a poza granicami zbadanych stref wszystkich ras znajdzie się miejsce na ekspansję.

– Rzeczywiście, wasza dawna agresywność uległa obniżeniu – przyznał Sedmin. – Dlatego nie podejmowaliśmy żadnych kroków.

Czekaliśmy. Podstawa Rozumu była rozchwiana, ale ludzie wytrzymali próbę nieśmiertelności.

– Więc o co...

– Nowy czynnik, Key. Czego szuka Curtis na planecie Graal?

Kolejnego aTanu? Kolejnej technologii, niedostępnej innym rasom?

– O to trzeba by zapytać nie mnie... i nawet nie Artura.

– Keyu Altos, ludzie zniszczyli Sakrę, której jedynym nieszczęściem było niekontrolowane rozmnażanie. Teraz w kolejce jest Darlok, którego metody obrony są dla was nie do przyjęcia. Co

dalej? Agresywne Bullraty, dumny Alkaris, impulsywny Mrszan? Podstawa Silikoidów z obsesją na punkcie równowagi sił?

– Nasza polityka...

– Podyktowana jest rozumem. Imperium Ludzi jest silniejsze od każdej innej rasy, ale zjednoczonego naporu ośmiu cywilizacji nie wytrzyma. A jeśli Curtis podaruje ludziom siłę? Jeśli jeden człowiek zdoła zniszczyć całą gwiazdną flotę?

– To brednie! Dopuszczacie...

– Dopuszczamy wszystko. Technologia aTanu jest sprzeczna z logiką. Następny aTan może przynieść galaktyce nie nieśmiertelność, lecz śmierć.

– Skąd miałyby się wziąć? Prekursorzy? – Key pozwolił sobie na uśmiech.

– W galaktyce nie było Prekursorów. Starożytne rasy to my i Darlok. Ale czy nie wszystko jedno, skąd przyjdzie nieszczęście, skoro można po prostu zamknąć mu drogę?

– W takim razie spaliliście niewłaściwą planetę – rzekł cicho Key.

– Graal jest dla nas niedostępny. – Sedmin nieoczekiwanie zachwiał się, wypłynął ze swojego dysku i zbliżył do Keya. – Statki Podstawy, idące na szturm Graala, nie wracają. Ta garstka ludzi, która żyje na Graalu, nawet ich nie widziała. Statki nie wyszły z hiperskoku.

Altos gwizdnął i odwrócił się do Artura.

– Czy to czasem nie zasługa twojego tatuśka, Arti?

– Niestety, Curtis nie ma z tym nic wspólnego. – Sedmin nadal ignorował Artura. – W tej chwili do Graala wyrusza eskadra bombowców, lecących z prędkością relatywistyczną. Ale droga zajmie im czterdzieści sześć lat. I nie wierzę w ich sukces. Oni znikną.

– No więc czego chcecie? – zapytał z rezygnacją Key. – Zabić nas? ATan na to nie pozwoli. Prościej było zaufać Darloкови. A może Podstawa zdolna jest pokonać nieznaną technologię? Zetrzeć nam pamięć, nie aktywując neuronowej sieci, ekranować pole psi... Albo jeszcze jeden wariant: trzymać nas do końca życia w niewoli. Sprawić, że życie będzie bardzo długie i nie pozwolić na samobójstwo.

Ile dasz za pomysł?

– Nic. Wszystkie wymienione przez ciebie sposoby już zostały zastosowane. Brak efektu.

Key patrzył na Silikoida, nic nie rozumiejąc.

– Co zostało zastosowane? Jak mam to rozumieć?

– Myślę, że twój towarzysz zdoła ci to wyjaśnić – rzucił niedbale Sedmin. – Na razie zaufaj mi, że te metody nie dają rezultatu.

Dotychczas najlepszym wyjściem jest zwykle zabójstwo, które odrzuca Curtisa na Terrę i pozwala zyskać na czasie. Ale nie można ryzykować w nieskończoność. Trzeba podjąć decyzję, a decyzja może być tylko jedna: totalna wojna z ludźmi. W końcu się na to zdecydujemy.

– Na genocyd? I likwidację jeszcze trzech czy czterech innych ras, do których zdołamy sięgnąć? Jesteście na to gotowi?

– Nie. Na razie nie. Dlatego właśnie z wami rozmawiam.

– Na razie rozmawiasz tylko ze mną.

– Jestem zmęczony rozmowami z Curtisem. Keyu Altos, ty się różnisz od poprzednich przewodników. Nawet śmierć, która przywiodła cię na Terrę, była niezwykła... Rozumiesz mnie?

Keyu Altos, będziecie mieli czas na rozmyślania. Bardzo długi czas. Jeśli Curtis zdecyduje się powiedzieć nam prawdę, jeśli dowiemy się, czym jest Graal, to decyzja Podstawy Rozumu zostanie podjęta.

Drzwi się otworzyły i Key zobaczył dwa Silikoidy. Żłocista powłoka na ich ciele lśniła.

– Odprowadzą was do przygotowanego pomieszczenia – oznajmił Sedmin. – Będę czekał... Umiem czekać. Idźcie, musimy wydalić zbędny tlen z atmosfery statku.

Altos wziął Artura za ramię, podniósł go z fotela – puszki i naczynia z niedojedzonym pożywieniem posypały się na podłogę i powiedział:

– Chodź, synu, musimy porozmawiać o pewnych sprawach. Jesteś już dużym chłopcem i czas, byś się dowiedział, skąd się biorą na świecie idioci.

Sedmin stał bez ruchu. Ludzie wyszli z jego osobistej kajuty, ale jeszcze długo słyszał głos Keya:

– Gdy dorośli potrzebują idioty, biorą pierwszego lepszego człowieka i mówią mu prawdę...

Podnóże Podstawy wydało cichy dźwięk, który mógłby usłyszeć tylko dobry odbiornik radiowy. O dziwo, zabrzmiał on jak westchnienie. Sedmin nie mógł zrozumieć, po co ubierać w ładne słówka zwykłe pretensje.

Nie mógł również zrozumieć, dlaczego biopole Keya wyraża taką złość, a biopole Artura – zakłopotanie i zmieszanie.

Rozdział 5

Przygotowano im porządne pomieszczenie. Fotele, łóżka i stół zostały z pewnością zabrane z jakiegoś ziemskiego statku.

Silikoidy zatroszczyły się nawet o estetykę – kolorowe paneau na ścianie przedstawiało las na jakiejś ziemiopodobnej planecie i stadko zwierząt, chyba niedźwiedzi, bawiących się na zwałonych drzewach.

– Co ty wyprawiasz, Key! – krzyknął Artur, gdy zostali sami.

Altos puścił go.

– Znudziło mi się być idiotą, Arti. Ochroniarz nie może pracować na ślepo. Ty albo twój ojciec, nieważne który z was, powinniście byli mnie uprzedzić.

– O czym?

– O Silikoidach. Jak mam zrozumieć słowa Sedmina?

– Nie wiem!

– „Nie kłam, Arti! – Key znowu chwycił Artura za ramiona. Szedłeś do Graala trzydzieści sześć razy. Kto cię zatrzymywał?

– Nie twoja sprawa!

– Moja, chłopcze. Mam przed sobą wieczność.

– Tak sądzisz? – Artur uśmiechnął się, ale uśmiech wypadł trochę krzywo, bo palce Keya mocno ścisnęły chłopca. – Zostaw mnie, sukinsynu!

Key puścił go i uderzył w twarz. Raz, drugi, trzeci. Głowa Artura odskakiwała po każdym ciosie, policzek zaczął płonąć. Artur próbował kopnąć Keya w krocze, ale Altos jednym uderzeniem odbił cios. Chłopiec krzyknął i upadł na podłogę.

– Nie myśl sobie, że jestem pionkiem, chłopcze – Key pochylił się nad nim. – Ty nie ryzykujesz niczym, a ja byłem z góry spisany na straty. Nie podoba mi się takie podejście do sprawy.

– Psychopata – powiedział cicho Artur.

– Za to ty aniołek. Co warta jest krew na moich rękach? Jestem dla ciebie tylko instrumentem. Tak samo jak ci, którzy ochraniaли cię wcześniej.

– A ja jestem instrumentem dla van Curtisa – odparł Artur, nie wstając z podłogi.

– Jesteś jego synem.

Twarz Artura drgnęła.

– Głupi... Nie jestem synem van Curtisa.

Key usiadł na podłodze, w milczeniu patrząc na chłopca. Potem odwrócił oczy.

– Curtis van Curtis nie ma dzieci – powiedział Artur.

Key milczał.

– Dzieci nie samy potrzebne. Jest nieśmiertelny, a Graal przyjmie tylko jego.

Głos Artura zadrżał od płaczu.

– Jestem... jestem klonem. Takim samym instrumentem jak i ty... albo tamci...

– Wybacz – powiedział Key.

– Po to zostałem stworzony... żeby przejść tę drogę...

- Wybacz mi – powtórzył Key.
- Jestem klonem. Zgodnie z prawami Imperium nie mam żadnych praw.
- Witaj, Arti.

Chłopiec podniósł oczy.

- Witaj, Arti – powtórzył Key. – Jestem Key Dutch z Drugiej Planety Shedara. Ten świat nie uznawał genetycznego moratorium Imperium. Jestem superem w trzecim pokoleniu. Wedle prawa podlegam filtracji i serii zaniżających zabiegów. Żona senatora Lacitisa dała mi dokumenty swojego syna, który zginął w czasie pierwszego ataku Sakry. Ale nawet tego nazwiska mnie pozbawiono. – Artur chlipnął, rozmazując łzy. Potem zapytał:
 - A w czym jesteś superem?
 - Pamięć wzrokowa, lingwistyka, szybkość reakcji.
 - Witaj, Keyu Dutch – powiedział Artur.

Podnóże Podstawy Silikoidów, Sedmin, długo obserwował Artura płaczącego na piersi Keya. Potem przeniósł odbiór na Zapominających i polecił zdjąć obserwację z ludzi.

Dobrze wiedział, co Curtis opowie Keyowi.

- Zawsze to wiedziałem, jak sięgam pamięcią – powiedział Artur, siedząc na łóżku z podwiniętymi nogami. Już nie płakał. Key Altos-Dutch grzebał w szafie. Znalazł trójkątną kryształową butelkę, zerknął na etykietkę, usatysfakcjonowany skinął głową i usiadł w fotelu.
 - To... to było normalne. Zwyczajne. Oficjalnie jestem synem van Curtisa. W rzeczywistości, dokładną biologiczną kopią.
 - A pamięć? Umysł? – Key odkorkował butelkę i napił się. Brązowy płyn palił gardło; haigarska brandy miała prawie sześćdziesiąt procent.
 - Pamięć mam własną – odparł sucho Artur.
 - No co to się przejmujesz? Co ci za różnica, ile genów masz takich samych jak van Curtis, pięćdziesiąt czy sto?
 - Dla mnie żadna. Dla Imperium...
 - Gwiżdż na Imperium. Co chce znaleźć Curtis senior na Graalu?
 - Linię Marzeń.

Key wypił jeszcze jeden łyk i spojrzał na Artura pytająco.

- Nie wiem, co to jest. Znam tylko drogę – powiedział chłopiec.
- Kłamiesz. To jeszcze inna technologia?
- Tak.
- Czyja?
- Key, nie warto tego wiedzieć.
- Sedmin ma rację w kwestii Prekursorów?
- Nie było żadnych Prekursorów, Key, daj spokój. – Wargi Artura zadrżały.
- Łyknij sobie. – Key podał mu butelkę. – Tylko niedużo.

Artur posłusznie upił łyk, skrzywił się, oddał butelkę, – Co miał na myśli Sedmin, mówiąc o odrzucaniu cię na Terrę?

– Mogę się tylko domyślać.

– Nawijaj.

– Wiesz, jak działa aTan?

Key nie odpowiedział, uznając pytanie za retoryczne. Artur cierpliwie czekał. Altos westchnął i zaczął:

– Molekularny replikator kopiuje dowolne obiekty biologiczne. Ale one pozostają martwe... nieożywione, co tak ucieszyło kościół Wspólnej Woli. Tylko w przypadku śmierci oryginału, gdy siatka neuronowa wyrzuca informacyjne psychopole, można je załadować do nowego ciała...

– Nie tak. Neuronowa siatka nie jest w stanie błyskawicznie przerzucić takiego ogromu informacji. Działa w trybie realnego czasu.

– Aaa...

– Informacje są nieustannie kumulowane w komputerach kompanii. Przerwanie pracy siatki neuronowej uznawane jest za śmierć człowieka. Wtedy ekranowanie psychopola może doprowadzić tylko do jednego – do stworzenia nowej osobowości.

– Pełnowartościowej?

– Nie. Człowiek-roślina, a raczej człowiek-automat. Może jeść, pić, odpowiadać na pytania, wykonywać polecenia. Ale nie jest osobowością. Człowiek to nie tylko suma ciała i pamięci.

– Twoje słowa ucieszyłyby Patriarchę.

– A jak myślisz, kiedy kościół błogosławił aTan? Udowodniliśmy istnienie duszy.

Key znowu napił się brandy i powiedział cicho:

– To znaczy, że Silikoidy...

– Nie. Nie są w stanie nas zniszczyć. Jeśli będą ekranować psychopole, co jest możliwe, to na Terrze pojawią się dwa zombie: Artur i Key. Ale wystarczy, że zginiemy, a zombie otrzymają świadomość. Coś stojącego ponad psychopolem bez żadnego aTanu znajdzie swoje ciało. My nazywamy to czynnikiem psi. Właśnie tego nie mają rasy Darloka, Alkarisa, Klakona, przez co aTan jest dla nich bezużyteczny.

– Jasne.

Twarz Artura zaczerwieniła się; mówił coraz szybciej.

– Silikoidy nie mogą nas zlikwidować. Jak tylko znajdziemy sposób, żeby się zabić, nasze zombie otrzymają świadomość. Ścieranie pamięci przyniesie ten sam efekt. Nie jestem pewien... ale możliwe, że darloksańska symbioza też uwolniłaby czynnik psi.

W to już Key nie uwierzył. Artura mocno widać przerazili na Lajonie. Ale nie warto było wypowiadać na głos tych domysłów.

– Przechodziłeś kiedyś przez coś takiego?

– Taak... – Artur zająknął się. – Półtora roku temu dorwali mnie na Gentarze-2. Grupa ludzi, potem wśród nich pojawił się Silikoid.

Umieścili mnie w celi, gdzie prawdopodobnie były systemy ekranujące. ATan zadziałał. Dwa miesiące byłem... nie byłem sobą. Później świadomość wróciła. Prawdopodobnie udało mi się popełnić samobójstwo.

– Albo starli ci osobowość – zasugerował ostrożnie Key.

– Osobowość starli mi dwa lata temu. Sigma-T. – Artur wzdrygnął się i roześmiał z przymusem. –

Pamiętam, jak mnie położyli pod antenami... łupnęło w skroniach i po wszystkim. Tam byli tylko ludzie. Podejrzewaliśmy korporację Ramds... Silikoidy pozostawały w cieniu.

– Spróbują podnieść przeciwko Imperium wszystkie rasy galaktyki. – Key położył się na swoim łóżku. W głowie mu huczało, ale myślał jasno. Brandy trudno się było upić. – Czy Graal jest tego wart?

– Graal nie jest wart niczego. Ale Linia Marzeń...tak.

– Prześpię się, Arti. – Key zamknął oczy.

– Śpij – zgodził się Artur.

Altos już prawie zasnął, gdy Artur zapytał:

– Nie jest ci nieprzyjemnie, że jestem klonem?

– A tobie, że mój embrion złożyli pod mikroskopem? – wymamrotał Key.

– Dobranoc, Dutch – Artur pokręcił się w pościeli. – Pomyślę, co możemy zrobić.

– Dziękuję, królu. – Key zasłonił oczy ręką. Silikoidy nie domyśliły się, by umieścić wyłącznik światła wewnątrz ich celi... albo nie uznały tego za konieczne.

Rozdział 6

Proszę, Lemak – nalegała Izabela. Admirał, pólleżąc w fotelu, patrzył na nią z ekranu. Patrzył w milczeniu i ze znużeniem: wydawało się, że bardzo się postarzał przez te kilka dni. – Niech mi pan pozwoli kontynuować akcję, admirale.

– Idzie czas przemian, Kal – odezwał się cicho Lemak. – Wielkich przemian. Nie mogę zaufać hiperpołączeniu, ale ostatnią rzeczą, której potrzebuje teraz Imperium, jest konflikt z Podstawą Silikoidów.

– Nie będzie konfliktu.

– Tak? Cóż, nie mogę rozkazywać oficerowi Służby. Proszę działać według własnego uznania.

– Bez pańskich statków jestem bezsilna. – Izabela zmusiła się do przyznania tego faktu.

– Wszystkie liniowe statki muszą wrócić do baz. To nie mój rozkaz, Kal, i nie mogę go zignorować.

– Ale „Gończy” nie jest statkiem bojowym.

Lemak rozłożył ręce:

– Kal, zdumiewa mnie pani. I to bardzo. Co się dzieje?

– Nie mogę tego powierzyć hiperpołączeniu.

– Dobrze – zgodził się nieoczekiwanie Lemak. – Konwój wraca, statki wspomagające nadal podlegają pani. Ale mam prośbę: jeśli jakiś cud pozwoli pani odnieść sukces, przede wszystkim proszę odwiedzić mnie.

Kal skinęła głową.

– Na wszelki wypadek oznajmię to grupie desantowej na pani statku – dodał Lemak. – Życzę powodzenia.

Ekran zgasł. Izabela objęła głowę rękami i zastygła patrząc na martwe szkło.

– Po co Silikoidom Artur Curtis? – odezwał się Nomachi. Na mostku byli we dwoje, jedyni, którzy znali prawdę o celu lotu. Skąd ci przyszło do głowy, że u nich jest?

– Nie wiem – przyznała się Kal. – Ale to jedyny wariant, który mnie urządza.

Nomachi zaklął w myślach. Obrzydła mu maleńka kajuta, którą dzielił z milczącym Kadarem, miał dosyć sublimowanego jedzenia, nie podobał mu się szalony, wyczerpujący seks z Izabelą. W głębi duszy przeklinał chwilę, w której postanowił porównać portrety Artura Ovalda i Artura Curtisa.

Miał tylko nadzieję, że szczeniak zginął w łapach Darloksan albo w czasie bombardowania Lajona.

– Muszę porozmawiać z Sedminem – powiedział Artur.

– Jesteś pewien?

– Absolutnie.

– W takim razie powtarzaj to głośno i regularnie – poradził Key, wycierając twarz serwetką-depilatorem. Tygodniowa szczecina schodziła z policzków jak szary pył.

– Muszę porozmawiać z Sedminem – powiedział Artur w przestrzeń. Ciągłe leżał na łóżku, najwidoczniej przespał noc w ubraniu.

– Muszę porozmawiać z Sedminem...

Key skończył golenie i otworzył filiżankę kawy. Ale nie pił wypłukał nią gardło i wypłuł na podłogę. Zaczął cicho nucić.

– Co ci jest? – zainteresował się Artur.

– Chcę zmienić zawód – oznajmił Key. – Wstąpię do Opery Imperialnej... Aaaa... Jak ci się podoba mój śpiew?

– Masz głos postrzelonego Bullrata.

– Doskonale.

Artur powtarzał swoje życzenie rozmowy z Sedminem jeszcze przez dwie godziny. Key nie przerywał ćwiczeń wokalnych. W końcu drzwi się otworzyły i na progu pojawił się Silikoid.

– Podnóże Podstawy Sedmin czeka na Curtisa. Rozmowa.

Artur zerwał się z łóżka i podszedł do Silikoida.

– To rozmowa w cztery oczy – rzucił Keyowi.

– Aaaa – zaśpiewał Key. – Jeśli znajdziesz u Silikoida choć jedno oko, daj mi znać. Aaa...

Curtis junior szedł za Silikoidem głęboko przekonany, że jego ochroniarz traci rozum.

Mała eskadra rozdzieliła się w systemie Lajona. Niszczyciele odeszły w hiperskok do Dogara, „Krąg ciszy”, „Gończy” i bezimienna korweta Służby ruszyła po śladach armady Silikoidów. To nie było trudne – trzydzieści dwa tysiące statków zostawiło silne zaburzenia w przestrzeni.

Kal nie wiedziała, jak może jej pomóc planetarny nulifikator.

Ale przywykła wykorzystywać wszystko, co miała pod ręką – a odnosiło się to nie tylko do ludzi, ale i do statków.

Rozdział 7

Idź za mną – rozkazał Silikoid.

Artura nie było dwie godziny. Gdy drzwi się otworzyły, Key spodziewał się zobaczyć właśnie jego, ale to był tylko konwojent.

– Teraz moja kolej, tak? – zapytał Key, wychodząc na korytarz.

Silikoid nie uznał za stosowne odpowiedzieć. Poszli korytarzami; panowała tu ciemność, tylko jarząca kula, stworzona przez obcego, pomagała odnaleźć drogę. Powietrze wydawało się niezwykle świeże i delikatne, widocznie całkiem niedawno wzbogacono je tlenem.

Silikoidom wystarczyło trzy, cztery procent, ale dla jeńców musiały zmieniać atmosferę.

Tym razem Sedmin nie był sam. Trzy Silikoidy wisiały pośrodku kajuty – albo rozmawiały na swojej częstotliwości, albo o czymś rozmyślały. Artur siedział w fotelu, spięty, przypominający zaszczute zwierzątko.

– Witaj, Podnóże Podstawy – powiedział Key, podchodząc do swojego podopiecznego. – Nie byłeś zbyt ostry dla chłopca?

– Sam zdecydował się na szczerość – zahuczał Silikoid, wiszący w centrum małej grupy.

– Jesteś zadowolony?

– Tak. Teraz ja pytam, a ty odpowiadasz. Czym jest Linia Marzeń?

– Niestety, ze mną Artur nie jest tak otwarty. – Key przysiadł na oparciu wolnego fotela. – Najwidoczniej ta informacja przeznaczona jest wyłącznie dla osób na samej górze.

– On nie wie – powiedział szybko Artur. – To nie jest konieczne.

– Wierzę – zgodził się Sedmin, zbliżając się do nich. – Czujemy, kiedy słowa są prawdziwe, a kiedy nie.

– Obiecałeś... – zaczął Curtis junior.

– Pamiętam. Keyu Altos, otrzymaliśmy od Artura Curtisa cenną informację, która zmienia nasze wyobrażenia o Graalu.

– I postanowiliście nas wypuścić – Key lekko się skłonił. – Dziękuję, mądra i starożytna raso.

– I prawie postanowiliśmy was wypuścić – rzekł Silikoid, nie zwracając uwagi na jego ton. Key ugryzł się w język. Zmierzył Artura pytającym spojrzeniem; chłopiec skinął głową.

– Sytuacja jest niejednoznaczna – ciągnął Sedmin. – Udostępnienie Imperium Ludzi technologii, nazwanej przez Curtisa Linią Marzeń, powinno obniżyć niebezpieczeństwo. Ewentualność agresji ze strony ludzkości zbliży się do zera...

– Może ja powinienem cię powstrzymać? – zapytał Key Artura.

– Jednak – mówił dalej Silikoid – osłabienie ludzkości może sprowokować reakcję innych ras. Równowaga sił zostanie zachwiana w każdym wypadku. Jesteśmy w trudnej sytuacji.

– Macie wybór? – zaciekał się Key.

– Tak. Możemy was zatrzymać... na długo. Będziecie żyć, ale nigdy nie opuścicie przestrzeni Silikoidów. To da nam czas na podjęcie decyzji.

– Zatrzymać? Nie byłbym taki pewien... – Key poklepał się po piersi. – Mogę zatrzymać swój mały motorek w każdej chwili. Na przykład przestać oddychać. Artur też jest zdolny do takiej sztuczki.

– Nie będziecie mieli ani serca, ani płuc – powiedział Sedmin bez emocji. – Tylko mózg. A on będzie żył. Długo. Bardzo długo.

– Blefujesz – odezwał się Key, czując chłód w piersi.

– Nie, Keyu Altos, urodzony jako Key Dutch. Nauczyliśmy się zachowywać obiekty biologiczne w rozczłonkowanej postaci.

W ciągu trzech minut... wystarczy, żebym wydał rozkaz... wasze ciała zostaną podzielone na części. Mózg nie zdąży zginąć, więc aTan nie zadziała.

– To blef – powtórzył Key, rozumiejąc, że Sedmin mówi poważnie.

– Chcesz sprawdzić?

W głosie Silikoida nadal nie było groźby. Nawet najbardziej zaprzysięgli wrogowie tej rasy nie mogli zarzucić jej zbędnego okrucieństwa.

– Nie – poddał się Key. – Wierzę.

– Słusznie czynisz. – Nutka współczucia w głosie Sedmina mogła być fałszywa, ale mogła też oddawać prawdziwe uczucia, ten odpowiednik sympatii, jaką Silikoid mógł odczuwać do człowieka.

– Więc na co czekacie? – Key obejrzał trójcę. Silikoidy, składające się z krzemianych i krystalicznych struktur, wykorzystujących zamiast kończyn pola siłowe, wydawały się absolutnie odporne na atak ze strony nieuzbrojonego człowieka.

Takie było powszechnie mniemanie.

– Musimy zdecydować, Keyu Altos. Curtis junior powiedział nam prawdę albo jej część. Puszczając was, zlikwidujemy zagrożenie, które niesie ludzkość. Ale jeszcze wiele czynników trzeba wziąć pod uwagę. Jeśli was zatrzymamy, zyskamy jedynie na czasie. Niestety, niezbyt wiele. Van Curtis stworzy nowy klon. I jego plany mogą się zmienić.

Artur drgnął, ale nic nie powiedział.

– Decydujcie – powiedział Key. – Niechaj Podstawa nie zadrży, gdy rozum się poruszy.

– Wiele wiesz. – Sedmin nie okazał zdumienia. – Jesteś człowiekiem, który stara się rozumieć inne rasy, nienawidząc ich przy tym.

– Do was mam stosunek neutralny.

– Zbyt jesteśmy różni... Keyu Dutch, co radzisz nam zrobić?

Nie znasz prawdy o Linii Marzeń, więc ona nie wpłynie na twoją decyzję. Mów.

– I posłuchacie mnie?

– Niekoniecznie.

– Dobra. – Key otrząsnął się i rozluźnił, jakby już podjął decyzję. – Sedmin, gdy stanąłeś u Podnóża Podstawy, zastąpiłeś na tym stanowisku Granida.

– Tak było.

– Twoją drogę uznano za bardziej słuszną dla Podstawy?

– Nie, wówczas nie było to jasne. Zaufaliśmy stabilności wszechświata.

– Mówiąc prościej, walczyliście obaj – skomentował Key. Ciekaw był, czy Silikoid odczuwa jakiegokolwiek emocje, wspominając swoje dojście (zejście?) do władzy.

– Twoja sugestia jest absurdalna. – Sedmin zachwiał się całym korpusem i Key poczuł, że coś niewidocznego przesunęło się w niebezpiecznej bliskości jego nóg. – Pośród nas nie ma stronników takiej czy innej decyzji. Nikt nie dochodzi do prawdy w pojedynku.

– Moja sugestia jest jeszcze bardziej absurdalna niż myślisz, głazie. Będę walczył z jednym was. Zwycięzca podejmie decyzję.

Wydawało się, że Sedmin nie może pojąć tego, co usłyszał. Okrążył Keya, skanując go na wszystkie dostępne sposoby. W końcu zapytał:

– Jaką broń chcesz wybrać?

– Żadnej. Walka wręcz, jak przystało podczas próby prawdy.

Artur odwrócił się. Tłumaczenie czegokolwiek obłąkanemu nie miało sensu.

Silikoidy milczały.

– Proponuję sprawdzenie poprzez stabilność wszechświata – powiedział Key.

– Twój plan jest naiwny, Keyu Altos. Nie zginiesz. Zachowamy mózg. – Sedmin najwidoczniej uznał propozycję Keya za podstęp.

– Kto wystąpi przeciwko mnie?

Sedmin płynnie odsunął się na bok. Zapewne wydał rozkaz, bo jeszcze jeden Silikoid podążył za nim i naprzeciw Keya znalazł się tylko jeden obcy – pół tony wiszącego w powietrzu kamienia.

– Key Dutch, Druga Planeta Shedara – skłonił się Key. – Nie mam do ciebie żalu.

Silikoid z karykaturalną gracją wygiął ciało i zaśpiewał:

– Mizaar, trzydziesta dziewiąta Podstawy. Nie mam do ciebie żalu.

Artur Curtis popatrzył na swojego ochroniarza. Wiedział, co się zaraz stanie z Keyem i co potem czeka ich obu. Walczenie z Silikoidami bez broni było jeszcze głępszym pomysłem niż rzucanie się z nożem na czołg. Ale Dutch-Altos już przyjął bojową postawę.

Chłopiec przycisnął dłonie do głowy, jakby to mogło ochronić go przed chirurgami Silikoidów, szykującymi się do trepanacji dwóch czaszek, i zamknął oczy.

Mizaar ciężko ruszył na Keya. Key odskoczył i wydał przeciągły okrzyk, najbardziej kojarzący się z miauczeniem kota marcową nocą.

Artur van Curtis, który umiał rozpoznać śmierć w każdej postaci, tym razem pomylił się. Pomyślał, że Key Dutch już jest martwy.

Silikoid był tego samego zdania. Podstawa kamiennego słupa zakreśliła łuk i niewidoczna ściana uderzyła w Keya. Upadł, czując, że zatamowało mu oddech. Silikoid zbliżył się – nieuchronny i śmiertelnie jak górską lawina.

Key Dutch zerwał się i zadał cios w kamienne ciało. Stłuczona i oparzona ręka wybuchła bólem.

Mizaar, nie wydając ani jednego dźwięku, runął na podłogę. Kolumna jego ciała niemal okrąglą powoli, z łoskotem potoczyła się do Sedmina. Ale ten ruch odbył się już bez udziału rozumu. Pozbawiony możliwości generowania pola siłowego, Silikoid przemienił się w kamień.

– Robi. Duże. Wrażenie – wyskandował Sedmin. Mizaar zatrzymał się, pochwycony jego polem.

Key, nie słuchając, podszedł do Artura. Ujął jego pobladłe z napięcia dłonie i odsunął je od twarzy.

Curtis junior, mrugając oczami, patrzył na swojego ochroniarza.

– Co postanowiłeś, Key? – spytał Sedmin. Gdzieś poza granicami ludzkiego odbioru wrzała teraz burza. Po ogromnym statku krążyła szokująca informacja: ludzie nauczyli się sztuczki Bullratów. Ludzie zdolni są zabić Silikoida gołymi rękami.

Key Dutch-Altos patrzył na Artura. Za tym chłopcem stała nieznana Linia Marzeń, która sprawi, że

ludzkość stanie się pokojowo usposobiona, niegroźna, niezakłócająca równowagi sił. Taka, jaką chcą ją widzieć obcy.

– Decyduj, Key.

Za Sedminem stało rozczłonkowane ciało i zapakowany do słoika mózg. Możliwe, że zachowają jeszcze oczy.

– Do licha z ludzkością – powiedział Key i zmierzwił Arturowi włosy. – Sedmin, puść nas. Puść nas, proszę cię.

Rozdział 8

Niegdyś kapsuły ekspresowe były w powszechnym użyciu.

Zrzucano je z idących w hiperprzestrzeni statków, wyliczając kurs tak, by kapsuła weszła w realną przestrzeń tuż przy planecie. Jednorazowy silnik pozwalał obniżyć prędkość, system spadochronowy pozwalał wylądować. W przedziałach można było umieścić około tony ładunku – lub pięciu do sześciu ludzi cierpiących na nadmierny optymizm.

Jedyne, czego kapsuły nie gwarantowały, to pewność. W spłaszczonej ceramicznej kuli nie było miejsca na zdublowany silnik i kapsuły płonęły w atmosferze. Nie było miejsca na zapasowe spadochrony – więc często rozbiły się przy lądowaniu. Nie było miejsca na rezerwowy system nawigacyjny – i zdarzało się, że przelatowały obok planety, odpływając w niekończący się dryf.

– W razie czego wrócimy na Terrę – powiedział Key, siadając w fotelu.

Arturowi nie spodobał się jego ton. Wolał zapytać o co innego:

– Byłeś na Tauri?

– Zdarzało się.

– I jak?

– Niczego sobie. Spodoba ci się.

– Uhu – burknął powątpiewająco Artur.

Zaświecił maleńki, niedający nawet wrażenia trójwymiarowości ekran komunikatora. Zobaczyli Silikoida.

– Keyu Altos, Podstawa podjęła decyzję.

– O bogowie... No to mów.

– Podstawa Silikoidów nie może dokonać ostatecznego wyboru. Pozostawia wasz los stabilności wszechświata. Ani jeden Silikoid nie podejmie działań pomagających wam lub przeszkadzających... wyłączając obecny moment. Jeśli Artur Curtis dotrze do Linii Marzeń, zostanie to przyjęte pozytywnie. Jeśli nie, nic się nie zmienia.

Powierzamy was losowi.

Kapsułą wstrząsnęło, przeciążenie wybiło im z gardła zdławione okrzyki.

– Nie musicie tak boleśnie powierzać nas losowi... – wyszeptał Key.

Kapsułą rzucało jak samochodem na wiejskiej drodze. Obraz na ekranie znikł – pomiędzy statkami nie istniała łączność hiperprzestrzenna.

– Jeśli nas wciągnie w ślad kilwateru, wynurzymy się kilka parseków od gwiazdy – oznajmił Key.

– Jakbym nie wiedział.

Przestało trząść. Na ekranie zamigotały cyfry – to system nawigacyjny orientował kapsułę. Key zmrużył oczy, wpatrując się w gęste linijki.

– No?

– Żeby ich szlag trafił!

Palce Keya przebiegły po pulpicie sterowniczym. Na moment znikła grawitacja. Potem kapsułą zakręciło i cienki świst wypełnił przedział.

– Co się dzieje? – krzyknął Artur.

– Jeśli silnik nie rozwali się podczas dopalania – Key zabrał ręce z pulpitu – jeśli grawikompensator zdoła pochłonąć wszystkie przeciążenia, to za siedem minut będziemy na powierzchni.

Operatorzy gorącego śladu zarejestrowali zrzucenie kapsuły w systemie Tauri. Było to dość dziwne, ale standardowa instrukcja rekomendowała inwigilację zasadniczej grupy. Wybór pomiędzy trzydziestoma dwoma tysiącami statków a małą kapsułą wydawał się prosty – nie wiedzieli przecież, kogo właściwie mają wysledzić.

Trzy ziemskie statki kontynuowały lot.

Kapsuła ekspresowa nie miała zewnętrznych kamer, iluminatorów również. Cisza oznaczała koniec hamowania, błyskawiczna nieważkość – zrzucenie grawikompensatora, szarpnięcie – otwarcie spadochronu. Potem już tylko kołysało ich w powietrznych strumieniach.

– A jednak lądujemy – odezwał się ze zdumieniem Key. – Artur, jeśli chciałeś cudu, to właśnie stał się cud.

– Już nic nie chcę.

– Zły znak. Arti, nie masz ochoty opowiedzieć mi o Linii Marzeń?

– Nie mam.

– A jednak będziesz musiał – obiecał mu Key.

Kapsułą znowu wstrząsnęło.

– Witamy na stałym lądzie – powiedział Altos, odpinając pasy.

Kapsuła stała krzywo, więc do luku trzeba było wdrapywać się pod sufit. Zresztą zostało to przewidziane i kilka klamer ułatwiało zadanie. – Wiesz, że w czasie Wielkiej Wojny takie kapsuły wykorzystywano w desantach?

– Nie wierzę – odparł Artur, wyplątując się z pasów. Zerknął na monitor i podejrzliwie zapytał:

– Jesteś pewien, że planeta mi się spodoba?

– O co chodzi? – Key zdjął ostatnią blokadę i otworzył luk. Do przedziału wdarły się płatki śniegu i lodowaty wichur.

– Minus dwadzieścia trzy – oznajmił Artur, zapinając bluzę.

Key osłupiał, patrząc na wyrwę luku. Zobaczył wypełnioną zamiecią ciemność.

– To niemożliwe – powiedział cicho. – Tauri to planeta-sad.

Key podciągnął się i usiadł na krawędzi luku. Zamrugał, przywykając do ciemności. Zobaczył dziewiczy, głęboki śnieg, który pierścieniem tajał wokół kapsuły. Przez gęste chmury nie było widać ani jednej gwiazdy.

– Nie pomyliłeś Tauri z jakąś inną planetą? – Artur wyszedł za nim. Chłód przyjaźnie objął chłopca. Artur skulił się.

– Mieszkałem tu dwa lata po więzieniu. Na Tauri nie ma zimy, planeta jest klimatyzowana według klasy Eden...

Artur po raz pierwszy widział Keya zakłopotanego, a nawet przestraszonego. Jego ochroniarz nie bał się realnego zagrożenia – lękał się niewiadomej.

– Co to za światło, Key?

Przez padający śnieg widać było słabe fioletowe jarzenie. Wyglądało to jak odległa ściana

światła, wznosząca się ku niebu...

– Do diabła! – Key zachichotał. – Wylądowaliśmy w kompensatorze, Arti! – optymizm wrócił mu zdumiewająco szybko. Chwycił Artura za pas i zeskoczył w śnieg.

– Co jest?

– Domyśl się. Do trzech razy sztuka.

Spod kapsuły dobiegł trzask. Osmolona kula drgnęła.

– Rozumiem – powiedział Artur, odskakując. Z odległości dziesięciu metrów patrzyli, jak kapsuła wpada pod lód. Chlupnęła czarna woda i błyskawicznie zaczęła tężeć. Po chwili pokryła się warstewką lodu, który szybko przysypywał śnieg.

– Dasz radę przejść pięć kilometrów? – zapytał Key.

– Chodźmy. – Artur schował zmarznięte ręce do kieszeni. Nie potrzebował wyjaśnień – kompensacyjne strefy planetarnych klimatyzatorów ciągnęły się w promieniu jakichś dziesięciu kilometrów.

Wieczne lato, panujące według słów Keya na Tauri, istniało kosztem stu lub dwustu stref wiecznej zimy.

Na początku szli szybko. Przeszkadzał im śnieg, czasem sięgający Arturowi do pasa. Key wysunął się naprzód, przecierając drogę. Szok spowodowany błyskawicznie biegnącymi wydarzeniami na razie nie pozwalał odczuć zimna w pełnej mierze.

– Nieźle pograłeś z Silikoidami – powiedział Artur.

– Bądź cicho i oddychaj przez nos – uciął Key. Jego postać stawała się coraz bardziej widoczna; oczy przywykły do ciemności, a na szary materiał ubrania spadały białe płatki.

Mieli szczęście – wyszli na odcinek, gdzie nie było śniegu, tylko gładki jak szkło lód. Najwidoczniej tę część strefy kompensacyjnej niedawno oczyszczono, zabierając nadmiar zamrożonej wody do systemów zraszających. Key upadł dwa razy, Artur trzy. Wymachując rękami, Curtis junior stopniowo nauczył się utrzymywać równowagę. Ale i tak po lodzie szło się lżej.

Gdy znowu wyszli na zaśnieżony teren, Artur poczuł, że sztywne palce już go nie słuchają. Schowanie rąk do kieszeni kosztowało dużo wysiłku, ale i to nie bardzo pomogło. Wreszcie chłopiec upadł; nogi z jakiegoś powodu nie chciały mu się zginać.

– Key, zaraz się poddam – powiedział, wstając z puchowej śnieżnej pierzyny, bardzo miękkiej i kusząco przytulnej.

– Według moich wyliczeń powinieneś być się poddać w połowie drogi – odezwał się sucho Key odwracając się. Jego twarz była biała i zimna jak lód.

– Spotkamy się na Terrze? – Artur usiadł w śniegu.

– Zapewne. – Key Altos zobaczył, że chłopiec zamyka oczy; potem popatrzył na fioletowy blask otaczający strefę kompensacji.

Zostało jeszcze trzy kilometry.

Rozdział 9

Artur otworzył oczy i zobaczył nad sobą sufit – biały, z siatkami pajęczyny w rogach i okrągłym plafonem na sznurze.

Leżał w łóżku, rozebrany i przykryty cienką kołdrą. Promień słońca ciepłą dłonią gładził jego twarz.

– Key – wyszeptał Artur.

Pokój był bardzo mały, o ścianach oklejonych niebieskimi papierowymi tapetami, przez jedyne uchylone okno wpadało chłodne powietrze. Z mebli było tylko łóżko, twarde krzesło z wysokim opar–ciem i szeroka, niska szafka o ciemnej politurze. Naturalne drewno nie pasowało do ogólnego ubożego umeblowania, ale Artur widział już wiele znacznie dziwniejszych miejsc.

– Key? – powtórzył głośniejszym głosem Artur, odrzucając kołdrę. Wstał i wyjrzał przez okno, odchylając lekki tiul firanki. Pokój był na pierwszym piętrze i chłopiec zobaczył jedynie drzewa – ciemnozielone liście, przypominające jabłka owoce, złote światło słońca przesiane przez gałęzie... Artur poczuł dreszcz – albo był to zimny powiew wiatru, albo złe przeczucie. To wszystko za bardzo przypominało Terrę.

Na krześle leżało jego ubranie. Artur wciągnął dzinsy i podszedł do drzwi. Dotknął skrzydeł, też drewnianych; zakołysały się.

Przynajmniej go nie zamknęli. Zamarł, słysząc nieznanego głosu, stary i drżący:

– Maretta mi się nie spodobała, nie... Śnieg i śnieg, jak tam żyć? W zeszłym roku u nas dwa tygodnie leżał śnieg. Mówią, że to z powodu tej nowej bazy, co w górach postawili. Myśleliśmy, że to już koniec, ale jakoś przeszło... Sady pomarzęły, pierwszego plonu nawet nie zbieraliśmy, zakopaliśmy w ziemi i tyle...

– Coś podobnego... Straszne...

Artur uśmiechnął się i oparł o futrynę. Poznał głos Keya.

– Dla was to zwyczajna rzecz, ja wiem. Jeśli się wydostaliście z odstożnika, to co tu gadać. Tam u was to pewnie nic nie rośnie?

– Jak to nie rośnie? Jagielnik, śnieżne winogrona, samemu Imperatorowi dostarczamy...

– Pewnie, zawsze to interes – niezbyt pewnym głosem powiedział rozmówca Keya. – Oczywiście, prawdziwe owoce...

– Ryby też dostarczamy na wiele planet – mówił z zapalem Key.

– Jeśli interes wypali, to i wy spróbujecie.

– Spróbujemy – obiecał bez entuzjazmu właściciel starczego głosu. – A wy moglibyście nasze jabłka zaproponować na Marecie...

– W tym sezonie na Marecie zebraliśmy mnóstwo planktonu nie pozwolił mi dokończyć Key. – I nie tylko z górnej warstwy...

To takie jakby malutkie robaczki. Przetarliśmy dno, bo w ciepłym okresie mnożą się na dole. To takie... jakby karaluchy, tylko żyją w wodzie... i co najlepsze, nawet wysuszone nie zdychają! Kiedy się je wrzuci do szklanki z wodą i chwilę poczeka, znowu się kręcą, słowo daję!

Artur ugryzł się w rękę, żeby się nie roześmiać. Za drzwiami zapadła cisza, potem nieznanego odchrząknął i zaczął nieśmiało:

– A w moich sadach...

– Przepraszam, nadszedł moment przyjęcia pożywienia – odezwał się nieoczekiwanie surowo Key.

– Wiara nie pozwala nam dokonywać tego hańbiącego aktu w obecności osób postronnych.

– Aa... W takim razie przyjemnej kolacji.

– Poniżenie nie może być przyjemne – oznajmił ze smutkiem Key.

Zaszurały pospieszne kroki i do Artura doleciał drżący głos:

– Jeśli synek zachoruje, niech go pan natrze octem. Nie ma lepszego środka na gorączkę, może mi pan wierzyć.

– Zamarynuję go – obiecał posepnie Key.

Drzwi zatrzasnęły się z łoskotem. Artur trząśnięty od tłumionego chichotu.

– Wejdz – dobiegło z sąsiedniego pokoju. – Zjemy kolację, póki nie ostygła.

Artur pchnął drzwi. Ten pokój był znacznie przestronniejszy.

Miękki dywan pokrywał całą podłogę, pod ścianą stała długa kanapa, obok szklana szafka zastawiona naczyniami. Przy okrągłym stole po środku pokoju siedział Key.

– Wystraszyłeś staruszkę? – zapytał Artur.

– Staruszkę. Nie tak łatwo ją przestraszyć, bojowa babka. Była akuszerką w imperialnym desancie.

– Kim?

– Akuszerką, synku. Kobiet tam nie brakowało. Dzień dobry.

– Dzień dobry, tato. – Artur wyjrzał przez okno. Drzewa, światło słońca, czyste błękitne niebo. – Gdzie jesteśmy?

– Tauri, zgodnie z planem. Główny dostawca owoców w tym sektorze. My jesteśmy z Maretty, handlujemy rybami i planktonem.

– To już zrozumiałem. – Artur miał już usiąść przy stole, ale Key pokręcił głową.

– Tamte drzwi. Higiena jest dla marettanina rzeczą pierwszej wagi. Potem następne. Na kuchni stoi patelnia, w szafce naczynia i sztucce.

Artur umył się pospiesznie, w kuchni – okna otwarte na oścież, sady po horyzont – zdjął z kuchenki potężną patelnię. Kuchenka była albo szalenie luksusowa, albo absolutnie starożytna – z otwartym ogniem.

– I chleb! – krzyknął z pokoju Key.

Stawiając przed Keyem patelnię, Artur znów spróbował usiąść obok.

– Dobrze wychowany młodzieniec powinien usługiwać ojcu przy stole – osadził go Key. Zdjął z patelni pokrywkę; pod spodem była smażona ryba. Bardzo smaczna, jeśli sądzić po zapachu. Musisz przy tym stać z tyłu, żeby nie widzieć wstrętnego procesu żucia. Potem będziesz mógł dojeść resztki, nie gardząc ościstymi kawałkami...

Curtis posłusznie stanął za plecami Keya. Było mu dobrze. Gotów był nawet nie pogardzić ościstymi kawałkami.

– Siadaj – polecił miękko Key. – O dobrym wychowaniu możesz zapomnieć. I tak nie jadamy przy obcych.

– Musieliśmy koniecznie być z Maretty? – zapytał Artur nabijając kawałek ryby na widelec.

– No nie, mogliśmy na przykład z Butisa. Ale zapewniam cię, że twoje obowiązki spodobałyby ci

się jeszcze mniej.

Jedli szybko, łamiąc świeżą bułkę, i popijając rybę słonawą wodą z karafki.

– Key, przypominam sobie, jak mnie niosłeś... – Artur zawahał się, ale mimo wszystko dokończył:

– Dziękuję ci bardzo, że mnie uratowałeś, ale dlaczego zdjąłeś ze mnie kurtkę?

– Żeby włożyć ją na siebie, pod marynarkę – odparł spokojnie Key. – Syntetyki mają uniwersalny rozmiar, to bardzo wygodne.

Artur milczał.

– Chłopcze – Key wziął go za podbródek – w romantycznych książkach słabszym oddaje się ciepłe ubrania, zawija ich we własne szmaty. Wszystko to bardzo pięknie, ale lekkie odmrożenie niczym strasznym ci nie groziło. Lekarze połataliby cię w ciągu dwudziestu minut, zanim odzyskałbyś przytomność. Ważniejsze było to, żebym ja mógł się ruszać, w przeciwnym razie wrócilibyśmy na Terrę. Zgadzasz się?

– Co będziemy teraz robić? – odpowiedział pytaniem Artur.

– Ty odpoczniesz, a ja polecę do stolicy kupić statek. Nie krzyw się, mają porządną sieć transportową, wrócę za pół dnia.

– Nic nie wiem o Maretcie...

– Woda, lód, ryby, trawlerzy. Przypomina kompensator, do którego wczoraj wdepnęliśmy. Dominująca ludność to Kazachowie i Mongołowie, Azjaci. Mieszkają tam również Litwini i Łotysze, ale o nich nic nie wiem. Jest niewielka enklawa Mekłończyków, zajmują się naprawą trawlerów. Religia to miejscowa odmiana Wspólnej Woli, która z proroka Nazara robi niemal Boga.

– To wszystko?

– Terminal jest w moim pokoju, wystarczy pięć minut, żebyś się zorientował. Na razie.

Key wstał i klepnął Artura w plecy. Skierował się do drzwi i rzucił w biegu:

– Nie odchodź daleko od domu, tu same sady, jeszcze zabłądzisz.

– Już wychodzisz? – wykrzyknął Artur w lekkiej panice.

Key uśmiechnął się do niego od drzwi.

– Arti, to najbezpieczniejsza planeta w Imperium. Opowiem ci o tym wieczorem, na razie mi zaufaj.

– Nie ma bezpiecznych planet! – oznajmił posępnie Artur zamykającym się drzwicom.

Rozdział 10

Artur Curtis sumiennie obejrzał popularny film o Maretcie.

Zajął mu to pół godziny, ale za to dowiedział się coś niecoś o swojej świeżo przybranej ojczyźnie. Planeta mu się nie spodobała – tam naprawdę nie było nic poza lodem i wodą. Na takie światy migrowały zazwyczaj narody, które sprzedały swoje poprzednie terytorium albo zostały go pozbawione w wyniku katastrofy. Zabawny był tylko ten fragment, w którym pokazywano miasteczko Mekłończyków. W wyniku Potrójnego Aliansu otrzymali oni prawo do życia na ludzkich planetach. Cyborgi nawet po tysiącletniej sztucznej ewolucji zachowały podobieństwo do dwumetrowych jaszczurów. Pośród śniegów wyglądały jak istoty z innej bajki, a ich zauważalny niepokój na widok zimnych mórz budził mimowolną litość. Po katastrofalnej klęsce w latach Wielkiej Wojny Mekłończycy stali się najbardziej zagorzałymi wielbicielami ludzkiej rasy. Zamieniali swoje mechaniczne części na przyrządy imperialnej produkcji i woleli asymilować się z ludźmi – dziwna, ale aprobowana przez Imperatora praktyka.

Artur wyłączył terminal i podszedł do okna. Z pokoju Keya widać było nie tylko niekończącą się panoramę sadów, ale i migoczącą barierę wokół strefy kompensacyjnej. Chłopca przeszył dreszcz.

Niezbyt wyraźnie pamiętał, jak Key wziął go na ręce, jak niósł przez zamieć. Dla niego, półprzytomnego, to była krótka chwila, dla Keya na pewno ciągnące się bez końca godziny. Przekleństwa Keya, czyjeś zatroskane twarze, zastrzyki, wanna z regenerującym helem...

Potem jeszcze jeden zastrzyk – najwidoczniej środek usypiający.

Key go wyciągnął, ale bez wahania pożyczył sobie jego kurtkę.

Z jakiegoś powodu Artura to złościło.

– Przepraszam bardzo...

Artur odwrócił się. W drzwiach stała stara kobieta – wysoka, koścista, w krótkiej różowej spódnicy i srebrzystej bluzce. Ciepły klimat dyktował swoistą modę bez względu na wiek. Siwe włosy, zbyt bujne, by były prawdziwe, ozdabiał kokieteryjny kwiatek.

– Dzień dobry – powiedział Artur Ovald, przykładny syn handlowca z Maretty.

– No, zupełnie inny chłopak z ciebie – odezwała się z zadowoleniem kobieta. – W nocy cię przynieśli ledwie żywego... Nazywam się Henrietta Fiskalocci, mój mąż jest strażnikiem przy klimatyzatorze. Możesz mnie nazywać cioteczką Fiskalocci.

– Dziękuję, cioteczko Fiskalocci.

Była akuszerka imperialnego desantu oglądała Artura z otwartą, starczą ciekawością.

– To oczywiście wina męża – ciągnęła Fiskalocci. – Kontrolowanie przestrzeni nad strefą to jego obowiązek, ale kto wiedział, że wpadniecie prosto w odstojnik? Wszystkich tych ekspresowych kapsuł już dawno powinni zabronić. Nie przypominam sobie bardziej nieudanego technicznego rozwiązania. Może tylko Igła... Ale ją po pół roku wycofali. Cóż, wszystko dobre, co się dobrze kończy. Jadłeś już, Artur?

Artur skinął głową. Staruszka budziła w nim niejasny niepokój, pomieszany z ciekawością.

– Jak znów będziesz głodny, jestem na drugim piętrze. Wszystko przygotowane, przyniosę i wyjdę, znam wasze zwyczaje. Surowa jest wasza planeta, co, Archie?

– Zwyczajna. Ale nie jestem Archie, mam na imię Artur.

Staruszka klasnęła w dłonie.

– Och, ta pamięć... Mam już prawie sto pięćdziesiąt lat, chłopcze. Pora by odejść, a ja się ciągle życia trzymam – odwróciła się, chcąc wyjść.

– Przepraszam, cioteczko Fiskalocci, czy mogę się przejść? – rzucił szybko Artur.

– A idź, idź... Nazrywaj sobie owoców, pewnie nie próbowałeś nigdy prosto z gałęzi? Jesteście naszymi gośćmi, zresztą to mój stary pokpił sprawę. Gdybyś zabłądził, idź na odstojnik, od niego do domu prowadzi dróżka wyłożona...

Henrietta Fiskalocci wyszła, mamrocząc coś pod nosem. Artur posępnie popatrzył w ślad za nią. Nie spodobało mu się wiele rzeczy. Po pierwsze to dziwne, że staruszka nie rzuciła się na nowego i bezbronnego słuchacza z opowieściami o tauryjskich sadach. Po drugie, wspomnienie o Igle. Artur pasjonował się modelami starych statków, zanim jeszcze zaczęły się jego podróże na Graala. Mały kuter zwiadowczy Igła, bardzo piękny, ale jeszcze bardziej kruchy, nigdy nie wchodził w skład uzbrojenia oddziałów desantowych.

Artur poszedł do swojego pokoju i włożył koszulę. Później, jakby na znak protestu, narzucił kurtkę. Ciągle jeszcze utrzymywała kształt ciała Keya i teraz powoli kurczyła się w ramionach, dopasowując się do chłopięcej figury.

Rozdział 11

Dom był z drewna – cały, oba piętra. Każdego uchodźcę z Terry to by zszokowało. Artur van Curtis przywykł jednak do większego luksusu.

Zszedł na parter, do przestronnego holu. Nie było tu nikogo mąż Henrietty widocznie był pochłonięty swoją pracą albo towarzystwem, które zbierało się w pomieszczeniach klimatyzatora. Tylko na jednym z szerokich niskich foteli drzemał czarny kot. Na niegłośnie „kici-kici” zareagował jedynie pogardliwym spojrzeniem.

Stolik z przezroczystym blatem był zavalony stertą czasopism sadownictwo, życie Imperium i Tauri, moda. Typowy zestaw zamożnej tauryjskiej kobiety, szykującej się do rychłego aTanu. Tylko świeży numer „Imperialnego Przeglądu Wojskowego”, wyglądający spod „Plotkarki”, nie pasował do ogólnego obrazu. Artur zapragnął przekartkować czasopismo... i zawstydził się tego uczucia. Zresztą będzie jeszcze miał czas. Otworzył drzwi, niezamknięte na klucz, i wyszedł z domu.

I trafił do bezkresnego sadu.

Tauri była pierwotnym rajem. Ciepły klimat, żyzna ziemia, spokojne rzeki i dużo małych jezior – wszystko to nad dwoma morzami.

Planetę skolonizowano po Wielkiej Wojnie – miliony zdemobilizowanych wojskowych, niezbyt spieszących się z powrotem na zabudowane fabrykami, zniszczone intensywną produkcją, zatrute odpadami światy, zasiedliły ten raj i urządziły według własnego gustu.

Sady podzielone symbolicznymi ogrodzeniami, rodowe majątki, niewielkie osiedla i miasta, stanowiące centra kulturalne i naukowe – oto, czym była Tauri. Do tutejszej SB1 należeli wyłącznie miejscowi obywatele. Imperialny kosmoport wydawał się żałosną parodią planetarnego centrum transportowego, skąd wylatywały niezliczone statki towarowe: ze świeżymi owocami, mrożonkami, dżemami, winami – wszystkim, co dawało się sprzedać. Ani jedna planeta w Imperium nie miała tylu ulg, ani jeden świat nie brał tak niewielkiego udziału w ogólnoimperialnych projektach i nie płacił tak symbolicznych podatków.

Imperator Grey doskonale pamiętał, na czyich ramionach doszedł do władzy i kto złamał armie obcych. Nagroził wojskową elitę, która przeżyła Wielką Wojnę, i to dożywotnio. Ci, którzy teraz służyli w imperialnych siłach, wiedzieli o tym.

Artur, idąc wyłożoną kamieniami dróżką obok klombów z nieznanymi kwiatami, obejrzał się na dom. Drewniane ściany sprawiały wrażenie niemal białych, z lekkim bursztynowym odcieniem, jakby dom zbudowano niedawno. Szelest liści, poruszanych delikatnym wiatrem, był jedynym dźwiękiem. Powietrze przesycił słodki zapach.

– Hej ty, maretanin!

Obejrzał się. Szła ku niemu dziewczynka w jego wieku – biologicznym wieku. Smągła, z cienkim warkoczykiem na karku, w krótkiej spódnicy i białym chłopięcym podkoszulku na ramiączka. Przez ramię miała przewieszony pasek, na którym ciężko kołysał się metalowy dysk.

– Cześć – powiedziała. – To ty wczoraj trafiłeś w odstożnik?

W jej tonie nie było nic obraźliwego, raczej lekka zazdrość o przygodę, którą przeżył Artur. Nie mógł zaprzeczyć.

– Tak.

– Nazywam się Rachel. A ty jesteś Artur, wiem.

– Skąd?

– Mój ojciec był wczoraj na klimatyzatorze, jak cię przynieśli.

– Pracuje tam? – zainteresował się Artur.

– Nie, po co? Mają tam co wieczór spotkania, z winem jabłkowym i wirtualką. Na stacji są najlepsze komputery, więc korzystają. – Rachel zamilkła, oglądając Artura. Potem najwidoczniej podjęła decyzję, bo potrząsnęła grzywką i zapytała:

– Idziesz ze mną?

– Dokąd?

– Zobaczysz. No chodź, będzie fajnie!

Curtis junior zawahał się. Nie z powodu ewentualnej pułapki dziewczynka nie wyglądała groźnie, zresztą skoro Key był absolutnie przekonany o jego bezpieczeństwie... Po prostu Artur miał wystarczające doświadczenie w kwestii wycieczek z rówieśnikami.

Z reguły musiał wysłuchiwać nudnych bredni o miejscowych atrakcjach, a nierzadko odpowiadać na zaśliniony, nieumiejętny pocałunek.

Ale Rachel zachowywała się całkiem swobodnie. Może nie miała zamiaru szlifować na marettaninie przyszłej kokieterii, a może jej pocałunek nie okazałby się taki znów nieprzyjemny.

– Idziemy – zgodził się Artur.

Rachel prowadziła go, orientując się jakimś szóstym zmysłem.

Dla Artura już po kilku minutach przestały istnieć kierunki. Bezchmurne niebo nad głową, niebieskie jak na Terrze, drzewa rosnące w jednakowych odstępach, miękka od opadających przez wieki liści ziemia. I cisza, cisza wszędzie. Nawet szelest trawy pod nogami wydawał się ją zakłócać.

Tauri nigdy nie zaznała wojen i, jeśli wierzyć Keyowi, nawet przestępstwa były tutaj rzadkie i mało znaczące. Może dlatego, że planetę zasiedlili ludzie zmęczeni zabijaniem?

– Długo u nas będziecie? – spytała Rachel. Artur pokręcił głową.

– Szkoda – dziewczynka wyglądała na szczerze smutną. Mało mam tu przyjaciół... wszyscy mieszkają daleko.

Wyglądało na to, że nawet przez moment nie wątpiła w nieuchronność ich przyjaźni. Teraz też nie pozwoliła sobie na długie zamartwianie się.

– Pozwolili ci zrywać owoce?

– Tak.

– Zerwij mi jabłko. Tamto, żółte.

Artur podskoczył, nagiął gałązkę, złamał giętki ogonek i w milczeniu podał jabłko dziewczynie.

– U nas nie zrywa się bez pytania niczego w cudzych sadach wyjaśniła Rachel, odgryzając kawałek jabłka. – Dziękuję.

– A z ziemi można podnieść? – Artur wyzywająco kopnął nogą jabłko, z wyglądu wcale nie gorsze od tego, które zerwał. Rachel roześmiała się.

– No... można... Ale kto by to robił? Nawet na sprzedaż się ich nie zbiera. Artur, dlaczego jesteś w kurtce?

– Nie rozgrzałem się jeszcze po klimatyzatorze – burknął Artur. Nawet na Terrze nikt nie traktował owoców w tak barbarzyński sposób. Wojskowe zamówienia podkopały ekologię Starych Planet.

– Jesteśmy prawie na miejscu – oznajmiła Rachel, nie zwracając uwagi na jego ton. – Słyszysz?

Artur rzeczywiście usłyszał – równy szum płynącej wody.

– Chcę się wykąpać – powiedziała Rachel. – A samemu nie wolno, ktoś musi czuwać ze smyczą.

Dopiero teraz Curtis junior zorientował się, co to za dysk kołysze się na ramieniu dziewczynki. „Smycz” była pozbawionym bezwładności generatorem giętkiego pola. Niewidoczna supermocna nić siłowa, pojawiająca się przy naciśnięciu guzika, podciągała człowieka jak na smyczy. Wykorzystywali ją budowniczowie, wspinali się w niej alpiniści, czasem rodzice zmuszali dzieci do kąpienia się ze smyczą. Ale Artur jeszcze nigdy nie spotkał normalnego dwunastoletniego człowieka, niechby nawet dziewczynki, który założyłby smycz dobrowolnie.

– Umiesz się tym posługiwać? – zapytała Rachel, podając chłopcu metalowy dysk. Huk wody stał się głośniejszy, pomiędzy drzewami błysnął niebieski pasek.

– Umiem – przyznał posepnie Artur. Potomkowie bohaterów Wielkiej Wojny chyba się całkiem zdegenerowali, skoro na swojej bezpiecznej planecie nie kąpali się bez smyczy.

– Tylko mnie nie zawieź – powiedziała poważnie Rachel, w biegu ściągając podkoszulek. Była w pomarańczowym kostiumie kąpielowym: mocny pasek wokół talii i niewiele więcej. Na pasku z tyłu błyszczało kółeczko do umocowania karabińczyka smyczy.

Gdy stanęli nad rzeką, Artur zamarł. Brzegi były wybetonowane, ziemię zwyczajnie by rozmyło. Rzeka wypływała z fioletowego migotania strefy kompensacyjnej. Lodowaty, buchający chłodem, straszący wirami strumień ryczał dziesięć metrów pod nimi.

– Mało dziś wody – powiedziała zakłopotana Rachel. – Pewnie płytko...

– Coś ty, chcesz tutaj...? – Artur kiwnął głową w stronę rzeki.

– A gdzie? W kanale z nawozami? – Rachel ściągnęła spódnicę. – Sto metrów z prądem i na mieliznę.

Artur widział tę mieliznę: wysuwająca się z wody betonowa płaszczyzna. Rzeka w tym miejscu zwężała się, skręcała w wir, znikła pod ziemią. Wokół tego punktu, w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów pojawiały się inne kanały – niczym błękitne szprychy w ogromnym kole. Woda w nich była spokojna i mętna. Znikały w sadach.

– Przypnij karabińczyk – poprosiła Rachel, odwracając się plecami.

– A może zaczniesz od klimatyzatora? – zapytał Artur, nie ruszając się.

– Coś ty, zwariowałeś? Tam jest lodowata woda, nie wytrzymasz nawet minuty. Przypinaj.

Artur wyjął z zacisku mały niklowany karabińczyk i zdecydowanie wsunął dłoń pod pasek kostiumu.

– Zaraz oberwiesz! – obiecała spokojnie dziewczynka.

– Głupia. – Artur szarpnął pasek. – Jesteś pewna, że wytrzyma?

– Nie pierwszy raz się kąpię.

Artur przypiął karabińczyk. Rachel obserwowała, jak odbezpieczył smycz i uaktywnił zasilanie.

– Mały ładunek.

– Na kilka pociągnięć wystarczy. Spróbuję wypłynąć na mieliznę, ale jeśli wciągnie mnie w wir, włączaj. Widzisz dobrze?

– Lepiej niż Alkaryjczycy.

– W takim razie patrz...

Dziewczynka z rozbiegu z piskiem skoczyła z betonowego brzegu.

– Wariatka – wyszeptał Artur, wpatrując się w spienioną wodę.

Rachel zdążyła już wyschnąć, gdy Artur ostrożnie zszedł do niej po betonowych płytach. Tylko nogi dziewczynki pokrywały kropelki wody, pryskające z ryczącego wiru.

– Będziesz się opalał? – zapytała.

Curtis junior zaczął się rozbierać. Odpowiedział pytaniem:

– Masz przynajmniej aTan?

– Śmieszny jesteś. Kto robi aTan dzieciom?

– Curtis van Curtis.

– Nie miałam okazji go poznać – zaśmiała się Rachel. – Chcesz popływać?

– A do czego przypnę karabińczyk? Za ucho?

– Do języka! Coś wymyślimy... – Rachel utkwiała wzrok w nagrzanej płycie i ze śmiechem zaproponowała:

– Chcesz, to pożyczę ci swój...

– Niedoczekanie! – oznajmił z mocą Artur.

W końcu zdecydowali, że dobrze zawiązany na piersi pasek od dżinsów wytrzyma szarpnięcie smyczy. Godzinę później Artur przekonał się, że tak jest w istocie. Ale ramiona bolały go do wieczora.

Rozdział 12

Formalnie była to wolna strefa kosmosu. Poza granicami gwiazdowego systemu Silak ziemskie statki mogły zostać zaatakowane przez Silikoidy, ale sama ich obecność nie stanowiła aktu wrogości. Takie były prawa w galaktyce po Wielkiej Wojnie.

Na razie Silikoidy nie zwracały uwagi na nieproszonych gości.

– Eskadra przegrupowała się – zameldował kapitan „Gończego”. – Rozmieszczą statki po bazach. Za kim będziemy lecieć?

Nie denerwował się specjalnie ewentualnymi planami Kal. Instrukcja, jaką otrzymał od Lemaka, pozwalała unikać walki. Kapitan nie miał zamiaru uczestniczyć w tym samobójstwie, które, jak się zdawało, zaplanowała kobieta z SB1.

Izabela milczała. Jeśli atak na Lajon miał jeszcze jakiegokolwiek szansę powodzenia, to szturm planety – praojczyzny Silikoidów był już kompletnym szaleństwem. Za dużo stacji obronnych, baz planetarnych, statków wojskowych...

– Wszyscy są tutaj? – spytała Kal.

– Praktycznie.

– To znaczy?

– W rejonie Tauri eskadra zrzuciła w przestrzeń jakiś stateczek.

Sondę zwiadowczą albo kuter patrolowy.

– Dokładniej!

– Gdyby chodziło o ziemskie statki, powiedziałbym, że zrzuciono ekspresową kapsułę. – Kapitana zaczynał trafiać szlag. Ku jego zdumieniu, odpowiedź usatysfakcjonowała Kal.

– Wracamy. Cel: Tauri. Potrzebna mi ta kapsuła.

Ani jednym słowem nie okazała emocji. Stracony czas? Trudno.

Co zrobić, skoro w hiperprzestrzeni połączenie jest niemożliwe? Jedna szansa na trzydzieści dwa tysiące? Nie szkodzi. Tutaj, na Silaku, nie mieli żadnych szans.

Izabeli często pomagała cecha, której nie sposób było nazwać inaczej niż węchem. Poświęciła tej pogoni zbyt wiele sił i nerwów, by teraz Artur Curtis dostał się w łapy Darloksan albo Silikoidów.

Dorwie tego chłopca, który wie zbyt wiele.

Ani podwładni, ani komandosi nie wyrazili zdumienia, gdy trzy statki znowu weszły w hiperskok. Zaczynali przywykać do pościgu dla samego pościgu.

Flaer wylądował na polanie – przezroczysty owal, podwieszony do dysku silnika grawitacyjnego. Key otworzył kabinę i zeskoczył na trawę. Sto metrów dalej widać było za drzewami żółty dom. Od ciągnących się bez końca sadów płynął delikatny, słodki zapach. Było ciepło, ale w miarę, bez upału.

Gdyby Key Dutch mógł pokochać jakąś planetę, byłaby nią Tauri, Może właśnie dlatego opuścił ją dwadzieścia lat temu.

W mieście Key odwiedził sklepy i teraz był ubrany według miejscowej mody. Wiedział, że ani kolorowe szorty, ani luźna koszula bez kołnierza nie upodobnią go do tubylców – nie ten typ twarzy, nie ta figura. Ale przynajmniej przestał oblewać się potem w swoim garniturze. A krój koszuli idealnie maskował kaburę trzmiela.

Fałszywie pogwizdując melodię, którą na pewno rozpoznałby człowiek urodzony na Drugiej

Planecie Shedara, Key podszedł do domu. Optymistyczny hymn nieistniejącej planety był dla niego jednym z ostatnich wspomnień.

Ojczyznę zazwyczaj przypominał sobie przy okazji dużych kłopotów.

Artur jakby na niego czekał. Siedział okrakiem na poręczy werandy. Key zarejestrował, że chłopak jest bosy i bez koszuli. Tauri umiała rozluźniać ludzi bez względu na to, kim byli – handlarzami ryb z Maretty czy współwłaścicielami aTanu.

– Cześć – zawołał Artur.

Key uśmiechnął się mimo woli. Curtis junior był teraz bardziej dzieckiem niż kiedykolwiek dotąd. Key zaczynał go lubić. Jeszcze nie rozumiał, za co – często miał bystrych klientów – ale nie miał wątpliwości co do swoich uczuć.

Nie bał się nawet nieuniknionej utraty profesjonalizmu.

– Key, widziałeś ich kanały? – zapytał Artur. Był przepelniony wrażeniami i pragnął się nimi podzielić.

– Jest problem, mały. – Key wołał od razu zakomunikować mu złe nowiny. Uśmiech Artura przygasł, ale nie znikł.

– Co się stało?

– Znalazłem w porcie statek... Niezły i cena do przyjęcia.

– No?

– Nie mogłem go kupić. Wydaliśmy za dużo na Incediosie: ubranie, broń, moje leczenie, bilety na Volantis...

Artur spochmurniał.

– Karty aTanu nie zasilono gotówką. Ani jednego wpływu od czasu naszego... hmm... odlotu z Terry. Oczywiście, jesteśmy dalecy od ubóstwa. Ale nie możemy pozwolić sobie na kupno porządnego statku.

– Pieniądze powinny były...

– Nie przyszedł ani jeden kredyt. Możesz sam sprawdzić kartę, jeśli mi nie wierzysz. Artur, miałeś z van Curtisem ustalony taki wariant, na przykład jako sygnał do wycofania się?

– Nie. – Artur zeskoczył z poręczy. – Sygnał do powrotu jest inny. Słowo honoru, Key!

– Chyba wierzę. W takim razie powstaje pytanie: co to znaczy?

Curtis junior patrzył w milczeniu w ziemię, dłubiąc palcem w trawie. Potem podniósł oczy.

– To oznacza, że twoja umowa z van Curtisem jest zerwana?

– Tak?

– Tak – potwierdził twardo Key.

Artur popatrzył przez ochroniarza i zapytał:

– Czy mogę liczyć na część pieniędzy, żeby dostać się na Graala rejsowymi statkami?

– Poczekaj – Key położył mu rękę na ramieniu. – Zawierałem umowę nie tylko Curtisem seniorem. Tobie też coś obiecałem, prawda?

Artur milczał.

– Chłopcze, dostarczę cię na Graala. Ale jeśli van Curtis zmienił plany, będziemy musieli omówić nowe warunki umowy. To uczciwa propozycja.

– Czego ty chcesz, Dutch? – spytał ze znużeniem Artur. – Co ja ci mogę dać? Nieśmiertelni nie mają spadkobierców. Nigdy nie będę posiadaczem aTanu, pozostanę wiecznym chłopcem, nawet jak zapuszczę brodę.

– Chcę trzech rzeczy, Arti. – Key przykucnął: patrzył teraz na Artura z dołu. – Informacji, gwarancji i obietnicy. Przy czym obietnicę spełnisz w miarę możliwości, jeśli zdołasz.

– Mów.

– Chcę wiedzieć, co to takiego Bóg z maszyny i Linia Marzeń, przynajmniej w ogólnych zarysach. Chcę mieć pewność, że jeśli zginiemy, van Curtis dotrzyma obietnicy...

Artur pokręcił głową.

–...i mnie ożywi. Choćby dla wiecznych tortur w swojej rezydencji. Możesz opisać moje zachowanie w taki sposób, żeby zapragnął zemsty?

– Coś ty, masochista?

– Chcę, żebyś mi obiecał, że gdy tylko będzie możliwość, pomożesz mi uciec. Dalej to już mój problem. Na tym kończą się twoje zobowiązania.

– Key, słowa o torturach nie były częścią pogroźką. Dwóch moich przewodników już ma to zagwarantowane... na wieczność.

– Wierzę. Tym łatwiej ci będzie...

– Key, ja nie chcę, żeby cię męczyli – powiedział poważnie chłopiec.

– Świetnie. Wobec tego pomożesz mi uciec. Nagrody i tak bym nie otrzymał w żadnym wypadku, prawda?

Artur podał Keyowi rękę.

– Informacja będzie bardzo ogólna. Zgadzasz się?

Uścisnęli sobie dłonie.

– Mów.

Curtis junior rozejrzał się i usiadł na trawie obok Keya.

– Na planecie Graal jest wyjście w inną przestrzeń.

Key czekał.

– Tam znajduje się coś, co można nazwać bogiem.

– Dlaczego „coś”? – zapytał szybko Key.

– To nie jest żywy organizm. Mówiłem, że to Bóg z maszyny.

– Dlaczego Bóg?

– On... ono... stworzyło nasz świat.

– Więcej konkretów, Arti.

– Wystarczy – uciał Curtis junior. – Nie obiecywałem pełnej informacji.

– To już i tak nieźle... Dobra. Co to takiego Linia Marzeń? Dlaczego Silikoidy uważają, że zaszkodzi ludzkości?

– Nie zaszkodzi. Skieruje rozwój na inną drogę.

– Co to takiego?

– Techniczne urządzenie... – Artur zamilkł, przygryzł wargę. Key, chcesz to wszystko wiedzieć z czystej ciekawości?

– Oczywiście, że nie. Niezbyt lubię ludzi, Arti. Ale obcych lubię jeszcze mniej. Jeśli Linia Marzeń osłabi Imperium, zrywam naszą umowę.

– I zabijesz mnie.

– Obiecałem, że tego nie zrobię. Zresztą zabójstwo mi nie pomoże, prawda? Czym jest Linia Marzeń?

Chłopiec zamknął oczy.

– Jeśli uda nam się dotrzeć do Graala, opowiem ci wszystko.

Wtedy zadecydujesz...

– Co to zmieni?

– Zwolnię cię z obietnicy. Kiedy poznasz prawdę, będziesz mógł mnie zabić.

– Nie lubię niepewności – rzekł poważnie Key. – Chronić cię i nie wiedzieć, czy warto to robić... mało przyjemne zajęcie.

– Życie to w ogóle kompletna niewiadoma.

Key Dutch skinął głową.

– Dobra. Uznajmy, że się dogadaliśmy. Jeśli będę musiał to zrobić...

– Zrobisz to bezboleśnie. – Artur uśmiechnął się.

– Jak wyjdzie, mały. W każdym razie będzie mi ciebie brakować.

– Serio?

Key wstał i podniósł z trawy Artura. Stali tak, patrząc na siebie – super z zamordowanej planety i klon ze starożytnej ojczyzny ludzkości. Mężczyzna, który przywykł zabijać, i chłopiec zrodzony dla śmierci.

– Chodź, pokażesz mi kanały – odezwał się Key. – Pochwalisz się, jak się nauczyłeś nurkować.

– Też się w nich kąpałeś, jak tu mieszkałeś?

– Innych zbiorników wodnych na Tauri nie ma. Przerobiono całą planetę. Sady, kompensatory, kanały... Cztery miasta...

– Na początku człowiek się boi, nie? I woda lodowata...

– Na początku wszystko jest straszne.

Z okna swojego pokoju Henrietta Fiskalocci długo patrzyła w ślad za nimi. Lubiała silnych ludzi, a ci dwaj byli bardzo silni. Tacy mężczyźni nie handlują rybą z zamrożonych planet, tacy chłopcy nie wychowują się w patriarchalno-klanowych społecznościach.

Legenda przede wszystkim powinna być dopasowana do osobowości, a dopiero potem do zewnętrznego prawdopodobieństwa. Tak ją uczono... wiele, wiele lat temu...

CZEŚĆ PIĄTA
DOWODY I SZANSE

Rozdział 1

Następny świt był jasny i ciepły, jak każdy poranek na Tauri.

Artur obudził się z lekkim bólem pleców – nawet tutejsze delikatne słońce mogło poparzyć bladych chłopców. Ale nie wpłynęło to na jego humor.

Śniadanie przygotowała im Henrietta. Prawdziwe tauryjskie śniadanie – płatki z owocami na słodko, tosty z dżemem, jajko na miękko i tonizująca herbata.

– Wegetarianie? – zapytał Keya Artur.

– Nie, po prostu mięso tradycyjnie jada się dwa razy w tygodniu. Poza tym jest drogie.

– Długo tu jeszcze będziemy?

– Trzy doby. Dzisiaj kupię bilety na Cailis.

Artur odstawił szklanekę z herbatą.

– Dokąd?

– Cailis.

– Planeta, na której cię zabili?

Key kiwnął głową.

– Nie podoba mi się to – Artur pokręcił głową. – Jeśli chcesz po drodze wyrównać rachunki...

– Na Cailisie został mój statek.

Artur Curtis popatrzył sceptycznie na Keya.

– To statek Altosa, a on jest martwy. Jak chcesz go zabrać?

– Nigdy nie zostawiałem statków na imiennym parkingu. Czasem trzeba odlatywać pod innym nazwiskiem, rozumiesz? Żeby wejść na statek, wystarczy wprowadzić kod.

– Key, chcesz powiedzieć, że nie będziesz się mścić na swoim zabójcy?

– Właśnie.

Artur wahał się.

– Tobie też się przyda lot na Cailis – rzucił Key. – Zobaczysz.

– Dobra – poddał się chłopiec. – Ale jak będziesz w mieście, sprawdź konto. Jeśli pieniądze wpłynęły, Cailis zostaje odwołany.

– Sprawdź. – Key wstał za stołu. – Jak twoje przeczucia? Służba się nami nie interesuje?

– Już sam nie wiem, czy podejrzewali nas wtedy na Incediosie, czy nie. Ale Henrietta...

– Staruszka jest mądra – przyznał Key – ale ma gdzieś Służbę.

Wszystkie jej domysły to tylko rozrywka umysłowa.

– Ona wie, co to jest Igła!

– Ja też wiem, chociaż nigdy należałem do grup terrorystycznych. Arti, jeśli człowiek prowadził burzliwe życie, a potem zamieszkał na Tauri, to znaczy, że ma dość intryg i strzelaniny. Nie bój się.

Henrietta niczym nas nie zaskoczy.

Key miał się mylić jeszcze przez trzy godziny. Artur znacznie krócej.

– Potrzebny ci pistolet? – zapytał Dutch od drzwi.

Artur pokręcił głową.

– Wypoczywaj na całego – poradził Key wychodząc. – Tauri jest do tego idealna.

Niemal godzinę Curtis junior trenował na „swojej” werandzie.

Ot, tak sobie, bez żadnych przeczuć. Wykonał parzyste zestawy syntez yodo, te zorientowane na obronę. Yodo nie wymagało dużej siły fizycznej i było idealnym stylem walki dla chłopców.

– Ej, maretanin!

Artur wychylił się przez okno. Rachel z przerzuconym przez ramię dyskiem smyczy stała przed werandą. Na widok Artura rozjaśniła się i pomachała ręką.

– Chodź na spacer!

– Dokąd?

– Spodoba ci się!

Artur zamknął okno i włożył adidas. Nie przywykł do chodzenia bosy i wczoraj porządnie poobijał sobie nogi.

Pięć metrów od niego, licząc w linii prostej, Rachel poczuła, że na jej ramieniu spoczęła ciężka ręka. Odwróciła się.

Srebrzysta maska z kryształowymi soczewkami oczu uśmiechnęła się do dziewczynki. Różowe ludzkie wargi poruszyły się:

– Cicho, dzieciaku.

Zimna plastikowa dłoń zdusiła krzyk. Marjan Muhammadi przewidziała reakcję na swój wygląd. Odciągnęła Rachel do najbliższej jabłoni. Nie zabierając ręki, wycelowwała w dziewczynkę ze stannera.

Na ogół pracownikom SB1 nie zalecano używania broni przeciwko dzieciom. Ale Kal wyraźnie dała do zrozumienia, że dziś wszystkie zasady zostają zawieszane.

– Bye, bye – powiedziała Marjan, kierując się do werandy. Kadar już otwierał drzwi i jego dowód 36 lekko poruszył lufą, zaglądając przez wąską szczelinę.

Czysto, pomyślał Kadar wchodząc do domu. Marjan pospieszyła za nim, a z tyłu już było słychać szybki oddech Bullrata. Nie chciała się spóźnić na początek zabawy.

W tym momencie Artur Curtis zaczął schodzić po schodach z pierwszego piętra, a drzemiąca w holu Henrietta Fiskalocci oderwała wzrok od czasopisma „Kobiety Tauri” i zobaczyła chudego, wysokiego mężczyznę, z rozumnym automatem najnowszej generacji, dziewczynę-mechaniczkę i mającego za ich plecami Bullrata.

– Co, do diabła! – wykrzyknęła głośno Fiskalocci.

Lufa dowodu wymierzona była w jej czoło.

– Zamknij się, stara – mechaniczka zrobiła krok w jej stronę. Jesteśmy z SB1. Gdzie mężczyzna i chłopak?

Henrietta Fiskalocci popatrzyła na schody, gdzie, niewidoczny dla Marjan, zastygł osłupiały Artur. Jej spojrzenie było niezmaczone i spokojne.

– Dziewczyno, kto jest dowódcą waszej grupy?

– Ja. – Do domu weszła jasnowłosa kobieta w pancerzu siłowym. Odsunęła Bullrata.

– Jazda stąd – warknęła Henrietta Fiskalocci. – Jestem emerytowanym pułkownikiem SB1. Mój dom jest eksterytorialny.

Artur Curtis z trudem zwalczył pragnienie przycupnięcia na schodku.

Izabela wahała się ułamek sekundy:

– Ahar, przytrzymaj staruchę, bredzi.

Bullrata położył pazurzystą łapę na twarzy Henrietty i zaprezentował ludzki uśmiech.

– Sprawdzić wszystko – rozkazała Kal. Poczula, że zwycięża.

Marjan już sunęła po podłodze. Rzuciła szybkie spojrzenie na schody prowadzące na górę – nikogo. Ledwie słyszalny, nawet dla mechanistki, dźwięk zmusił ją do zmiany planów.

– Pierwsze piętro, Kadar. – Marjan odwróciła się plecami do schodów i utkwiała wzrok w drzwiach z kolorowego szkła, prowadzących z holu. Dźwięk powtórzył się. Marjan Muhammadi przeszła przez drzwi, nie tracąc czasu na otwieranie ich.

Znalazła się w podłużnym, jasnym pokoju. Pod ścianami ciągnęły się półki z książkami, w przezroczystym obracającym się stojaku mieniły się optyczne dyski. Na ekranie odtwarzacza zmieniały się obrazy Terry – leciał program edukacyjny. W głębokim fotelu, nie odrywając wzroku od ekranu, siedział duży czarny kot.

Marjan wycelowwała w niego stanner.

Kot prychnął i wyskoczył przez otwarte okno, niczym negatyw błyskawicy. Udało mu się przy tym uderzyć łapą w wyłącznik odtwarzacza. Ekran zgasł.

Muhammadi zachichotała. Stara jędrza zabawiała się neurostymulacją zwierząt? Cóż, prawa Imperium w tej kwestii nie znały wyjątków. Była pracowniczka Służby nie zaryzykuje złożenia skargi na działania swoich kolegów.

Przeszła przez pokój do następnych drzwi. Kawałeczki kolorowego szkła sypały się z jej ramion na podłogę.

Do domu wszedł Louis Nomachi. Ze zdumieniem popatrzył na Bullrata, który zaciskał usta siedzącej w fotelu staruszce.

– Zmień Ahara – rozkazała Kal. – Gospodyni bredzi. Wydaje się jej, że jest emerytowanym pułkownikiem SB1.

Louis skrzywił się. Nie lubił konfliktów ze współpracownikami – niechby nawet z innych planet, niechby nawet emerytowanymi.

Ale kłótni z Kal nie lubił jeszcze bardziej. Podszedł do staruszki.

Ahar puścił Henriettę i ruszył na schody.

– Nie ujdzie wam to płazem – oznajmiła sucho staruszka.

Kadar wszedł na pierwsze piętro. Dowód w jego rękę nerwowo poruszył żłobkowaną lufą. Kadar zajrzał do jednego pokoju, do drugiego... Ani Keya, ani Artura w nich nie było.

Może są na drugim piętrze? Przez otwarte drzwi widział werandę, pustą i cichą. Po chwili wahania postanowił sprawdzić piętro do końca. Ominął stół z niesprzątniętą zastawą na dwie osoby (są tu, są, ci parszywcy) i wyszedł na werandę. Na łóżku, pod kołdrą, od razu zobaczył zarys małej figurki. Dowód 36, znajdując cel opuścił lufę.

Artur Ovald. O jednego mniej. Kadar naprowadził automat na głowę chłopca. Dowód szarpnął się w proteście. Jakież blokady wbudowane przez jajogłowych humanistów? Kadar nie wiedział, jeszcze nigdy nie strzelał do dzieci. Dwoma ruchami wyłączył intelektualny blok i przestawił dowód na promieniowanie stannera. Automat stwardniał, błyskawicznie tracąc pozory życia.

Kadar poruszył podbródkiem, włączając komunikator na piersi.

– Nadrzędna, mam jednego.

– Kogo?

– Chłopca. Albo spał, albo myślał, że pod kołdrą nic mu nie grozi.

– Sprawdź, w jakim jest stanie – w głosie Kal zadźwięczał triumf.

Kadar nachylił się nad łóżkiem, ściągnął kołdrę i zobaczył zwiniętą w rulon kurtkę, kryształową wazę i dziesięć wielkich pomarańczowych jabłek. Ta mało interesująca martwa natura wywarła na Kadarze dziwne wrażenie – osłupiał. Tak łatwo jeszcze nikt i nigdy go nie nabrał.

Uderzenie w rzepkę kolanową przekonało Kudara, że jego nieprzyjemności jeszcze się nie skończyły. Upadł. Wtedy spod łóżka wysliznął się Artur i zastosował niewymyślny chwyt bojowy. Zanim Kadar zdołał oderwać ręce od krocza, chłopiec wyrwał mu automat.

Najgorsze dla Kudara było to, że odłączył intelektualny program dowodu 36 i teraz broń słuchała każdego – niczym zwykły pistolet.

– Jestem wam potrzebny żywy – powiedział Artur, z nieprzyjemną zręcznością przełączając automat na wariant plazmowy. – Wy mnie nie.

Kadar wrzasnął. Nawet się nie bał – było mu tylko wstyd. Jakby w odpowiedzi na ten wrzask, szkło za plecami chłopca pękło. T/san przekoziółkował i wpadł na werandę. Jego ogromne ciało spowodowało, że pokój wydał się od razu bardzo ciasny i kruchy. Giętka wielostawowa kończyzna wyrwała Arturowi dowód, druga mocno objęła go w pasie, przyciskając do metalowego ciała.

– Gówniarz – wyszeptał Kadar, wstając. Drżał od przeżytego poniżenia. Nawet nie pomyślał, żeby podziękować Mekłończykowi. Mocno, na odlew, uderzył chłopca w twarz.

– Wystarczy, Kadar – rozległ się chłodny głos Izabeli za jego plecami. Obok niej stał Ahar, szczerząc się w ohydny uśmiech drapieźnika. – To ty okazałeś się gamoniem.

Artur patrzył na nich przygryzając wargę. Policzek mu płonął, oczy pozostały suche.

– Gdzie Key? – zmieniając ton zapytała Izabela.

Chłopiec milczał.

– Przesłuchać? – spytał ochoczo Kadar, podnosząc automat.

– Już się popisałeś – ucięła Kal. – T/san, unieruchom chłopca.

Mekłończyk nie potrzebował zewnętrznej broni. Łuski w pancerzu cyborga rozsunęły się, rozblysło błękitne światło, Artur zwiśł bezwładnie.

– Szukajcie dorosłego – powiedziała Izabela, biorąc chłopca na ręce. W pancerzu siłowym prawie dorównywała Mekłończykowi posturą i Artur w jej objęciach wydawał się drobny. – Rozkaz dotyczy wszystkich.

Rozdział 2

Miasta na Tauri były małe i patriarchalne. Key spędził trochę czasu w cichej kawiarni, którą tak lubił wiele lat temu.

Zupełnie się nie zmieniła. Nadal podawano tu wspaniałą kawę, doskonałe kurczęta z grila i ze dwadzieścia rodzajów sorbetów. Keyowi nawet się wydawało, że rozpoznał kilku stałych gości.

Potem zamówił dwa bilety pierwszej klasy na Cailis. Nie musiał już udawać skąpego kupca. Pozostawało jeszcze tylko kupić konwój dla Artura – Keyowi nie podobała się myśl, że chłopak jest bezbronny.

– Grożą pani nieprzyjemności – powiedziała Izabela – za ukrywanie groźnych przestępców.

– A ty naruszyłaś granice terenu prywatnego, dziewczyno oznajmiła zimno Henrietta.

– Nie jesteś starsza ode mnie, suko! – wybuchła Kal.

– Ale tobie wiek nie dodał rozumu.

Izabela i Muhammadi wymieniły spojrzenia.

– A co z kociaczkim? – zapytała przymilnie Kal. – Czarnym koteczkiem, który lubi oglądać programy edukacyjne?

– Bzdura – odparła sucho staruszka.

– O, czyżby? A jeśli poproszę Mekłończyka, żeby odszukał kota? I spreparował, żebyśmy mogli zobaczyć jego mózg?

– Wstrętna kanalia! Uganianie się za dziećmi i zwierzętami nie doda ci splendoru!

– T/san!

– Nie trzeba. – Głos Henrietty drgnął. – Wycofuję swoje zarzuty. Kal popatrzyła triumfalnie na podwładnych. Kadar uśmiechał się przymilnie. Louis, trzymając nieruchome ciało Artura, z aprobatą skinął głową.

– Gdzie Key Ovald? – Izabela znowu zwróciła się do staruszki.

Henrietta milczała.

– No, no... czekam.

– Jest w mieście. Kiedy wróci, nie wiem. – Starucha odwróciła Kal nie zastanawiała się długo.

– Idziemy. Key nie jest nam potrzebny. Miał szczęście.

– Izabelo – odezwał się Louis, jedyny niezadowolony z tej decyzji. – To tylko kilka godzin...

Niczego nie zmienią... Operacja powinna zostać zakończona!

Kal już miała osadzić nadgorliwego pomocnika, gdy przyszła jej do głowy wspaniała myśl.

– Możliwe, że masz rację. Ahar i Kadar, czekajcie na Keya.

Wziąć żywego, jak się nie uda, to martwego.

Morda Bullrata nie wyraziła żadnych emocji. Kadar wydawał się zdumiony.

– To twoja szansa na rehabilitację – oznajmiła uprzejmie Kal. Ahar skontroluje twoje działania, będzie twoim zwierzchnikiem.

Teraz Bullrat nie mógł już powstrzymać uśmiechu satysfakcji.

W konflikcie tokajskim, w którym niegdyś odznaczył się Kadar, jego rasa poniosła ogromne straty.

Chwila triumfu była słodka niczym kawałek nadgniętego mięsa.

– Czekamy na was standardową dobę – rzuciła Kal wychodząc.

Staruszki nie zaszczyliła nawet spojrzeniem; nie interesowały jej ruiny cudzych ambicji. Za Izabelą wyszli pozostali.

Gdy mijali sparaliżowaną, oblepioną mrówkami Rachel, Marjan powiedziała:

– Warto ryzykować? W odróżnieniu od Keya Ovalda, Key Altos to zawodowiec.

– Kadar to mięczak. Ale Bullrat poradzi sobie... z Keyem Ovaldem.

Marjan zatrzymała się.

– Trzeba by przenieść dziewczynkę...

– Sami się domyślą. – Głos Kal nie dopuszczał sprzeciwu. Nastąpił czas redukcji liczby pomocników.

Sto metrów dalej wyszli na łańcuch komandosów Lemaka, otaczających dom. Komandosi też stanowili duży problem, ale o nich Izabela wolała na razie nie myśleć.

Czekali w milczeniu – Ahar przy oknie, Henrietta w swoim fotelu, Kadar nerwowo spacerując po pokoju.

– Ej, ty, tchórze! – zawołała nagle starucha.

Wściekły Kadar odwrócił się do niej gwałtownie.

– Kogo nazwałaś tchórzem?

– Tego, kto się odezwał. Jesteś tchórz i pozer. Key wkrótce cię załatwi, szykuj się.

Ahar wydał coś w rodzaju chrząknięcia. Nie odrywając wzroku od okna zapytał:

– A mnie, stara kobieto?

– Ciebie nie – powiedziała spokojnie Henrietta.

Rozdział 3

Pod drzewem siedziała smągła dziewczynka z ostrym noskiem.

Patrząc z boku można było pomyśleć, że odpoczywa. Tylko niepewne ruchy rąk, które w żaden sposób nie mogły dotrzeć do twarzy, zdradzały prawdę.

Key pochylił się nad nią. Miał szczęście – znowu wylądował flakerem na polanie. Na Tauri rzadko strzelano do dzieci ze stannera, więc nietrudno było wyciągnąć wnioski.

– Nie próbuj nic mówić – powiedział – wyższe funkcje powrócą później.

Jedną ręką poprawił dziewczynce spódnicę, drugą zrzucił z twarzy kilka wielkich mrówek. Jego gest był niemal czuły.

– Jesteś przyjaciółką Artiego?

Dziewczynka skinęła głową.

– Zabrali go?

Znowu słabe kiwnięcie.

– W domu jest zasadzka?

Niepewny gest – coś pomiędzy „tak” i „nie”. Key zdjął z ramienia dziewczynki metalowy dysk. Pozbawiona bezwładności siłowa smycz...

– Chcesz mi pomóc?

Dziewczynka szybko pokiwała głową.

– Gdy wejdziesz do domu, powoli policz do dziesięciu i włącz smycz. Rozumiesz?

Key położył rękę dziewczynki na guziku, odbezpieczył urządzenie i zapiął na pasie karabińczyk smyczy. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że pasek rzeczywiście wykonano z naturalnej skóry i że wytrzyma szarpnięcie.

– Nie bój się – powiedział do dziewczynki, wstając. – Do ciebie nic nie mają. Tylko naciśnij przycisk, dobrze?

W ciszy bezkresnych sadów Key Dutch poszedł do domu – zabijać.

– Pełna gotowość – odezwał się Ahar. Jego metalizowana spódniczka zadzwoniła, gdy zajął pozycję przy drzwiach. Kadar stał naprzeciwko wejścia. Po dowodzie, który wyczuł zdenerwowanie właściciela, przebiegł dreszcz.

– Rozumnej broni potrzebują tylko głupcy – odezwała się Henrietta Fiskalocci.

Drzwi się otworzyły i Key wszedł do holu. Zobaczył chudego mężczyznę z automatem wycelowanym w swoje czoło, właścicielkę domu, cichutko siedzącą w fotelu i Bullrata, który zamarł z boku.

– Nie ruszaj się – rzekł mężczyzna z dowodem.

– Poddaję się – powiedział Key. – Nie bijcie mnie.

Henrietta zdumiona uniosła brwi. Kadar się uśmiechnął. Bullrat, rozczarowany, warknął.

– Gdzie twoja broń, człowieku? – zapytał.

– Za pasem, z tyłu.

Ahar płynnie obszedł Keya i przesunął dłoń po jego talii:

– Tu nie ma broni.

– Jest, jest – uspokoił go Key.

Bullrat wyczuł podstęp i zamarł.

– Ma coś w kieszeni szortów i pod pachą – rzekł Kadar, patrząc na ekranik dowodu.

Bullrat zwlekał.

– Na twoim pasie jest metalowa końcówka – powiedział w końcu. – Co to takiego?

– Zaraz zrozumiesz – Key uśmiechnął się radośnie do mężczyzny z automatem. Ten miał najwyraźniej słabe nerwy, a to mogło się okazać fatalne w skutkach. Tak samo jak niezrozumiałe zwlekanie dziewczynki.

Niepotrzebnie zaufał dziecku.

Rachel po raz trzeci spróbowała nacisnąć przycisk. Mięśnie ciągle nie chciały się jej słuchać i palec zsuwał się z gładkiej powierzchni guzika. Zagryzła wargę do krwi i ostry ból wstrząsnął ogłuszonymi nerwami.

Smycz zawibrowała, generując cienką nić pola siłowego.

– Strzelaj – rozkazał Bullrat.

Kadar nacisnął spust.

W tym momencie niewidoczna lina dosięgła Keya. Szarpnęło go tak, że zgiął się wpół. Mocowanie smyczy do paska było, oczywiście, ryzykowne.

Ale gra warta była świeczki. Alpinistyczna smycz nie tylko podciągała człowieka, który odpadł od ściany, ale generowała również osłonę siłową, zdolną wytrzymać porządną kamienną lawinę. Bullrat, stojący za plecami Keya, poczuł uderzenie, jakby z rozbiegu wpadł na betonową ścianę. Powlokło go przed Keyem, objając o każdy kąt, który napotkał po drodze. Ogłuszający promień, puszczonego dowodu, nie znalazł celu.

Henrietta Fiskalocci, emerytowany pułkownik SB1, chichotała patrząc, jak Key znika razem z obcym. Kadar obrzucił ją błędnym spojrzeniem i skoczył do drzwi.

– Nie... nie bijcie mnie... – powtórzyła słowa Keya. Znowu ogarnął ją śmiech. Ale mimo wszystko wstała i podeszła do okna.

Smycz sprawnie dostarczyła Keya i Bullrata do nóg Rachel.

Dziewczynka szarpnęła się, próbując odpełznąć, gdy kudłate cielsko, ryjąc ziemię, wpadło na drzewo. Key, którego w drodze osłaniała tarcza, zerwał się pierwszy. Trzmiel wypadł mu z kabury jeszcze na progu domu, ale kupiony dla chłopca konwój, o dziwo, ocalał. Wymierzył pistolet w obcego.

Ahar, nawet ogłuszony, nadal pozostawał Bullratem – najstraszliwszym wojownikiem wśród wszystkich organicznych form życia.

Zanim Key zdążył wystrzelić, Ahar wyrzucił łapę i chwycił Rachel za talię. Tam, gdzie pazury drasnęły ciało, pojawiła się krew. Bullrat trzymał dziewczynkę przed sobą, zasłaniając najbardziej wrażliwe części swojego ciała.

Key, ściskając konwój w wyciągniętych rękach, szybko przesuwał lufę, próbując wycelować w te organy, których uszkodzenie spowodowałoby natychmiastową śmierć.

Bullrat, nie odrywając od człowieka romboidalnych źrenic, synchronicznie przemieszczał bezwładne ciało dziewczynki. Ten dziwny pojedynek trwał najwyżej trzy sekundy i powiedział przeciwnikom o sobie wszystko, co tylko trzeba.

– Haey, buli – powiedział Key. – Uronh-a, buul? Mat Key.

Po twarzy Bullrata przesunął się cień zdumienia.

– Sicz, khomo? Ahhar mit, khomo.

– Ahhar? Żet? Dort Ahhar, Vel Ahhar, Sziwuki Ahhar? Mit Key Dutch, Shedar-niek.

Bullrat wstał z ziemi, nadal nie puszczając dziewczynki.

– Sziwuki Ahhar, Ursa. Khaa nit.

– Puść dziecko – powiedział Key. – Rzucę pistolet i będziemy kontynuować.

– Rzucaj – zgodził się Bullrat.

– Sziwuki Ahhar, din Ursa.

– Przysięgam – powiedział Bullrat.

– Hir?

– Mit din Ursa, khomo! – W wysokim głosie Bullrata zadźwięczała wściekłość. Key zamachnął się, rzucając konwój w trawę.

Bullrat z taką samą lekkością rzucił dziewczynkę na ziemię.

– A to już nie było potrzebne – orzekł Key.

Kadar nie wierzył oczom. Key Altos i Ahar szli obok siebie pomiędzy drzewami. Dotarli na małą polanę, rozeszli się na kilka metrów...

– Na Wspólną Wolę – wyszeptał Kadar. – A ten nic, tylko by walczył!

Podniósł dowód; automat zaczął celować w na wpół zasłoniętą drzewami postać.

– To ja cię załatwię – obiecał Keyowi Kadar. – Ja ciebie, a nie ty mnie.

– Tak, pomyliłam się – odezwała się od okna staruszka. – Key zabije Bullrata, nie ciebie. A chcesz wiedzieć, jak ty zginiesz?

Ton był bardziej przekonujący niż słowa. Kadar odwrócił się, próbując skierować dowód na Henriette. Niestety, program intelektualny, przed sekundą nastawiony na Keya, nie rozumiał go. Dowód uparcie wyginał lufę, śledząc poprzedni cel.

– O tak – dokończyła starucha. Mały przedmiot, który ścisnęła w palcach, przypominający krótki ołówek, cicho pstryknął. Wąski strumień płomienia uderzył Kadara w twarz.

Dopóki miał krtań, krzyczał. Nie trwało to zbyt długo.

– Broń nie powinna być mądrzejsza od człowieka – rzekła w zadumie Henrietta, obracając w rękach piropocisk, archaiczne narzędzie grup terrorystycznych Imperium. – Co prawda być mądrzejszym od niego... to chyba niezbyt trudne.

Rzuciła piropocisk na zgilotynowane ciało Kadara, tuż obok miotającego się histerycznie dowodu 36. Jednorazowy miotacz płomieni nie był niczym cennym. Cienki ceramiczny stożek, pirohel, zapłon... Kiedyś produkowano je nawet w fabrykach makaronu, jeśli broń dla Imperium stawała się ważniejsza niż makaron.

– Zanim cię zabiję – powiedział Bullrat – powiedz, kim jesteś, Keyu Dutch z Drugiej Planety Shedara?

– Superem.

Bullrat wyszczerzył się.

– To komplikuje...

Nie dokończył i ruszył do przodu. Zwyczajnie, bez żadnych mylących ruchów – ćwierć tony mięśni, twardej sierści i udoskonalonych przez ewolucję instynktów.

Tak samo zwyczajnie Key zadał krótką serię ciosów w tułów.

Nie martwił się przy tym o efektywność, lecz o szybkość. Na dwa ciosy, które dosięgły celu, Bullrat nie zwrócił uwagi.

Key zresztą na to nie liczył.

– Ktar – odezwał się Bullrat. Powoli wypierał człowieka z polany. Mimo swoich potężnych rozmiarów, pośród drzew zyskałby decydującą przewagę; jego przodkowie żyli w lasach.

Key Dutch zatrzymał się. Wyglądało to tak, jakby ta ciężka obelga wyprowadziła go z równowagi. Bullrat wyszczerzył się i zaczął biec.

Nie przejmował się głupimi ciosami, które mógł mu zadać przed śmiercią zbyt pewny siebie człowiek.

Cios był jeden jedyny – wylądował na styku żeber i lewego oporowego mięśnia brzucha. Bullrat zrobił jeszcze jeden krok i stanął.

Otwarte do śmiertelnego uścisku łapy zaczęły drżeć.

– Oooo – zajęczał śpiewnie.

Key popatrzył na niego chwilę, potem leciutko pchnął w pierś i Bullrat ciężko runął na plecy. Jego ciało dygotało w konwulsjach.

– No i co? – zainteresował się Key, kucając nad pokonanym przeciwnikiem.

– Lim... – wyszeptał Bullrat.

– Dla kogo pracujesz?

– Nrap-po.

Key nie wiedział, kim są „Czuwający w dzień”, ale łatwo się było domyślić. Na wszelki wypadek uściślił:

– Kto wziął chłopca?

– Izabela Kal... SB1 Incediosa...

Key gwizdnął. Biała kanalia wywęszyła ich ślad przez sto pięćdziesiąt parseków, przez darloksańską niewolę i desant Silikoidów.

Uciekinierów spod biernej kontroli nie łapie się tak zawzięcie.

– Brawo, Key, brawo.

Odwrócił się. Staruszka skinęła z aprobatą głową.

– Już dawno nie widziałam, by ktoś tak miło traktował obcych.

A o punktach szokowo-wstrząsowych wiesz?

– Wiem. – Key wstał, bo konwulsje Bullrata stały się zbyt mocne. – Gdzie drugi?

– W aTanie... albo nigdzie... a coś mi się zdaje, że nigdzie.

Bullrat przestał się szamotać.

– To nie ja ich sprowadziłam, Key – zapewniła go Henrietta. – Nie współdziałam z obcymi... i tymi, którzy biorą ich do swojej drużyny.

– Był ktoś jeszcze?

– Mekłończyk. Dziewczyna-mechanistka, porządnie przetransformowana. Twardogłowy grubasek. I jasnowłosa kobieta w roli dowódcy. Będziesz im odcinał uszy?

– Co? – stropił się Key.

– Uszy. Jak niedźwiedzim. Należne trofeum... Cenny talizman. Podobno mężczyznom podnoszą potencję.

– Mnie wystarczy. Do diabła!

Key kopnął Bullrata i pobiegł do miejsca, gdzie leżała Rachel.

Rozdział 4

– Wytrzymaj – poprosił Key dziewczynkę. Trzymał jej głowę na swoich kolanach, a Henrietta krzątała się, ściągając ubranie i opatrując rany. Kanapa, na której położyli Rachel, pokryła się brunatnymi plamami.

– A to podły zwierz, obcy zwierz... – mamrotała Henrietta. Dziecko pokaleczył... Nie wstydz się, malutka. I nic się nie bój.

Bullrat zdechł, całkiem zdechł. Wujaszek Key go zabił, żeby się innym odechciało.

– Cioteczka też nie traciła czasu – zauważył Key, spoglądając na zwęgloną futrynę drzwi wejściowych. Wyciągnęli trupa i wrzucili do dołu z kompostem, ale zapach pozostał.

– Nic, nic – gruchała dalej Henrietta. – Ranki nie są głębokie, tylko tak brzydko wyglądają. Po tygodniu się zagoją, potem będziemy leczyć blizny. Ciocia Fiskalocci to umie, będziesz równie śliczna jak przedtem.

– To konieczne? – zapytał Key. – Takie czułości? Zauważyłem, że przedtem stosowała pani inne słownictwo.

– Wujek Key jest taki gruboskórny – oznajmiła Henrietta. – Gruboskórny, ale dobry. Na naszej planecie, cichej, spokojnej, boimy się takich ludzi. Tu wszyscy są spokojni... Staruszkowie, dzieci...

– Bo młodzież służy przeważnie w siłach imperialnych – sprecyzował Key. Mrugnął do dziewczynki, która cierpliwie znosiła opatrywanie i paplaninę staruszki. Mała zmrużyła oko w odpowiedzi najwyraźniej ogłuszenie minęło.

– I ostatni plaster... – westchnęła Henrietta. – Przydałaby się trawka lecznicza, ale co tam ona pomoże przy takich ranach.

Key pokręcił głową i zapytał dziewczynkę:

– Nie próbowałaś mówić?

Oblizła wargi i wyszeptała:

– Rachel.

– Co?

– Rachel. Tak mi na imię.

– Ja jestem Key. Dziękuję za smycz.

– Uwolni pan Artura...? Oj!

Henrietta z miną winowajcy cofnęła rękę. Pokręciła głową.

– A jednak żeberko złamane. Boli pewnie?

– Boli – przyznała się Rachel. – Niech się pani nie spieszy z lekarzami, jeśli trzeba poczekać. Ja rozumiem.

Key i Fiskalocci wymienili spojrzenia.

– Nawet takie u nas rodziły pomiędzy akcjami – powiedział Henrietta. – Bo Imperium potrzebowało żołnierzy. A potem szły pod ostrzał.

Te szczeniaki zawsze włożą pod dysze...

Key Dutch potrząsnął głową, jakby próbował się pozbyć czegoś z pamięci.

– Muszę iść. A pani musi wezwać lekarzy – powiedział.

Henrietta zawahała się:

– Rachel, kochanie, wytrzymasz jeszcze piętnaście minut?

– Nawet godzinę.

– Wystarczy kwadrans. Key, musisz się napić kawy.

– Skoro muszę... – Key opuścił głowę dziewczynki na poduszkę. – Uratuję Artura. Możesz być pewna – powiedział.

– Tam jest taka... ze srebrną twarzą.

– Zrobię ci z niej kolczyki i przyślę.

– Lepiej pierścionek – odpowiedziała dziewczynka po chwili zastanowienia. – Mama nie pozwala mi przekłuwać uszu. I... tak jest ciekawiej... Przyleci pan jeszcze do nas?

– Oczywiście. Lizać rany. Albo zwerbować szaleńców na niewielką wojenkę.

– Ja pierwsza – powiedziała bez cienia ironii Rachel.

Kawa, zgodnie z miejscową tradycją, była z zimną śmietaną, kawałkami lodu i prawie bez cukru. Henrietta szczerze dołąła do filiżanek jakiejś intensywnie pachnącej nalewki. Key uznał to za samowolę, ale nie protestował.

Szczerze mówiąc, nie odmówiłby nawet pół szklanki koniaku.

Ale Fiskalocci nie zaproponowała, chociaż barek w jej pokoju był pełny. Bardziej by to pasowało do najemnego terrorysty niż do staruszki sadowniczki.

– Wspomnienia trudnych porodów? – Key wskazał ruchem głowy rozwieszoną na ścianach broń. Było tu także ultimatum i Key uśmiechnął się do niego jak do starego znajomego.

– Zbędna ironia. – Henrietta odstawiła filiżankę. Poglądziła czarnego kota, który ułożył się na jej kolanach. – Akuszerką w desancie też byłam.

– Pracowała pani i na życie, i na śmierć?

– Każdy by zdążył. Wojna trwała siedemdziesiąt lat, jeśli pan pamięta.

– Jeszcze się wtedy nie urodziłem.

– Naprawdę? Tak łatwo trafił pan w gruczoł sigmowy...

– Nauczyciel był dobry.

Dlaczego był?

Umarł. Jemu też nie odciąłem uszu.

Key, Key... – Fiskalocci pokręciła głową. – Brutalny chłopiec.

Dlaczego mi pani pomogła? – zapytał po prostu Key.

– Byłam pułkownikiem grupy terrorystycznej przy SB1. Mój dom jest nietykalny dla Służby. To przywilej podarowany przez Imperatora i żadna odmłodzona idiotka nie ma prawa go łamać.

Key wiedział, jak nazywała się jedyna kobieta-pułkownik w krótkiej i mrocznej historii oddziałów terrorystycznych. Ale wolał zostawić tę wiedzę dla siebie. Osoba, która wysłała na tamten świat sto pięćdziesiąt tysięcy obcych i kilkuset ludzi, miała prawo żyć pod dowolnym nazwiskiem.

Tym bardziej, że pod swoim nie pożyłaby długo. Zawierając Potrójny Alians, Meklon i Bullraty ustalili listę ludzi, z którymi pozostają w stanie wojny. Staruszka, która nazywała się obecnie Fiskalocci, na tej liście była.

A to, co powiedziała, świadczyło o niemałym zaufaniu... albo o dawce trucizny w kawie.

– Nie podoba mi się, gdy na ludzi poluje się z obcymi – ciągnęła niewzruszenie staruszka. – Poza tym pan i chłopiec, którego nazywa pan swoim synem, wydaliście mi się z jakiegoś powodu sympatyczni.

– Pora na mnie – mruknął Key.

Henrietta postawiła kota na podłodze i skinęła głową.

– Tak, niestety... A tak by się chciało pogawędzić kilka wieczorów... Key, proszę zapamiętać, co panu teraz powiem...

Słuchał przez siedem minut. Krótkie, ale bardzo dokładne charakterystyki każdego członka akcji, który pojawił się w domu Fiskalocci.

... prostoduszny, ze standardowej sytuacji wyciśnie wszystko, ale jej był potrzebny tylko chłopiec... Mekłończyk najnowszej generacji, starłby cię w pył, ale w transformacji ruchowej jego kończyny poruszają się asynchronicznie. Oznaka niecałkowitego zrostu organicznych i mechanicznych części, decyduj sam, w czym ci to pomoże... jeśli nie brać pod uwagę siły fizycznej, ta kobieta jest bardziej niebezpieczna niż Mekłończyk, ma w sobie żądzę władzy... – Powtórzyć? – spytała Henrietta.

– Mam pamięć absolutną.

– Jasne. Kierunku jestem pewna, odeszli na południowy wschód, jak daleko, sam się dowiesz. Twój trzmiel jest na klombie z niezapominajkami, weź. Co jeszcze? Żeby o czymś nie zapomnieć... Ciężkie uzbrojenie?

Key spojrzeniem wskazał ścianę.

– Wszystko załadowane i sprawne, ale wyłącznie stare modele. Nostalgia.

– Dowód okazał się niezbyt pewny – zauważył Key, oglądając broń.

– Przydałby się excalibur. Niestety, nie mam... I mój pancierz ci się niezbyt przyda, za szerokie masz ramiona... Nie bierz ultimatum! Nawet ty pod nim padniesz!

– Wezmę szansę – postanowił Key, odpinając umocowania.

Henrietta skinęła głową.

– To miło, że nie cała młodzież wpadła w marazm. Bierz. To dobra szansa.

– Tak – przyznał Key. – Jedna na tysiąc.

Rozdział 5

Artur nie pamiętał, jak go przyniesiono na statek Służby. Mekłończyk albo źle wyliczył, albo świadomie zaaplikował mu Ogluszającą moc pocisku. Chłopiec ocknął się od bólu w piersiach.

Mały kwadratowy pokój – kopia darloksańskiej klatki, tylko nieprzezroczysty... od wewnątrz. Sedes, umywalka, porolonowy materac na podłodze. Leżał nago, a mężczyzna w siłowym pancerzu naklejał mu na piersi elektrody.

– Ocknąłeś się? – zapytał Nomachi, nie przerywając pracy. Wprowadził pod skórę chłopca kolejną platynową igiełkę, założył na wierzch mocujący plaster. – Ciekaw jesteś, co robię?

Artur skinął głową.

– Bardzo proste, przyjacielu. Zestaw reanimacyjny. Jeśli zatrzymasz serce albo przestaniesz oddychać, zestaw przejmie sterowanie tymi funkcjami. Jasne?

Drzwi do pokoju otworzyły się. Na progu stała Izabela Kal, kobieta, która przesłuchiwała Artura na Incediosie. Była w tej samej luźnej spódnicy i białej bluzce z szerokimi rękawami. Curtis nie poznał jej w domu staruszki pod siłowym pancerzem, ale teraz poczuł dziwną dumę. Intuicja go nie zawiodła. W samą porę uciekli z Incediosa, tylko że Służba zdołała ich dogonić.

– Skończyłeś, Louis?

– Zaraz.

– Kończ i idź na mostek. Tu jest za ciasno.

– Raczej zapocę się w tym pancerzu, niż pozwolę chłopcu odejść – powiedział z lekką urazą Nomachi.

– Świetnie.

Louis przykleił do skóry chłopca sterujący mikroschemat. Wyjął pojemnik i starannie pokrył pierś Artura przezroczystą warstwą środka mocującego.

– Gotowe.

– Idź!

Nomachi wstał, obrzucił Artura zadowolonym spojrzeniem i niezgrabnie wyszedł. Curtis junior i Izabela zostali sami.

– No i znowu się spotykamy – powiedziała Kal niemal czule, siadając w kucki obok Artura. – Wiesz, czego potrzebuję?

– Dobrego psychoterapeuty.

Izabela zaśmiała się dźwięcznym, szczęśliwym śmiechem.

– Nie, to mi teraz niepotrzebne. Jesteś Artur van Curtis. Może powiesz, że nie?

– Nie będę odpowiadać na pytania.

– My umiemy je zadawać, Artur. Przegraliście i nie macz wyboru.

– Gdzie Key?

– Więc ty chcesz pytać? Dobrze, odpowiem. Zaraz go przyprowadzą.

– Akurat – powiedział Artur najbardziej nieprzyjemnym głosem, na jaki go było stać.

– Wierzysz w jego siłę? Nie będę się spierać. Przy odrobinie szczęścia dobrze wytrenowany człowiek może uratować się od Bullrata... albo go zabić. Ale Key nie jest mi szczególnie potrzebny.

To pionek, który osłaniał króla... a król... – Izabela wyciągnęła rękę, poklepała Artura po biodrze. – Król dostał pata.

– Wie pani co? – powiedział w zadumie Artur. – Zupełnie się pani nie wstydzę.

Przez twarz Kal przemknął dziwny wyraz, natychmiast zastąpiony przez uśmiech.

– Nie masz przecież dwunastu lat, przyjacielu. Twój sprytny tatuś przegonił cię przez aTan, żeby wszystkich oszukać. Masz szesnaście i myślę, że znałeś wystarczająco dużo dziewcząt, żeby przywyknąć...

– Nie o to chodzi – Artur uśmiechnął się, a ten uśmiech nie spodobał się Kal. – Jestem wstydlivy. Ale pani... pani jest już martwa. Od momentu, gdy poszczuła pani na nas swoją bandę! Nie mam kompleksów wobec trupów.

– Będę musiała ci udowodnić, że jestem żywa – głos Kal nie wróżył nic dobrego, ale jej ręce żyły własnym życiem.

– Nie będzie pani miała aTanu, pracy ani ojczyzny – ciągnął Artur. – Ześlą panią do takiej dziury, która nawet nie będzie miała nazwy. Na osobiste polecenie Imperatora. On... się zgodzi... z van Curtisem...

– No i jak, jeszcze żyję? – zaśmiała się Kal.

– Pani naprawdę potrzebuje psychiatry – wystękał Artur.

– Nie, chłopcze. Potrzebny mi aTan, i ty mi opowiesz, jak twój ojciec przeprowadza ostatnią fazę składania. Potrzebna mi instrukcja, jak zabijać ludzi z siatką neuronową. A ostatnie, czego potrzebuję... – Kal nachyliła się nad chłopcem i wyszeptała:

– Prawdy o tym, dokąd lecisz. Co takiego chce załatwić Curtis, że wysłał swojego syna?

– Śmierdzi pani z ust – wzdrygnął się Artur.

– Mam cię dość – oznajmiła Kal. Drzwi do pokoju otworzyły się, a Izabela wstała z kolan. Marjan Muhammadi popatrzyła na nich obojętnie od progu. – Dobrze, że przyszedłeś. Popracuj z chłopcem.

– Do jakiego stopnia?

– Do trzech A – Kal mrugnęła do chłopca. – Spodoba ci się.

Szansa nie była zbyt ciężka. Sześciolufowy automatyczny system ognia laserowego, niewymagający precyzyjnego celowania, czyli wachlarzowy laser konstrukcji Martyzenskiego, potocznie zwany trakiem, najbardziej przypominał starodawny wielolufowy cekaem. Sześć luf zebrano na obrotowej osi, każda była lekko odchylona w bok.

W działaniu obrotowe lasery włączały się na nieokreślony czas w przypadkowym porządku, co dawało im czas na ochłodzenie i gwarantowało szerokie pole rażenia. To była broń tego samego rodzaju co ultimatum, broń z czasów Wielkiej Wojny, obliczona na kiepsko wyszkolonego użytkownika albo na walkę jednostki z grupą.

Key wolał uważać się za jednostkę. Nie wiedział, ilu ludzi i nieludzi będzie miał przeciw sobie. Henrietta widziała czworo, ale to jeszcze nic nie znaczyło. Zresztą Mekłończyka można było śmiało liczyć za dziesięciu, tak samo jak dziewczynę-mechanistkę.

Szedł przez sad, bacznie wypatrując jakiegokolwiek śladów. To byli tacy sami zawodowcy jak on. Całkiem prawdopodobne, że statek Służby jest już na orbicie i Key będzie mógł najwyżej podziwiać wy paloną w trawie łysinę.

W pewnym momencie Key poczuł zapach spalenizny, który wiaterek przyniósł z zachodu. Niewiele

brakowało, a minąłby cel. Statek wylądował blisko domu.

– Mam nadzieję, że pani sad jest ubezpieczony... Wando Kachowsky – szepnął Key, odbezpieczając szansę. Lufy laserowego miotacza zaczęły się obracać. Wibracji nie było, wachlarz okazał się doskonale wyważony. Dutch z zadowoleniem skinął głową.

Rozdział 6

Czang Czamri stał w odległości dwudziestu metrów od statku, gdzie wypalona przez silniki ziemia przechodziła w szereg osmalonych drzew. Kal nie wymagała wystawienia czujek, ale sierżantowi imperialnego desantu robiło się słabo na myśl o takim zaniedbaniu. Wygonił ze statku sześciu szeregowców, wystawił posterunki i teraz zwyczajnie odpoczywał, oglądając okolicę.

Czang urodził się na Mentarze, planecie gorącej i suchej, ale nie pozbawionej swego uroku bezkresnej pustyni. Teraz Czang próbował rozstrzygnąć, czy podoba mu się na Tauri czy nie. Na razie minusów było więcej – nadmiar drzew, zbyt ciemne niebo, chłodny jak dla Mentaryjczyka klimat.

Jedyne, co mu się podobało, to obfitość owoców. Zerwał z drzewa dziwny owoc – z wyglądu jabłko, w smaku truskawka – i podszedł do srebrzystego stożka statku.

– Hej! – usłyszał za plecami i odwrócił się.

Keya Ovalda poznał od razu. Broń w jego rękach – laserowy wielolufowiec – również. W desancie umiano posługiwać się starożytną techniką.

– Niech pan nie wariuje – poprosił Czang. – Proszę rzucić broń, nikt pana nie zabije.

Człowiek, za którym z takim uporem goniła Kal, milczał. Czang oblał się potem. Sześć luf szansy obracało się na jałowym biegu, celując w jego brzuch.

– Z pańskim synem wszystko w porządku – Czang zrobił krok w stronę Ovalda. – Służba Incediosa ma do pana kilka pytań. Niech pan opuści broń, przecież jest pan zwykłym kupcem!

Key Ovald zaśmiał się. Łatwość, z jaką dźwigał wielolufowiec, zmusiła Czanga do uprzytomnienia sobie idiotyzmu własnych słów.

– Przecież nie będzie pan chyba próbował szturmować statku w pojedynkę?! – krzyknął. Do najbliższego posterunku było pięćdziesiąt metrów, powinni go usłyszeć...

– Nie będę. – Key włączył wachlarz.

Statki Służby nie były przeznaczone do walki, tym bardziej walki planetarnej. Z mostka można było podsłuchiwać telefony na drugiej stronie planety, ale nie sondować okolicy.

– Co się dzieje? – Izabela wdarła się na mostek, gdzie zastała T/sana i sierżanta Ralpa Gordona.

– Bijatyka. – T/san odwrócił głowę. – Zastępco Dowódcy Kal, wydaje się, że Key Ovald ma ciężkie uzbrojenie. Zezwala pani na zejście ze statku?

Kal w milczeniu patrzyła na ekran. Sady Tauri paliły się kiepsko; tylko plazmowymi pociskami typu Kobra można było spalić pojedyncze drzewa. Za to powalonych, ściętych jabłoni wystarczyłoby do zapelnienia sporego tartaku.

– Widziałeś u staruchy szansę? – spytała Kal.

– W kolekcji na ścianie, na drugim piętrze. Sądzę, że Kadar i Bullrat już nie żyją. – T/san ruszył do wyjścia.

– Stać.

Ralph popatrzył na Izabelę, nic nie rozumiejąc. Jego ciemna twarz poszarzała.

– Wycofuję swoich ludzi – zdecydował.

– Nie trzeba – powiedziała Kal na wpół proszącym, na wpół rozkazującym tonem.

– Nie podlegam pani. – Gordon nawet nie próbował ukryć pogardy w głosie. – My nie zostawiamy

swoich.

Izabela podniosła rękę. Spod mankietu błysnął metal.

– Przekaż pozdrowienia Lemakowi – rozkazała. – Niedługo wracamy.

Plazmowy pocisk straży odrzucił Ralpha na podłogę. Jego dłoń zamknęła się na rękojeści pistoletu, którego jednak nie zdążył wyjąć.

– Hhruz – skomentował Mekłończyk. Jego opanowanie też miało swoje granice.

– T/san, weź Muhammadi i zajmijcie się pozostałymi – poleciła Izabela.

– Mam prawo nie wykonać polecenia – rzekł zimno Mekłończyk. – Jako zrzeszony pracownik Imperium protestuję przeciwko próbie buntu.

– To nie bunt. – Kal opuściła rękę. Przepychanki z Mekłończykiem, kiedy się miało do dyspozycji straż o małej mocy, byłyby głupotą. – Przedstawię wszelkie wyjaśnienia. Nasze działania przyniosą korzyść Terrze i Meklonowi.

T/san wahał się.

– Podnoszę statek, a wy zajmijcie się żołnierzami – powtórzyła Izabela. – Wszyscy mają aTan, więc to nawet nie zabójstwo. Muszę mieć wolne ręce, T/san.

Mekłończyk w milczeniu wyszedł.

Key leżał w rowie nawadniającym, w czarnej od popiołu wodzie i patrzył na unoszący się statek. Malutki stożek zawisł pięćdziesiąt metrów nad ziemią, kołysząc się na pomarańczowym wianuszk płomieni.

– Będiesz coś podpalał? – zapytał Key niewidocznego pilota.

Woda mogła ochronić go przed plazmowym wyrzutem, nawet przed uderzeniem grawitacyjnym... przy czymś dużym niedbalstwie. Stożek zaczął się szybko zmniejszać. Key Dutch został w kanale jeszcze kilka minut. Nie liczył oczywiście, że w pojedynkę przejmie statek. To byłoby naiwne. Ciekaw był, jak Kal zareaguje na atak.

Reakcja była wyjątkowo nieprzyjemna – ucieczka. Dali mu do zrozumienia, że Służba już się nim nie interesuje. Pozwolono mu zachować życie. Nawet siedem trupów, nie licząc Bullrata i mężczyzny z dowodem, zdjęto z jego rachunku.

Jasnowłosa kobieta z Incediosa po prostu obserwowała jego reakcję.

– Dla ciebie rzeczywiście ważniejszy jest sam proces niż rezultat – stwierdził Key, siadając na brzegu. – Pod tym względem się zgadzamy.

Ręce mu już mdlały od szansy, więc położył wachlarz na ziemi.

Znajdą go pracownicy miejscowej Służby, spiszą numery i zwrócą Henriecie. Key nie miał ani czasu ani powodu, by czekać, aż się tu pojawią.

Rozdział 7

Cailis przywitał Keya deszczowym, pochmurnym rankiem.

Dutch już prawie zapomniał, że na świecie bywa jesień.

Niestety, niewiele planet było tak bogatych jak Tauri czy Terra, by pozwolić sobie na całkowitą klimatyzację. Pasażerowie, ponad dwadzieścia osób, stali pod brzuchem liniowca, czekając na autobus.

Czterdzieści metrów dalej już wyciągano kontenery z ładowni.

– Prawie na nas pluja – wymamrotał stojący obok Keya mężczyzna. – Nie uważa pan?

Key wzruszył ramionami.

– I tak za każdym razem... wystarczy przylecieć pasażersko-towarowym z Tauri...

Dutch patrzył na deszcz. Szary beton, ciągnący się aż po horyzont, pokrywały potłuczone lustra kałuż. Świat był przesycony wilgocią, widocznie deszcz padał od dawna. Ciepło bijące od rozgrzanego liniowca tylko podkreślało nieprzyjemny chłód.

– Imperialny statek idzie dopiero za trzy dni, poza tym cena... Nie wie pan, dlaczego podnieśli taryfę?

Liniowiec w końcu ostatecznie przemókł i po burtach zaczęły spływać czarne od nagaru strumyczki. Jakby świat ktoś zaciągnął ciemnymi roletami.

– Jestem tu przypadkiem – powiedział Key.

– Ależ nie, podnieśli wszystkie taryfy – ożywił się mężczyzna.

– We wszystkich kierunkach, wszystkie rodzaje przelotów. To by znaczyło...

... że będzie wojna – dokończył sucho Key.

Przypadkowy rozmówca w milczeniu przetrwał informację, po czym zaśmiał się z przymusem:

– Ale z pana pesymista! Mówią, że była seria dywersji w fabrykach paliwa, no i...

– A ja mówię, że wojna – wyjaśnił cierpliwie Key.

Pomarańczowy autobusik kosmoportu płynnie wtoczył się pod brzuch liniowca.

– Pesymista z pana – powtórzył ze smutkiem mężczyzna.

– A z pana gaduła. – Key podniósł torbę i poszedł do autobusu.

Pięć dni lotu spędził, nie wychodząc z kajuty. Czuł się źle. Zawalił sprawę... kompletnie spieprzył wszystko jako ochroniarz.

Ale zabójca nadal był z niego niezły.

Tauryjski liniowiec nie wylądował w miejscowym kosmoporcie, gdzie czekał na Keya jego hiperkuter, lecz na imperialnym, zbudowanym według projektu jednakowego dla wszystkich planet. Na Tauri posępne fioletowe kopuły wyglądały pompatycznie i staromodnie, ale do krajobrazu zasnutego deszczem Cailisa pasowały idealnie. Autobus mknął po polu startowym, finezyjnymi zakrętami omijając nieliczne statki. Key siedział przy oknie, patrząc, jak w dali startuje lichtuga – sądząc po powolnym, ciężkim wzlocie, porządnie wysłużona. Tutejsi urzędnicy nie bardzo dbali o stan statków.

Ale tu przynajmniej nikt nie włąził pod same dysze.

Kontrola celna również okazała się formalnością. Standardowy test na stopień infiltrowania, cienka książeczka miejscowych uzupełnień ogólnoimperialnego kodeksu, deklaracja pozwalająca przewieźć dwutygodniowy zapas narkotyków na własny użytek i surowo pytająca, czy nie ma w bagażu nieznanego Keyowi Angarskiego memorandum w dowolnej postaci.

Za trzmiela i konwój Key musiał zapłacić niewielkie cło, ale broń nie wywołała żadnych pytań. Key odniósł wrażenie, że pozwolono by mu nawet wwieźć szansę.

Już poprzednim razem Cailis wydał mu się bardzo liberalną planetą.

W restauracyjce na pierwszym piętrze wypił kawę i zmęczył kotlet, mocno zajeżdżający syntetykami. W biurze wynajmu samochodów zaproponowano mu kilka modeli; wybrał mitzantornado miejscowej produkcji, czym zaskarbił sobie przychylność pracowników.

Mitzan nie wyglądał na ekskluzywny wóz, ale pod plastikową maską miał potężny silnik i kompatybilny system kierowniczy, wykonany na mekłońskiej licencji. Na sąsiednim placyku stały flaery do wynajęcia, ale Key nie miał zamiaru wyruszać w daleką drogę.

Wszystko, czego potrzebował, mieściło się w stolicy Cailisa Angobadzie.

Narasin pracował w hotelu Niepogoda szósty rok. Wystarczająco długo, by na pierwszy rzut oka wybrać dla gościa odpowiedni pokój – najdroższy, na jaki tamten się zgodzi.

W tym kliencie portier nie wyczuł ani pieniędzy ani ich braku.

Tylko duże nieprzyjemności.

– Potrzebny mi twój zmiennik.

– Który? – Narasin poczuł, jak ulatnia się pragnienie stawiania oporu.

– Nabity, mojego wzrostu, z krótką bródką.

– No... – Narasin pochwyił spojrzenie mężczyzny i zamilkł.

Kontuar, za którym przyjmował klientów, był wysoki i wystarczyło muśnięcie guzika, by podnieść pancerną szybę. Ale Narasin nie wierzył, że mu to w czymkolwiek pomoże. Mężczyzna miał na pasie dużą kaburę i robił wrażenie człowieka, który tłucze pancerne szyby w czasie porannej gimnastyki.

– Pewnie George Savane?

– Ty wiesz lepiej. Gdzie on jest?

Narasin bezradnie zerknął na hotelowego detektywa, który siedział w odległym kącie westybulu przed monitorem kontroli wewnętrznej, pochłonięty tym, co się działo w którymś pokoju.

– Nie zmuszaj mnie do zabicia staruszka – rzekł spokojnie mężczyzna. – Jaki wariant bardziej ci odpowiada: trzy trupy, włączając twój, czy jeden, który nie ma z tobą nic wspólnego?

Narasin Hań zrobił rozpaczliwą próbę przywołania całej swojej odwagi.

– W co mnie pan wplątuje, proszę pana? Jakie trupy? Za współudział u nas karzą surowiej niż za zabójstwo.

To nieoczekiwanie odniosło efekt.

– Im szybciej znajdę twojego zmiennika, tym większe są jego szanse przeżycia – oświadczył mężczyzna. – Na razie jeszcze w nic nie wdepnąłeś.

– Jest w pokoju sto siedem, korytarzem na prawo – zdecydował się Narasin. – Pracował w nocy, teraz odpoczywa.

– Dziękuję. – Mężczyzna odszedł od kontuaru, potem odwrócił się i dodał:

– Pamiętaj, że mam aTan.

W biurku Narasina leżał stareńki, ale pewny pistolet laserowy styl, a komunikator pozwalał połączyć się z pokojem sto siedem w ciągu dwóch sekund. Ale portier siedział nieruchomo, patrząc na pochłoniętego podglądaniem detektywa: aTan to bardzo poważny argument dla biednego pracownika skromnego hotelu. George nigdy nie był – i najwyraźniej już nie będzie – jego przyjacielem.

Key stukał do drzwi przez trzy minuty, niegłośno, lecz monotonicznie. Przez chwilę nawet pomyślał, że portier skłamał.

W końcu drzwi się otworzyły.

– To pokój służbowy – powiedział smagły brodac, zasłaniając przejście. – Czego pan sobie...

– Zaraz się dowiesz. – Key chwycił George'a za kłapy piżamy.

Materiał zatrzeszczał, ale Dutchowi udało się wepchnąć oszołomionego portiera do pokoju.

– Ty bydlaku... – Savane wyrwał się, rozdzierając piżamę, i zamarł, wpatrzony w twarz Keya.

– To ja. Poznajesz?

– Proszę pana... – przez twarz George'a przemknęły wszystkie możliwe emocje. – Jakże się cieszę... pańskie rzeczy są w największym porządku... pozwoliłem sobie...

– Aha, w dodatku kradniesz?

Key uderzył portiera w brzuch, w ostatniej sekundzie uświadamiając sobie, że zadaje „odciągnięty” cios Bullrata. George Savane zwinął się na podłodze, nie wydając jednak ani jednego dźwięku. Ból był straszny, ale portier spodziewał się czegoś znacznie gorszego.

– Nie będę cię więcej bił – obiecał Key. – Pod warunkiem, że okażesz zdrowy rozsądek.

– Pan... Key Altos, prawda? – Savane uśmiechnął się krzywo z podłogi. Umiał i lubił się bić, i potrafił wyczuć różnicę pomiędzy amatorem a zawodowcem. – Nie jestem niczemu winien, panie Altos. Zwrócę pańskie rzeczy, wszystko zwrócę!

– Tak? I co masz dla mnie ciekawego? – Key czuł się trochę głupio. Nie miał zamiaru zabijać portiera, tym bardziej ciosem, którego się nauczył od obcego.

– Broń, ubranie, rzeczy osobiste, trzy setki w banknotach, trzmiel, karta kredytowa... – zatrajkotał portier.

– Nawet ubranie? To w czym mnie pogrzebali?

George ostrożnie wstał. Nie miał doświadczenia w kontaktach z ludźmi, którzy przeszli aTan. W Niepogodzie bogacze się nie zatrzymywali.

– Nie wiem, ciało zabrała policja, najwidoczniej poddano je kremacji.

– Ohyda. – Key usiadł na zaścielonym łóżku, podłożył sobie pod plecy poduszkę. – Wiecznie mam pecha. Dobrze, zostaw sobie to wszystko.

George poprawił rozerwaną bluzę od piżamy. Zaczęła mu wracać pewność siebie.

– To była tragedia dla całego hotelu, panie Altos. Ostatnie zabójstwo miało u nas miejsce dwa lata wcześniej. Co za okropna sytuacja, proszę mi wierzyć...

– Przestań. Domyślasz się, kto mi jest potrzebny?

– Chłopiec? – zagadnął portier.

– Chłopiec – zgodził się Key. – Fajny chłopiec z algopistoletem.

– Uciekł przez okno... pierwsze piętro, sam pan rozumie...

Key pokręcił głową.

– Nie rozumiem. Na waszej koszarnej planetce mam dłużnika. Albo tamten chłopiec, albo ty.

Savane spocił się.

– Ale ja prawie nic nie wiem, niech mi pan wierzy! Powiedział, że umówił się z panem przez telefon. To prawda, wziąłem piątkę, ale skąd...

– Nawet w waszej dziurze nie można tak po prostu wejść do hotelu. Jakie okazał dokumenty, prócz piątki z portretem Imperatora?

– Szkolną legitymację, ale nie pamiętam nazwiska...

– A mnie się zdawało, że masz doskonałą pamięć do nazwisk.

Savane poddał się.

– Tak, przypominam sobie. Zapewne fałszywka, ale...

– A więc z chłopca też chciałeś zedrzeć forszę? Za milczenie? Key pokręcił głową. – Kamień spadł mi z serca, dziękuję. A teraz nazwisko!

Rozdział 8

Tommy Arano, słuchacz trzeciego roku programu ogólnokształcącego, wyszedł ze szkoły. Miał trzynaście lat i według praw Cailisa nie wolno mu było nawet kierować motocyklem. Ale nie można powiedzieć, żeby Tommy się tym specjalnie przejmował.

Lubił deszcz. Kwadrat szkolnego podwórka, zazwyczaj zakurzony i tłoczny, był umyty i świeży. W szarawym półmroku, który zastąpił południowy upał, obrzydłe szkolne budynki wyglądały obco i tajemniczo.

Ahmedi, jego kumpel z czwartego roku, zdjął z ochrony swój motocykl, postawiony przy parkingu. Zauważył Tommy'ego i pomachał mu ręką.

– Hej, bohaterze, podwieźć cię?

Tommy pokręcił głową. Ahmedi wzruszył ramionami i włączył silnik. Powoli przejechał obok, rzucając w biegu:

– Nie zmokniesz?

– Nie-e – mruknął Tommy, zakładając kaptur.

– Słusznie, ja cię podwiozę – rozległ się głos za jego plecami.

Tommy odwrócił się. Długi płaszcz z podniesionym kołnierzem, nasunięty na twarz kapelusz. Wszystko to nie pozwoliło mu od razu poznać człowieka, którego widział tylko raz. Gdy w końcu go sobie przypomniał – głównie po głosie – było już za późno.

Key Altos położył ręce na jego ramionach.

– Przecież obiecałem, że wrócę. Pamiętasz?

Tommy nie mógł odpowiedzieć – język już go nie słuchał. Nogi zrobiły się miękkie, ale nie upadł. To, czego chłopiec już prawie przestał się bać, to, co śniło mu się w koszmarach – stało się rzeczywistością.

Zabity przez niego łajdak ożył i wrócił, by się zemścić.

– Daj łapkę – rozkazał Altos.

Tommy podniósł rękę jak we śnie.

Altos zatrzaskał na niej, obok taniego zegarka elektronicznego, szeroką bransoletę, potem zademonstrował chłopcu swój nadgarstek z taką samą. Kajdanki siłowe. – Jesteśmy teraz nierozłączni, rozumiesz?

Tommy milczał. Key zaczął niespiesznie, umiejętnie przeszukiwać jego ubranie. Potem zajrzał do teczki z zeszytami.

Przejeżdżający obok samochód przyhamował. Szyba opuściła się powoli i Daniar Wazadze, nauczyciel historii starożytnej, zwrócił krótkowzroczne oczy na swojego najlepszego ucznia.

– Tommy, wszystko w porządku?

Altos powoli wyjął z kieszeni płaszcza pistolet, wycelował Wazadze w czoło i powiedział:

– Wszystko w najlepszym porządku. Pojedziesz do domu i będziesz żył długo i szczęśliwie.

Niewidoczna dla świata walka w duszy nauczyciela trwała jakieś pięć sekund; Key uznał, że to bardzo odważny człowiek.

– Proszę o wybaczenie – odrywając wzrok od bladej twarzy Tommy'ego, powiedział Wazadze, nie wiadomo, czy do Keya, czy do chłopca. Szyba podjechała do góry, samochód ruszył.

– Gdy mowa o życiu lub śmierci, mały – powiedział w zadumie Key – liczba przyjaciół znacznie maleje. Co dopiero mówić o znajomych! Ich liczba staje się mniejsza od zera.

Zrobił kilka kroków, jakby zapominając o Tommym. Szarpnięcie kajdanek siłowych rzuciło chłopca na kolana, na mokrą, szorstką nawierzchnię jezdni.

– Nie gap się. – Key przesunął rękę, podnosząc Tommy’ego na niewidocznym łańcuchu pola siłowego. – Przykro być marionetką, co?

Od szarpnięcia kapturem spadł chłopcu z głowy i teraz deszcz padał mu prosto w twarz. Cieszyło go to – nie lubił płakać. Key Altos wsunął ręce w kieszenie i patrzył na niego.

– Ja też długo skakałem na cudzych niteczkach, a teraz postanowiłem otworzyć własny teatr – oznajmił niezrozumiale. – Będiesz w nim głównym aktorem.

Znowu ruszył, oddalając się od szkoły. Tym razem Tommy pobiegł za nim. Bransoletka na rękę była prawie gorąca, ale nie było to przyjemne ciepło.

Już poza granicami szkolnego kompleksu, na szosie, wzdłuż której ciągnęły się rzędy bezosobowych wieżowców – nawet deszcz nie mógł dodać im urody – fortuna postanowiła spojrzeć na Tommy’ego Arano przychylniejszym okiem. Obok mitzana-tornado, do którego prowadził go Altos, na poboczu, ryczało z dziesięć motocykli. Światła reflektorów leniwymi mackami pełzły przez ciemność, rozświetlając krople deszczu.

– Chłopaki! – krzyknął Tommy.

Reflektory odwróciły się w ich stronę, zalewając wszystko tęczowym od wody światłem.

– Niepotrzebnie. – Key się zatrzymał. – Ale cieszę się, że ci nie odjęło mowy.

Tamci podeszli bez pośpiechu, starając się nie wchodzić w krąg światła. Ochryply, łamiący się głos zapytał:

– Masz problemy z wujkiem, bohaterze?

Key uśmiechnął się i poufale szepnął Tommy’emu:

– Dobrze wiem, jak zapracowałeś na tę ksywkę...

Chłopiec nie odpowiedział. Wydało mu się nagle, że zrobił siebie idiotę. Altos wszedł w ciemność.

– Stój na miejscu! – wykrzyknął chłopięcy falset. Key zatrzymał się i niemal dobrodusznie wycedził:

– On ma problemy, chłopcy. Ale to tylko nasze problemy.

– Mylisz się – zaprotestował posiadacz ochryplego głosu. – Teraz problemy masz tylko ty... Tommy, idź do maszyn!

– Wyjaśnij im – poprosił Key.

Tommy Arano podniósł rękę. Ciemność zareagowała na widok kajdanek siłowych wielogłosymi przekleństwami. Tego właśnie pragnął Altos.

– Chłopaki – Tommy bezradnie mrużył oczy, tak samo oślepiiony światłem jak Key. – To ten, który... którego... on miał aTan!

W tym momencie Key ruszył. Nie liczył na to, że wzmianka o aTanie powstrzyma tłum małolatów. Ale wystarczyła mu sekunda ich zakłopotania.

Dalej to już tylko kwestia techniki. Przeszkadzał mu trochę Tommy, przypięty do prawej ręki dwumetrową nicią siłową, ale nawet całkowita utrata kończyny nie mogłaby zdyskwalifikować

ochroniarza jego klasy. Na akomodację oczu do ciemności Key Dutch, super z Drugiej Planety Shedara, stracił niecałą sekundę. Potem już tylko sunął jak milczący automat.

Było ich siedemnastu – kilka motocykli wiozło tej nocy po dwóch jeźdźców. Trzy dziewczynki i dwóch chłopców – dziesięciolatki; ich Key nawet nie pobił, po prostu odrzucił na boki. Ale dwóch chłopaków z laserami, celującymi w ciemność, nie pozostawiło Dutchowi swobody manewru.

Tommy włókł się za nim po błocie, jak niezbyt efektywna kotwica. Key przedzierał się przez kruche ciała swoich przeciwników zbyt szybko. Tłum zmusił go do użycia odruchów nabytych przez lata treningu. Łamał ręce z zaciśniętymi w nich kastetami, nabijał chłopców na ich własne noże, blokował rzadkie, nieumiejętne ciosy.

Dwóch starszych siedemnastolatków z pistoletami upadło, nie zdoławszy ani razu wystrzelić. Key wyłączył ich chwytami, które patrzącemu z boku mogły wydać się litościwe.

Ostatni był chłopiec, rówieśnik Tommy'ego, z grawipałką. Kręcił się w miejscu oszołomiony tym, co się działo, nie widząc już nic wokół siebie. Key po prostu podszedł do niego, ujął za cienką dłoń i uderzył chłopca jego własną bronią.

Noc krzyczała, płakała, jęczała dziecięcymi głosami. Key podniósł Tommy'ego za kołnierz kurtki i krzyknął:

– Tego chciałeś?

Chłopiec nie odpowiedział, zachłystując się szlochem, do jakiego nigdy nie byłby zdolny Artur van Curtis. Key wepchnął go do samochodu, mokrego, umazanego błotem od stóp do głowy, i włączył silnik. Krzyki zostały z tyłu, tylko Tommy na tylnym siedzeniu chlpał powtarzając:

– Bydlę, zwierzę, bydlę... bydlę...

Key nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Wybrał na klawiaturze telefonu dwucyfrowy numer i szybko powiedział:

– Szkolne centrum numer siedemnaście, przy wyjeździe. Młodzieżowa bójka, potrzebne samochody reanimacyjne.

– Kto mówi? – dyspozytor służby ratunkowej nie wydawał się zszokowany.

– Świadek – burknął Key wyłączając się. Rzucił spojrzenie Tommy'emu i dodał:

– Mimo woli.

Rozdział 9

Kal leniwie się przeciągnęła, przykrywając kołdrą, i popatrzyła drwiąco na Nomachiego.

– Zwariowałaś – powiedział mężczyzna.

– Jasne – Izabela cmoknęła wargami. – Co za emocje, mój opanowany przyjacielu...

– Kal, armia zeżre nas razem z tym gównem. Skoro postanowiłaś załatwić komandosów...

bogowie, przecież oni wszyscy mają aTan!... to po co teraz leżać w paszczę Lemakowi?

– Teraz potraktuje nas poważniej. Rozmawiałam z nim, Lemak zgadza się poczekać na wyjaśnienia.

– Na jakie wyjaśnienia? Po co? Mamy syna Curtisa! Bierzemy kurs na Terkę, na Endorię, na dowolne duże centrum... – Louis wstał z łóżka i przeszedł się po kajucie. Kal skrzywiła się, ale on nie zauważył jej reakcji na swoją nagość. – Mówimy, w czym rzecz, oddajemy chłopca i wyciągną nas z każdych nieprzyjemności. Kal, masz prawo złożyć osobisty meldunek Imperatorowi! To jeszcze lepiej!

Nie obejdzcie się bez orderów.

– Wsadź sobie order w swój tłusty tyłek – poradziła Kal – albo się ubierz. Stanowisko zastępcy na dzikiej planecie to szczyt twoich marzeń?

– Na razie tak! Z czasem zobaczymy! – Louis uniósł dumnie podbródek i sięgnął po ubranie.

– Ale z ciebie jednak bałwan. – Kal usiadła. – Imperator jest w dobrych stosunkach z Curtisem, z musu oczywiście. Nie postawi wszystkiego na jedną kartę. A jeśli rozgryziemy chłopaka sami, jeśli aTan stanie się państwowym monopolem, co zostanie z Curtisa seniora? Zero.

– To po co nam Lemak? – wykrzyknął histerycznie Louis. – Chłopiec wytrzymał przesłuchanie trzy A bez jednego pisku. Serum prawdy w jego krwi rozpadło się po czterech sekundach, neuronacisk spowodował głęboki i zdrowy sen. Możemy go zabić, ale nic więcej.

– A Lemak?

– Armia ma swoje laboratoria, swój kontrwywiad, własną szkołę przesłuchań. Połączymy się i zdołamy złamać chłopca. Lepsza nagroda dla trojga, niż katorka dla mnie i dla ciebie.

Nomachi sapnął głośno; przypominał teraz grubego, niesympatycznego chłopczyka. Potem zapytał:

– Dlaczego dla trojga? Marjan, T/san...

– To szeregowi wykonawcy. Im nic nie grozi, poza niższą rangą albo służbową naganą. To my ryzykujemy, Louis, my! Ale i my pierwsi zdejmujemy śmietankę.

Nomachi z powątpieniem pokiwał głową.

– No tak, my ryzykujemy. Skoro już zaczęliśmy...

Kal z trudem stłumiła pragnienie skrzyknienia kochankowi karku.

Artur obudził się, gdy Kal weszła do celi.

– Witaj – powiedziała kobieta. – Nieźle wyglądasz.

Curtis junior nie zaszczycił jej odpowiedzią.

– Jesteś dobrze przygotowany – ciągnęła Kal. – Gwiżdżesz na ból, prawda? Z narkotykami w twojej krwi wyprawia się coś dziwnego. Immunitet, wszczepiony jeszcze przed aTanem?

Artur milczał. Dzieciom nie wszczepiano narkoprotektorów, bo to mogło zahamować wzrost

tkanek. W jego krwi krążyły bakterie-symbionty, ochoczo pożerające dowolny obcy preparat chemiczny, nawet toksynę bioterminatora. Ale Artur nie miał zamiaru dzielić się tajemnicami imperium aTanu.

– No i co mamy robić? – Kal opuściła klapę sedesu i usiadła. Poradz.

Curtis junior zamknął oczy.

– Chcesz, pozwolę ci wziąć prysznic? Zmyjesz krew, rozluźnisz się.

– A kamery pod prysznicem są? – odpowiedział pytaniem Artur. – Bawiło mnie to jeszcze na Incediosie.

Kal poczuła się, jakby ją opluto. Mało tego, wyprowadziło ją to z równowagi. Dopiero po kilku sekundach mogła rozluźnić mięśnie krtani i odpowiedzieć poprzednim tonem:

– Oczywiście, że są.

– Dziękuję, zastanowię się. Na razie muszą pani wystarczyć stare taśmy.

Kal wstała. Poczowała przemożną chęć uderzenia chłopca, ale po tym, co zrobiła z nim Marjan, byłoby to zwyczajnie śmieszne.

– Pożałujesz – wyszeptwała – wytrząśniemy z ciebie wszystko, wszystko...

– Jest pani starą i chorą psychopatką – stwierdził sucho Artur. Nawet mechanistka jest bardziej ludzka.

Gdy Muhammadi zobaczyła Kal, nie musiała używać wzmocnionej sensoryki, by zrozumieć, jaka jest wściekła.

– Idź do szczeniaka – rozkazała Izabela. – Trzy B.

– Nic to nie da – powiedziała Marjan, wstając z podłogi. Rozmawiała z Mekłończykiem, który leżał na korytarzu przed celą przesłuchań jak paskudny cerber. – Proszę o pozwolenie zastosowania trzech C, albo przejścia do metod kaleczących.

– Ja tu decyduję! – krzyknęła Kal. – Mamy jeszcze trzy dni do Lajona, a intensywność musi narastać stopniowo!

Nawet nie zauważyła, że tłumaczy się przez mechanistka. Marjan skłoniła głowę:

– Trzy B, zastępco Dowódcy.

Gdy kobiety rozeszły się w różne strony – Marjan do celi Artura, Kal do kajuty do Louisa – Mekłończyk odezwał się na głos:

– A dlaczego nie zabić od razu? Ten sam efekt.

Zaniósł się ochryłym, szczekliwym śmiechem. T/san był dumny z tego, że wypracował sobie prawdziwie ludzkie poczucie humoru.

Rozdział 10

– Bolało, jak umierałeś? – zapytał chłopiec.

Key zerknął na niego. Nadal prowadził samochód.

– Nie zauważyłeś?

Chłopak udawał, że się trzyma. Ogarnął go stan, który bardzo często ogarnia ludzi w obliczu śmierci, ale niemal nigdy nie nawiedza dzieci.

– Zauważyłem. Wyłeś jak niedobity gajal. Nawet bardziej obrzydliwie.

– Bardzo dowcipne – przyznał Key. – Twój głosik pewnie nie okaże się głośniejszy.

Centrum Angobadu już dawno zostało w tyle, znikły nawet mało sympatyczne slumsy peryferii. Tylko czasem wzdłuż drogi pojawiały się wysokie ogrodzenia domków jednorodzinnych, za którymi mżyły ciepłe światelka okien. Tommy odprowadzał każde smętnym spojrzeniem. Mitzan jechał bardzo szybko, czasem przejmując kierowanie tak delikatnie, jakby Key sam radził sobie ze wszystkimi problemami nieoświetlonej mokrej szosy.

– Wynająłeś domek pod miastem? – zapytał Tommy. Altos milczał. Chłopiec nachylił się ostrożnie.

– Nie radzę – rzucił Key, nie odwracając się. – Już się przyznałeś, że nie zdołasz mnie udusić.

Deszcz padał i padał, zmywając ostatnie oznaki dnia. Tommy, skurczony na tylnym siedzeniu, patrzył na szeroki kark Altosa. Gdyby miał cokolwiek cięższego od teczki z zeszytami, zaryzykowałby.

– A ja myślałem, że kłamiesz o aTanie – przyznał się nieoczekiwanie. – W filmach czasem tak bywa: bandyta puszcza plotkę, że ma aTan, i wszyscy się go boją.

– Życie to nie film. Jest znacznie gorsze, chłopcze.

– I tak nie żałuję. Pomściłem Lenkę. A ktoś pomści mnie.

– Bardzo możliwe.

Tommy skulił się.

– A dlaczego wezwąłeś lekarzy do szkoły? Przecież nie lubisz dzieci. I w telewizji mówili, że jesteś najemnym zabójcą o cechach sadysty.

– Stanęli w obronie głupiego przyjaciela. To zasługuje na szacunek, nie sądzisz? Jesteśmy na miejscu...

Samochód zwolnił, podjeżdżając do betonowego muru. Symboliczną wysokość ogrodzenia, za którym ciągnęły się rzędy hangarów, całkowicie rekompensowały emitery pola siłowego, umieszczone wzdłuż muru. Teraz ochrona była wyłączona, w deszczu traciła zbyt dużo energii nawet w trybie oczekiwania. Key zatrzymał samochód przed przezroczystą budką strażnika – nad nią osłona działała.

– Będę krzyczeć – wymamrotał szybko Tommy.

– Krzycz – zgodził się Key, włączając komunikator.

– Jest pan w ochronnej strefie kosmoportu Cailis towarowo-pasażerski – powiedział czyjś znudzony głos. – Cel pańskiego pojawienia się?

– Pomocy! – krzyknął Tommy.

Key, jakby tego nie zauważając, powiedział:

– Mój kuter jest na stanowisku siedemnastym.

– Pierwotne hasło?

– Pomóżcie! Chcą mnie zabić! – darł się Tommy.

– Domino, trzydzieści, alfa, siedem – podyktował Key.

– Dziękujemy za skorzystanie z naszego serwisu – odparł ochroniarz. – Proszę jechać po promieniu światła.

– No, pomóżcie mi... – wyszeptał chłopiec.

Key niespiesznie wyłączył komunikator i wjechał przez otwartą bramę.

– Deszcz, chlapa, kontrola osobista nie jest obowiązkowa... Komunikator samochodu jest nastrojony na mój głos, głuptasie. Filtruje postronne szумы.

Samochód powoli pełził wzdłuż hangarów, podążając za plamką pomarańczowego światła. Tommy milczał.

– Już tak przewoziłem jednego typa – odezwał się Key. – Wszedł mi w paradę i zranił klienta. Nie jestem kilerem, tylko ochroniarzem, a to różnica... Ale tego gościa umocowałem pod dyszami kutra i wzleciałem.

Chłopiec zaszlochał.

– Nie bój się, twój los będzie bardziej interesujący – zapewnił Key.

Przed siedemnastym hangarem Key podyktował jeszcze jeden kod, tym razem automatowi. Szerokie drzwi rozsunęły się i samochód wjechał do środka. Zapaliło się światło – podłużny biały panel pod dachem.

– Prawie jesteśmy w domu. – Key odchylił się na oparcie fotela. Zrozumiał, że zdążył zapomnieć o swoim kutrze i jednocześnie stęsknić się za nim.

Hiperkutry pojawiły się dziesięć lat temu, jednocześnie z wynalazkiem napędu readjacks, niewymagającego tyle miejsca co tańszy interfazowiec. Kuter Keya zdążył się lekko zestarzeć, ale ciągle to był dobry model; wyszedł z endoriańskiej stoczni, jednej z najlepszych w Imperium. Przedział mieszkalny – dziesięciometrowy owal – umocowano do nieco mniejszego modułu silników za pomocą dwóch długich kratownic. Pomędzy nimi ciągnął się cylinder reaktora kwarkowego. Niektórzy malowali kutry barwami swoich planet albo na imperialny bikolor. Key wolał proste kolory – szary i czarny.

Naniesiono je na korpus pod kierownictwem doświadczonego projektanta, nadając cywilnej maszynie ludzący wygląd stateczku wojskowego.

– Witaj, stary – powiedział Key, opuszczając szybę.

– Witaj, nieznajomy – dobiegł ze statku niski kontralt. – Jesteś bardzo podobny do mojego pana.

– Bo nim jestem – odparł Key.

– A nie kłamiesz? – głos podniósł się, przybierając ton swarliwej żony.

– Nie kłamię!

– To może i hasło podasz? – zainteresował się przymilnie statek.

– A raz splunąć!

– Dobra, wchodź – czystym lirycznym sopranem pozwolił kuter i z kabiny wysunął się trap.

Key otworzył drzwi i powiedział dumnie do Tommy'ego:

– W Aidzie powinien śpiewać, nie sądzisz? Głos mu dała była śpiewaczka... z miłości do sztuki.

Chłopiec nie miał teraz głowy do wokalnych umiejętności kutra. Wyszedł z samochodu i rozejrzał się bezradnie. Hangar był pusty, tylko w odległym kącie unosił się terminal. Kable były zwinięte, ale pulpit świecił: na pewno tam był telefon! Niestety, w kajdankach chłopiec nie miał szans.

– Nie śpij – ostrzegł Key, idąc do trapu.

– Chłopca też wpuścić? – zapytał statek.

– Trzeba będzie...

– Ja się nie napraszam – powiedział Tommy w ostatnim akcie odwagi.

Key zachichotał.

W porównaniu z przedziałem mieszkalnym statku towarowego hiperkuter był szczytem komfortu, ale Tommy, w odróżnieniu od Artura, nie mógł tego docenić. Kajuta bardziej pasowała do liniowca średniej klasy niż do małego stateczku. Miękki dywan na podłodze, fotele, kryształ w serwantce z ciemnego drzewa, kilka delikatnych stoliczków. Na jednym nawet stały w wazoniku kwiaty... zwiędnięte.

– Długo się tym razem włóczyłeś – rzekł statek, gdy Key obrzucił bukiet pełnym dezaprobaty spojrzeniem. – A właśnie, w miejscowych sieciach podali, że cię zabito.

– A bo to pierwszy raz? – Key wyjął bukiet i wrzucił go do ceramicznego naczynia stojącego na podłodze. W naczyniu zaburzało.

– Mówili jeszcze, że zabójcą był trzynastoletni chłopiec, rówieśnik naszego gościa, jak rozumiem?

– Gdybym sam nie układał twojej logiki, musiałbym cię uznać za istotę rozumną – pochwalił Key.

– Dziękuję – odparł sucho statek, po raz kolejny zmieniając koloraturę na baryton.

Key popatrzył na Tommy'ego. Chłopiec stał przy zamkniętym wejściu, skubiąc bezradnie bransoletkę na nadgarstku. Key westchnął i rozpiął swoją połowę kajdanek. Bransoletka na ręce Tommy'ego pstryknęła i spadła. Chłopiec drgnął.

– Co będziemy robić... zabójco? – zapytał Key. – Wpychać cię powoli do utylizatora, przeklejać pod dyszami, kroić na kawałki, napromieniowywać algopistoletem, chłostać?

Wargi Tommy'ego zadrżały. Rozpłakał się.

– O – powiedział rozczarowany Key. – Ten sam, a jakby inny.

– Czego... czego ty chcesz?

– Wejdz w te drzwi, tam jest prysznic. Umyj się, przykro na ciebie patrzeć... błoto i smarki.

– Po co?

– Wolę zabijać świeżo umyte dzieci – wyjaśnił Key. – Czasem nawet daję im przedtem kolację. Idź. Ubranie włożysz do bloku piorącego, odbierzesz po dziesięciu minutach.

Odwrócił się i wyszedł przez otwierające się przed nim drzwi na mały mostek, gdzie zapłonęły światła budzących się pulpitów.

Rozdział 11

Gdy Key wrócił do kajuty, Tommy dopiero zaczął się myć.

Stracił dziesięć minut, zanim upewnił się, że śluza się nie otworzy, a statek nie ma zamiaru wzywać policji. Key niczego innego się nie spodziewał. Zdażył przygotować kolację i wypić kieliszek wina, zanim Tommy Arano zaryzykował opuszczenie łazienki.

– Chcesz jeść? – zapytał przyjaźnie Key. – Niezdrowo objadać i się przed snem, ale my nieprędko się położymy.

Tommy odwrócił wzrok. Zdażył już wypracować własny sąd o poczynaniach Keya i nie oczekiwał niczego dobrego.

– Jedz – powtórzył Key, napełniając kieliszek. – Zresztą poczekaj, podejdź tu.

Chłopiec nie miał specjalnego wyboru. Podszedł. Key wyjął z tylnej kieszeni jego džinsów metalowy grzebień i z uśmiechem przesunął pacami po ostrych zębach.

– Zapomniałeś się uczesać, Arti.

– Nazywam się Tommy Arano – powiedział beznadziejnie Tommy.

– Zapomniałem. Przedziałek na lewą stronę, prawda? Co prawda tam jest suszarka do włosów, ale nie wybieramy się do teatru...

Key wsunął grzebień do swojej kieszeni i zaczął rozpinać Tommy'emu wilgotną jeszcze koszulę. Chłopiec szarpnął się, ale nie zaryzykował stawiania oporu.

– Tak jak myślałem – powiedział usatysfakcjonowany Key, oglądając bliznę na lewym ramieniu Tommy'ego. – Prawie trafiłem. Co, zabrakło kasy, żeby cię doleczyć? A może sądzisz, że blizny zdobią chłopców? Nie zdobią nawet dorosłego, przyjacielu. Siadaj i jedz.

Popatrując z lękiem na Keya, Tommy usiadł w fotelu i szybko zapiął koszulę.

– Zaraz przeprowadzimy eksperyment z twoim systemem trawiennym – rzekł Key, bawiąc się kieliszkiem. – Coś tak zamarł? To tylko kiełbaska. Jedz, a ja ci opowiem bajkę na dobranoc, zakłócając wydzielanie soków żołądkowych i perystaltykę jelit. Skrzywił się, patrząc jak Tommy zaczyna posłusznie jeść.

– Nieźle oklapłeś, chłopcze. Odwaga została, ale z woli tylko strzępy. Możesz zapłonąć, ale nie będziesz się palić. W porównaniu z tym twoje skurczone mięśnie i chude ramiona to głupstwo.

Tommy położył na talerzu nadgryzioną kiełbaskę i po raz pierwszy popatrzył na Keya z przebłysem ciekawości.

– Co, pamiętasz? Rok temu byłeś doskonale rozwinięty. Jak na dziecko, oczywiście. Ale już się odczyłaś dbać o formę.

– Rosnę – burknął Tommy.

– W głąb. Jedz, potrzebujesz protein. Przestań się bać, nie zabiję cię. Nawet się nie domyślasz, jakiej kary uniknąłeś, masz szczęście.

Tommy patrzył na Keya z niedowierzaniem.

– Wiesz, kim jest Curtis van Curtis?

– Mam siedem punktów z politologii – powiedział Tommy z niepewną dumą.

– A Artur van Curtis?

– To jego syn... chyba.

– Na razie będziemy się trzymać tej wersji. Jedź! Nasza bajka zacznie się w brudnym hotelu, gdzie spokojnie spał sobie człowiek zwany Key Altos. Poprzedniego dnia, w czasie lądowania, przeszedł na ręczne sterowanie i grawitacyjne silniki zabiły dziewczynkę, która prowadziła tam swój mały biznes... – Key postawił kieliszek i już innym tonem powiedział:

– Jeśli to dla ciebie ważne, Key Altos nie miał zamiaru jej zabijać i nawet gotów jest przeprosić za to chłopca, który uważa się za brata dziewczynki. I wybaczyć chłopcu swoją śmierć.

– Przecież żyjesz – zdziwił się Tommy.

– To nie potrwa długo. Już nigdy nie będę miał aTanu. W pewnym sensie zabiłeś mnie na zawsze. Ale proszę cię o wybaczenie.

Key wstał, podszedł do Tommy'ego i położył mu rękę na ramieniu.

– Bardzo mi przykro. Nigdy nie zabijałem bez celu... ani dzieci, ani dorosłych.

– Po co to mówisz? – zapytał Tommy płacząc bezgłośnie.

– Zaraz zrozumiesz. Jesteś mądrym chłopcem, chociaż pozbawionym poprzednich wspomnień. Wysłuchaj do końca całej historii, dobrze?

– Dobrze.

Zanim Key skończył opowiadać, prawie wysuszył butelkę mrsańskiego, a Tommy Arano prawie zjadł pierwszą kiełbasę.

– Nie wierzę – odezwał się chłopiec. – To wszystko nieprawda.

Dowiedziałeś się, że rok temu trafiłem w awarię i wymyśliłeś... wymyśliłeś...

– Bardzo, bardzo długą historię. Po co? Mogłem cię zlekceważyć i nie mścić się, mogłem też długo, choć w niezbyt wyszukany sposób męczyć twoje małe ciało. Po co miałbym kłamać, Arti?

– Mam na imię Tommy!

– Niech ci będzie. Po co miałbym kłamać? I co to za awaria, w której straciłeś całą pamięć i wyszedłeś bez jednego siniaka?

Key nieoczekiwanie przechylił się przez stół i wyciągnął dłoń, jakby chciał uderzyć chłopca w twarz. Tommy zrobił unik, a nadgarstek Keya znalazł się w jego dłoni.

– Śmielej – zachęcił go Key. – Kontynuuj ruch, a połamiesz mi palce. Jesteś małą maszyną bojową, Arti-Tommy. Wymazano ci osobowość, ale bazowej pamięci nie ruszono... żebyś nie sikał w spodnie, i nie uczył się od nowa mówić. Nie wiem, dlaczego Silikoidy przejawiały taką delikatność, ale dzięki im choć za to. Jeden kurs yodo i zdołasz stosować je świadomie. Jesteś prymusem, chociaż zwyczajem swoich przyjaciół olewasz naukę. Wiesz, dlaczego? Nie uczysz się, tylko wspominasz. Nawet Imperatora Greya widziałeś na własne oczy, nie mówiąc już o drobnej hałastrze. Umiesz sterować tyrakutrem i poradzisz sobie z bojowym niszczycielem. Jesteś Artur van Curtis, klon Curtisa seniora. Byłeś księciem, stałeś się żebrakiem.

Tommy Arano powoli otworzył dłoń. Ręka Keya zakończyła ruch i delikatnie poklepała chłopca po policzku.

– Nie jesteś z Cailisa, jesteś z Terry. Przechodziłeś aTan dziesiątki razy i kiedyś spróbowano cię powstrzymać nową metodą. Co się częściowo udało. Teraz jesteś Tommy.

– Klony nie mają duszy – wyszeptał chłopiec.

– Mają. W przeciwnym razie aTan by nie zadziałał, prawda?

Można by się spierać, czy masz duszę, czy coś zostało po tym, jak na Terrze ożył Artur van Curtis.

Ale ja nie jestem teologiem. Jest mi obojętne, czy dusza rozdzieliła się na dwie połówki, czy rozmnożyła przez podział, czy też Wspólna Wola miłosiernie ofiarowała ci nową duszę. Nie jesteś zombie, masz wolną wolę, możesz kupić sobie aTan.

Zresztą neuronowa siatka i tak już jest w twojej głowie.

– Po co ci jestem potrzebny?

– Do najbardziej paskudnych celów.

Tommy odsunął się.

– Nie bój się, jeszcze bardziej paskudnych. Jesteś moim wytrychem. Moim atutowym waletem, którego schowam w rękawie. Król albo as byłby lepszy, ale będziemy musieli zablefować.

– Nie wierzę – powtórzył uparcie Tommy. – A nawet jeśli masz rację, po co miałbym się w to pakować?

Key zaśmiał się.

– Po co? Ubogi Cailis czy imperium aTan, kariera księgowego czy władza nad galaktyką, tajemnice oper mydlanych albo planeta Graal – wybieraj!

– To nie moje. W galaktyce jest już Artur Curtis, prawda?

– Dla ciebie też znajdzie się miejsce, zaufaj mi.

Chłopiec milczał. Key ze znużeniem odchylił się w fotelu.

– Która godzina? – zapytał.

Tommy zerknął na zegarek, ale Key nie zwracał się do niego.

– Wpół do czwartej czasu miejscowego – oznajmił kuter soczystym barytonem. – Key, stary, jestem wstrząśnięty twoją opowieścią! W takie gówno jeszcze żaden przygłup nie wdepnął!

– Zamknij się – poprosił Key. – Odzwyczailem się od ciebie.

Bądź czułą i troskliwą damą.

– Jak sobie życzysz, miły. Czy wyczyścić twoje pistolety? – zagruchał statek.

– Zaraza – zaśmiał się Key, przeciągając się. – Potwór... Tommy, czekali na ciebie tej nocy w domu?

Chłopiec uśmiechnął się krzywo.

– W takim razie dzwoń. Statek, daj mu połączenie!

Tommy drgnął, wpatrzony w Key.

– Dyktuj numer – polecił Altos.

– Poważnie?

– Dyktuj. Słuchawka jest na stole. Powiesz, że wrócisz przed obiadem. Tylko nie mów, gdzie jesteś, bo łączność zostanie przerwana.

– Poważnie mi pozwalasz? – powtórzył Tommy.

Key zasłonił dłonią oczy i światło na statku natychmiast przygasło.

– Chłopcze, ja też miałem matkę. Tak trudno to zrozumieć?

– Tak – odparł wyzywająco Tommy.

Altos cierpliwie słuchał rozmowy Tommy'ego z panią Arano.

Gdy jego zdaniem wszystko już zostało powiedziane, jednym gestem przerwał połączenie. Wstał i lekko popychając Tommy'ego, poprowadził go do zamkniętych do tej pory drzwi.

– Mam dwie sypialnie – oznajmił. – Ta jest twoja.

– Zamkniesz mnie? – zapytał chłopiec.

– Oczywiście, nie mam już aTanu. Dobrej nocy.

Tommy usnął szybko, nawet się nie rozbierał. Wprawdzie bał się nadal, ale zmęczenie i natłok informacji zrobiły swoje.

Key zmusił się jeszcze do umycia zębów i zdjęcia butów.

CZEŚĆ SZÓSTA
NIEŚMIERTELNOŚĆ DLA ŻEBRAKA

Rozdział 1

Pozwoliłem sobie pana obudzić – powiedział statek. Key otworzył oczy.

Był na swoim statku, w ulubionym miejscu wszechświata. Nie miał ojczyzny, więc stworzył ją sobie sam. Obywatelstwo Imperium i osobista planetka dziesięciometrowej średnicy.

– Coś się stało? – zapytał.

– Nic, ale jest już południe czasu miejscowego – głos kutra był teraz suchy i zadziorny. Key skrzywił się, ale nic nie odparł.

Zimny prysznic pokonał uczucie rozbicia, brzytwa – szczecinę.

Key przebrał się, powoli i ze smakiem wybierając nowe ubranie i beżowy sportowy garnitur, zakładany tylko w pierwszych miesiącach nowego aTanu, białą koszulę, która wprawdzie była wielokrotnie droższa od zwykłej, ale mogła odbić promień lasera średniej mocy, oraz buty z miękkiej skóry.

– Pięknie pan wygląda, gospodarzu.

– Sam o tym wiem. Chłopiec się nie obudził?

– Jeszcze nie. Jest w fazie szybkiego snu. Obudzić?

– Po prostu zdejmij blokadę z drzwi. Zakładać krawat?

– Oczywiście. Przeczytać panu coś z klasyki?

– Odgrywasz lokaja? A sam co czytałeś?

Statek milczał.

– Czytaj – zgodził się Key – ale nie zapomnij o śniadaniu.

– Dziękuję za zaufanie. Pańskie wczorajsze kielbaski były okropne.

– Co?!

– Nic – odparł szybko kuter. – Pozwolę sobie zaproponować panu oryginalną powieść z końca dwudziestego wieku, o mistycznych wydarzeniach, które rozegrały się w mieście...

– Poczekaj... – Key w zadumie oglądał dwa krawaty, jakby nie mogąc się zdecydować, któremu przyznać pierwszeństwo. – Pamiętasz, miesiąc temu zaczęłeś czytać powieść o pilocie, który przeżył katastrofę na pustyni. Dokończ to.

– Poleciał pan wykasować tekst – oznajmił zimno statek.

– A ty posłuchałeś!

– Tak.

– Więc tekst jest w twojej pamięci operacyjnej. Przywróć i kontynuuj.

– Dobrze. A więc zatrzymaliśmy się w momencie, gdy pilot obudził się tysiąc kilometrów od najbliższego domu. Śmiem zauważyć, że to oczywista przesada. Jego samolot był uszkodzony...

– Pamiętam. Czytaj. – Key usiadł w fotelu, decydując się w końcu na ciemnozłocisty krawat, Głos kutra zmienił się na miękki tenor:

– Wszystko to było tak tajemnicze i nieogarnione, że nie śmiałem odmówić. Chociaż było to głupie tutaj, na pustyni, o włos od śmierci...

Tommy Arano obudził się i jakiś czas leżał, nie wstając. Jak długo będzie trwało to uwięzienie,

nie wiedział. Gdy w końcu zdecydował się podejść do drzwi i okazały się otwarte, zdumiało go to niemal tak samo, jak fakt, że jeszcze żyje.

Key Altos siedział w fotelu, bardziej przypominając teraz młodego wykładowcę niż najemnego zbira. Statek, którego głos wydał się chłopcu dziwnie smutny, wygłosił zdanie:

– Na gwiazdzie, na planecie, na mojej planecie zwanej Ziemią... – i urwał.

– Umyj się – polecił Tommy’emu Key. – W łazience jest szczotka do zębów i ręcznik.

Tommy skinął głową i przeszedł przez pokój, starając się nie zbliżyć za bardzo do Altosa. Nie wytrzymał i zapytał:

– Dlaczego twój statek ciągle zmienia głos?

– Jeszcze nie określił swojej świadomości – odrzekł z całkowitą powagą Key. – Nie jest pewien swojej płci, wieku i statusu społecznego.

Chłopiec postanowił więcej nie pytać.

Darian Arano, pracownik departamentu Ochrony Środowiska Cailisa, nie poszedł tego dnia do pracy. Wydawało mu się, że resztką przyrody na planecie niezbyt od tego ucierpi, a stanowisko inspektora do spraw kontroli wód pozwalało na taką swobodę. Półożąc na niskiej szerokiej kanapie, obojętnie patrzył na teleekran i gniótł solone orzeszki. Piwo w dużej plastikowej butelce zrobiło się ciepłe i niesmaczne, ale Darianowi nie chciało się wyjmować nowej z lodówki. Na kanale ojczystym leciał sponsorowany przez państwo program: Siedem minut o pięknym życiu.

– A ja myślę – głosiła z ekranu uśmiechnięta starszawa dama (miała na sobie elegancką, ale niepasującą do figury suknię z biojedwabiu i stała na źle nałożonym tle, przedstawiającym domek w górach) – że nastaną dni, i to już wkrótce, gdy nasza młodzież przestanie się rwać na inne planety. Dziewczęta i chłopcy nie będą się podkładać pierwszemu lepszemu tauryjskiemu turyście, uczeni przestaną uciekać na Endorię. Przeciwnie! Otrzymanie pozwolenie na stały pobyt stanie się marzeniem ludzi ze wszystkich planet Imperium! Ale przede wszystkim trzeba zakasać rękawy. I pracować, pracować, a nie marzyć. Tak myślę.

Z kuchni wyszła żona Dariana, Gala. Zerknęła na męża, w milczeniu wyjęła z lodówki butelkę z piwem i postawiła obok niego.

Darian przyjął ten znak małżeńskiej troski i zrozumienia z przelotnym, ale czułym uśmiechem.

– Powiedz Luke’owi, żeby ściszył muzykę – poprosił.

Gala skinęła głową. Przysiadła obok i zerknęła na teleekran, gdzie snuł rozważania o pięknym życiu młody oficer na tle (źle nałożonym) sportowego flaeru. Zapytała:

– Tommy przyjdzie? Jak myślisz? – zapytała.

– A gdzie by się podział? – burknął Darian otwierając piwo.

– Czegoś takiego jeszcze nie robił...

– Znalazł sobie dziewczynę. Albo wariowali z kumplami ze szkoły. Obca krew...

– Darian!

– Już, już milczę... – Arano łyknął piwa. – Dobra rzecz... się robi.

Gala w milczeniu wyszła. Trzasnęły drzwi, w pokoju starszego syna ryk asynchronicznej muzyki niechętnie ścichł. Darian patrzył na ekran – czarująca kobieta na tle biurka mówiła:

– Cudze piękno nie jest nam potrzebne. Nie będziemy zaglądać w zęby Terrze czy Galatei. To

wynika z mentalności mieszkańców Cailisa. Etap planetarnego tworzenia został zakończony, mówię to jako socjopsycholog. Przed nami nieunikniony rozkwit.

Darian czekał cierpliwie, aż zacznie się obiecany endoriański kryminał. Byłoby niesprawiedliwością twierdzić, że słynny film, w wypożyczalniach wideo potwornie drogi, bardziej skłonił Arano do pozostania w domu niż zniknięcie adoptowanego syna. Ale dwa powody to zawsze lepiej niż jeden, prawda?

Przed drzwiami zapał sygnał. System ochronny nowej generacji (ten rodzaj technologii na Cailisie rozwijał się doskonale, a nawet był przedmiotem eksportu) oznajmił:

– Przyszedł Tommy. Bez broni. Towarzyszy mu mężczyzna w średnim wieku, dobrze rozwinięty fizycznie. Z bronią.

System wydał ostrzegawczy pisk i zamilkł. Po chwili dodał:

– Broni jest dużo, identyfikacja utrudniona miejscowym nulifikatorem. Nie zdołam stawiać oporu. Wezwać policję?

Darian zerwał się, rozlewając piwo. Podeszedł do drzwi, gdzie stała już Gala, bezradnie uśmiechając się do męża. Na ekranie widać było Tommy'ego, bardzo ponurego i skupionego. Obok, strzepując niewidoczne pyłki z garnituru, stał mężczyzna mniej więcej trzydziestoletni.

– W co on się wpakował? – Darian zawahał się i obejrzał badawczo nieznanego. System ochronny nadal pracował, nagranie było prowadzone, Tommy nie wyglądał na przestraszonego.

– Może to pracownik Organu – Gala nieśmiało zajrzała mężowi w twarz. Organ Porządku na Cailisie budził znacznie większy szacunek niż Służba Imperialna.

– Otworzyć – polecił Darian. Drzwi odsunęły się na bok, demonstrując brudną klatkę schodową i niebieskawe pancerze drzwi sąsiednich lokali.

– Mamo – odezwał się Tommy, gdy Gala go objęła.

Mężczyzna obdarzył Dariana lekkim skinieniem głowy i zapytał:

– Mogę wejść?

– Kim pan jest? – Darian nie spieszył się. Postać nieznanego bezlitośnie przypomniła mu o wyhodowanym w ostatnim roku brzuszku i zbyt rzadkich wypadach do sali treningowej. Spojrzenie mężczyzny było zanadto pewne siebie.

– Przyjaciół Tommy'ego.

Chłopiec, przytulony do matki, odwrócił się. Popatrzył na mężczyznę i chyba chciał coś powiedzieć, ale się nie odezwał.

– Aha – zamamrotał Darian. – Ciekawe. Proszę wejść.

Mężczyzna nie odmówił ani piwa, ani cygar, czym wzbudził w Darianie jeszcze większą antypatię. Wypił łyk, zapalił cygaro i zostawił, by spalało się w popielniczce, po czym przedstawił się:

– Key Altos. Specjalista do spraw ochrony i napaści.

Arano lekko zakrztusił się piwem:

– Darian, ekolog.

– Pięknie, jesteśmy prawie kolegami po fachu. – Key zerknął na Galę, przyglądającą mu się niezyczliwie. – Przepraszam za te nocne kłopoty i zdenerwowanie, mieliśmy z chłopcem parę spraw do omówienia.

– To niespokojna dzielnica, panie Altos. Tej nocy doszło do nieprzyjemnego incydentu... prawie

dwadzieścioro dzieciaków trafiło do szpitala.

– Dużo zabitych? – zainteresował się ze współczuciem Key.

– Nie... wszyscy żyją.

– To na pewno robota specjalisty.

Arano dodał dwa do dwóch i otrzymany rezultat mu się nie spodobał.

– Czym mogę służyć?

– Jedno małe pytanie. – Key był uosobieniem grzeczności. – Ile dostaliście za adopcję Tommy’ego i udawanie jego rodziców?

Darian zrozumiał, że nastał moment, by wskazać Keyowi drzwi.

Ale nie mógł zapomnieć o wczorajszym wydarzeniu.

– Co za brednie?

– Proszę pani... – Key odwrócił się do Gali. – Sądzę, że nie byliście najgorszymi rodzicami dla chłopca. Ale on ma prawdziwą rodzinę i prawdziwe miejsce w życiu.

– Jestem jego matką – rzuciła szybko Gala. – Straciliśmy niedawno córkę, ale syna nikt mi nie odbierze.

Key Altos spuścił oczy. Znowu zwrócił się do Dariana:

– Wcześniej czy później wygada się wasz starszy syn albo poprzedni znajomi. Albo chłopiec zacznie się zastanawiać, dlaczego nie macie jego zdjęć i filmów z dzieciństwa...

– Tommy, wyjdź! – Gala podniosła głos.

– Nie może – Key podniósł rękę, demonstrując bransoletkę kajdanek siłowych. Zbyt dużo naoglądali się tego w filmach kryminalnych, by mogli je z czymkolwiek pomylić. Gala krzyknęła i chwyciła Tommy’ego za rękę.

– W państwa postępowaniu nie ma nic złego, przeciwnie – ciągnął Key. – Ale praca dla Podstawy Silikoidów...

– Co? – wrzasnął Darian.

– Niestety, chłopiec został pozbawiony pamięci przez obcych.

Jesteście mimowolnymi... mam nadzieję... pomocnikami. Mogę przekonać o tym Służbę albo Organ Porządku, jeśli chcecie. Ale czy warto? Szczera odpowiedź i wychodzę. Słowo honoru. Ile dostaliście?

– To mieszkanie i pięćset monet w imperialnej walucie. – Darian nie wahał się. Jeśli chodzi o wrogość wobec obcych, prezydent Cailisa był bardziej nieprzejednany niż sam Imperator.

– Niedużo. – Key wstał. – Zresztą, prawdziwe dobro jest bezinteresowne, prawda?

Zdjął z ręki bransoletę, rzucił na podłogę, wziął Tommy’ego za podbródek, popatrzył mu w oczy. Gala wołała nie przeszkadzać.

– Teraz wiesz, że mówiłem prawdę. – Dla Keya nie istniał nikt inny w pokoju. – Co z nią zrobisz, zdecyduj sam. Potrzebuję partnera, a nie niewolnika na smyczy. Trzy godziny czekam na ciebie w samochodzie na dole. Decyduj.

– Nigdzie go nie puszczę! – krzyknęła Gala. – On i tak jest moim synem. Zamknę drzwi na klucz i może pan zdechnąć w swoim samochodzie!

– Jeśli chłopiec nie zdoła wyjść z własnej woli, nie będzie się nadawał na mojego pomocnika – wzruszył ramionami Key. – Proszę się uspokoić.

Key poszedł do drzwi – otworzyły się momentalnie, jakby system ochronny z niecierpliwością czekał na jego wyjście – i odwrócił się, – Tommy! Galaktyka, siła, życie. Decyduj.

Key patrzył przez szybę na deszcz. Zjadł trzy kanapki przygotowane przez statek, wypalił dwa papierosy z lekkim narkotykiem z paczki zapomnianej przez kogoś w samochodzie. Papierosy nie smakowały Keyowi, jego organizm nie tolerował wielu narkotyków – jedna z cech przebudowanego jeszcze przed narodzinami systemu nerwowego.

Minęły dwie i pół godziny i Tommy wyszedł z wielopiętrowego pudełka w którym przeżył rok swojego świadomego życia. Podszedł do samochodu. Na ramieniu miał torbę, był w tych samych dżinsach i cienkiej czarnej koszuli, ale bez kurtki, więc koszula przemieęła w ciągu kilku sekund. Key włączył ogrzewanie i odblokował drzwi.

– Altos, chcę postawić warunek – powiedział chłopiec, uparcie stojąc na deszczu.

– Dla przyjaciół jestem Dutch. Mów.

– Przysięgnij, że mnie nie zabijesz.

Key tylko westchnął.

– To staje się moją stałą przysięgą dla rodziny Curtisów. Nie zabiję, siadaj.

Tommy wpakował się na tylne siedzenie i skierował w swoją stronę końcówkę ogrzewania. Mitzan przyspieszył.

– Śliwa boli? – zaciekawiał się Key.

Tommy potarł świeży siniak pod okiem i pokręcił głową:

– Nie... nie bardzo.

– Masz wysoki próg bólu – ocenił Key. – Jedyne, co mnie pociesza, gdy myślę o Arturze.

– Key, czy on... mój sobowtór... jest dobry?

– Jest bardzo nieszczęśliwy. Chyba dobry.

– Aha...

– Curtis van Curtis to skomplikowany człowiek. Bardziej niż aTan.

Key zamilkł. Dopiero gdy Tommy, odchylony na siedzenie, zaczął drzemać, dokończył:

– Chciałbym wiedzieć, co wymyślił staruszek, i co z tego, co się zdarzyło, zaplanował... miesiąc lub wiek temu.

Rozdział 2

Gorra była jedną z najstarszych ludzkich kolonii. Tutaj jeszcze czasami nazywano Terrę Ziemią, na dwóch uniwersytetach otwarto wydziały archeologii, a rodzina panująca wywodziła się prawie od Gagarina.

Imperator Grey patrzył na to z pobłażaniem. Planeta płaciła podatki, jej młodzież chętnie zaciągała się do Sił Imperialnych, a w senacie z frakcją Gorry nigdy nie było problemów.

Dumą Gorry była absolutna samowystarczalność. Terra miała naukę Imperium, miliony artystów, pisarzy i innych darmozjadów, Endoria budowała statki, ubogi Incedios dokarmiał okoliczne planety-kopalnie, Tauri wysyłała owoce do połowy Imperium. Gorra zaś miała wszystkiego po trochu. Wśród miejscowych mieszkańców krążyła uparta plotka, że zapasowy pałac Imperatora mieści się właśnie u nich, a nie na Endorii. Wskazywano nawet miejsce – zamknięty rejon w Błękitnych Kanionach, wykupiony przez osobę prywatną jeszcze przed Wielką Wojną.

Lika Seyker wiedziała, że w Kanionach nie ma pałacu Imperatora. Żyła i panowała tam wystarczająco długo, by przeskanować całą okolicę.

Dzisiaj jej poranek zaczął się od wizyty dowódcy ochrony. Zgodnie z ustanowioną dawno temu zasadą w Kanionach wszystkie ważne nowiny przekazywano ustnie.

Lika brała właśnie poranną kąpiel, gdy Mekłończyk podszedł do basenu. Przezroczystą wodę lekko tylko zabarwiały wonne olejki, ale Mekłończykowi ludzka nagość była obojętna. Liki obecność cyborga również nie krępowała, tym bardziej że wyglądał raczej na kobietę.

– Meldunek – oznajmił Mekłończyk, gdy zastygł w bezpiecznej odległości od basenu. Woda nie była już tak niebezpieczna dla jego transformowanego organizmu, ale instynkty jeszcze do tego nie przywykły.

– Słucham, Kas/s/is. – Lika przeciągnęła się, czując jak chłodne strumyki masują jej ciało.

– Statek na orbicie, trajektoria lądowania prowadzi do naszej strefy.

Lika spochmurniała.

– Typ statku?

– Kuter. – Pancierz na piersi Mekłończyka rozsunął się, ukazując ekran wideo. – Stary model, słabe uzbrojenie, blok obronny lekko wzmocniony. Niebezpieczeństwa nie stanowi, ale idzie bardzo pewnie.

Najmłodsza w historii ludzkiej przestępczości Matka Strażniczka Rodziny popatrzyła w zadumie na kuter. Wydał jej się znajomy, jakby już kiedyś go widziała albo latała na nim...

– Zabezpiecz korytarz, Kas/s/is. – Seyker już sobie przypominała. – To przyjaciel. Stary przyjaciel.

Mekłończyk odwrócił się do drzwi.

– I przyślij kamerdynera! – krzyknęła w ślad za nim Lika. Odchyliła głowę, a obłoczek popielatych włosów spoczął na wodzie, powoli nią nasiąkając. Uśmiechnęła się do malowidła na suficie, przywiezionego setki lat temu z jakiegoś ziemskiego soboru. Półleżąca postać w centralnym fresku zawsze przypominała jej Keya. – Pamiętasz jeszcze, pamiętasz... – wyszeptła Lika.

Mężczyzna na fresku, od tysięcy lat unoszący się z ziemi, nadal patrzył w nieskończoność. Nie interesowały go dziwne gry potomków.

– Ostrożny, cierpliwy, mądry Key – szepnęła Lika, zamykając oczy.

Szli krótkim korytarzem, wypalonym w skale. Przodem kroczył człowiek z dwiema mechanicznymi protezami – albo mechanista, albo po prostu ktoś nieposiadający aTanu, za nim Key i Tommy.

Pochód zamykał Mekłończyk, przesuając się na tylnych kończynach, co było jednym z wariantów bojowej transformacji.

Tommy tulił się do Keya. Wprawdzie w ciągu minionej doby jego wątpliwości nie znikły do końca, ale cyborgi do tej pory widział wyłącznie w telewizji. Na peryferyjnych planetach obcy nie byli zbyt lubiani.

Korytarz kończył się tęczową zasłoną siłowego pola, włączonego teraz wyłącznie w celach dekoracyjnych. Za nią ukazała się okrągła sala z łukowym sklepieniem; przez witrażowe okno lało się światło.

– Zaczekajcie – powiedział człowiek. Dolna część jego twarzy była z ciemnożółtego metalu, wargi ledwie się poruszały, ale głos mimo to wydawał się prawdziwy.

– Czekamy – zgodził się Key. Sala była pusta, tylko pośrodku, wprost na gładkim marmurze podłogi leżało kilkanaście wielkich atlasowych poduszek. Mogliby na nich siąść, ale nikt ich nie zapraszał.

– Dutch – wyszeptał Tommy.

– Rozluźnij się – polecił Key, nie patrząc na chłopca. Czekali prawie kwadrans, w milczącym towarzystwie Mekłończyka i człowieka cyborga. Potem część ściany bezgłośnie się rozsunęła.

Tommy zobaczył kobietę w prostej sukni z czarnego jedwabiu, mniej więcej pięćdziesięcioletnią; była jeszcze ładna i zgrabna, ale wyraźnie najlepsze lata miała za sobą. Nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia. Chłopcu, który uważał się za niezłego znawcę imperialnych modelek i gwiazd kina, spodobały się tylko popielate włosy, spadające kaskadą na ramiona kobiety.

Key patrzył na Likę Seyker, która mogła pozwolić sobie na coroczny aTan, ale uparcie żyła pierwszym życiem. Zarejestrował kompletny brak makijażu i prostotę ubioru.

– Przyjąłem twoje zaproszenie, Lika – zakomunikował.

– Nie spieszyłeś się, Dutch. – Kobieta podeszła bliżej.

– Wzajemnie.

Seyker westchnęła.

– Dalej jesteś taki źle wychowany? Zmywałam makijaż, Dutch. I szukałam jak najprostszej sukni.

Mekłończyk poczuł coś w rodzaju zdumienia, gdy Matka Strażniczka objęła Keya i położyła mu głowę na piersi. Cyborg był pozbawiony emocji – jego mózg w połowie składał się z mikroschematów. Po prostu zarejestrował, że prawdopodobny poziom niebezpieczeństwa obniżył się.

Lika podniosła głowę, wpatrując się w Keya.

– Niedawno z aTanu? – zapytała.

– Tak... dobrze, że ty się bez niego obchodzisz.

– Kłamiesz.

– Bardzo się cieszę, że widzę cię taką jak zawsze – powiedział Key.

Seyker przeniosła spojrzenie na Tommy'ego. Chłopiec uśmiechał się skrupowany.

– Klient i partner – oznajmił Key.

– Tak? – rzekła z powątpiewaniem Lika. – Wyglądasz na sfatygowanego, mały.

– Pokonaliśmy dystans od Cailisa w ciągu dwudziestu dwóch godzin – odpowiedział za niego Key.

– Weszliśmy w hipertunel bez rozbiegu i wyszliśmy w przestrzeń w fotosferze waszej gwiazdy. Siedem korygujących skoków. Myślałem, że mi mózg przez uszy wypłynie, a dla Tommy’ego to był pierwszy lot.

– ATan pozbawił cię rozsądku – zauważyła z lekkim zdumieniem Lika. – Andriej! Zaprowadź chłopca do pokoju gościnnego i wydaj polecenia służącym, i niech go obejrzy lekarz.

Cyborg ruszył do Tommy’ego, a chłopiec popatrzył z przerażeniem na Dutcha.

– Idź – skinął głową Key – Nie bój się.

Lika zaśmiała się cicho.

– Ty też otrzymasz pomoc, po którą przy leciałeś. Nie denerwuj się, teraz mam naprawdę duże możliwości.

– Obawiam się, że jednak dla mnie za małe.

Rozdział 3

Nocą Błękitne Kaniony przybierały wygląd bajkowej krainy.

Pseudokryształowe druzy, duma Gorry, były za ubogie, by poddawać je przemysłowej obróbce. Za to występowały na powierzchni skał, więc każda gwiazda na bezchmurnym niebie darowała im iskrę swojego światła. Wydawało się, że wokół leży drzemiące miasto fantastyczne ciemne sylwetki i słabe blaski zasłoniętych okien...

– Rodzina wyrwała ładny kawałek – zauważył Key.

– Lubimy piękno – przyznała Lika. – Nie zmarześ? Włączyć ekran?

– Nie trzeba, na mieliznach nocą bywało chłodniej... – Key Dutch znalazł w ciemności rękę kobiety i cicho zapytał:

– Widzisz Shedar?

– Widzę, rodaku.

Leżeli obok siebie, rozgrzani miłością. Migoczące skały wokół nich walczyły o lepsze z rozgwieżdżonym niebem nad nimi. Placyk, na którym Seyker urządziła swoją sypialnię, wieńczył samotną skałę; Key przelotnie przypomniał sobie Curtisa z jego gabinetem na szczycie domu-iglicy.

– Nie byłeś tam... potem.

– Nie.

– Ja kiedyś byłem. Trzy dni.

– Nie trzeba, Key – poprosiła Lika.

– Oceany jeszcze kipią, ale na centralnym archipelagu ziemia przestała już płonąć. Na Starszej Siostrze Imperium postawiło kontrolny posterunek, na razie automatyczny. Jej najmniej się dostało.

– Po co to mówisz, Key? – Dawno nie widziałem naszych.

– Po co, Dutch?!

Key odwrócił się i wpatrzył się w jej twarz, której ciemność przywróciła młodość.

– Są tu systemy obserwacyjne?

– Są, ale nie przejmuj się. Jestem Matką Strażniczką, Key. Dwa lata będę prowadzić Rodzinę.

– Lika, pamiętasz naszą przysięgę?

Kobieta milczała.

– Brudna ładownia i koje pod sufit, smród, szklanka wody na dobę, pogoń Sakrasów na ogonie...

– Wszystko pamiętam!

– Chcesz zapomnieć, Lika. – W głosie Keya pojawiła się wściekłość. – Twoja matka była z tobą i wasze konto w endoriańskim banku nie zostało skonfiskowane. Przytułek na Altosie dostał się mnie. Ty rosłaś w swoim domu, chodziłaś do szkoły i zakochiwałaś się w niebieskookich endoriańczykach. Prezenty na Boże Narodzenie i pocztówki na urodziny... dziękuję!

– Key! Próbowaliśmy cię wyciągnąć!

– Bardzo energicznie. Zwłaszcza...

– Zostaw moją matkę w spokoju. Umarła trzy lata temu. Zrezygnowała z aTanu... wiedziała, skąd pochodzą pieniądze.

– Wybacz, ale ja czekałem cztery lata. Mały chłopczyk, wierzący w obietnice dorosłych.

– Nie dręcz mnie, Key – wyszeptała Lika. – Czekalesz czterdzieści lat, żeby złożyć wizytę, i tylko po to...

– Nie. Pamiętasz naszą przysięgę? Postanowiłem jej dotrzymać.

Seyker zaśmiała się drżącym, udreńczonym śmiechem.

– Każdy, kto jest winny... będziemy żyć, dopóki nie pomścimy.

– Key! Sakry już nie ma!

– To nie Sakra spaliła naszych ojców.

Kobieta z Drugiej Planety Shedara usiadła na łóżku.

– Na kim chcesz się mścić? – zapytała sucho. – Na życiu? Przyszłam tutaj, ponieważ nienawidziłam Imperium. Ale nawet mafia jest trybikiem w jego maszynie. Grey mógłby zetrzeć nas w pył, ale po co Imperatorowi tysiąc wściekłych szczerów zamiast jednego wściekłego psa? Rozmawiam z nim co miesiąc, Key! Równowaga sił i dochodów. Tak zostało ustalone.

– Mam w ręku klucz do wszystkich sił.

Lika Seyker milczała parę chwil.

– To chłopiec. Prawdopodobieństwo siedemdziesiąt procent powiedziała.

– Zgadza się, superze – stwierdził z zadowoleniem Key. – Twoje neurony ciągle doskonale pracują. Chłopiec.

Lika poklepała go po ramieniu.

– A już myślałam, że zmieniłeś orientację.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Kim on jest?

– Nie odpowiem... na razie. Dowiesz się wszystkiego w swoim czasie.

– Key, nikt ze mną tak nie rozmawia!

– Mam do tego prawo... siostrzo.

– Dutch! Jesteśmy z różnych rodów!

– Jesteśmy z jednej próbówki. Dwadzieścia dziewięć procent wspólnych genów, wystarczy jak na więzy rodzinne. Pamiętasz, jak pytałaś mamę, czy możemy się pobrać?

– Teraz nie muszę już nikogo pytać.

Kobieta wstała i przeszła wzdłuż krawędzi placu, nad migoczącą bezdenną przepaścią. Nachyliła się nad stolikiem z napojami.

– Dla mnie brut, Lika.

– Pamiętam. Ja też przestałam lubić słodyczne.

Seyker wróciła z dwoma kieliszkami szampana. Jeden podała Keyowi.

– Jeśli chcesz, to przejdę aTan. – powiedziała. – Moja matryca została zdjęta w wieku dwudziestu dwóch lat. Byłam wtedy ładniutką... dziewczynką.

– Wszystko ma swój czas, Lika.

– Rozumiem.

– Teraz pora na przypomnienie starych przysięg.

– Nie przeprasza, Key, nie umiesz tego robić. Czego potrzebujesz?

– Pomożesz mi bez żadnych warunków?

– Tak.

Key usiadł, napił się szampana.

– Najlepsza broń i pancierz, jakie istnieją w galaktyce. Cała wasza sieć informacyjna zorientowana na moje cele. Wojownicy zdolni stawić opór Meklończykom. I żadnych pytań.

Seyker bardzo długo milczała.

– Dostaniesz wszystko, Keyu Dutch.

– W takim razie idź i uruchom swoją maszynę. Muszę znać miejsce przebywania Izabeli Kal, zastępcy dowódcy SB1 na Incediosie.

Używa korwety Służby o pokładowym numerze zaczynającym się na szóstkę. Wsparcie dają jej imperialni komandosi z grupy Lemaka, bazujący na Dogarze.

– Prawdopodobieństwo pięćdziesiąt siedem procent, że jest na Dogarze.

– Kal rzuciła dziesięciu komandosów na śmierć, chociaż na korwecie był Meklończyk i mechanistka przestrojona na pracę operacyjną.

– Dwa do jednego, że jest na Incedios.

– Zostawiła na śmierć Bullrata i szeregowego pracownika z Incediosa. Nie potrzebuję twoich domysłów, Lika. Dokładna informacja!

– Konfrontujesz nas z armią i SB1?

– Właśnie.

– Dobrze – powiedziała Lika. – Poczekaj tutaj.

Key zaśmiał się, stawiając kielich na stole. Odejść z placyku mógłby tylko w aTan... na Terre.

Pół godziny później, gdy Lika wróciła, spał.

– Zawsze byłeś gruboskórnym rekinem – powiedziała Seyker, kładąc się obok. – Raz, dwa... i lulu.

– Rekiny nie mogą się zatrzymać, nawet gdy są senne – odezwał się nieoczekiwanie przytomnie Key. – Śpią płynąc.

– W takim razie pocałuj mnie przez sen. Bądź miły.

– Gdy pozwolisz się oswoić, zacznasz płakać. – Key odwrócił się na drugi bok.

– Ty nie umiesz ani jednego, ani drugiego.

– Za mnie płaczą gwiazdy.

Rozdział 4

Kay obudził Tommy'ego wczesnym rankiem, zmusił, żeby szybko się umył i zjadł coś. Potem pociągnął go do wyjścia z podziemnego kompleksu. Dyżurowało tam kilku ludzi, ale otrzymali już instrukcje. Zaprowadzili gości na placyk flaerów i Key wybrał standardowy model imperialny.

Dutch nie ryzykował wylatywania z Kanionu na ręcznym sterowaniu. Zaufał autopilotowi, którego najwyraźniej programował człowiek z głową. Najpierw flaer podniósł się na poziom płaskowzgórza, potem zatoczył krąg nad skałami, w których wnętrzu byli całkiem niedawno.

– Key, kim oni są? – zapytał Tommy.

– Gdy twoi kumple na motocyklach okradali mieszkania, komu oddawali dwadzieścia pięć procent łupu?

– Starszemu dzielnicy.

– A komu on płacił?

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Tutaj, w tej dziurze, jest wierzchołek piramidy – wyjaśnił Key.

Flaer położył się na kurs. Zaczęły się kamieniste wzgórza; przy jaskrawym blasku białego słońca straciły cały swój niedawny urok.

– Niespecjalnie się kryją – zauważył Tommy.

– Kto trzeba, wie o nich. Ale planetarne władze mają swoje interesy, Imperator też.

Tommy przywarł do szyby. Pod nimi ciągnęły się teraz zamieszkane tereny – kwadraciki pól, rzadkie domy, cienkie niteczki dróg.

– Naprawdę spotykałem się z Greyem? – zapytał.

– Zdaje się, że tak... Co tam wypatrzyłeś?

– Nic. Po prostu nigdy nie latałem flaerem.

Oddział aTanu na Górze okazał się spory – bogata planeta miała wielu chętnych do nieśmiertelności. Na przekór tradycjom nie był nawet specjalnie odizolowany i znajdował się na peryferiach stolicy.

Większa część służb mieściła się w naziemnych budynkach – widoma oznaka pobłażliwości Curtisa.

Tamura zajmował się przyjmowaniem powtórnych klientów.

Praca rutynowa i mało płatna, ale ten mały Japończyk był bardzo cierpliwy. Pięć lat temu przebił się do grona pracowników i ze stoickim spokojem zbierał pieniądze na pierwszy aTan, z przysługującą pracownikom zniżką, oczywiście.

Dzień zaczął się pomyślnie – obsłużył nerwową kobietę, która opowiedziała mu nudną historię o swojej niedawnej śmierci w katastrofie lotniczej; starszawego przedsiębiorcę, który zmarł na raka i podejrzewał, że w nowym ciele jest skłonność do nieuleczalnego guza; młodego chłopaka, który nie zamierzał zdradzać swojego zawodu, a za to potraktował go promieniem lasera w kark. Chłopak właśnie przeszedł aTan i bardzo się spieszył – chciał popatrzeć na własny pogrzeb i zapamiętać, jaki wyraz twarzy będą mieli jego przyjaciele, nie wiedzący o jego nieśmiertelności.

Potem do Tamury podeszło od razu dwóch klientów – wolny handlowiec z Endorii i jego syn.

Kupiec, skąpiradło, rozprawiał o zróżnicowaniu cen na planetach, ale w końcu przyznał, że na Górze warunki są jeszcze całkiem znośne.

Tamura ręcznym skanerem sprawdził numery siatek neuronowych – standardowa procedura, która jednak wzbudziła żywe zainteresowanie chłopca. Wypełnił blankiety umów, sprecyzował detale (ożywić natychmiast, ożywić po jednej dobie, powiadamiać lub nie powiadamiać krewnych), następnie przyjął od Keya Ovalda kartę kredytową aTanu. Pieniądzy na koncie nie było dużo, Endoriańczycy cienko teraz przędli, nic dziwnego, że kupiec tak długo się zastanawiał.

– Gratuluję nieśmiertelności – Tamura uśmiechnął się niemal szczerze. – Mam nadzieję, że wasza następna wizyta nastąpi za wiele lat.

– Jeszcze tylko jedna mała prośba – powiedział pan Ovald, ściskając dłoń Tamurze. – Czy nie można by wyrazić wdzięczności van Curtisowi?

Tamura był przekonany, że po wydrukowaniu dzienna porcja podziękowań dla Curtisa dałyby rulon grubszy od pipifaksu. Ale tradycje, tym bardziej reklamowe, w aTanie szanowano. Podał Endoriańczykowi firmowy blankiet.

– Drogi Curtisie, dobroczyńco nasz – powtarzał na głos Key Ovald twory swojego natchnienia. – Żyjemy znowu, czego i tobie życzymy. Myślę, że przedłużenie naszego aTanu nie zdziwi cię, lecz ucieszy. Linia Marzeń wiecie nas ku odległym drogom i ciężkiej pracy. Artur teraz uważa cię niemal za swego ojca, ja zaś powiedzieć mogę tylko jedno: dziękuję. Jeśli nadarzy się sposobność, odpłacimy ci tą samą szczerością i wiernością danemu słowu, którą znaleźliśmy w twojej osobie. Key i Artur.

Idiotów wśród klientów aTanu nigdy nie brakowało. Ale idiota z pieniędzmi to bardzo pożyteczne i godne szacunku zjawisko. Tamura skłonił się i włożył wypełniony blankiet do specjalnej teczki, aby go wysłać z wieczorną porcją hipergramów.

Droga powrotna wydawała się dłuższa. Tommy gryzł twardego loda, którego kupił mu Key przed kompleksem aTanu. Dutch włączył radio i słuchał ogólnoimperialnych wiadomości. Program prowadziło jednocześnie czterech spikerów, przerzucających się dowcipami oraz zrozumiałymi jedynie dla miejscowej ludności aluzjami.

Mówiono przede wszystkim o coraz częstszych wypadkach w fabrykach Imperium. Ktoś nawet porównał je z darloksańskim terrorem czasów wojny. Potem poplotkowali o nowym rodzaju kontroli na wszczepioną broń, przeprowadzanym we wszystkich wielkich przedsiębiorstwach przez pracowników Służby. Specjalnymi czujnikami skanowano nie wiedzieć czemu plecy i odcinek szyjny kręgosłupa. Czasem aresztowano, nie przestrzegając przy tym ogólnie przyjętych reguł, lecz strzelając ze stannera bez uprzedzenia.

Związku pomiędzy przypadkami sabotażu a kontrolą spikerzy się nie dopatrzyli.

– Key, ja i tak bym ożył, prawda? – zapytał Tommy. – Nawet nie opłacając aTanu.

– Oczywiście – zgodził się Key. – Curtis uznałby twoją śmierć i śmierć Artura.

– Jasne. – Tommy zamilkł, nad czymś się zastanawiając.

– To nie takie proste. – Key popatrzył na chłopca. – Po pierwsze, obiecałem, że cię nie tknę. Po drugie, Curtis rozgryzłby cię po dwóch minutach rozmowy.

– To drugie jest ważniejsze – powiedział Tommy.

– Na pewno.

Dalej lecieli w milczeniu.

Lika Seyker miała mnóstwo spraw, których nie mogło odwołać nawet zjawienie się Keya. Zredukowała je do minimum, ale i tak zobaczyła się z Keyem dopiero przy obiedzie.

– Na razie zero – oznajmiła lakonicznie.

– Jasne – odparł jeszcze krócej Key.

Jedli we trójkę – Tommy również został dopuszczony do kameralnego bankietu Matki Strażniczki. Zaserwowane dania usatysfakcjonowałyby samego Imperatora, menu tworzono według zasady zastępowania dań rzadkich wyjątkowo rzadkimi.

Key nie przepadał za kulinarnymi eksperymentami, ale musiał przyznać, że filety z głębokowodnych ryb z Dogaru i sałatka ze śnieżnych winogron okazały się wyśmienite. Podano też szpinak, który niemal znikł z rynku w latach Wielkiej Wojny. Pomysł podrzucenia Mekłończykom informacji, jakoby szpinak był najważniejszym i niezbędnym elementem ludzkiej diety, zaproponował prawdopodobnie człowiek o bardzo specyficznym poczuciu humoru. Siedem lat mekłońscy biolodzy, jedni z najlepszych w galaktyce, pracowali nad maksymalnie lotnym wirusem atakującym szpinak. Osiem tysięcy bombowców, rozsiewających nad ludzkimi planetami Sz-wirus, stało się łatwą zdobyczą floty Imperium. Gdy Meklon zrozumiał, że doszczętnie pozbawiona szpinaku ludzkość nie ma zamiaru wymierać, szok okazał się zbyt wielki. Cyborgi zgodziły się na pokojowe pertraktacje, których ostatecznym wynikiem stał się Potrójny Alians.

Od tej pory szpinak mógł rosnąć tylko w hermetycznych pomieszczeniach, przy kompletnie zamkniętym obiegu. Przebiegły wirus nadal czyhał na swoją ofiarę, okopując się w pszenicy, kartoflach i innych, nie tak ważnych jak szpinak uprawach.

Tommy jadł galaretkę tazijańską, z wirtuozerią operując srebrnymi szczypczykami.

– Jesteś dobrze wychowany, chłopcze – zauważyła Seyker. Tommy, precyzyjnie oddzielający pomarańczową warstwę od zielonej, nie zrozumiał jej. Jego zdaniem, jadł tę dziwną potrawę po raz pierwszy.

– Jak z uzbrojeniem, Lika? – Key wolał odciągnąć rozmowę od śliskiego bądź co bądź tematu.

– Po obiedzie odwiedzimy rusznikarza. – Seyker z miłym uśmiechem podała Tommy’emu niedojrzały owoc gurange.

– Proszę bardzo – chłopiec nieomylnie wybrał ze sztuców korkociąg. Wkręcił go w wierzchołek owocu i oddał przyprawę Lice.

Do galaretki gurange, rzecz jasna, nie używano, ale do białego mięsa pasowało idealnie.

Do tych części podziemnego kompleksu, gdzie mieściły się warsztaty zbrojmistrzów, jechali tunelem prawie dwadzieścia minut.

Wystarczająco długo, by Key zdążył uświadomić sobie, kto teraz pracuje dla Rodziny.

Sewold Martyzenski był człowiekiem-legendą. Stworzył niemal połowę modeli broni z okresu Wielkiej Wojny. Laboratorium opuszczał trzy razy w roku, gdy w pobliżu odbywały się manifestacje pacyfistów. Wydawało się, że całkowicie oddziela swoją pracę nad śmiertelnością bronią od wybitnie pokojowych przekonań. Demonstranci byli innego zdania i, nie zwracając uwagi na doskonałą ochronę, próbowali Sewolda pobić. Po nieudanej próbie wzięcia udziału w demonstracjach Martyzenski zazwyczaj wracał do laboratorium i zdenerwowany tworzył jeszcze okropniejsze agregaty do niszczenia życia we wszystkich jego przejawach.

Jeśli wierzyć legendom, w okresach licznych twórczych kryzysów Sewalda SB1 inscenizowało demonstracje pacyfistów.

– A ja myślałem, że on od dawna jest farmerem na jakiejś cichej planetce – powiedział Key. – Albo pracuje pod kloszem SB1.

– Prawie tak było. – Seyker lubiła opowiadać o sukcesach. Gdy armia zrezygnowała z jego kwarkowych bomb jako zbyt niehumanitarnych, Sewold przestał pracować. SB1 na niego nie naciskała, najwyraźniej na polecenie Imperatora. Wyjechał na Charyzmę i zaczął tworzyć jako artysta. Ilustrował książeczki dla dzieci, zwłaszcza zbiorki wierszy dla maluchów. Oczywiście pod obcym nazwiskiem. Namówiliśmy go, żeby jeszcze trochę popracował.

– Jakie książeczki? – zainteresował się Tommy.

– Sam go zapytasz. – Lika bawił charakter, w jakim występował do niedawna Martyzenski. – Jeśli będzie w nastroju, to ci odpowie.

Sewold był w nastroju. Chodził po laboratorium, szokująco wielkim i wstrząsająco zagraconym. Geniusz był sam, nie lubił pracować w tłumie. Gości przywitał serdecznym machaniem ręki, w której ścisnął kanpkę z grubym plastrem kiełbasy. Drugą ręką spoczywała na pulpicie polimerowym, gdzie dojrzewał półfabrykat dziwaczного kształtu.

– Wejdźcie – zawołał Sewold. – To są ci klienci, Lika?

– Tak. – Seyker usiadła na jedynym krześle w pobliżu. Dzisiaj nie zapomniała ani o makijażu, ani o drogiej sukni. Ale Sewold i tak nie zwrócił uwagi na jej wygląd.

– Przygotowaliśmy pancierz – oznajmił Martyzenski. – Serafin, słyszeliście?

Key nie słyszał, ale Sewold nie rozwodził się długo nad takimi drobiazgami.

– Co do broni, zaraz zdecydujemy... – obchodząc dookoła Tommy'ego i Keya, mamrotał Sewold. Podrapał nieogolony policzek.

Geniusz był grubym, lekko niezgrabnym mężczyzną i wyglądał na człowieka, który nigdy w życiu nie miał w ręku nic groźniejszego od widelca. – Chłopiec... z chłopcem trudniej... pan uniesie wszystko... dobrze.

Siadł na stole, zastawionym kolbami z odczynnikami. Zmarszczył brwi. Wyciągnął rękę i nie patrząc, chwycił pękate naczynie z ciemnobrązowym płynem. Napił się i oświadczył:

– To herbata. Chłopcze, czego masz zwyczaj używać?

– Grawika... – Tommy zerknął na Keya. – I z algopistoletu strzelałem.

– Ohyda – Martyzenski skrzywił się jak męczennik. – Grawipałka i neuronowy aktywator to broń szpanerów! Jasne?

– Tak.

– Weźmiesz dowód 17 – postanowił rusznikarz – Lekki i nie trzeba celować. Tylko musimy wprowadzić rozpoznanie wszystkich twoich towarzyszy broni, bo ich przemielesz na proszek.

– Niech pan ustawi również rozpoznawanie chłopca – zasugerował Key. Sewold po chwili zastanowienia przyznał mu rację.

– Dobra myśl. Bo jeszcze i siebie załatwi. Obrzydlistwo, prawda? Zniżam się do tego stopnia, że uzbrajam intelektualnikami i to i jeszcze konstrukcji Aszmarianca...

Od razu stracił zainteresowanie Tommym. Pod baczny spojrzeniem geniusza Key poczuł się kompletnie bezbronny. Próbuąc odegnać to uczucie, powiedział:

– Niedawno używałem szansy.

– No i co? Draństwo, prawda? Starość dobra do muzeum... Broń rozpaczy, gdy ze szkółki gonili do walki... Czego nie używałeś?

Key rozłożył ręce.

– Gdzie będziecie walczyć?

– Nie wiem.

– Bogowie... Lika, to skandal!

– Winni zostaną ukarani – obiecała Seyker.

– Z excaliburem pracowałeś?

– Z tym nie – przyznał się Key.

– Nauczysz się. Lika, dla niego excalibur, z lekkiej trzmiel M, na pancerz straż i dianę. Więcej nic, inaczej straci możliwość poruszania się.

– Nic ci nie potrzeba? – zainteresowała się Seyker, wstając.

– Spo-ko-ju!

Tommy nie zaryzykował pytania, jakie książki ilustrował Sewold.

Gdyby jednak mógł poobserwować mistrza po wyjściu gości, zobaczyłby interesującą scenkę. Martyzenski wyciągnął z formy kartkę papieru z wypisanym już tytułem – Zabawy dziadka Bagrianca, przypiął do na wpół rozebranego stacjonarnego lasera, zajmującego pół stołu, i pochyliwszy głowę, zaczął badać czyste na razie pole.

Dzisiaj był w bardzo pokojowym nastroju.

Rozdział 5

– Suka – powiedział Ralph Gordon. W jego głosie nie było nienawiści, raczej zdumienie. Sierżant wojsk desantowych porządnie odmłodził, ale Izabela poznała go bez trudu. Uśmiechnęła się z lekkim zdenerwowaniem i poradziła:

– Nie rozpraszaj się. Lemak czeka, prawda?

Spojrzenie Gordona jeszcze raz przesunęło się po Kal. Izabela przelotnie pomyślała, że wyznaczenie na konwojenta zabitego przez nią człowieka nie było przypadkiem.

– Naprzód – rozkazał Gordon.

Korytarzami bazy orbitalnej prowadził ich konwój składający się z dwunastu ludzi w pancerzach siłowych – rozsądna ostrożność, biorąc pod uwagę możliwości Mekłończyka i mechanistki.

Kal demonstracyjnie zdjęła broń i pancerz. Artur szedł obok Marjan – wstrzyknięcie stymulatora pozwoliło mu iść o własnych siłach po przesłuchaniu na poziomie 3C. Chłopiec lekko powłóczył prawą nogą i boleśnie mrużył oczy pod jasnymi lampami. W końcu wprowadzono ich do małej owalnej sali z wieżyczką stacjonarnego miotacza promieni pod sufitem i nadtopionymi gdzieś metalowymi ścianami.

– Wszyscy prócz Kal – w ustach Gordona to nazwisko zabrzmiało jak przekleństwo – czekają tutaj.

Z dwoma konwojentami, nie licząc Ralpha, Izabela kontynuowała drogę do kapsuły transportowej, do centralnego sektora bazy. Lemak chciał ją przyjąć w swoim gabinecie, a nie w więzieniu, co już było zwycięstwem.

Przed drzwiami do apartamentów admirała dyżurował ochroniarz. Kal przygotowała się na długie czekanie, ale drzwi otworzyły się od razu. Ralph, popychając Izabelę, wprowadził ją do gabinetu.

Admirał siedział tyłem do wchodzących – w panoramicznym oknie szalało morze. Wydawało się, że ten widok zajmuje go bardziej niż cokolwiek innego.

– Zatrzymana dostarczona, admirałe – zameldował Ralph.

– Proszę zostawić nas samych.

Gordon obrzucił Kal jeszcze jednym nienawistnym spojrzeniem i wyszedł. Admirał nadal się nie odwracał.

– Pański głos bardzo odmłodził, Lemak – powiedziała Kal.

Admirał powoli obrócił się w fotelu:

– Odmłodziłem razem z nim.

Przez kilka długich chwil Izabela patrzyła na idola swojej młodości. Pięćdziesięcioletni Lemak sprawił, że przez chwilę poczuła się jak uczennica.

– Dziękuję, że spotykamy się tutaj, a nie w celi przesłuchań powiedziała w końcu.

– Możemy to szybko naprawić – obiecał Lemak. – Z tego gabinetu prowadzą lokalne hipertunele do ośrodków kontrolnych, na lostek i... do więzienia.

– Do więzienia trzeba przenieść chłopca.

– To na niego pani polowała? Tak, tak, tak... I cóż ten łobuziak nabroił? Spalił ministerstwo oświaty na Incediosie?

– Zbyt wiele wiedział.

– Dlaczego „wiedział”?

– Ponieważ nie powinien stąd wyjść. Ma aTan i to utrudnia zadanie, ale powinniśmy sobie z tym poradzić.

Lemak cmoknął z irytacją.

– My? Doskonale! A jak my poradzimy sobie z nieśmiertelnością?

– Chłopiec to wyjaśni.

Admirał podniósł się i Kal wyczuła energię w jego ruchach. Lemak jeszcze się nie nacieszył swoim nowym, a raczej starym i zapomnianym ciałem.

– Mów.

– To Artur Curtis, syn Curtisa van Curtisa. Jej słowa wywołały spodziewany efekt – połączenie konsternacji i strachu na twarzy Lemaka. Nie pozwalając mu ochłonać, Kal wyjaśniła:

– Ojciec na pewno wykorzystuje syna w jakiejś nadzwyczaj ważnej misji. Możemy się dowiedzieć o rzeczach, w porównaniu z którymi nawet aTan będzie zabawką.

Lemak przeszedł się po gabinecie i ostro zapytał:

– Dlaczego zabiła pani moich ludzi?

– Nie trzeba było przydzielać mi konwoju. Chciałam udowodnić, że współpracuję z własnej woli. Poza tym oni wszyscy mają aTan, uderzyłam ich tylko po portfelu i ambicji. Jeśli wyciągniemy wszystko z chłopca, nieśmiertelność stanie się dla nas tak samo dostępna jak dla Curtisa.

– Możliwe. – Lemak podszedł do Kal i zajął jej w oczy. Proponujesz mi awanturę, które może nas zgubić w ciągu kilku sekund... jeśli chłopiec umrze i ojciec dowie się o tym, co się tu działo.

– Ale i nagroda warta jest zachodu.

– Dlaczego miałabyś ją dzielić na dwoje? Pionki, jak rozumiem, się nie liczą.

– Dlatego, że chłopiec ma immunologiczną ochronę przed narkotykami i wytrzymuje 3C bez łez i krzyków. Potrzebuję silnego sprzymierzeńca, którego metody przesłuchań są inne niż nasze oznajmiła szczerze Kal i po chwili milczenia dodała:

– Poza tym czuję do pana sympatię, admirale. Tym bardziej teraz.

– Masz podwójne szczęście... w tym ciele jestem skłonny do ryzykownych awantur. – Lemak wrócił do biurka, popatrzył na niewidoczny dla Kal ekran, musnął sensor i rozkazał:

– Chłopca do bloku więziennego, pod ścisłą kontrolę. Pozostali zatrzymani: swobodny tryb przemieszczenia się, bez prawa opuszczania bazy. Przydzielcie im kajuty.

Znowu popatrzył na Kal.

– To zabawne – zauważył – że Curtis wysyła małego syna w kosmos. Mam dobrych specjalistów, przystąpią do pracy natychmiast. Chłopiec zacznie mówić.

– Dziękuję, Lemak. – Kal nie ruszyła się z miejsca.

– Sądzę, że nasze dziwne przymierze należy umocnić niewielkim bankietem. – Admirał rozłożył ręce, jakby podporządkowując się temu, co nieuchronne. – Co pani powie na kolację przy świecach?

– Przyjmuję zaproszenie. Na śniadanie w łóżku też – odrzekła szczerze Izabela, czując, jak opada z niej napięcie.

Rozdział 6

Serafin był najlepszym modelem pancerza, w jakim Key kiedykolwiek pracował. Trenował pięć godzin pod rząd, nie dlatego, że było to konieczne, po prostu sam proces sprawiał mu satysfakcję. Tommy miał zajęcia w innej sali, z instruktorem Rodziny – Key nie był aż tak zarozumiały, by uważać się za wybitnego pedagoga.

Seyker zjawiała się, gdy zaczął się rozbierać. Obrzuciła krytycznym spojrzeniem pomieszczenie: strzaskane panele ścienne, pokrywające metalową podłogę skalne kruszywo, wygięte rury przyrządów, pancerny arkusz w uchwycie pośrodku sali. W tytanowym pancerzu pięciocentymetrowej grubości ziała stopiona dziura powtarzająca kształt ludzkiego ciała.

– Daj, pomogę ci – zaproponowała.

Niebieskie ceramiczne płytki były ciężkie i gorące. Kobieta umiejętnie odpinała jedną po drugiej i Dutch zaczął się wyłaniać ze swojej skorupy. Mokry od potu, zmęczony, ale z łagodnym spojrzeniem.

– Przyzwyczaiłeś się? – Lika położyła dłonie na ramionach Keya.

Siedział na podłodze, pośród porzucanych segmentów pancerza, z odchyłoną do tyłu głową.

– Jakbym się w nim urodził. Tylko nogi bołą.

– Powiem, żeby wyregulowali wzmacniacze. – Seyker skończyła masować mu ramiona i zajęła się karkiem.

– Nie trzeba, muszę czuć swoją masę. Mów, nie przeciągaj.

– Kal jest u Lemaka. Razem z nią Mekłończyk i kobieta mechanistka. Chłopiec w celi przesłuchań w centrum bazy.

Key wstał i ostrożnie wziął Likę w ramiona.

– Dziękuję – powiedział po prostu. – Nigdy ci tego nie zapomnę. Każ przygotować mój statek.

Seyker w milczeniu popatrzyła na Keya i zapytała:

– Curtis tak wiele ci obiecał, rodaku?

Na twarzy Keya nie drgnął ani jeden mięsień.

– Nie chodzi już o Curtisa, siostrze.

– Opowiesz?

– Statek!

– Przygotowują go. Mogę się dowiedzieć czegokolwiek?

Dutch pokręcił głową.

– Key, wojskowa baza Imperium to nie prowincjonalne więzienie. Tam znajdzie się pancerz na twoją broń, broń na twój pancerz i kilkuset zawodowców.

– Wiem. Ile mam czasu?

– Pięć godzin. Nie krzyw się, na twojej łajbie wieszają bloki maskujące i silnik wspomagający. Dotrzesz do Dogara za dwanaście godzin, szybciej nie da rady. Musiałam też mieć czas na przeróbkę planu, logika nigdy nie była twoją mocną stroną.

Wyszli z sali razem – Lika Seyker w długiej ciemnej sukni i półnagi Key Dutch. Technicy już zajęli się pancerzem – serafin wymagał starannego sprawdzenia i podładowania.

– Z tobą pójdą Kas/s/is i Andriej. Wierzę im.

– Żelazo na żelazo?

– A jest inne wyjście? Dam ci jeszcze dwóch szeregowców. Mają wyłączony instynkt samozachowawczy, wykorzystaj ich w pełni.

– Dobrze. Lika, kto jest waszym konowalem?

Lika zmarszczyła brwi.

– Czego chcesz?

– Wszystkiego, co możesz mi dać.

Lekarz był młody, z krótką bródką, krótkowzrocznym spojrzeniem spod okularów i niespiesznymi ruchami. Po oględzinach zostawił Keya leżącego na kozetce i długo oglądał pełną po monitorze napisy.

– Jest pan bardziej niż zdrowy.

– Wiem. Ale to nie wystarczy.

– Dużo mamy czasu?

– Wcale.

Lekarz odchylił się w fotelu i oglądał Keya ze spokojną ciekawością.

– Nie szkoda ci siebie, przyjacielu?

– Nie. Proponuj.

Stojąca w kącie Seyker ledwie zauważalnie skinęła głową. Lekarz westchnął, poprawił okulary i uprzedził:

– Potem nie zdołam cię zregenerować.

– Rozumiem.

– Jednorazowa akcja?

– Tak. Na trzy, cztery godziny.

– Dobrze. Polimerowe cytostymy domięśniowo, ceroplast pod skórę, wzmacniacz serca i hormonomodulator. Plus zwykły koktajl bojowy.

– Rób, co trzeba. – Key zamknął oczy.

Gdy robiono mu domięśniowe zastrzyki, Seyker w milczeniu obserwowała zabieg. Mętny żółtawy płyn wchodził opornie, nawet przez najgrubsze igły. Potem autochirurg, przypominający ogromnego metalowego pajaka (wyraźnie mekkońskiej produkcji), wbił łapę w pierś Keya pomiędzy trzecim a czwartym zębem po lewej stronie.

Malutka ampułka wzmacniacza serca ześliznęła się po łapie i wessała w mięsień sercowy.

Seyker wyszła.

– Długo jeszcze? – zapytał Key. Lekarz, wprowadzając program do farmosyntezy, pokręcił głową.

– Pół godziny.

Autochirurg starł ze skóry kroplę krwi, prysnął sprayem utrwalającym i odpełził. Lekarz wyjął ze szklanej szafki maleńki przyrząd – błyszczącą szczotkę z cienkich igieł i przezroczysty pęcherz z opalizującym roztworem nad nią.

– Będzie bolało – powiedział, przykładając szczotkę do ciała Keya.

Przyrząd wydał pstrykający dźwięk i igły na moment zanurzyły się w skórze.

– Sam bym się domyślił – odrzekł Key.

Nie wydał ani jednego dźwięku w czasie zabiegu, czym wzbudził lekki szacunek lekarza. Ale nie było to łatwe.

Rozdział 7

Trudno było rozpoznać hiperkuter pod wyposażeniem, którym obwiesili go technicy Rodziny. Cylinder dodatkowego silnika nadawał mu wygląd starożytnego statku z końca dwudziestego wieku. Kontenery z maskującym wyposażeniem trzeba było umocować na przedziale mieszkalnym i Key tylko pokręcił głową, wyobrażając sobie obecną aerodynamikę swojego statku.

– To wszystko, co mogę zrobić – powiedziała Lika.

W Kanionach hulał wiatr – na południowej półkuli Gorry nastąpiła pora deszczowa. Ponad skałami płynęły niskie burozielone chmury, woda i żyzny muł, podniesiony huraganami w deltach polarnych rzek. Granitowe pole kosmoportu, wystarczająco duże, by przyjmować krążowniki, wydawało się porzucone wiele lat temu.

– Dziękuję – powiedział Key. Źle się czuł; bolały go mięśnie nasycone stymulatorem komórkowym, swędziała skóra utwardzona ceroplastikiem. Kłuła wątroba, z trudem próbująca unieszkodliwić obce tkanki. Key Dutch nie przywykł czuć się chory.

– Rzeczywiście to dla ciebie takie ważne? – zapytała Seyken.

– Tak. – Popatrzył na kobietę stojącą na czele Rodziny i uśmiechnął się leciutko. Odpowiedzią był taki sam nieuchwytny uśmiech. – Nie mogę ci nic więcej powiedzieć – rzekł Dutch.

– Nie trzeba, Key.

– Będziesz miała problemy, Lika.

– Nie myśl o nich.

Key Dutch musnął jej wargi przelotnym pożegnalnym pocałunkiem i cofnął się do kutra. Podniósł rękę – palce zaciśnięte w pięść i odchylony w bok kciuk.

– Shedar.

– Shedar.

Poszedł w stronę otwierającego się luku. Kobieta, otulona w krótką aksamitną kurtkę, nie wyszła za krąg bezpieczeństwa i kuter startował dziesięć metrów od niej – ciemnoszary metalowy szerszeń, wzbijający się na niewidocznym słupie pola grawitacyjnego. Kuter szedł w pionie, chrząścił kruszony kamień kosmoportu. Sto metrów nad ziemią statek lekko się opuścił – pilot wyłączył grawitację, przechodząc na ciąg plazmowy. Seyker stała, patrząc na niknący w niebie ognisty kwiat. Odwróciła się dopiero wtedy, gdy kuter przebił chmury i znikł.

Sekretarka stała obok – młodzianka dziewczyna, wyciągnięta przez Likę pięć lat temu z haksjańskich slumsów. Obręcz komunikatora na jej głowie wyglądała jak interesująca ozdoba.

– Statek Starszego Syna wylądował za siedem godzin, Matko powiedziała dziewczyna.

Seyker skinęła głową.

– Zaryzykuję sugestię... – W spojrzeniu dziewczyny był zachwyt i strach. – Dowódca bazy równikowej jest pod naszą psychokontrolą. Jeśli będzie działał zgodnie z regulaminem, statek nie dojdzie do planety.

Lika pokręciła głową.

– Starszy Syn jest wściekły – ciągnęła sekretarka. – Wystąpiliśmy przeciwko SB1 i armii... Może to doprowadzić do zwołania Rada Rodziny.

– Matka nie zabija swoich dzieci – powiedziała Seyker. W oczach dziewczyny po raz pierwszy pojawił się cień ironii.

– A dzieci mogą zabić matkę?

– To ich prawo.

Kuter Keya nie był obliczony na sześć osób – ani pod względem powierzchni mieszkalnej, ani zapasów tlenu i pożywienia. Na szczęście Mekłończyk i cyborg potrzebowali ich znacznie mniej niż ludzie, a lot miał być niedługi.

Obiecani przez Likę szeregowcy okazali się dwoma młodymi chłopcami, podobnymi do siebie jak dwie krople wody. Albo bliźniaki, albo cholernie bezczelne klony. Key trochę z nimi porozmawiał, przyjrzał się, jak sterują statkiem, po czym ze spokojnym sercem zostawił ich na mostku. Byli doskonale przygotowani, tylko niepotrzebnie zaliczali się do Rodziny.

Mekłończyk i cyborg siedzieli na podłodze w kajucie. Albo rozmawiali na częstotliwościach niedostępnych człowiekowi, albo prowadzili jakąś grę w wirtualnej przestrzeni, dostępnej tylko im.

– Pytanie, Kas/s/is – powiedział Key. Głowa gada zwróciła się w jego stronę.

– Jednym z naszych przeciwników będzie Mekłończyk. Czy to ci nie przeszkadza?

– A tobie nie przeszkadzają przeciwnicy ludzie? – odpowiedział pytaniem Mekłończyk.

– W porządku. Jeszcze jedno pytanie. Twój krewniak ma asynchronię ruchów kończyn w transformacji ruchowej. Co to znaczy?

Mekłończyk odpowiedział po dłuższej chwili:

– Albo na etapie cyborgizacji dopuszczono do nieprecyzyjnego zrostu łańcuchów nerwowych, albo on świadomie wzmocnił główną funkcję.

– Nie rozumiem – przyznał się Key.

Mekłończyk wydał niemal ludzkie parsknięcie:

– Chirurg był do niczego, jasne? To pierwszy wariant. A drugi: nasz przeciwnik chciał osiągnąć maksymalny efekt w jednej ze swoich transformacji. Na przykład w bojowej. A na drobne usterki w zwykłym ruchu, niewygodę w pozycji odpoczynku i reszcie postanowił nie zwracać uwagi.

– Co nam to daje?

– Pierwsze da mi przewagę w pojedynku. Drugie przeciwnie.

– A mnie?

– Tobie bez różnicy – odparł z przekonaniem Mekłończyk. Jeśli nie zdążysz wystrzelić pierwszy, i tak cię załatwi.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

– Możecie odpocząć tutaj?

– Oczywiście. – Kas/s/is zrozumiał, że rozmowa jest skończona i odwrócił się do milczącego przez cały czas cyborga.

W swojej sypialni Key zgonił Tommy'ego z łóżka, ściągnął na podłogę cienki materac i wyjął z szafki czystą pościel.

– Prześpisz się na podłodze, dobrze? – zapytał.

Taki brak gościnności nie zaskoczył chłopca, ale zdumiało go, że Key ma zamiar natychmiast

zasnąć.

– Przecież wkrótce będziemy walczyć!

– My? Dolecieliśmy, powiedziała mucha w ładowni. – Key uśmiechnął się i ułożył wygodniej. – Twoje zadanie będzie polegało na tym, żeby nie wejść w zasięg strzałów. Poza tym do walki jest jeszcze jedenaście godzin.

Tommy prychnął i położył się posłusznie.

– W ogóle się nie boisz? – zapytał.

– Pewnie, że się boję. Kuter!

– Słucham, przyjacielu – rozległ się pod sufitem ochrypły głos statku.

– Jak ci się widzą piloci?

– Ujdą. Ten, który poszedł spać, był lepszy. Ale ten, co został, też nie najgorszy. Nie jesteś zazdrosny?

– Daj spokój, leć... A ten cały złom, który do ciebie przypięli?

– Silnik dość tępy, ale posłuszny. Blok maskujący zanadto ambitny... zobaczymy, jak będzie pracował.

– Zobaczymy – zgodził się Key. – Wyłącz światło. I obudź mnie za osiem godzin. Albo kiedy chłopiec spróbuje mnie zabić.

– Ja mu spróbuję – obiecał posępnie kuter. – Dobranoc, gospodarzu.

Ku własnemu zaskoczeniu Key zasnął dopiero po pół godzinie, gdy Tommy już dawno równo oddychał, pokonany przez zmęczenie. Key bał się i bardzo swędziała go skóra.

Rozdział 8

Statek towarowy z mrożonym mięsem podszedł do bazy orbitalnej na kilka godzin przed wyznaczonym w grafiku terminem. Dyżurny oficer w myślach sklął pilota, który najwyraźniej sądził, że uczestniczy w wyścigach – na pokładzie nie było już wolnych cum. Ale wyjaśnianie cywilom znaczenia słowa „punktualność” nie miało sensu. Najemny pilot równie dobrze mógł zrzucić kontener z ładunkiem i skierować swój archaiczny holownik na dół – ku niewyszukanym rozrywkom Dogara.

Oficer polecił wycofać do strefy oczekiwania czółno pasażerskie, drugą dobę czekające przy cumie na grupę turystów z Endorii, i posępnie utkwiał wzrok w monitorze. Dziesięciolecia pokoju przemieniły stację wojskową w diabli wiedzą co: w przeładunkowy punkt dla cywilnych statków, orbitalną skarbonkę, tani parking dla pilotów-dusigroszy...

Statek towarowy przystykował się zdumiewająco łatwo. Jakby ogromny kontener z baraniną był pusty albo wcale nie istniał.

Oficer zerknął na pulpity kontrolny – wszystko w porządku. Pilot odpowiedział na niezbędne pytania, podał swój numer, standardowe hasło, podał kod kontrolny i nawet okazał fioletowy dostęp. Bardziej niż wystarczająco.

Po chwili wahania oficer zażądał czerwonego dostępu. Automat okazał go po niedługiej przerwie. Minutę później posłusznie okazał również biały dostęp.

Oficer zastanawiał się właśnie, skąd cywilny kabotażowiec wie o tym, o czym powinny wiedzieć tylko wojskowe krążowniki, i czy to wszystko jest aby prawdziwe, gdy na pokładzie zagrzmiały strzały. Pierwszy z kutra wyszedł Mekłończyk, za nim bliźniaki-szeregowcy. Key nie znał ich imion – głupio byłoby pozwolić sobie na taki ludzki stosunek do pionków.

Dutch wyskoczył z luku i zanim dotknął wytartych płytek, usłyszał wystrzał. Mekłończyk, nie potrzebujący zewnętrznej broni, użył plazmowego generatora.

Westchnął opadający płomień, w którym konwulsyjnie zadrgała przypominająca pająka maszyna. Niestety, na każdej cumie bazy wojskowej pracuje robot ochroniarz, który – również niestety – zdążył wysłać sygnał alarmowy.

– Jazda! – krzyknął jeden z bliźniaków. Stare zawołanie pilotów-skazańców zabrzmiało tu wyjątkowo głupio, ale punktowiec laserowych wybuchów zatarł to wrażenie. Bojowiec Rodziny przebiegł promieniem po kątach hangaru, gdzie zazwyczaj umieszczano czujniki kontroli wewnętrznej. Wybuchły obłoczki pary – to ulotniła się skondensowana przy otwarciu śluzy wilgoć.

Drugi bojowiec obiegnął kuter dookoła i zamarł. Strzelba w jego rękach lekko poruszała lufą – widocznie był to model rozumny.

– Kas/s/is, drzwi! – zakomenderował niepotrzebnie Key. Mekłończyk, przypominający teraz sześcionożnego konia, który stanął dęba, już zawisł nad pancerną płytą.

Z kutra wyłonił się Tommy. Jego pancerz miał priorytetową komendę towarzyszenia Keyowi, chłopiec podszedł więc do Dutcha i stanął za jego plecami. Przez niebieski lód pancernego szkła Tommy wytrzeszczał oczy na płonącego robota.

Drzwi, jakby bez żadnych wysiłków ze strony Kas/s/isa, zaczęły wpełzać w podłogę. Gdy szczelina osiągnęła pół metra szerokości, Mekłończyk zmienił transformację i przeskoczył przez nią. Rozległ się lekki szum.

Ostatni z kutra wyszedł cyborg. Podszedł do drzwi niespiesznie, ale tak pewnie, że doszedł do nich

dokładnie w momencie, gdy się otworzyły. Za drzwiami był szeroki, jasno oświetlony korytarz, biegnący do magazynów bazy. Mekłończyk stał pięć metrów od drzwi, pod przednimi kończynami leżało nieruchome ludzkie ciało. Niebieskawe wybuchy aktywnych neuropromieni walczyły z białym światłem plafonów sufitowych. Kas/s/is prowadził ogień zagrażający.

Nie było potrzeby omawiania czegokolwiek. Bliźniacy już biegli korytarzem, Mekłończyk sunął pomiędzy nimi jak miniaturowy czołg. Key ruszył w ślad za nimi – serafin niósł dwieście kilo swojej wagi z gracją młodego Bullrata. Excalibur, wręczony Keyowi przed samy odlotem, wydawał się lekki w manipulatorach pancerza siłowego. Wyglądał jak zwykły laser, neutronowy albo tachionowy, tylko wyjątkowo gruba lufa nie pasowała do standardowego projektu ludzkiej broni.

Dutch miał szczerą nadzieję, że nie wszystko, co Seyker mówiła o excaliburze, było żartem.

Ostatnie kadry, przekazane przez kamery z hangaru, wywołały u oficera lekki szok.

Robot ochronny płonął, Mekłończyk zastygł przed drzwiami, ubrani w pancerze siłowe ludzie walili w czujniki obserwacyjne.

Oficer uderzył w klawisz alarmu ogólnego i krzyknął:

– Atak na bazę! Przeniknięcie przez siedemnastą cumę towarową!

Od pulpitu pomocniczych biegł już do niego młodszy oficer zmiany. To było naruszenie regulaminu, ale oficer nie miał czasu zareagować na postępek kolegi – pośpiesznie odpowiadał na pytania pojawiające się na monitorze. Główny komputer bazy rozkręcał program odparcia agresji i każdy bit informacji mógł być decydujący.

– Podstępne przeniknięcie...

Kierujące się w stronę bazy czółno pasażerskie zostało zmuszone do zmiany kursu pod groźbą natychmiastowego zniszczenia.

– Mekłończycy i ludzie...

Kajuty obcych zamknięto. Mekłończyk, który trenował w sali ćwiczeń, otrzymał przez radio rozkaz przyjęcia pozycji pokory i automatyczny laser wziął go na cel.

– Ciężkie uzbrojenie, pancerze siłowe...

– Rozhermetyzowany czerwony sektor arsenału...

– Liczba nieznana...

Wszyscy, którzy mieli prawo nosić broń, zostali zaalarmowani.

– Nie nawiązują kontaktu...

Drzwi do sali kontroli wybuchły, zasypując pulpity odłamkami stopionego metalu. Nim potok ognia zalał pomieszczenie, oficer zdążył zauważyć ludzkie postacie, ciężkie od pancerza siłowego.

Robot-ochroniarz, którego linię strzału zagrażało płonące ciało młodszego dyspozytora, podjął jedyną słuszną decyzję. Plazmowy pocisk przerwał mękę człowieka i uderzył w pancerz atakującego. Serafin wytrzymał cios, ale jego użytkownik nie zdołał ustać na nogach. Odrzuciło go do drzwi, przeciągnęło po podłodze i wbiło w ścianę. Przez chwilę żołnierz Rodziny leżał nieruchomo, po czym podniósł się z cichym chichotem. Zza rozwalonych drzwi uderzył płomień. Serwomotory pancerza huczały głośniejsz niż zazwyczaj i ruchy lewej nogi stały się nieco niezgrabne, ale to był drobiazg niegodny uwagi.

Rozdział 9

Interkom piszczał wystarczająco głośno, by obudzić nie tylko Lemaka, ale i Kal.

– Co się dzieje? – W ciemności Izabela nie widziała ruchów admirała, tylko szelest podpowiedział jej, że ten uniósł się na łóżku.

Chyba sam ton sygnału obiecywał Lemakowi nieprzyjemności.

– Czerwony kwadrat.

Lemak zerwał się. Kal usłyszała stłumione przekleństwo i zapytała:

– Problemy?

– Uzbrojone przeniknięcie do bazy – odpowiedział Lemak po chwili wahania.

Izabela włączyła lampkę nocną. Lemak był już ubrany i pospiesznie przyczepiał do kołnierza dysk interkomu. Szept informatora był ledwie słyszalny.

– To po chłopca – powiedziała Kal.

– Bzdura. Curtis nie zaryzykuje.

– To Key Altos.

Lemak w milczeniu wyjmował broń z osobistego sejfu. Przypiął do pasa blaster, potem wyciągnął nieznany Kal model miotacza promieni, z dziwną szeroką lufą.

Odmłodzony admirał najwidoczniej miał ochotę sobie postrzelać.

– Idę do bloku więziennego. – Kal włożyła spódnicę. – Moi ludzie także.

– Tylko ludzie, Izabelo. Wśród napastników jest Mekłończyk więc wszyscy obcy w bazie zostali odizolowani. Możesz wykorzystać hipertunel.

– Potrzebuję T/sana!

– Wybacz.

– Lemak!

– To śmieszne, Kal! – Lemak wybiegł z sypialni.

– Ksenofob... – wysyczała Izabela, zbierając włosy na karku i spinając je magnetyczną spinką. – Starzec...

Pierwszy poważny opór, jak należało się spodziewać, napotkali na granicy technicznych i mieszkalnych pokładów bazy. Kas/s/is, który wysunął się za zakręt, wtoczył się z powrotem jako kłębek płomieni. Z przezroczystego pęcherza pola siłowego, osłaniającego głowę, ściekały krople stopionego metalu. Lewa średnia łapa była przyciśnięta do brzucha.

– Dużo ich jest – powiedział Mekłończyk.

Bliźniacy, nie umawiając się, skoczyli do rogu korytarza. Ten, który używał rozumnej broni, spróbował wysunąć lufę za róg. Broń pisnęła, szarpnęła się i Key poczuł zdumiewające współczucie dla bezdusznego metalu. Ostrzeliwana część korytarza przypominała dysze startującego krążownika – różnokolorowe rozbłyski promieniowania i duszący żar, nieodczuwalny przez pancerz, ale fizycznie realny. Bezgłośnie pękały szklane panele plafonów.

– Ściana za twoimi plecami, Key – powiedział Mekłończyk. Pracuj, a ja się zregeneruję.

Na wszelki wypadek Key zerknął na Andrieja – cyborg, podobnie jak Mekłończyk, przechowywał w swojej półelektronicznej pamięci dokładny schemat bazy. Andriej skinął głową, nie odrywając

wzroku od Kas/s/isa. Uszkodzona kończyzna Mekłończyka wciągnęła się w brzuch pod łuskę. Wydawało się, że cyborg zazdrości towarzyszowi.

Excalibur wystrzelił. W fioletowym wybuchu część ściany stopiła się i zmieniła w purpurową kałużę. Nic dziwnego, tachionowym laserem Key pracował już wcześniej. W ciemności wypalonego otworu widać było wąski, wypełniony kablami i rurami korytarz.

– Brak niebezpieczeństwa – oznajmił uprzejmie Mekłończyk.

Key ominął dymiącą, zastygającą kałużę. Przerwał ręką kabel, spróbował zgiąć cienką kolczastą rurę, niespodziewanie giętką, i ruchem podbródka przełączył pancerz na tryb bojowy.

Serafin zaświecił. Małe białe płomyki płasały po płytkach pancerza, otulając Keya ostrym, nieprzyjemnym dla oka światłem. Uparta rura rozplynęła się w jego rękach, ze strzępów uderzył strumień gazu.

– Wyczuwam zbliżenie – powiedział Andriej monotonnym głosem. – Trzech w pancerzach.

Key szedł jak taran. Pękały i topiły się rury, syczał wyciekający płyn, rozbryzgując się jak fontanna w strumieniach gazu. Ładunki elektryczne wносиły własny, okazały wkład w iluminację.

Mekłończyk, wyciągnięty tak bardzo, że zaczął przypominać pięcionogą stalową gaśnicę, podążał za Keyem. Za nimi szli pozostali. Strumyczek wody dopłynął do purpurowej kałuży i wybuchł w obłoczku pary. Idący jako na końcu cyborg śmiesznie podskoczył.

– Jak łapa? – zainteresował się Key kilka minut później. Techniczny korytarz trochę kręcił, ale na razie prowadził ich w dobrym kierunku.

– Lepiej. Tej rury nie ruszaj.

Key przeszedł pod rurą owiniętą włóknistą izolacją i zapytał:

– Dlaczego?

– Ciekły azot. Nie chcę się przeziębic.

Korytarz skończył się okrągłym szybem. Na ścianie słabo świeciły plastikowe klamry – niestety, budowniczowie nie przewidzieli brygady remontowej w pancerzach siłowych.

– Na górę – zdecydował Mekłończyk. – Tam powinno być bardziej świeżo.

Key wyłączył tryb bojowy i ostrożnie chwycił za klamrę. Wytrzymała.

– Przedtem cienko u was było z poczuciem humoru – powiedział do Mekłończyka. Podciągnął się ostrożnie, odchylając plecami biegnącą z góry na dół rurę.

– Po prostu nasze rozumienie śmieszności nie pokrywa się z ludzkim. Ale ponieważ wasze poczucie humoru było jednym z czynników wojennych zwycięstw, staramy się je przejąć.

– Jeszcze dwa, trzy pokolenia i się wam uda.

– Też tak uważamy.

Jedna z klamer nie wytrzymała i Key omal nie spadł na głowę Mekłończyka. Potem już w milczeniu posłusznie skręcał we wskazanych przez Kas/s/isa miejscach, wyłamując lub przepalając jedne przeszkody i starannie omijając inne.

Szli już czternaście minut, gdy zamykający pochód Andriej oznajmił, że pogoń się przybliża.

Rozdział 10

Artur obudził się. Bolesne narkotyczne oszołomienie trudno było nazwać normalnym snem, ale innego został pozbawiony. Miał dreszcze, do których zdążył się już przyzwyczać, pękała mu głowa.

Lekarz siedział przy łóżku – niemłody mężczyzna w fartuchu koloru sałaty, z bardzo poważną, pełną zrozumienia twarzą. W jakiś nieuchwytny sposób przypominał Harry'ego Nerisiana, który leczył Artura w dzieciństwie. To było przykre.

– Odzyskał świadomość – powiedział lekarz, patrząc na chłopca. – Przeprowadziliśmy całkowitą wymianę krwi i poddaliśmy napromieniowaniu szpik kostny. Myślę, że immunitet znikł, ale lepiej nie spieszyć się z pytaniami.

– Dziękuję, jest pan wolny.

Artur zobaczył Kal. Była w lekkim pancerzu, wyglądającym w sterylnie białej sali jak garść nawozu na klawiaturze komputera.

– Zabiję panią – odezwał się Artur.

Lekarz zerknął na niego spod oka i wyszedł.

– Nie sądzę, żeby się to udało, chłopcze.

– Dopadła mnie pani.

Kal wyciągnęła rękę i poklepała go po policzku. Artur nie miał nawet siły się odwrócić.

– Wiesz, twój przyjaciel próbuje cię uwolnić – oznajmiła.

– I co z tego?

– Sądzę, że wkrótce go zobaczysz. Nie na długo. – Izabela popatrzyła ponad Arturem na monitor u wezłowania łóżka. – Mamy jeszcze dziesięć, może piętnaście minut. Spróbuję wyciągnąć T/sana... będzie potrzebny.

Key Dutch nie lubił zabijać. Fakt śmierci tego czy innego człowieka sprawiał mu czasem zadowolenie, sam proces nigdy.

Możliwości zabijania, jakie dawał mu serafin, Keyowi nie podobały się zdecydowanie.

Rozwarł ręce zakute w łuskę metaloceramiki. Plazmowe płomyki ostatni raz liznęły opalone ciało i wcisnęły się w pory. Żołnierz osunął się na podłogę. Młody chłopak, nawet nie zdążył włożyć pancerza, z jakimś laserem o małej mocy, z którego ani razu nie wystrzelił...

Z technicznego korytarza wyszli w taki sam sposób, w jaki weszli – wypalając kawałek ściany. Wyłonili się w koszarach. Był tu tylko dyżurny, wszyscy inni zajmowali się poszukiwaniami.

– Pogoń się zbliża – odezwał się Andriej. Kończył zakładać miny na wypalonym w ścianie otworze, ale nie należało się po nich zbyt wiele spodziewać. Podczas ucieczki zostawili za sobą z dziesięć min-pułapek i ani jedna nie wybuchła. Nie tylko cyborgi miały czułe detektory.

– Zaminuj ciało – rozkazał Key. Przeszedł wzdłuż starannie zaścielenych łóżek i ostrożnie uchylił drzwi. Zobaczył dużą salę o porośniętych pnączami ścianach; trawa, wyrastała wprost z miękkiego porowatego podłoża, a w górze niezbyt przekonujący, ale sympatyczny hologram nieba zasłaniał sufit.

– Strefa rekreacyjna? – zapytał Mekłończyk. Powoli wyciągnął z brzucha uszkodzoną łapę i teraz próbował na niej stanąć.

– Tak.

– Do bloku więziennego dwieście czterdzieści metrów.

Podszedł Tommy, którego pancerz przez cały czas starał się zbliżyć do Keya. Przestał już trzymać dowód w pogotowiu – widocznie doszedł do wniosku, że nie uda mu się postrzelać. Dutch pochwycił jego spojrzenie, zamyślane i pytające, i odwrócił wzrok.

– Idziemy. – Andriej podniósł się znad ciała martwego żołnierza i szybko podszedł do Keya. W głosie cyborga nie było emocji, jedynie cień dumy z dobrze wykonanej pracy.

Biegli przez strefę rekreacyjną. Od czasu do czasu Andriej zatrzymywał się i umieszczał na drzewach, wciskał w ziemię albo podrzucał pod sufit małe dyski. Dyski przywierały błyskawicznie, zmieniając kolor i rozpluwając się po powierzchni.

– Warto by zostawić osłonę, dowódco – odezwał się nieoczekiwanie ten z bliźniaków, który zniszczył posterunek dyspozytorów. Mam uszkodzone serwomotory prawej nogi, nie mogę utrzymać wymaganej szybkości.

– Postarasz się – odparł Key.

Do strefy rekreacyjnej wychodziły drzwi z dwudziestu koszar.

Na pewno byli tam dyżurni – na ich szczęście izolacja dźwiękowa nie dała im szansy, by usłyszeć tupot nóg i umrzeć.

Wyjście było jedno – szeroki korytarz do węzła transportowego i mieszkalnego sektora bazy. Był to również korytarz do bloku więziennego.

– Częściej wykorzystując desanty, pokonalibyśmy ludzi – zauważył Mekłończyk obojętnym tonem. Gady-cyborgi już dawno oddzieliły funkcję mowy od funkcji oddychania. – Wasze bazy są praktycznie bezbronne.

Key nie odpowiedział – w odróżnieniu od Mekłończyka musiał oszczędzać oddech. Wybiegli na korytarz. Pusto i cicho. Zbyt cicho.

Pięćdziesiąt metrów pokonali w siedem sekund; nawet ściennie nisze, w których powinni dyżurować wartownicy, były puste. Kwadratowa sala terminalu wydawała się porzucona. Drzwi windy były otwarte, wachlarz korytarzy absolutnie pusty.

Za cicho. Za pusto.

Śmiertelny fart.

– Do tyłu! – krzyknął Key, podrzucając, excalibur.

Mekłończyk z chrzęstem wyprostował kończyny, przechodząc w tryb bojowy.

W tym momencie ci, którzy czekali w zasadzce, dostali rozkaz atakowania.

Lokalne zawirowania przestrzeni były absolutnie nową technologią, niedostępną nawet Rodzinie. Pstryknięcia wyłączanych generatorów zwały się w równy szum i w miejscach, które właśnie opuścili, w innych korytarzach i pośrodku terminalu zaczęli pojawiać się ludzie w pancerzach siłowych. Jeden nawet wyłonił się w punkcie, w którym stał Andriej, i cyborga odrzuciło na bok, pod brzuch Mekłończyka, podobnego teraz do ogromnego pająka.

Nie mieli zamiaru brać ich żywcem. W Keya trafili dwa razy, zanim on otworzył ogień. Nie patrząc na przeciwnika, ciężko przeskakiwali z miejsca na miejsce. Serafin trzymał się dzielnie. Tam, gdzie trafiał promień lasera, pojawiał się obłoczek dziwnego lustrzanego dymu, mieniącego się wszystkimi kolorami spektrum. Plazmowy pocisk w najmniejszy sposób nie uszkodził pancerza.

Atakujących było zbyt wielu i bali się użyć ciężkiej broni, żeby nie postrzelić się nawzajem. Mała grupka, stojąca pośrodku sali, miała więc szansę.

Mekłończyk, śmiesznie podskakując na cienkich łapach, biegł po średnicy pomieszczenia. Plazmowe działko wysunęło się z segmentu na piersi i waliło bez ustanku. Przednie łapy bez chwili przerwy rozdawały żołnierzom potworne uderzenia.

Był najbardziej niebezpiecznym przeciwnikiem i jak to często bywa, zmusił wrogów, by zapomnieli o pozostałych.

Pierwsi ogień otworzyli Andriej i Tommy. Pozbawiony emocji cyborg o nieludzkich reakcjach używał z szybkostrzelnego laserowca, podłączonego bezpośrednio do splotów nerwowych. Chłopiec musiał tylko naciskać spust – dowód szarpał lufą, wymierzając porcje plazmy wszystkim, którzy nie znajdowali się na liście „swoi”.

Osiem sekund strzelaniny dało dowódcom żołnierzy doskonałą lekcję. Key zauważył, że wrogowie zaczynają się wycofywać do korytarzy, a ci, którzy nie zdążyli, włączają zamocowane do pasów przyrządy i po prostu znikają, przechodząc do lokalnych załamania przestrzeni. Pole walki udostępniano nowej postaci, która najwidoczniej potrzebowała bardzo dużo miejsca.

– Pod ściany! – krzyknął Key, cofając się. Pancierz na razie zachowywał się doskonale. Ale idealne pancerze nie istnieją.

Kas/s/is puścił krótką serię pocisków w ślad za wycofującymi się i nie zwalnając biegu, skoczył na ścianę. Chwilę później pełzł po suficie, maksymalnie wyciągając szyję i kręcąc głową na wszystkie strony. Nietrudno było się domyślić, kogo wprowadzą do walki żołnierze. Tylko reakcja Mekłończyka i jego nieoczekiwana pozycja mogły teraz pomóc.

Andriej podniósł się, wodząc laserowcem wokół siebie. Z jego pancerzem było coś nie w porządku – dymił, na płytkach płasał płomień. Nie przypominało to bojowego trybu serafin – prędzej jakimś draństwem udało się podpalić metaloceramiczne płytki. Ale nie było czasu na gaszenie ognia.

Jednego z bliźniaków Key dostrzegł po swojej lewej stronie, zmarnowanego, ale całego. Drugi leżał wśród trupów – nieruchomy, w spalonym pancerzu.

Tommy na razie miał szczęście. Nawet jego pancierz wydawał się nietknięty.

– Obserwujcie korytarze! – krzyknął Key. Bardzo chciałby strzelić w ślad za niknącymi żołnierzami, ale to nie miało sensu. Wróg mógł się pojawić w każdej chwili i Key potrzebował całej szybkości reakcji, jaką mogła mu dać świadomość supera.

– Niepotrzebnie wycofał pan grupę – powiedział Lemak.

Komendant bazy zmierzył go nieprzyjemnym spojrzeniem:

– Sześciu już nie zdołało się wycofać, admirale. Na swoich statkach może pan rzucać ludzi na śmierć, ale ja wolę tracić maszyny.

Ekran, na którym widać było salę terminalu, zasnuł się mgiełką – ktoś, pewnie Mekłończyk, próbował zakłócać odbiór. Ale zniszczyć wszystkich systemów obserwacji wewnętrznej, rzecz jasna, nie mógł.

– Nie polegałbym zbyt na technice – odezwał się znowu Lemak. Siedział za plecami komendanta przed zdublowanym pulpitem, w którym niemal na pewno zablokowano łańcuchy wykonawcze – stosunki pomiędzy komendantem i admirałem były dalekie od przyjacielskich.

– No to niech pan nie polega. – Komendant musnął klawisz komunikatora:

– Dlaczego Łowca zwleka?

– Ma swoją logikę – odpowiedział bez zbytniego szacunku rozmówca. – Wybiera odpowiedni

moment.

– Proszę przyspieszyć!

– Niepotrzebnie – rzekł Lemak. – Niepotrzebnie.

Od minuty wpatrywał się w człowieka, który prawdopodobnie dowodził grupą atakujących. Jeśli przyjąć wersję Kal, był to Key Altos, ochroniarz Artura Curtisa. Pancierz siłowy (nie byle co, najnowszy serafin!) zasłaniał postać, włączony hełm – twarz, ale broń była doskonale widoczna. Excalibur.

Lemak skinieniem głowy przywołał ordynansa i wyszeptał:

– Odwołaj naszych z bloku więziennego. I z korytarzy prowadzących do cum.

Młodziutki porucznik popatrzył na Lemaka, nic nie rozumiejąc.

Admirał westchnął:

– Wewnętrzna ochrona uważa się za niezłych twardzieli. Mylą się. Odwołajcie ludzi.

Potem usiadł wygodniej i przygotował się do oglądania spektaklu.

Rozdział 11

Łowca był robotem antyterrorystycznym, stworzonym specjalnie do działań na statkach kosmicznych i stacjach; bardzo bliskim ideału.

Trzy niezależne laserowe wieżyczki miały wystarczającą moc promieniowania, by przebić dowolny pancierz. Systemy naprowadzania gwarantowały niemal stuprocentową celność, szybkość reakcji była nawet wyższa niż u Mekłończyka, a łańcuchy logiczne zapewniały swobodny program zachowań.

Teraz Łowcy dał ostrogę bezpośredni rozkaz – przyspieszyć likwidację terrorystów. To było błędem – ludzie jeszcze nie rozluźnili się po starciu, nadal trwali w pogotowiu.

Na cieniutkiej szypułce oko robota wysunęło się zza rogu korytarza, badając przeciwników. Dane systemu obserwacji wewnętrznej uzupełniły obraz.

Mekłończyk na suficie. Główny segment wysunięty, porusza się w przypadkowych kierunkach. Nieprzyjemne, ale gdy Mekłończyk będzie badał przeciwnię do Łowcy korytarze, nie zdąży zareagować na skok.

Mężczyzna w pancierze z laserem fuzyjnym. Spogląda na jednego z zabitych. Mało prawdopodobne, żeby zdążył zareagować.

Niewysoki mężczyzna z rozumną strzelbą. Może zdążyć, ale to laser o małej mocy.

Cyborg – robot czuł pulsowanie pól elektromagnetycznych z szybkostrzelnym laserem. Niebezpieczny, ale patrzy w inny punkt i jego pancierz płonie. Zdolność do pracy obniżona.

Rosły mężczyzna z potężnym tachionowym laserem. Bardzo szybkie i pewne ruchy. Wybitnie niebezpieczny.

Łowca wytypował trzy najważniejsze cele: Mekłończyk, cyborg i mężczyzna z tachionowym laserem. Erystyczne łańcuchy dokonały obliczeń – wrogowie nie mieli żadnych szans.

Sześć potężnych, skopiowanych od Mekłończyków łap zebrało się do skoku. Laserowe działka drgnęły i zaczęły się obracać. Łowca skoczył. Przeciwnik był bez szans.

Robot wyleciał z korytarza, widząc jak – zbyt późno – celuje człowiek z laserem, jak odwracają się Mekłończyk i cyborg. Nie mogli zdążyć.

Strumień tachionów, wyhamowany do prędkości światła, pojawił się w rejonie centralnego ośrodka nerwowego. Robot po prostu zignorował ten fakt jako niemożliwy. Jeszcze próbował wydać komendę strzału, nie bacząc na to, że metalowe ciało przestało go słuchać. Jego na wpół rozumne lasery cierpliwie czekały na rozkaz.

Broń fuzyjna i działka plazmowe rozniosły Łowcę na setki stopionych kawałków. To było zrozumiałe i logiczne. Robot przestał funkcjonować bez jakichkolwiek emocji, których mu nie zaprogramowano.

– Nie – krzyczał komendant. – Nie!!!

Lemak powstrzymał śmiech. Śmierć Łowcy to nie było, oczywiście, nic dobrego, ale bezczelny zarozumialec potrzebował małej lekcji.

– Dlaczego?! – komendant nieco ściszył głos. Odwrócił się do Lemaka i błagalnie zapytał:

– Jak zdołali wyprzedzić robota?

– Nigdy nie liczę na technikę – zauważył mściwie Lemak. Młode, zdrowe ciało domagało się

emocji, starć, intryg. Dawno trzeba było przejść aTan...

– Jak? – powtórzył zgnębiony komendant.

– Najwidoczniej jeden z nich ma excalibur – wyjaśnił Lemak.

– I co z tego?

– Tachionowa broń ma osobliwe relacje z czasem – Lemak pogładził czule lufę własnego excalibura. – Wie pan, ta armata strzela prawie sekundę wcześniej niż pan naciśnie spust. Czyżby nie był pan dopuszczony do informacji „Klin”? Współczuję.

Ten z bliźniaków, który przeżył, załamał się. Key zrozumiał to od razu, choć tamten nie powiedział ani słowa, tylko obrzucił szybkim spojrzeniem zwłoki brata. Za wolno zareagował na pojawienie się robota, zbyt obojętnie przyjął ich zwycięstwo.

Prawdopodobnie usunięcie instynktu samozachowawczego sprawiło, że bojownikowi własna śmierć była obojętna, ale śmierć brata na niego podziałała.

Z Andriejem też nie było dobrze. Pancierz cyborga przestał wprawdzie płonąć, ale jego funkcjonalność bardzo się zmniejszyła.

Najgorsze było to, że stracili wszystkie umieszczone na jego pancerzu czujniki. Nadal zamykał pochód, ale nie było z niego takiego pożytku jak przedtem.

Tylko nad Tommym czuwał los... albo nieznaną bóg z maszyny.

Nastrzelał się dowoli i nie dostał ani jednego poważniejszego trafienia, przez co stracił resztki ostrożności. Key zarejestrował to w myślach, ale nie było czasu, by przemówić Tommy'emu do rozumu.

Do bloku więziennego dotarli bez przeszkód. Parę strzałów z daleka i kilka zamkniętych luków, które Kas/s/is rozwaliał swoją armatą, nie liczyło się.

Ostatnie drzwi musieli stopić trzema lufami – więzienie zostało porządnie zbudowane. Za drzwiami zastali okrągłą salę z pustymi fotelami strażników, włączone pulpity...

– Wsadzić łapę do plazmy może każdy – odezwał się Mekłończyk, prezentując znajomość przysłów Bullratów – ale wyciągnąć ją z powrotem rzadko się udaje.

– Jesteśmy już po uszy... w plazmie – odpowiedział Key, podchodząc do pulpity. Nikt do niego nie strzelał. Nie miał kto – więzienie oddano bez walki.

Poskrzypując na każdym kroku i sypiąc na czystą plastikową podłogę kawałeczki spalonego pancerza, Andriej podążał za nimi. Z wysiłkiem ściągnął rękawiczkę z lewej ręki, położył dłoń na płycie interfejsu i poprosił:

– Trzydzieści sekund na zdjęcie haseł.

– Nawet czterdzieści – burknął Key, rozglądając się.

– Dwadzieścia.

– Jeśli chłopca tu nie ma, zastrzel mnie, zanim to powiesz.

– Zabroniono mi pana zabijać. Dziesięć.

– Kas/s/is, zniszcz detektory – poprosił Key.

– Nimi też się zajmuję – zauważył cyborg.

– Nie szkodzi.

I Mekłończyk w skupieniu badał pomieszczenie; stał na tylnych łapach, wyciągnięty niemal do sufitu. Po chwili jego laser ożył, starannie wypalając dziurki w ścianach i zostawiając leje w suficie.

– Jestem w sieci lokalnej – oznajmił Andriej. – Więzienie ogólne. Nie ma... Dyscyplinarne... nie ma... Szczególne... nie ma...

– Do diabła! – Key czuł nadciągające niepowodzenie.

– Szpital... jest.

– Szpital?

– Przesłuchują go według systemu cztery C. Tworzę korytarz.

Key zdusił przekleństwo. Cztery C. To gorsze niż tortury – metodyczna wiwisekcja, na granicy życia i śmierci.

Różne rzeczy się mówiło o SB1 i armii, ale Key jeszcze nigdy nie słyszał o przesłuchaniu czwartego stopnia zastosowanym wobec dziecka.

– Zmieścisz się w korytarzu? – zwrócił się Key do Kas/s/isa, obserwując rozsuwające się ściany.

– Prawdopodobnie.

– Pójdziemy we dwóch. – Key popatrzył na Tommy'ego. Wyłączenie programu prowadzącego chłopca za nim zajęłoby zbyt dużo czasu. – We trzech. Czekać na nas, Andriej. Postaraj się utrzymać przejście. I przygotuj wyjście.

Lemak siadł przed głównym pulpitem i sprawdzał stan swoich sił. Więzienie było pewnie zablokowane-żołnierzami w pancerzach i zhańbionymi robotami. Key Altos dostanie swojego podopiecznego, ale to niczego nie zmieni. Jedyne, co niepokoiło Lemaka to zablokowane na głucho systemy obserwacji wewnątrz więzienia. Albo to robota Mekłończyka, albo wśród atakujących był cyborg, który sprawił, że komputerowe sieci oszalały.

– Może użyć Mekłończyka i Bullrata? – zaproponował nieśmiało komendant.

Lemak uśmiechnął się:

– Użyjemy.

– Puścić gaz?

– Wszyscy są w pancerzach.

Lemak połączył się z sierżantami grup szturmowych i wydał kilka rozkazów. Pierścień wokół bloku więziennego zaczął się zacieśniać. Straty są oczywiście nieuniknione, tym bardziej, że Altosa będą brać żywcem. Ale chłopcy poradzą sobie. Lemak znał swoich ludzi i nie wątpił w ich przygotowanie. Nie rozumiał tylko, dlaczego pozwolił atakującym wejść do bloku więziennego.

– Admirale...

Lemak odwrócił się, słysząc głos ordynansa, ale Izabela Kal, trzymająca w podniesionej ręce żeton SB1, już go odsunęła.

– Co to ma znaczyć?

– Bierzemy ich – odpowiedział zimno Lemak. Nie należało rozmawiać z nim w ten sposób i Kal zmieniła ton:

– Admirale, w bloku więziennym są moi ludzie!

– Marjan i Louis? Bardzo mi przykro. Zresztą... mają okazję spełnić swój obowiązek.

Kal zagryzła wargi i spojrzała na admirała. Potem pokręciła głową:

– W takich grach łatwo przechytrzyć, admirale. Nie trzeba było ich dopuszczać do Artura. Mogą go zabić.

– Nie sądzę. – Lemak rozluźnił się.

Nagle zrozumiał, o co mu chodziło: drobiazg, po prostu o to, żeby z twarzy Kal znikł wyraz triumfu. Żeby tę małą żywą nagrodę zdobyli we dwoje... na równych prawach.

Zabawne, wystarczyło, że odmłodził, a już robił głupstwa, jak zakochany młodzieniaszek.

– Zabierz swojego Mekłończyka i podejdźcie do bloku więziennego – powiedział Lemak. – Będę tam za sześć minut. Weźmiemy ich wszystkich. Razem ich weźmiemy.

Rozdział 12

Z tego więzienia nie sposób było uciec. Cele nie miały wyjścia; drzwi pojawiły się jedynie w razie konieczności, na polecenie wydane z pulpitu sterowniczego.

Korytarz był wąski, nieobliczony na Mekłończyka, i Kas/s/is po raz kolejny zmienił kształt – spłaszczył się.

– Dlaczego nie zablokowali pulpitu? – spytał retorycznie Key.

– Jakby nas specjalnie przepuścili.

– Możliwe – przyznał idący przodem Kas/s/is. – Ale czy warto tego żałować?

Drzwi wyglądały na zamknięte, ale Mekłończyk nie tracił pocisku. Oparł się o nie przednimi łapami i wepchnął do środka. W małym białym pokoiku siedział przy stole lekarz. Na widok Mekłończyka i dwóch ludzi w pancerzu pośpiesznie wstał.

– Jestem tu tylko pracownikiem i mam aTan – powiedział szybko. – Nie musicie mnie zabijać. Nawet nie mam obowiązku... ani zamiaru... stawiać oporu.

Key obrzucił spojrzeniem pomieszczenie. Troje drzwi, rząd szaf zamkniętych szklanymi drzwiczkami. Lekarstwa, narzędzia, na wpół rozebrany robot chirurgiczny na stole diagnostycznym.

– Gdzie twój pacjent, doktorze? – spytał Key.

– Chłopiec? W sali reanimacyjnej. Nie należy go przenosić, jego stan jest niestabilny – uśmiechnął się życzliwie.

– „Niestabilny” na skutek twoich starań? – zaciekał się Key.

– Gdzie?

Lekarz wskazał na jedno z drzwi.

– Jest sam?

Znowu kiwnięcie, ale jakby zbyt pośpieszne.

– Zabij go, Kas/s/is – poprosił Key.

Mekłończyk zamachnął się gwałtownie wydłużoną łapą i rozległ się niemiły chrzęst. Z przetrąconym karkiem i nienaturalnie wykręconą głową lekarz upadł na podłogę.

Key i Mekłończyk popatrzyli na siebie.

– Spróbujemy – postanowił Mekłończyk, z gracją podchodząc do wskazanych drzwi. Key stanął po jego lewej stronie, w odległości dwóch metrów. Nie odwracając się, polecił Tommy’emu:

– Stój za progiem. Obserwuj pokój. Jakby co, idź do Andrieja.

Włączył plazmowy tryb serafin i ostrożnie dotknął ściany. Plastik tajał jak lód w ogniu.

– Już – powiedział.

Jednym szarpnięciem Mekłończyk wyważył drzwi i do połowy wsunął się do środka. W tym samym momencie Key wszedł przez ścianę.

Artur, przykryty do podbródka prześcieradłem, leżał na wysokim łóżku z mnóstwem wbudowanych przyrządów. U jego wezgiłowia, uśmiechając się krzywo, siedział gruby mężczyzna w jaskrawopomarańczowej koszulce. Nie miał broni, tylko małe cylinderek przyciśnięty do głowy chłopca.

– Witam – powiedział mężczyzna. – Załatwiliście lekarza? Należało mu się, przyznaję.

Key i Artur spojrzeli na siebie. Z jakiegoś powodu Key był pewien, że chłopiec go poznał – nawet przez klosz hełmu siłowego, w nadtopionym plastikowym pancerzu.

– Mam w rękach granat szokowy ze zdjętą zawleczką – ciągnął mężczyzna. – Jeśli umrę, jego główka trzaśnie jak orzech. Jasne?

Twarz Artura była zielonkawa, kości policzkowe sterczały ostro.

Nawet oczy się zmieniły... utraciły władczość małego księcia.

– I tak umrzesz – zapewnił Key.

– No to co? Mam aTan, dzięki Curtisowi. A wy potrzebujecie chłopca żywego, prawda? Zresztą on sam nie chce umrzeć... z jakiegoś powodu.

– Key – odezwał się cicho Artur. – Zabij go... zaczniemy od początku. Obiecuję, znowu pójdziemy razem.

Twarz grubasa drgnęła.

– Jak widzisz, mamy parę możliwości – uśmiechnął się serdecznie Key. – No i jak, zamieniamy się? Życie chłopca za twoje.

– Nie macie już żadnych możliwości – rozległ się z tyłu chłodny głos. – Opuścić broń i możecie się odwrócić, ale powoli. Zwłaszcza ty, jaszczurze. Pamiętaj, zareaguję na aktywowanie otworów bojowych.

Po raz pierwszy w ciągu całego dnia Key poczuł, że przegrał.

Odwrócił się – powoli, jak żądał niewidoczny wróg, którego głos wydawał się niejasno znajomy.

Mechanistka ze srebrną twarzą trzymała ich na muszce. Obu w lewej ręce ścisnęła niedbale ultimatum, w prawej trzymała mały pistolecik. Lekki pancerz bardziej podkreślał niż ukrywał doskonałą figurę.

Tommy, który leżał u jej nóg, wypuścił broń.

– Nie można wymagać zbyt wiele od dziecka – odezwała się mechanistka. – Tak go zaabsorbowała wasza rozmowa, a promieniowanie stan pięknie przechodzi przez metaloceramikę. Wiesz, Key, dlaczego nie unieruchomiłam was od tyłu?

Key pokręcił głową.

– Nazywam się Marjan. Kiedyś razem pracowaliśmy.

– Witaj, Muhammadi – powiedział Key. – Zmieniłaś się.

– Witaj, Altos. Zaraz podejda nasi ludzie i wszystko dobrze się skończy. A tymczasem pogadamy. Znasz szybkość moich reakcji i nie będziesz robił głupstw. Jaszczur się nie liczy, jak się ruszy, spale go. Szkoda tylko, że i ty zginiesz... Louis, nie trać czujności!

– Nie mam zamiaru! – odezwał się mężczyzna różnym głosem.

Mekłończyk nie odwrócił się, wysunął tylko jedno oko, żeby popatrzeć do tyłu.

– Widzę, że w porządku, Key – ciągnęła Muhammadi. – Pracujesz uczciwie, zostałeś z klientem do końca. Pewnie, że nie warto było się w to pchać, ale skoro umowa podpisana... Często umierałeś?

– Zdarzało się.

– Kogoś z naszych widziałeś? Dawno się od wszystkich oderwałam.

– Widziałem Nicka – powiedział Key. – Wyszedł z ligi, zajął się handlem. Teraz mieszka na Coolhosie... ożenił się.

– Pantoflarz – zdecydowała Muhammadi. – A Dinara?

– Nie wiem. Pozwolisz, że wyłączę plazmę?

– Co, gorąco? Wyłączaj.

Języki plazmy opadły. Key nie próbował nawet podnieść excalibura. I tak nie zdąży wystrzelić. Tak, panie Martyzenski?

Głupio wpadli. Wstyd.

– Za wysoko skaczesz, Key – mówiła dalej Marjan. – Przecenieś swoje siły. Powinieneś ochraniać bogate staruszki albo chałturzyć na...

Dwa błyski, jeden po drugim. Ręce Marjan wybuchły fontannami ciała i metalu. Zaciśnięte w jednej dłoni ultimatum poleciało w kąt, pistolet po prostu się stopił. W chwilę później Key doskoczył do mechanistki – chwiała się oszołomiona, utraciwszy całe swoje groźne piękno.

Key uderzył ją w pierś, z rozkoszą wykorzystując potęgę pancerza. Zachrzęściły łamiące się żebra, kobieta odleciała pod ścianę.

Za plecami Keya rozległ się łoskot i krzyk – cienki, zachłystujący się głos Artura i wrzask Louisa.

Dutch kopnął Marjan w podbródek, znowu usłyszał chrzęst, podziękował w duchu serwomotorom i skoczył do Mekłończyka. Stojący w drzwiach Andriej nadal mierzył w nieszczęsną mechanistkę z lasera. Widocznie miał wysokie mniemanie o żywotności istot sobie podobnych.

Kas/s/is nie potrzebował pomocy – kończył właśnie rozgniatać przednimi łapami to, co jeszcze niedawno było ludzkim ciałem. Jedna ze średnich łap spoczywała na głowie Artura. Nad łóżkiem unosił się dymek, w ścianie pojawił się lej.

– Ludzie na ogół przeceniają rolę uczesania w swoim wyglądzie – odezwał się Mekłończyk, nie przerywając swojego zajęcia. Natomiast my uważamy, że włosy to atawizm, niegodny naszych ludzkich przyjaciół. Chłopiec powinien przejąć ten punkt widzenia.

Key oderwał łapę Mekłończyka od głowy Artura, Curtis junior już nie krzyczał, pewnie dlatego, że zabrakło mu sił. Włosy spaliły się całkowicie, skóra poczerwieniała i pokryła się pęcherzami. Jednak biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, strzał Mekłończyka, który sprawił, że granat szokowy po prostu wyparował, można było nazwać wzorcowym. Louis nie wziął pod uwagę tego prostego faktu, że jego granat nie zawiera materiałów wybuchowych, tylko generator ultradźwięków. Gdyby miał w ręku coś innego, Mekłończyk byłby bezradny.

– Wytrzymaj, mały – powiedział Key. Już wyciągał rękę do twarzy chłopca, ale się powstrzymał, pancerz ciągle był zbyt ciepły. Wytrzymaj, królowie nie płaczą. Wyciągnę cię.

– Możliwe, ale na razie to ja będę go niósł – zauważył niewzruszenie Mekłończyk.

– Uśpij chłopca.

Błysk błękitnego światła.

Key odwrócił wzrok od uspokojonej teraz twarzy:

– Ja poniosę drugiego.

– Zdaje się, że nastąpiła mała zmiana planów? – zainteresował się Kas/s/is.

– Tak.

– Można poznać przyczynę?

– Nie są już do siebie podobni.

– No, no – powiedział Mekłończyk z tak ludzką intonacją, że Key drgnął. Przeszedł do sąsiedniego pokoju, ominął martwego lekarza, ogłuszonego Tommy'ego i wyglądającego na korytarz Andrieja.

Pochylił się nad Marjan, leżącą w kałuży krwi. W jej piersi pojawiła się dziura na wylot.

– Zabezpieczyłem się – oznajmił cyborg. – Serce miała organiczne.

– Czyżby? Mam zamówienie na kawałek srebra...

Uszy mechanistki też były metalowe – sztuczna maska wyglądał jak twarz złej bogini. Key Dutch oderwał płatki uszne i powiedział do nieruchomego ciała:

– Może i skaczę wyżej tyłka, ale za to ty nadajesz się tylko na złom.

Marjan nie odpowiedziała.

Nie dlatego, że była martwa, jak sądzili Andriej i Dutch. Rezerwowy krwiobieg, zazwyczaj wykorzystywany tylko przy wielkim wysiłku fizycznym, rozpaczliwie pracował, zapewniając dopływ krwi do mózgu i wątroby. Zastawki zaciskały przebite arterie. Elektrody wszczepione w mózg tłumiły nieznośny ból.

Andriej nie podejrzewał, że dla niektórych mechanistów serce przestało już być najważniejszym organem.

CZEŚĆ SIÓDMA
LEGOWISKO BOGA

Rozdział 1

T/san był wściekły. Jego, który przepracował w SB1 dwadzieścia pięć lat, pół godziny trzymali pod kluczem! Nie ufali mu!

I wszystko dlatego, że wśród atakujących był jeszcze jeden Mekłończyk.

Dotarli do bloku więziennego w samą porę – Lemak nie zdążył jeszcze zaatakować. Po drodze Kal musiała trzy razy okazywać swój żeton posterunkom. Czterech ludzi w pancerzach i Łowca byli przeszkodą nie do pokonania. Kal pomyślała, że gdyby Lemak wykazał taką energię od samego początku, Keya i jego przyjaciół zatrzymano by w połowie drogi.

Admirał stał w otoczeniu kilku ordynansów przed trójnogiem polowego pulpitu. W dalszej części korytarza, na którego końcu widać było stopione drzwi, grupowali się ludzie w pancerzach.

– Pójdziecie przodem? – zapytał admirał, odwracając się od ekranu. Izabela pokręciła głową. – i słusznie... zaczynajcie!

Po korytarzu jakby przetoczyła się metalowa fala. Kal przymknęła oczy, gdy pancerze atakujących żołnierzy Lemaka rozkwitły płomykami plazmy, a w drzwi uderzyły promienie lasera.

Któryś z atakujących wyrwał się za bardzo do przodu, wpadł pod ostrzał swoich towarzyszy i upadł – albo zginął, albo postanowił sobie poleżeć.

– Straty są nieuniknione. – Lemak zerknął na Kal. – Ale prawie wszyscy mają aTan.

Żołnierze wdarli się do bloku więziennego. Większa część przez drzwi, kilka grup przez wybite w ścianach otwory. Kal zdawała sobie sprawę, że ludzie Lemaka przenikają teraz do więzienia ze wszystkich stron, ale nawet tych pięćdziesięciu atakujących, którzy działali na jej oczach, wydawało się zdolnych zdusić każdy opór.

Strzały ucichły.

– No i po wszystkim. – Lemak odwrócił się do Kali z uśmiechem położył rękę na jej ramieniu. Twarz Izabeli wykrzywiła się wściekłością.

– Po wszystkim? A jeśli chłopiec zginął?

– Moi ludzie... – zaczął Lemak.

Ordynans, który zajął miejsce admirała przy pulpicie, podszedł do przełożonego.

– Przepraszam...

Lemak urwał.

– W bloku więziennym ich nie ma, admirale. Znaleziono trzy trupy... to wszystko.

Kal odsunęła Lemaka i pobiegła do stopionych drzwi. Za nią rzucił się T/san.

Key nigdy nie przeceniał swoich sił i nie liczył na łut szczęścia.

Ale teraz nie miał innego wyjścia – musiał zdać się na jedno i drugie.

Z bloku więziennego wyszli w bardzo prosty sposób – drogą, którą dowództwo bazy wykorzystywało przy składaniu wizyt przesłuchiwanym. Ta część zaproponowanego przez Rodzinę planu wydawała się Keyowi najbardziej wątpliwa, ale hipertunel rzeczywiście nadal działał. Nikomu nie przyszło do głowy, że więźniowie mogliby uciec z jednego więzienia do drugiego.

W tym wypadku to była jedna szansa zamiast żadnej.

– Przyjemne miejsce – ocenił Andriej, gdy Dutch z Tommym na rękach przeszedł przez hipertunel.

Key rozumiał, co cyborg ma na myśli. Znaleźli się w gabinecie – wielofunkcyjny pulpit, wygodny fotel, panoramiczny ekran, kolekcja broni na wklęsłej ścianie, ozdobionej starym gobelinem. Gdyby tylko mieli czas, warto by się tu było dokładniej rozejrzeć.

– Detektory? – zapytał Key, wchodząc z placyku poczekalni.

– Raczej nie.

Key popatrzył na Tommy’ego. Chłopiec nadal był sparaliżowany, ale powieki zaczynały drgać. Mechanistka zaaplikowała mu pełną dawkę ze stannera.

Hipertunel działał nadal; w gabinecie pojawił się Mekłończyk.

Żeby zmieścić się w strefie przejściowej, stanął na tylnych łapach, tworząc razem z przyciśniętym do piersi Arturem niemal rzeźbiarską grupę. Key znowu poczuł ukłucie bólu na widok bladożółtej twarzy chłopca.

– Pogrzebicie w maszynach? – zwrócił się jednocześnie do Mekłończyka i cyborga.

Kas/s/is cofnął się o krok:

– Ja nie ryzykuję.

– Ja tym bardziej – odezwał się cyborg. – Jesteśmy jeszcze dalej od cum niż przedtem, ale stąd prowadzi bardzo dobry korytarz.

Hipertunel zadziałał ostatni raz – bojownik został w miejscu, w którym się pojawił. Rozsądnie blokował przejście.

– Rozbieramy się – zakomenderował Key, opuszczając Tommy’ego na podłogę. – Kas/s/is, popracuj przy drzwiach.

Pancerz był cholernie ciężki i chociaż pomagali sobie nawzajem, stracili siedem cennych minut, nim Key wyszedł ze swojego serafina. Dutch napił się z podsunętej mu do ust rurki. Płyn był gorzki i miał mdlący zapach, ale koktajle bojowe nigdy nie ubiegały się o pierwsze miejsca w konkursach na drinki.

– Teraz mam jeszcze dwie godziny – powiedział Key.

– Wystarczy, by umrzeć albo się ukryć – skomentował Mekłończyk, wolną łapą mocując na piersi emblemat dowództwa SB1. Zgodnie z planem znajdziemy jeszcze trzy pokoje, w ostatnim powinna być ochrona. Następnie terminal transportowy numer osiem i korytarz wiodący do cum.

Key poprawił mundur. Chociaż uszyto go dobie wcześniej, nie robił wrażenia nowego. Kapitańskie pagony i baretki medalu „Sługa Imperium” czterech stopni uzupełniały obraz.

Bojownik został sierżantem, a cyborg – oficerem SB1. Tommy pod pancerzem miał wypłowiałą szarą piżamę, łudząco podobną do tej, w którą był ubrany Artur. Key poklepał chłopca po policzkach, ale nie nastąpiła żadna reakcja.

– Idziemy – Key zarzucił excalibura na plecy. – Pora. Andriej, weź Tommy’ego.

Wyszli przez drzwi, które otworzyły się posłusznie.

Pancerze w postaci czterech niebieskawych stert zostały na podłodze. Być może Key w duchu podziękował bezmózgim płytkom metaloceramiki, ale nawet on nie był na tyle sentymentalny, by robić to głośno.

Jan Dumbowski został na drugoplanowym posterunku nie dlatego, że uważano go za kiepskiego żołnierza. W najbliższej przyszłości miał dostać naszywki sierżanta oraz przeniesienie do elitarnego

pierwszego pułku, podlegającego bezpośrednio Lemakowi.

Tylko fakt, że jeszcze nie zarobił na aTan, pozbawił go przyjemności szturmowania bloku więziennego. Przez trzy lata służby Jan, przy niemal całkowitym braku wydatków, mógł zagwarantować sobie nieśmiertelność, ale jego rodzice żyli na biednej planecie Haksya. Pieniądze syna, któremu udało się zaciągnąć do armii, pozwalały im jako tako egzystować na Haksyi, już dawno uznanej za pozbawioną perspektyw.

Piętnaście kilogramów lekkiego pancerza Jan nosił bez wysiłku, niczym koszulę z prawdziwego jedwabiu, na którą nie mógł sobie pozwolić. Impulsyjny laser, przymocowany do zgięcia łokcia, wydawał się przedłużeniem prawej ręki.

Generalnie Jan był całkiem z siebie zadowolony. Uznał, że jeśli w liście do rodziców, który chciał wysłać wieczorem, opowie o wypadku z terrorystami tak, jakby brał udział w akcji, nie będzie to szczególne przestępstwo.

Posterunek Dumbowskiego mieścił się obok apartamentów Lemaka. Jan dreptał w niszy w ściennej wnęcie, dającej mu dobry widok i pewne ukrycie. W tej chwili drzwi się otworzyły i na korytarz wyszedł niespiesznie nieznajomy kapitan, otrzepując rękaw munduru.

Jan sprężył się. Wszedł na posterunek dwie godziny temu i nie wiedział, czy w pokojach Lemaka ktoś jest. Admirał często pracował w nocy.

Mimo wszystko wycelował w nieznajomego miotacz płomieni.

Oficer zmarszczył brwi.

– Dokumenty – powiedział neutralnym tonem Jan. Kapitan w milczeniu sięgnął do kieszeni munduru. Podał dowód, Jan wziął go wolną ręką i zerknął:

– Przepraszam, panie Szywaki. Sytuacja nadzwyczajna.

Nijazo Szywaki, specjalista od przesłuchań, przypisany do ugrupowania endoriańskiego, schował dokumenty i zapytał:

– Jak tam, bijatyka jeszcze trwa, żołnierzu?

Jan nie cierpiał takich oficerów – pobłażliwie dobroduszych w stosunku do szeregowców. Teraz jednak miał ochotę się wygadać.

– Przez sieć ogólną podano, że terroryści zostali zablokowani w bloku więziennym. Sam Lemak tam jest.

Szywaki pokręcił głową, wyraźnie nie pochwalając upodobania admirała do przebywania w centrum wydarzeń.

– Ledwie przylecieliśmy i od razu się wpakowaliśmy... – powiedział. – Jak przejść do szpitala? Te szczeniaki rozkleiły się po pierwszej ampułce...

– Trzeci poziom – odparł Jan. Zaczynał się denerwować. Dokumenty kapitana były w porządku, ale...

– Hej, sierżancie!

Zza drzwi wyjrzał jasnowłosy mężczyzna o bladej twarzy bez śladu emocji.

– Nieście chłopców, pękną, zanim doczekamy się admirała.

W ślad za młodzieńcem pojawił się człowiek-cyborg ze zwisającym mu na rękach ciałem dziecka i Mekłończyk z takim samym ciężarem. Młodzieniec miał mundur SB1, obcemu na łusce na piersi połyskiwał służbowy żeton.

– Muszę sprawdzić dokumenty – odezwał się Jan. Nagle poczuł przejmujący chłód i spływający po plecach strumyczek potu.

Wszyscy wiedzieli, że w więzieniu jest chłopiec znający tajną informację, ale Lemak nie zajmował się przesłuchaniami w swoim gabinecie, a wśród atakujących, jak podano, był Mekłończyk.

– Proszę sprawdzić – zgodził się kapitan. Jan był przekonany, że dokumenty będą w najlepszym porządku, nawet u obcego, i wszyscy przejdą obok niego, oczywiście nie do szpitala, tylko do kapsuły transportowej, która dostarczy ich do pokładu cumowego w ciągu dwóch minut. Jan zdążył jeszcze pomyśleć, że jeśli zlekceważy regulamin i przepuści ich (uprzedzając posterunek przy terminalu), nie postawią go przed trybunałem, tylko zwolnią za naruszenie zasad służby wartowniczej. Znowu pójdzie pracować w kopalniach Haksyi, brat będzie musiał rzucić college i za jakiś rok, dwa dołączy do niego. Jan nacisnął spust.

Był szybszy od Mekłończyka o pół sekundy. Promień dosięgnął jasnowłosego chłopaka, amputując mu rękę do łokcia, po czym plazmowy pocisk Kas/s/isa zapewnił rodzicom Jana Dumbowskiego gwarantowaną przez Imperium emeryturę.

– Do diabła – wyszeptał Dutch. Andriej opuścił Tommy’ego na podłogę i pochylił się nad bojownikiem. Ranny szeregowiec wyszczerzył zęby, powstrzymując krzyk, ale strachu w jego twarzy nie było. Lekarze Rodziny znakomicie potrafili stłumić instynkt samozachowawczy. Mekłończyk podszedł do Keya.

– Rezygnujemy z planu – powiedział. – Jeśli nawet ten młody zrozumiał, w czym rzecz, to posterunki na węzłach transportowych nas nie przepuszczą.

– Zaniepokoiło go, że wyszliśmy z pokoi Lemaka.

– Zaniepokoiłem goja. Co robimy z szeregowcem?

Key w milczeniu stanął obok Andrieja, który cofnął się o pół kroku. Dutch popatrzył na rannego. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały. Key odwrócił oczy.

– Tylko... szybko... – wyszeptał chłopak.

– Wybacz. – Key zdjął z ramienia excalibur. Poczuł żar od bezgłośnego wybuchu, potem nacisnął na spust. Andriej już podnosił Tommy’ego.

– Działamy według wariantu zapasowego – postanowił Key.

Rozdział 2

Ich drogę do pokładu cumowego znaczyły trupy. Posterunek przy terminalu transportowym jeszcze nie został powiadomiony, że terroryści przedarli się poza blok więzienny, więc nie było problemów. Ale gdy kapsuła niosła ich przez przestrzeń bazy, Lemak już sporo wiedział – dwa posterunki, które nie odpowiadały na wezwanie, jednoznacznie wskazywały drogę. Skoncentrowane przy więzieniu oddziały podążyły w stronę cum – teraz liczyły się już sekundy. Kal i T/san gdzieś znikli. Lemak nawet tego nie zauważył. Został przy pulpicie – precyzyjne komendy były teraz ważniejsze od osobistego uczestnictwa w akcji. Wszyscy zdolni do walki pracownicy bazy, którzy znaleźli się przy cumach, skupili się w sali terminalu. Krótki korytarz prowadził stąd do statku terrorystów – należało ich zatrzymać właśnie tutaj.

Lemak zrozumiał swój zasadniczy błąd: pozwolił Keyowi odbić chłopca. W ten sposób zostali pozbawieni możliwości użycia ciężkiej broni ze względu na niebezpieczeństwo postrzelenia Artura. Pozostawały stannery i broń rozumna z włączonymi funkcjami humanitarnymi – niemało, ale to nic w porównaniu z tym, czego chciałby Lemak. Pozostawało wierzyć w przewagę liczebną. Dwudziestu ludzi rozmieszczonych w sali terminalu to zbyt wielu, by dało się ich zniszczyć pierwszymi salwami.

Kapsuła transportowa pomieściła ich bez większych problemów, nawet Mekłończyka. Mały wagonik z lustrzanymi ścianami mknął przez bazę na sprężystej poduszce magnetycznej. Miał niezależne zasilanie i sterowanie – wymogi bojowej pewności zwróciły się teraz przeciwko gospodarzom stacji orbitalnej. Nie było możliwości zatrzymania kapsuły.

Key spojrział w czyste lustro, poprawił mundur. Ta niezbyt wymyślna maskarada już załatwiła co trzeba – uśpiła czujność młodzika na pierwszym posterunku i trzech żołnierzy na drugim. Znowu przydałyby się pancerze – niestety, kopali je teraz w bezsilnej wściekłości komandosi, którzy wdarli się do gabinetu Lemaka.

– Dwadzieścia sekund do końca – oznajmił Mekłończyk. Stał przy szerokich drzwiach, starannie osłaniając bardziej kruchych ludzi. – Zaczynaj.

Key wyciągnął z kieszeni munduru małej jednorazowy nadajnik i nacisnął guzik. Krótka spirala anteny lekko zaświeciła. Żaden podgląd nie mógł im już zaszkodzić, za to ich życie zależało właśnie od mocy sygnału.

– Jeśli twój statek nas usłyszy – powiedział Kas/s/is – to będzie niesamowity fart.

Key rzucił nadajnik, wziął do ręki excalibur. Na metalowych ramionach Andrieja wisały dwa chłopięce ciała – cyborg był tak samo niezdolny do walki jak w uszkodzonym pancerzu.

Hiperkuter nadal wyglądał jak statek towarowy. Powłoka wokół luku lekko się nadtopiła, kupka popiołu była pamiątką po czyjejś próbie przeniknięcia do środka. Teraz kuter zostawiono w spokoju, tylko dwaj Łowcy pilnowali hipotetycznych wrogów, mogących czaić się wewnątrz statku. Automatyka robotów mogła iść w zawody z mechanizmami kutra; na pewno nie pozwoliłaby przeoczyć ponownego otwarcia bojowych otworów strzelniczych.

Gdy na statku zahuczały zapuszczane silniki, laserowe wieżyczki robotów drgnęły, śledząc źródło dźwięku. Ale kuter nie próbował zaczynać pojedynku laserowego. Po prostu uruchamiał napęd.

Robotów bojowych nie nauczono, jak walczyć ze statkami kosmicznymi.

Pierwszy zadziałał silnik grawitacyjny. Wektor ciągu był zorientowany w stronę przeciwną do robotów, które nie podjęły żadnych kroków. Masywne osłony śluzy drgnęły, uginając się pod

wirtualną masą, ale wytrzymały. Statek zaczął powoli pełznąć w stronę korytarza towarowego.

Ruch trwał ułamki sekund, potem włączył się silnik plazmowy wyjątkowe naruszenie reguł postępowania na pokładzie stacji. Po sekundzie wahania Łowcy zinterpretowali ten fakt jako atak i sześć laserowych promieni zaczęło chłostać dysze.

Gdyby miały więcej czasu, zapewne zdołałyby przepalić tryton.

Ale burza ognia, szalejąca w doku, nie znała litości.

Do sali terminalu dobiegł najpierw huk. Niektórzy żołnierze zamarli, oczekując pojawienia się kapsuły z terrorystami, inni zaryzykowali i odwrócili się. Zobaczyli płynące z korytarza, drżące z gorąca powietrze. Następnie, w pomarańczowych odblaskach nadciągających płomieni, do sali wtoczyły się dwie stopione kule metalu. Tylko promienie bijące z cudem ocalałego lasera zdradzały w nich Łowców.

Potem przyszła śmierć.

Drzwi kapsuły otwierały się niechętnie, zrywami. Gdy szczelina osiągnęła dziesięć centymetrów, w środku zapachniało spalenizną.

Kas/s/is wcisnął w otwór przednie łapy i rozsunął drzwi kapsuły, a potem również zewnętrzne drzwi – stopione i zaklinowane na głucho. Za nimi był cuchnący półmrok.

– Bogowie – powiedział nieoczekiwanie cyborg.

Powietrze było gorące i duszne – w sali terminalu spaliło i stopiło się wszystko, co się dało. Kraty klimatyzatorów, wystające z pozbawionych dekoracyjnych paneli ścian, spazmatycznie wciągały strumienie gęstego, gryzącego czadu. Tylko dzięki temu dało się oddychać.

W powietrzu unosił się zapach spalonego białka.

Pierwszy z kapsuły wyszedł Mekłończyk, potem Key, jako ostatni Andriej z chłopcami w ramionach. Podeszwy zaskwierczały, dotykając rozpalonej podłogi, i nawet Kas/s/is zaczął dreptać w miejscu.

Spalone ludzkie ciała, gdzieniegdzie przyciśnięte dymiącymi się pancierzami, które nie zdołały oprzeć się temperaturze, nierównym stożkiem wznosiły się na środku sali – tam, gdzie odrzucił je ognisty sztorm. Na niektórych jeszcze tańczyły płomienie.

Keyem wstrząsnął atak kaszlu. Cyborg już szedł prowadzącym do cum korytarzem, Mekłończyk rozglądał się, jakby oceniając efektywność nietradycyjnej broni.

– Tego ci nie wybaczą, Key – odezwał się półgłosem. – Zdrowo przeholowałaś.

Wysunął z łap cienkie pazury, zadreptał po podłodze. Zatrzymał się, by obejrzeć stertę metalu, z której bił w sufit cienki, widoczny jedynie w kłębach dymu promień. Pod sufitem z cichym brzękiem pękł jeden z ocalałych paneli oświetleniowych i zrobiło się jeszcze ciemniej.

Key pobiegł za Mekłończykiem. Andriej już skrył się w korytarzu. Słaby jęk dał znać, że któryś z chłopców dochodzi do siebie. Temperatura wynosiła co najmniej sto stopni – największy piekarnik w historii, jeśli nie liczyć planet spalonych bombami mezonowymi.

Przed korytarzem Key zatrzymał się, pełną piersią wdychając gorące powietrze. Koktajl bojowy już zaczynał działać i chłostane chemikaliami mięśnie pozwoliły Dutchowi pokonać dystans w ciągu trzech minut, ale wołał w tym czasie nie oddychać.

Wtedy za plecami usłyszał wybuch.

Odwrócił się akurat w samą porę, żeby zobaczyć, jak plazmowy pocisk rozwała jedno z drzwi terminalu. Porażony sektor stacji został odizolowany, ale napadającego to nie powstrzymało.

Możliwe, że Wanda Kachowski rzeczywiście zauważyła asynchronię ruchów Mekłończyka z SB1, ale Keyowi przeciwnik wydał się bezbłędny w działaniu. Najdziwniejsze, że dosiadała go kobieta – znajoma, jasnowłosa kobieta w lekkim pancerzu. Jeszcze nigdy Key nie widział Mekłończyka, który pozwoliłby na coś takiego.

Dutch podniósł excalibur tak szybko, jak tylko mógł, i nawet zdążył wyprzedzić Mekłończyka. Fioletowy rozbłysk i obcy podskoczył, o mało nie zrzucając przy tym swojego groteskowego jeźdźca. Potem Key strzelił.

Przykro jest strzelać, gdy już wiesz, że chybiłeś.

– Bierz ich, T/san! – krzyknęła Izabela Kal, zeskakując na ziemię. – Żywcem!

Plazmowy pocisk przechodzącego do bojowej transformacji Mekłończyka zmienił lufę excalibura w rozbryzgi białego metalu.

Rozdział 3

Na razie był tylko jeden cel – człowiek zwany Keyem Altosem.

T/san biegł do niego na tylnych łapach niczym olbrzymia modliszka, owinięta w metal i plastik. Oczy, znacznie bardziej złożone niż ludzkie, śledziły każdy ruch przeciwnika.

Człowiek o mało go nie trafił. Technika, przekłeta technika oto dlaczego ludziom udało się przewyższyć Mekłończyków. Unowocześnianie urządzeń wbudowanych w ciało było znacznie trudniejsze niż doskonalenie zewnętrznej broni. Ludzie kompensowali swoją powolną reakcję półrozumną bronią, a teraz jeszcze tachionowymi laserami, naruszającymi zasadę przyczynowości. Mekłończycy od dawna nie uważali ludzi za wrogów – tak postanowił Doskonały i tak się stało. Ale T/san znalazł świetne wyjście z sytuacji; nienawidził pojedynczych ludzi, a nie całej ludzkości. Kiedyś taki pomysł podsunął mu Ahar i Mekłończyk uznał go za doskonały.

Teraz miał godny obiekt nienawiści – mężczyzna w mundurze armii, ściskający kolbę uszkodzonego tachionowca. Najwyraźniej chciał użyć jej jako pałki, ale nawet nie mógł chwycić za rozpalone resztki lufy.

T/san skoczył i przeleciał nad człowiekiem. Dawno wycelowany stanner wypuścił pełny ładunek.

Po raz pierwszy Mekłończyk strzelał do człowieka którego refleks nie ustępował jego własnemu. Key zaczął się poruszać w momencie, gdy T/san skoczył, i zrobił to niespodziewanie szybko. Pocisk stannera chybił, a człowiek zadał cios swoją rozpaloną bronią. Siłę miał godną Bullrata, co w połączeniu z szybkością skoku Mekłończyka dało wstrząsający efekt. Łuska na piersi wgięła się do środka, uszkadzając szereg organicznych narządów i niszcząc wysunięty stanner.

Uderzony w połowie skoku Mekłończyk odwrócił się błyskawicznie, kontrolując przeciwnika. Człowiek miał nienormalną szybkość reakcji – na pewno robota genetycznych inżynierów Imperium, których działalność tak zręcznie skompromitował mekłoński kontrwywiad wiele lat temu. Pewnie nie obeszło się też bez chemicznych stymulatorów; w podczerwonym świetle ciało człowieka było nienormalnie ciepłe. Najwyraźniej spalał się, przemieniony w maszynę bojową niemal tak doskonałą jak cyborg.

Mekłończyk uderzył – przednie łapy skrzyżowały się jak gigantyczne kleszcze, przecinając nogi Keya. Dutch, nie mogąc się odsunąć, poszedł do przodu, prosto na obcego, i po gołeniach uderzyły go nie ostre pazury, tylko metalizowane ciało. Zwykły człowiek miałby po czymś takim kilka złamań, ale od skóry Keya łapy Mekłończyka odbiły się jak od gumowych kolumn. W następnej sekundzie Dutch skoczył pod obcego i T/san poczuł, jak trzysta kilogramów jego wagi unosi się w powietrzu. Upadek nie był silny, ale nieoczekiwany. Obcy podturkał się do dymiącej metalowej sterty w rogu sali i zacharczał, gdy rozpalony metal dotknął łuski. A potem ból, nagły i ostry, przeszył przednią łapę. T/san szarpnął się i zrozumiał, że został pozbawiony jednej kończyny. Z rozwalonego robota, na którego wpadł, bił w sufit promień lasera, niknąc w stopionym leju.

Key sięgnął po pistolet u pasa, ale przechwytyjąc spojrzenie Mekłończyka, rozsądnie opuścił rękę.

– Chcę go zabić – powiedział T/san. Kal, cały czas mierząc w Keya, pokręciła głową.

– Nie! Póki on żyje, jego kuter nie odleci.

– Chcę... – zaczął znowu Mekłończyk.

Kas/s/is wypadł z rozpalonego piekła korytarza. Był niemal nie do odróżnienia od T/sana. Nawet fałszywy żeton SB1 połyskiwał w tym samym miejscu.

T/san natychmiast przestał się interesować Keyem i runął na rodaka. Dutch stał na ich drodze, ale Kas/s/is dosięgnął go pierwszy i jednym machnięciem łapy odrzucił w korytarz.

Kal zdążyła dwa razy niecelnie wystrzelić, nim Mekłończycy zwarli się w pojedynku. Otwory strzelnicze działek plazmowych były otwarte u obu, ale żaden nie ryzykował wystrzału, przekonany o tak samo śmiertelnej odpowiedzi. Kal miotła się wokół turlających się po podłodze gadów, próbując wypatrzeć tego, który zachował wszystkie sześć łap. Seria wystrzałów z ciemności korytarza zmusiła ją do wycofania się w ponure towarzystwo spalonych trupów.

Pozostawało czekać na pojawienie się słynnych lemakowskich komandosów.

Key pokonał korytarz w ciągu półtorej minuty. Wentylacja działała na całego i temperatura zdążyła spaść. Dutch nie czuł bólu po ciosach Mekłończyka, ale wiedział, że do wieczora – jeśli doczeka spuchnie mu całe ciało.

Luk kutra był otwarty. Key wpadł na mostek, gdzie zastał Andrieja. Chłopcy prawdopodobnie byli już przypięci do łóżek.

– Dwadzieścia sekund – powiedział szybko Key, widząc, że dłoń Andrieja leży na interfejsie pulpitu. – Daj szansę Kas/s/isowi.

– Startować na plazmie? – zapytał cyborg po dwudziestu pięciu sekundach. Dutch patrzył na jeden z ekranów, gdzie czerniał wypalony otwór korytarza. Jeśli Kal nie zdąży się wycofać, śmierć zatrzyma ją na jakiś czas.

– Na grawitacyjnych – polecił Key. – Statek, oddziel po starcie blok maskujący, żeby mieli dwa cele.

– W tej bazie starczy laserów i na dwadzieścia – zapewnił go Andriej. – Sam w takiej służyłem.

Promień lasera starannie przeciął zewnętrzny luk i w mroźnym wicherze kuter popłynął w kosmos.

– Dwa cele – oznajmił operator. – Kuter odchodzący po siedemnastej współrzędnej to fałszywka. Masa o rząd mniejsza od standardowej.

Lemak patrzył na ekran.

– Strzelać? – spytał niecierpliwie oficer.

– Możecie odciąć silniki, nie niszcząc kabiny?

– Mają dobre pole, trzeba będzie użyć laserów tachionowych.

Zetrą ich w pył.

– Zniszczyć atrapę.

W spojrzeniu operatora było wszystko poza zrozumieniem.

– Wykonajcie rozkaz.

Lemak odwrócił się do ordynansa. Ten był lepiej wyszkolony na jego twarzy nie pojawił się nawet cień wątpliwości.

– Niech przygotują „Gończego” i mój niszczyciel. Rozpocznijcie remont. Informację o tym, co się stało, utajnić. To wszystko.

Ordynans odwrócił się.

– Stój. Ilu nieodwracalnie zginęło?

– Dwudziestu siedmiu ludzi, admirał. Pozostali mają aTan.

– Posłać indywidualne kondolencje krewnym. I proszę nie zapomnieć pokazać mi ich przed

wysłaniem. Podpiszę osobiście.

W ciągu długiego życia Lemak zdążył się przekonać, jak cenią w świecie prawdziwie ludzkie podejście.

Rozdział 4

– Pić – wychrypiał Tommy. Key, nie przestając spryskiwać ciała chłopca aerozolem przeciw oparzeniom, podał mu szklanę.

Nogi Tommy'ego ciągle nie chciały go słuchać, ale ręce miał już sprawne.

– Za godzinę pokryjesz się pęcherzami – oznajmił bez szczególnego współczucia Key. – Ale nie za bardzo.

– Udało się?

– Tak, jesteśmy już w hiperprzestrzeni. Ubierz się.

Tommy siadł na łóżku i zaczął ostrożnie wkładać koszulę.

– A gdzie Artur? – zapytał.

– W swojej kajucie, z Andriejem. On jest nawet lepszym lekarzem niż ja zabójcą.

Keyowi przebywanie w „piekarniku” specjalnie nie zaszkodziło – wprowadzony do skóry ceroplast chronił nie tylko przed ciosami Mekłończyka, ale również przed wysoką temperaturą. Nieuniknionym efektem rakotwórczym Dutch się nie przejmował.

– Bardzo pana zawiodłem? – zapytał Tommy.

– W normie. – Key usiadł w fotelu, w zadumie patrząc na chłopca. Pomiedzy nimi wznosiła się lodowa ściana, którą wyczuć mogli tylko oni sami.

– Włączyć muzykę, panie? – spytał przymilnie statek.

– Wsadź sobie zatyczki do uszu! Pytaj, Tommy.

Chłopiec ostrożnie spuścił nogi z łóżka, spróbował się na nich oprzeć i znowu opadł na poduszkę.

– Key, dlaczego się rozmyśliłeś? Czemu mnie tam nie zostawiłeś?

– Jak do tego doszedłeś? – zainteresował się Dutch.

– Pomyślałem trochę. Pożytku ze mnie nie było i być nie mogło. Gdyby do szturmu potrzebny był jeszcze jeden bojownik, poprosiłbyś Rodzinę. Tak?

– Tak.

– A to znaczy, że chciałeś mnie wykorzystać do czegoś innego.

Skoro ratowaliśmy mojego sobowtóra, to pewnie miałem go zastąpić. Ciało zostałoby na miejscu, nikt by was nie gonił.

– Zgadłeś – przyznał Key. – Ale nie miałem zamiaru cię zabijać. Tylko uspić. Przecież obiecałem.

– Dziękuję.

– Poznaję rodzinną uprzejmość. Proszę bardzo. – Key wstał. Pójdę do Artura. Z nim jest znacznie gorzej, mały.

– Nie powiedziałaś, dlaczego – rzekł Tommy i Key wyczuł w jego głosie intonację Curtisa.

– Dobrze. Jeśli powiem, że zrobiło mi się ciebie żal, uwierzysz?

– Pewnie, że nie.

– To nie wierz.

Louis zadzwonił do Kal prosto z dogarskiego aTanu. Oznajmił, że przedłużył sobie nieśmiertelność i poprosił, żeby przysłać po niego kuter. Izabela przerwała połączenie. Miała dość kłopotów z Marjan, nad którą pracowała teraz brygada techników i lekarzy, i z T/sanem, który po

pojedyńku z rodakiem znalazł się obok niego na stole operacyjnym mekkańskich chirurgów. Nomachi mógł sam dostać się na stację – żeton SB1 dawał mu wystarczające możliwości.

Beztroska Lemaka doprowadzała ją do szału. Przez cały dzień admirał biegał po stacji, kontrolując prace remontowe, prowadząc niekończące się rozmowy z administracją planety i sztabem głównym, zaniepokojonym ostatnimi wypadkami. Jego reputacja i wydarzenia ostatnich tygodni pozwoliły zatuszować skandal. Kal nie wątpiła, że w rezultacie wszystko zostanie zrzucone na darloksańskich terrorystów.

Admirał wezwał ją dopiero nocą – wystarczająco niedwuznaczny gest. Kal zjawiała się w jego gabinecie, kipiąc niezadowolaniem, i została przyjęta kieliszkiem martini.

– Musimy się trochę zrelaksować – oznajmił Lemak. – Nie co dzień armia i SB1 dostają takiego prztyczka w nos, prawda?

– Czyjś nos okazał się za bardzo zadarty do góry – odparła Izabela, biorąc kieliszek. W jej sytuacji nie mogła klócić się z Lemakiem, ale nie miała zamiaru powstrzymać się od złośliwości.

– Nie przeczę – admirał był pokojowo nastawiony. – Ale jaki bezczelny, co? Jestem zachwycony twoim Altosem.

– Nie jest mój!

– Ani mój, niestety. – Lemak napił się wina. – Kal, niepotrzebnie się denerwujesz. Co mieliśmy? Chłopca, na którym zaklinował się cały system dochodzenia, który umiał wytrzymać każdy ból i przemieniać narkotyki w gówno. Nie jestem pewien, czy nasz lekarz znalazł przyczynę jego uporu. Ponadto Artur ma aTan i raczej nie odebraliśmy mu wszystkich możliwości popełnienia samobójstwa. Po prostu był pewny siebie.

– A co mamy teraz? – zapytała ironicznie Izabela.

– Teraz mamy wyraźny ślad kutra, którym chłopiec mknie prosto do swego celu. Wystartujemy jutro rano i zawiśniemy im na ogonie. Curtis junior długo nie pociągnie, sama wiesz. Ale jest najwyraźniej nastawiony na wykonanie zadania tatusia. Mają tylko jedno wyjście: pośpiech.

– Wystartujemy rano – powiedziała Izabela patrząc przez Lemaka. – Rano...

– Wszystko w porządku?

Kal otrząsnęła się. Uśmiechnęła się do admirała i na jej twarzy nagle pojawiła się bezbronna naiwność dawnej uczennicy, która przyklejała nad łóżkiem portrety bohaterów Wielkiej Wojny.

– Jestem zmęczona, Lemak – poskarżyła się. – Powinnam była zabić Altosa na Tauri. Chłopiec się trzymał, bo w niego wierzył. Nie można zostawiać ludziom wiary w przyjaciół. Za bardzo im to pomaga.

– Jaki tam z niego przyjaciel! Doskonały najemnik, któremu obiecano złote góry i bezpłatny aTan.

– Nie widziałeś, jak walczył z T/sanem. Najemnik by się poddał albo zginął, osłaniając wyjście. A Key walczył, żeby zwyciężyć i odejść. Miał motywację.

Nawet cyborg wydawał się znużony. Wszedł z małej sypialni na kutrze nie przewidziano oddzielnego bloku medycznego – i widząc Keya przy stole, usiadł obok.

– Mów – powiedział Key, dopijając drugą filiżankę kawy.

– Umrze.

– Rozumiem. Kiedy i na co?

– W ciągu tygodnia. Nie chodzi o tortury, ma porażony szpik kostny. Zdaje się, że ktoś postawił sobie za cel całkowitą sterylizację jego krwi.

– Żadnych szans?

Andriej pokręcił głową.

– Coś cię martwi? – spytał Key. W spojrzeniu cyborga mignęło zdumienie.

– Oczywiście. Operacja zakończyła się fiaskiem. Zginął Mekłończyk.

Bracia szeregowcy nie zasługiwali na wspomnienie.

– Chłopiec ma aTan.

Cyborg zastanawiał się przez sekundę.

– W takim razie po co ciągnęliśmy go na statek?

Key nachylił się do groteskowej głowy cyborga i w zaufaniu wyszeptał:

– Żeby umarł w odpowiednim miejscu.

Andriej podniósł się płynnie.

– Przejmę sterowanie. Dokąd prowadzić kuter?

– Na Ursę.

– Do Bullratów?

– Tak. Oczywiście, do imperialnej enklawy. O ile wiem, tamtejsza SB1 ma wystarczająco dużo wewnętrznych problemów, by jeszcze kontrolować statki tranzytowe. Przesiądziesz się na jakiś liniowiec na Gorrę, a my polecimy dalej.

– Dobrze.

– Andriej – odezwał się nieoczekiwanie dla samego siebie Key.

– Naprawdę wykonaliśmy zadanie. Wszystko jest w porządku. Przekaż Lice, że się z nią połączę... w miarę możliwości.

Cyborg skinął głową.

– Nie potrzebujesz pomocy lekarskiej?

Key nie był pewien, czy to nieoczekiwana ironia, czy oznaka sympatii.

– Nie, dziękuję.

Gdy Andriej zniknął na mostku, Key wstał i ostrożnie wszedł do kajuty Artura.

– Witaj – powiedział cicho chłopiec.

Dutch był przekonany, że przed wyjściem Andriej zaaplikował Arturowi środek nasenny, więc zaskoczyło go to.

– Witaj – odparł tak samo cicho. – Lepiej się czujesz?

Prawie całe ciało Artura pokryte było warstwą różowej galaretowatej papki. Na lewej ręce połyskiwała autostrzykawka, na piersi, wbijając w skórę rozcapierzone pajęczki łąpki, zastygł dysk wzmacniacza serca.

– Aha. Wkrótce będę się czuł jeszcze lepiej.

Key ostrożnie przysiadł na brzeжку łóżka i musnął głowę chłopca lekką, jakby przypadkową pieszczotą.

– Kim jest ten chłopiec? – zapytał Artur.

– To ty.

- Jasne. Po niego rwałeś się na Cailis?
- Tak.
- Mogę z nim porozmawiać?
- Jutro. Wszystko jutro. Chcesz spać?
- Nic innego nie robiłem... w przerwach pomiędzy przesłuchaniami.
- Wybacz, że tak zwlekałem.
- Odliczymy ci z nieśmiertelności sto lat... za karę. Key, szybko umrę?
- Za tydzień – powiedział bez wahania Key.
- Odejdiesz ze mną? Wszystko ojcu wyjaśnię, zobaczysz.
- Za tydzień będziemy na Graalu.

Artur uśmiechnął się i papka na jego twarzy zatrzęsała się jak galareta.

- Key, jestem prawie trupem.
- Okłamałem cię kiedyś?

Chłopiec milczał.

- Wszystko będzie w porządku.
- Jesteś pewien?
- Mamy pięćdziesiąt szans na sto. Dokładnie.
- To dużo – powiedział poważnie Artur.

– Oczywiście. A teraz śpij. Potrzebujesz sił. Jeśli nie wytrzymasz tygodnia, trzeba będzie zaczynać wszystko od początku.

- Postaram się – obiecał Artur.
- Postaraj. Posiedzę, dopóki nie zaśniesz.

Rzeczywiście siedział przy łóżku Artura jeszcze godzinę. Potem wrócił do swojej kajuty, posępnie popatrzył na Tommy'ego, który zajął łóżko, i sam usiadł w fotelu. Zresztą, po dwóch godzinach, gdy działanie analgetyków koktajlu bojowego się skończyło, i tak by się obudził.

Rozdział 5

Oni naprawdę idą do Bullratów – powiedział w zadumie Lemak. Hiperprzestrzenne współrzędne były dość niepewne, ale kurs kutra dało się wyliczyć.

– Zdamy na Ursę przed nimi? – Kal denerwowała się. Na mostku niszczyciela czuła się niezbyt pewnie. Tu królowała technika, a ona wolała pracować z ludźmi. Ekran radarów, krótkie meldunki operatorów, przesiąknięte zawodowym slangiem – wszystko to mówiło jej znacznie mniej niż admirałowi.

– Nie – Lemak pokręcił głową. – Mają dodatkowy silnik. Lecimy tylko minimalnie szybciej od nich. Spóźnimy się pięć, sześć godzin.

– Jeśli Curtis ma układy z obcymi... niechby nawet z członkami Aliansu... – Kal przełknęła gulę, która nagle pojawiła się w jej gardle. – Muszę uprzedzić SB1 enklawy. W przeciwnym razie będzie to zdrada.

– Uspokój się. Twoja planeta, Incedios, prowadzi interesy z Bullratami?

– Oczywiście, to jeden ze stałych partnerów. Nasze umowne współrzędne są bardzo bliskie...

– Często chodzą liniowce na Ursę?

– Prawie codziennie.

– W takim razie po co Curtis i Altos mieliby lecieć na Volantis?

Kal wzruszyła ramionami.

– Mają inny cel. – Lemak przełączył coś na pulpicie i na ekranie zapłonęła schematyczna mapa. Maleńkie flagi oznaczały kolonie tej czy innej rasy. W pewnej mierze prymitywny schemat odzwierciedlał również odległości pomiędzy gwiazdami, ale nie te absolutne, nic nie znaczące w praktyce, tylko umowne, hiperprzestrzenne.

– Nowe Rubieże – Lemak dotknął ekranu i ta część mapy, na której gwiazdy lśniły imperialnym biokolorem, niemal nieodcinającym się od fioletowego tła, powiększyła się. – Dwadzieścia na wół oswojonych planet. Jeśli Artur van Curtis kieruje się tutaj, to wybór Ursy jako punktu przejściowego jest usprawiedliwiony.

– Co ma tam zrobić?

– Przeceniasz mnie. Gdybym się domyślał, nie pozwoliłbym torturować dziecka.

Lemak po kolei dotykał palcem flag, które wyświetlały małe fiszki – ogólną informację o planetach.

– Kita, Relon, Selia, Graal... Każda z nich. Jeśli nie zdążymy przejąć kutra, a oni wystartują z Ursy, będziemy wiedzieli dokładniej.

– I co?

– Powitamy ich na orbicie. To wszystko. Po prostu nasza rozmowa z chłopcem i jego wiernym ochroniarzem odbędzie się tuż przy celu ich podróży.

– Jeśli nie odejdą w aTan.

Lemak położył rękę na ramieniu Kal gestem właściciela, ale nie zaprotestowała.

– Nie odejdą. Nie wiem czemu, ale boją się aTanu. Dziwne jak na syna Curtisa, ale korzystne dla nas.

Z wysokości stu kilometrów Ursa przypominała Terrę bardziej niż większość ludzkich koloni. Ta

sama równowaga wody i ładu, te same spirale obłoków...

Key był na planecie-praojczyźnie Bullratów tylko raz i nie mógł sobie odmówić przyjemności osobistego przeprowadzenia lądowania. Odpowiedział na zapytania orbitalnych baz (kuter kurierski Setiko, idzie tranzytem, lądowanie w celu odpoczynku i uzupełnienia paliwa, towarów i ciężkiego uzbrojenia na pokładzie nie ma, wyjścia poza granice enklawy Imperium nie planuje się). Wskazano im korytarz do lądowania i mały stateczek przestał wzbudzać jakiegokolwiek zainteresowanie.

Enklawa ludzi mieściła się na niedużym archipelagu, daleko od centralnego kontynentu. Bullraty niezbyt lubiły wodę i umieszczając pół miliona awanturników w słabo zamieszkanym strefie, wyciągnęły z tego maksymalną korzyść: nie groziły im przypadkowe międzyrasowe kontakty i odpadała konieczność utrzymywania floty rybackiej. Ci ludzie, którzy pierwsi zaryzykowali pojawienie się na planecie niedawnego wroga, w ciągu kilku lat zrobili kokosy na handlu rybami.

Do granicy stratosfery Key prowadził kuter na plazmowych silnikach, potem przeszedł na energochłonne, ale czyste, grawitacyjne. Bullraty miały fioła na punkcie ekologii – normalne dla rasy, której planety właściwie nigdy nie szturmowano, za to starano się zasypać wszelkimi możliwymi truciznami.

W enklawie był tylko jeden kosmoport – imperialny, zgodnie z zastrzeżeniem w warunkach umowy. Wydzielono im strefę do lądowania w najodleglejszym zakątku pola, wśród samych małych jednostek-ziemskich i mekłońskich jachtów, kutrów, małotonażowych statków towarowych. Keyowi wydawało się nawet, że zobaczył mały dysk o charakterystycznych barwach Związku Alkari – rzadkiego gościa na planetach Aliansu. Wojskowych statków nie było obsługiwano je na bazach orbitalnych.

– Długo tu będziesz? – zapytał Andriej, gdy kuter dotknął betonu. Key pokręcił głową. Z dodatkowym silnikiem mogli osiągnąć Graal w ciągu trzech dni. Daj Boże, żeby Artur Curtis przeżył ten krótki okres.

Ledwie słyszalnie trzeszczała gorąca powłoka kutra; lądowanie z włączonym polem ochronnym obraziłoby Bullraty. Key popatrzył na ekran widoku zewnętrznego – odsłonięty samochód służby serwisowej robił pętle pomiędzy statkami, kierując się w ich stronę.

Było ciepło, rzadkie – w wyniku starań meteorologów Bullratów chmury tylko od czasu do czasu zraszały ziemię deszczem.

– Jeśli chcesz, załatwię wszystkie formalności – zaproponował Andriej. – Przejdź się po terenie... Mnie się nie spieszy.

Key stłumił chęć odmówienia. Bez niego kuter odlecieć nie mógł i nawet cyborg nie zdołałby przełamać wbitych w komputer zasad.

– Trzy godziny – słowa Keya zabrzmiały trochę jak pół pytanie, trochę jak prośba.

– Pełne tankowanie i serwis zajmą dwa razy tyle czasu.

– Możesz poczekać?

– Tak.

– I doczekasz się?

Andriej odwrócił głowę. Było coś żalnego w ledwie słyszalnym szeleście syntetycznych pseudomięśni – szyja i niemal cały tors cyborga były sztuczne.

– Gdy jeszcze umiałem czuć – zaczął – Lika Seyker była moją kochanką. Nie potrafię przywrócić poprzednich emocji, ale je pamiętam. Matka Rodziny rozkazała pomóc ci we wszystkim. Kas/s/is

niał swoje powody do oddania, ja mam swoje. Jeśli jej wierzysz, odejdz spokojnie.

– Powiedz jej, że bardzo mi pomogłeś.

– Powiem. Nie mam ani ambicji, ani skromności. Ale przyjemnie mi, gdy mogę być użyteczny.

Key wyszedł z mostka, czując lekki chłód pomiędzy łopatkami. Curtis senior był gnidą i łajdakiem, ale fakt, że wybawił ludzkość od drogi do takiej nieśmiertelności, odkupywał wszystkie jego grzechy. Oczywiście prócz tych, których jeszcze nie popełnił.

– Dziękuję – powiedział Artur. – Postaram się nie dokuczać ci, więcej takimi prośbami. (Tommy wzruszył ramionami. Ich stosunki w ciągu doby „znajomości” przyjęły bardzo dziwny charakter, który zachwyciłby każdego psychologa. Jeśli Artur był okaleczony fizycznie, to Tommy duchowo. Czasem rozumieli się w pół słowa, czasem próby wyjaśnienia jakiegoś problemu nie przynosiły nic poza złością.

– Dobra, cyborg tu schodzi, przecież nie będziesz wołał Keya.

Tommy pokręcił głową.

– Ale mi ojciec wybrał ochroniarza... – Artur zaśmiał się cicho.

– Ja go pierwszy wybrałem – odparł tym samym tonem Tommy.

Chichotali, gdy drzwi się otworzyły i obiekt ich rozmowy wszedł do kajuty. Key miał na sobie biały garnitur z wyszytym na piersi kwiatem lotosu – emblematem Setiko.

– Humor dopisuje? – zapytał, czym wywołał nowy atak śmiechu. Artur, już bez maści regeneracyjnej, pólleżał na poduszkach, Tommy siedział obok. Jeśli poprzednio Key miał wrażenie, że w porównaniu z Arturem Tommy jest mizerny i zaniedbany, to teraz przeciwnie, wyglądał jak okaz zdrowia.

– Długo tu będziemy? – zapytał w końcu Tommy.

– Najwyżej pół dnia... – Key zerknął na swojego podopiecznego.

Artur wydawał się zbyt beztroski – albo Andriej przesadził z trankwilizatorami, albo Curtis junior rzeczywiście uwierzył w zapewnienie ochroniarza. – Arti, puścisz przyjaciela ze mną?

– Do Enklawy? A co tam można robić? – Artur szczerze się zdziwił.

– Wyobraź sobie, że nigdy tam nie byłeś i w ogóle jesteś po raz pierwszy w świecie obcych.

– Aa... Pójdiesz?

– Pójdę. – Tommy nie miał zamiaru się wahać ani narzucać Arturowi swojego towarzystwa. Key zarejestrował w myśli, że chłopcy starannie unikają zwracania się do siebie po imieniu. Ta bezosobowość mogła być oznaką lekkiej wzajemnej pogardy albo przeciwnie, wyjątkowej, niedziecięcej delikatności. Chyba jednak tego drugiego. Tommy, wstając, leciutko poklepał Artura po dłoni, jakby próbował go pocieszyć.

– Kup w porcie ruepp – poradził mu Artur.

Rozdział 6

Samochód służby serwisowej przypominał dżipa – wielkie koła, masywne fotele, mocna rama. Na gładkiej równinie kosmoportu wyglądał dziwacznie. Dopiero po chwili Key uświadomił sobie, że samochód był po prostu obliczony na Bullraty.

Kierowca, nagi do pasa (niebieska kurtka od uniformu leżała na tylnym siedzeniu), młody mężczyzna azjatyckiego typu, popatrzył na nich przyjaźnie i zapytał:

– Interesy czy odpoczynek?

– Jedno i drugie – odpowiedział krótko Key.

– Słusznie – rzekł kierowca. – Zajrzyjcie do Poranka. Śpiewa tam dziś Ałła.

Dutch skinął głową, jakby imię miejscowej śpiewaczki coś mu mówiło. Kierowca wysadził ich przy pawilonie kontroli celnej i pomknął do dżungli statków.

– Przypomina Terrę? – zapytał nieśmiało Tommy, przywierając do Keya.

Bez Artura od razu stracił większość niedawno nabytej pewności siebie. Jego jasna koszula na plecach przesiąkła potem – chłopiec zdążył się przyzwyczaić do chłodnego klimatu Cailisa.

– Nie za bardzo. – Key popchnął Tommy'ego w stronę drzwi. Rzadko tu pada deszcz. Mokra sierść to nic przyjemnego, prawda?

– A skąd mam wiedzieć?

Kontrola nie miała do nich żadnych pretensji. Przez Ursę przechodziło wiele tranzytowych rejsów statków imperialnych i celnicy nie narzekali na brak pracy. Oficer Bullrat szczerząc paszczę, szybko sprawdził dokumenty ręcznym skanerem, obrócił w rękach trzmiela-M i oddał go Keyowi. Setiko było szanowaną korporacją i jej urzędnicy mieli prawo nosić broń.

– Dlaczego mamy różne nazwiska? – zapytał cicho Tommy, gdy wyszli z pawilonu. – Myślałem, że będę twoim synem, jak Artur.

– Legendy trzeba zmieniać. Nie podoba ci się twój prawdopodobny status?

– Nie!

– Gdy przyszedłeś mnie zabić, nie przejmowałeś się tym – nie mógł się powstrzymać Key.

Szli zacienionym bulwarem, obsadzonym miejscowymi gatunkami drzew, z niebieskawymi soczystymi liśćmi i sękatymi pniami.

Rzędy wysokich budynków – grunt był tu drogi – połyskiwały polem polaryzacyjnym, odbijającym podczerwone frakcje światła słonecznego. W efekcie na ulicach było jeszcze bardziej duszno.

Miasteczko żyło interesami kosmoportu. W innych ludzkich osiedlach enklawy można było zajmować się łowieniem ryb czy – wspólnie z Bullratami – pracą naukową. Przyjaźń, jak pierwsi mieszkańcy nazwali miasto na planecie nowego sojusznika, zorientowana była na turystów i na sezon letni. Było tu mnóstwo sklepów z fałszywymi pamiątkami, luksusowe supermarkety, gdzie można było znaleźć oryginalne wyroby innych ras, i niezliczona ilość maleńkich barów, proponujących nie tyle alkohol i narkotyki, co napoje chłodzące. Po dziesięciu minutach po prostu musieli zanurkować do jednego ze sklepików. Tutaj było chłodniej, a obsługa, ku uciesze Keya, nie odznaczała się zbytnią nachalnością, co działało jeszcze lepiej niż nadmierna uprzejmość.

Tommy przykleił się do przypominającej szklaną trumnę witryny z prawdziwym strojem bojowym Bullrata z epoki Wielkiej Wojny. Jak na gust Keya, na stroju było zbyt wiele elementów pancernych,

żeby pewne siebie Bullraty tamtych lat mogły go nosić, i za dużo ozdóbek, by służył jako bojowy. Zostawił chłopca pochłoniętego strojem – nie wiadomo dlaczego włożonym na manekin człowieka – i podszedł do ściany obwieszanej rytualnymi nożami różnych klanów. Noże były wprawdzie fałszywe, ale wykonane po mistrzowsku. Jeden ze sprzedawców pojawił się za plecami Keya jak cień.

– Jest pan zainteresowany?

– Tak. Potrzebny mi nóż klanu Sziwukima Ahara. Ale prawdziwy.

– Nie mamy prawa sprzedawać prawdziwych noży – oznajmił uprzejmie sprzedawca, nie spiesząc się jednak z odejściem.

– Nikt nie ma. A jednak się je sprzedaje.

Na twarzy sprzedawcy chciwość walczyła z ostrożnością.

– Może pan przyjść jutro wieczorem?

Key pokręcił głową.

– W takim razie... niestety – sprzedawca odczuł chyba prawdziwą ulgę. Prawa Imperium były surowe wobec tych, którzy naruszali międzyrasowy pokój.

Tommy oderwał się w końcu od witryny i podszedł do nich.

– Czy macie ruepp, proszę pana?

Sprzedawca ożywił się:

– Ruepp! Oczywiście. Doskonała pamiątka z Ursy dla młodego człowieka. Będzie co wspominać, prawda?

Key w milczeniu zapłacił – suma nie była zbyt wysoka – i Tommy został posiadaczem dziesięciocentymetrowej kulki z tęczowego szkła.

– Przedmiot jednego z kultów religijnych Bullratów – powiedział sprzedawca z taką dumą, jakby sam był centralną figurą tego kultu. – Bardzo dobry psychiczny bodziec, chociaż nasi uczeni negują jego działanie. Zajmujesz się jeng, młody człowieku?

– Zajmowałem się.

– Wspaniale. Spojrzenie na ruepp w stanie medytacji pozwala przeżyć przyjemne wspomnienia, powrócić w czasie... jeśli się w to wierzy, oczywiście.

– Dziękuję – rzekł posepnie Tommy, oglądając kolorową kulkę.

Key położył mu rękę na ramieniu i cicho zapytał:

– Co, kiepski żart Artura?

Tommy podniósł wzrok:

– Nie, przeciwnie. Proszę pana, czy ma pan przyrzady Bullratów? Żeby stać się silnym?

Sprzedawca rozpląnął się w uśmiechu.

– Naturalnie, młody człowieku.

Key musiał zapłacić za spleciony w warkocz giętki sznur, którego jedyną zaletą był soczysty zielony kolor i możliwość noszenia go zamiast paska. Nie zrozumiał, na co poszły jego pieniądze – na wzajemne żarty dwóch chłopców czy na nieśmiałe gesty rodzącej się przyjaźni.

Wychodząc ze sklepiku Tommy popatrzył pytająco na Keya.

– Znajdziemy Poranek i posłuchamy miejscowej gwiazdy? zaproponował Dutch.

– Aha – zgodził się chłopiec z wyraźnym zadowoleniem. – I weźmiesz mi colę. Dwie butelki.

Bar znaleźli bez trudu. Okazał się zresztą małą przytulną restauracyjką. Key długo śmiał się przed wejściem, czytając pełną nazwę zakładu: Poranek w Sosnowym Lesie. Tommy nie zrozumiał powodu jego wesołości. Dopiero wieczorem Artur oświecił go w temacie starożytnego płótna i nawet znalazł reprodukcję w komputerowej encyklopedii sztuki.

Wtedy Tommy przyznał, że Dutch miał sporo racji, chichocząc na widok skleconej z grubych bierwion estrady, gdzie w towarzystwie dwóch młodych Bullratów, grających na drewnianych trąbach, śpiewała Ała – młoda samica tej rasy.

Ktoś w Poranku miał wyrafinowane poczucie humoru.

Rozdział 7

Artur poczuł się gorzej drugiej doby po starcie z Ursy. Rano jeszcze czuł się nieźle, rozmawiał z Tommym, wziął od niego rüpp i długo wpatrywał się w tęczową głębię kulki. Key przejrzał wszystkie dane cyberdiagnostyka, by przekonać się, że mimo wszystko cudu się nie przewiduje. Chłopiec umierał. Powoli – bo połowa jego krwi została zastąpiona uniwersalnym hemolizosem, ale nieodwracalnie – eksperyment wojskowych medyków zniszczył nie tylko szpik kostny, ale i nerki.

W każdym razie Key zdobył pewność, że do Graala zdążą dolecieć. Pozwolił sobie wypaść się i spędzić kilka spokojnych godzin na mostku – sam na sam z szarą ciemnością hiperprzestrzeni na ekranach i spokojnym głosem statku, kończącego lekturę starej książki.

Tommy wpadł na mostek, gdy statek przerwał czytanie i oznajmił:

– Mamy kłopoty, Key. Chłopcy...

– Artur umiera! – krzyknął Tommy, chwytając Dutcha za rękę.

– Key, on zupełnie umiera!

– Nie może umrzeć zupełnie – zauważył Key, strząsając rękę Tommy'ego. – Uspokój się.

A jednak chłopiec miał trochę racji.

Może Andriej, który w swoim życiu był i lekarzem, i zabójcą, mógłby wyjaśnić, co się dzieje, ale Key nie miał jego doświadczenia, a cyberdiagnostyk tylko podawał symptomy, nie ryzykując nazwania przyczyn – zmasowany rozpad erytrocytów, jakby resztki własnej krwi Artura zbuntowały się przeciwko sąsiedztwu z polimerowym hemolizosem.

Ta zielonkawa bladość skóry, która tak zszokowała Keya w bazie orbitalnej, pojawiła się znowu. Artur nie jęczał i nie płakał, tylko chciwie łapał powietrze, podnosząc się na łóżku, jakby sięgał po coś niewidzialnego, co mu uciekało.

– Trzymaj się, królu – powiedział Key, biorąc chłopca za rękę.

– Nie wąż się poddawać, słyszysz?

To, co mógł zaproponować komputer, już się działo. Chlipała pompa, przeganiając krew Artura po labiryncie filtrów i oczyszczając ją z produktów rozpadu. Równolegle chłopcu wprowadzano ciągle nowe ampułki hemolizosu – całkowita wymiana krwi była jedynym wyjściem. W kajucie zwiększyła się zawartość tlenu, statek wykonywał wskazania komputera medycznego, ale ludziom zaczęło się lekko kręcić w głowach.

– Słyszysz mnie, Artur?

Wargi chłopca poruszyły się:

– Tak.

– Wytrzymaj dobę, mały. Wytrzymaj, proszę cię...

Znowu ruch warg i bezdźwięczny szept:

– A potem?

– Potem będzie wszystko dobrze. Obiecuję ci. Pamiętasz, jak chciałeś cudu? Znaku, że masz prawo dojść? Będzie cud. Tylko nie umieraj, Arti!

Chłopiec otworzył oczy.

– Nie śpij!

– Umrze? – zapytał cicho Tommy z tyłu.

– Jazda stąd – polecił Key, nie odwracając się. – Arti, rozumiesz, co się z tobą dzieje? To przecież już nie są następstwa napromieniowania. Co jeszcze można zrobić?

Artur domyślał się, o co chodzi. Bakterie-symbionty, niewidoczna wewnętrzna tarcza, chroniąca go przed narkotykami, truciznami i wirusem dum, nie zostały zlikwidowane przez napromieniowanie.

Zaczaiły się w głębi tkanek, w niteczkach naczyń włosowatych, w komórkach mózgu. Przeczekały i zaczęły na nowo wypełniać krew, z zapalem niszcząc obce domieszki.

A teraz jego własna krew była tylko domieszką do roztworu hemolikwosa. Ironia losu polegała na tym, że Arturowi mogłaby pomóc jedynie nowa porcja bakteriobójczego promieniowania. Ale Key nie miał potrzebnej do tego aparatury, a Artur sił, by to wszystko wyjaśnić.

– Nie śpij – powtórzył Key. – Póki walczysz, żyjesz.

– Dutch, zwiększyć prędkość? – zapytał statek.

– Możemy?

– No, zarżnę silnik, ale jeszcze pięć procent wycisnę – zapewnił go statek.

– Dziesięć.

– Pięć, Key. Będę się starać.

Key skinął głową, nie odrywając spojrzenia od twarzy Artura.

Chyba mu się lżej oddychało, powietrze w kajucie było słodkie i upijało jak mocne wino. Doba. Tylko doba albo nawet mniej, jeśli statek poradzi sobie z pochopną obietnicą.

– Arti, pamiętasz Rachel?

Chłopiec mrugnął na potwierdzenie.

– Kazała cię pozdrowić. Fajna dziewczynka, prawda? Nawet mi trochę pomogła.

Słaby uśmiech.

– Hej, mały... Nie śpij. Chcesz, polecimy na Tauri, jak już załatwisz sprawę ze swoim Bogiem? Jeśli van Curtis cię puści... można skoczyć i w drodze powrotnej.

Artur pokręcił głową, słabo i z powątpiewaniem.

– Co, nie pozwoli? A może twoje zadanie polega na uroczystym złożeniu się w ofierze wyższym siłom? Weź pod uwagę, że ja się nie zgadzam, Bullratowi pod ogon z taką robotą...

Rozmawiał z chłopcem całą noc, umowną statkową noc, która i tak nie mogła stać się krótsza. Key miał doskonałe stosunki ze śmiercią-snem, który tak lubił zamieniać się w śmierć prawdziwą. Dutch to szarpał chłopca, to kołysał go na rękach, nie pozwalając mu tylko na jedno – na sen. I mówił, mówił, mówił...

– Wiesz, ja w twoim wieku, kiedy miałem szesnaście z hakiem, byłem największym żarłokiem na planecie. Akurat zgodnie z planami genetyków trwała przeróbka mojego ciała i z chudzielca przemieniłem się w draba. Wszystko, co zarobiłem, zamieniałem na czekoladę i żółty ser, ten sam, którego tak nie lubisz...

– Grupy terrorystyczne spaliły miasto w ciągu trzech godzin.

Gdy Alkaryjczycy wparowali do swojego kurnika, nie zostało już nic prócz popiołu i przypalonej jajecznicy. A pośrodku miasta drogowskaz z Ksendally z napisem „Hedeon”. Żeby wiedzieli, za co.

W mieście były jaja Podniebnego Lorda. Według ich praw, następne mógł złożyć dopiero za czterdzieści lat. Połowę ichnich oficerów, winnych przedarcia się wroga, zrzucano ze skał z

podciętych skrzydłami. Lord szalał i grzebał własną armię. Taką z niej staruszka. A ja jej trułem o rybach i planktonie...

– Zabawny pancierz, nie lubię systemów siłowych, ale przepalać ściany własnym łbem...

Artur nie zasnął i nie umarł. Rano Key pozwolił mu na drzemkę, jako zabezpieczenie włączając jedną z wyjątkowo dysonansowych melodii mrszańskich. Do Graala tylko dziesięć godzin... Wyszedł z sypialni i znalazł Tommy'ego śpiącego w fotelu, z nadgryzionym jabłkiem w ręku. Słyszając jego kroki, chłopiec się obudził.

– Na razie się trzyma – odpowiedział Key na nieme pytanie. Nie gniewaj się, że cię przegoniłem, ale śmierć, jak sędzia, lubi tylko dwóch świadków. Możesz uznać, że jestem zabobonny.

– Mogę do niego pójść? – zapytał Tommy.

– Idź. Rozmawiaj z nim, szarp go, pomóż mu, jeśli będzie potrzeba, zresztą jego nerki i tak już nie pracują.

Chłopiec poszedł do drzwi.

– Poczekaj. Tommy... tak łatwo się zbliżyliście, to dobrze. Kim jest dla ciebie Artur?

Tommy wzruszył ramionami:

– Chyba bratem.

– Jakim bratem?

– Młodszym – powiedział poważnie Tommy.

Wchodząc na mostek, Key pomyślał, że jeśli Artur zacznie drogę na Graal jeszcze raz, już nigdy nie wyjdzie z tej roli. Młodszy brat, król poszukujący Boga...

Próbował zrozumieć, kim stał się Artur dla niego. I nie znalazł odpowiedzi.

Rozdział 8

Louis Nomachi, człowiek, który rozpoznał Artura Curtisa zmienił się po aTanie. Cały czas spięta i nadal sypiącą, z Lemakiem Kal nie zauważyła tego. Louisa zżerał strach. Przeklinał moment, w którym zaczął przeglądać taśmy z pamięcią Keya. Nienawidził się za pochopną radę daną Izabeli, by nie nadawać sprawie zwykłego biegu, lecz przejął chłopca na Volantisie. Przeklinając, wspominał swoją odwieczną rozrzutność. Jak mógł się tak przeliczyć... Muhammadi, już niemal zregenerowana, unikała go. Zdaje się, że zwała winę na Louisa, choćby dla samej siebie. A Kal nie spieszyła się z wyciąganiem wniosków.

Gdy niszczyciel wszedł w przestrzeń mało znanej, żalostnej planetki Graal, Louis szóstym zmysłem wyczuł nieszczęście. Nigdy nie cierpiał na nadmiar intuicji i ten ssący chłód w piersiach przeraził go. Nomachi zamknął się w swojej kajucie i pił tani koniak – teraz starał się unikać zbędnych wydatków. I czekał na sygnał alarmowy, który stanie się jego dzwonem pogrzebowym. Nie miał pojęcia, jak mógłby mu zaszkodzić Key Altos, jemu, ukrytemu we wnętrzu potężnego wojskowego statku. Po prostu czuł nadchodzącą śmierć, szukającą ofiary.

Key przeniósł Artura na mostek. Stymulatory podziałały i chłopiec był przytomny, chociaż na pierwszy rzut oka nie było tego widać. Statkiem wstrząsały drobne wibracje – zbyt szybko zmniejszała prędkość, wychodząc z hiperprzestrzeni. Tommy z trwogą popatrywał na Keya; widocznie utrata pamięci nie zniszczyła charakterystycznej dla Curtisów cechy – umiejętności wyczuwania kłopotów.

– Za kwadrans będziemy przy planecie – odezwał się Dutch. Chcesz wiedzieć, co się stanie dalej?

Artur skinął głową i cicho powiedział:

– Problemy. Nie wiem jakie, ale będą.

– Możliwe. Arti... ja i Tommy, jako twój zastępca, przedłużyliśmy aTan.

Chłopiec w milczeniu przetrwał tę wiadomość przez kilka sekund, potem skinął głową.

– Rozumiesz, co chcę zrobić?

– Tak. A Tommy?

– Jemu zostanie kuter, kosmos i długie życie.

– A może mnie byś zapytał? – odezwał się Tommy.

Przez sekundę patrzyli na siebie, jakby widzieli się po raz pierwszy w życiu. W końcu Dutch pokręcił głową.

– Dużo o tym myślałem, ale tutaj nawet Curtis van Curtis nie przewidziałby efektu. Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj Artura.

Wibracje ustały i szarą mgłę na ekranach zastąpiła bezdenna czerń. W tym samym momencie głos statku – suchy i oficjalny zakończył spór:

– Wydaje mi się, Key, że ktoś nas wita.

Niszczyciel płynął nad planetą – stumetrowe stalowe cielsko, najeżone wieżyczkami laserów. Statek był przeznaczony do przejmowania wrogich myśliwców w pobliżu słabo chronionych planet – idealny do schwytania małego kutra, który właśnie wyszedł w zwykłą przestrzeń.

– Nie mają szans – powiedział Lemak. – W takiej odległości od planety nie wystarczy mu mocy, żeby wejść w hiperprzestrzeń.

– A po prostu wyłądować, gwizdząc na twoje armaty? Nie możemy go zniszczyć i Key o tym wie.

– Grupy abordażowe są gotowe. Chcesz je wzmocnić?

Kal popatrzyła na swoich ludzi. Nomachi był lekko pijany i na propozycję Lemaka cofnął się gwałtownie, jakby go uderzono. Marjan skinęła głową – rwała się, żeby pogadać z Keyem Altosem. Mechanistka znowu była w formie, tylko oderwane uszy nie zostały z jakiegoś powodu odnowione.

– Niech działają twoi specjaliści – zdecydowała Kal. – Można połączyć się z kutrem?

– Jeśli zechcą odpowiedzieć.

Izabela skinęła głową.

– Zechcą. Powierz tę rozmowę mnie.

Key spodziewał się kłopotów innego rodzaju: czegoś nadnaturalnego, nie dopuszczającego Artura do Graala równie skutecznie jak bojowe statki Podstawy Silikoidów.

Niszczyciel w odległości kilku tysięcy kilometrów nie wyglądał na zrodzony przez siłę wyższą. Zwykły statek imperialny zdolny spalić myśliwiec lub, w razie potrzeby, wypatroszyć go w poszukiwaniu załogi.

– Nie zdołamy uciec – oznajmił kuter.

Key nawet nie odpowiedział. Wygrzebał się z przepastnego fotela pilota i popatrzył na chłopców. Artur nie wydawał się zdumiony, a Tommy nawet się ucieszył.

– Kuter, kosmos i życie? Ha! – wykrzyknął z zadowoleniem. Zostawisz mnie im na pożarcie? Sam się zabiję.

Key wyjął z kabury trzmiela i spojrzał pytająco na Artura.

– Nie wiem – rzekł chłopiec. – Naprawdę nie wiem. Niech wszystko będzie... jak wyjdzie.

Keyowi trudno było wycelować w Artura; naciśnięcie na spust wydawało się absolutnie niemożliwe. Przesunął pistolet na Tommy'ego. Chłopiec zamknął oczy i wczepił się palcami w poręczę fotela, nie wydając żadnego dźwięku.

– Pozwoliłem sobie zmienić kurs i zwiększyć szybkość – odezwał się nieoczekiwanie kuter i Key opuścił pistolet. – Sądzę, że to optymalny wariant.

Artur zaśmiał się cichutko.

– Czy tobie się zdaje, że masz aTan? Stawiaj się w dryf. Jeszcze będę potrzebował kutra. – Key mimo woli popatrzył na pulpit.

– Sztuczna inteligencja jest zabroniona prawem Imperium, Dutch. Nie mam wyjścia.

– Jesteś zwykłą imitacją. – Key poczuł, że go coś ściska za gardło. – Towarzysz dla samotnego pilota. Przestań się wygłupiać.

– Dureń – powiedział kuter i zamilkł. Ale kursu nie zmienił.

Key Dutch położył pistolet na fotelu. Na pulpicie migotało światełko połączenia, o którym kuter wbrew wszelkim zasadom nie pofatygował się poinformować. Key nacisnął klawisz i uśmiechnął się do Izabeli.

– Mamy gorące spotkanie – oznajmił i wyłączył się, zanim kobieta zdążyła otworzyć usta.

Chłopcy patrzyli na niego. Key podszedł do Artura, stanął za jego plecami i położył mu rękę na ramieniu. Na ekranie rósł niszczyciel, otulony mgiełką pola siłowego, szaroniebieski, maleńki na tle planety.

– Graal jest ładny – powiedział Key. – Lubię planety, na których jeszcze nie ma miast.

– Weź Tommy'ego za rękę. Boi się.

Key zdążył ująć dłoń chłopca, mokrą od potu i zimną jak lód, i zapytać Artura:

– A ty?

Na odpowiedź nie starczyło już czasu.

Rozdział 9

Gdy kuter uderzył w pole siłowe, Kal krzyknęła. Na ekranach pojawił się biały płomień, w którym spłonęły wszystkie jej nadzieje.

– Nie! Nie! – wrzeszczała Kal.

Lemak jakby się postarzał: zgarbiony zastygł nad pulpitem, nie reagując ani na meldunki załogi, ani na biegnące po monitorach doniesienia centralnego komputera.

– Wyślij ludzi! – krzyczała Kal, szarpiąc Lemaka na ramię. Na co czekasz?

– Gdzie mam ich wysłać? Żeby łapali fotony? – Admirał odwrócił się powoli. – Zmienili się w energię, odeszli w aTan. Za godzinę Curtis van Curtis dowie się o naszym małym polowaniu na jego syna, za dwie będzie rozmawiał z Imperatorem. Są już na Terrze, idiotko!

Kal rozejrzała się po mostku i utkwiała szalony wzrok w planecie, płynącej pod statkiem.

– Są w aTanie? Tutaj przecież też jest aTan, Lemak! Mogą być na Graalu! Chodziło im o to, żeby dojść do planety, ożywienie następuje w najbliższym oddziale kompanii. Lemak, ląduj!

– To nie kuter, Kal. Nie może wylądować na planecie. – W głosie Lemaka pojawiło się ożywienie. – Mógłbym wykorzystać łodzie desantowe, ale na razie są w konserwacji.

Izabela wzdrygnęła się, jakby wyobraziła sobie godziny stracone na tę procedurę w czasie, gdy Artur Curtis dobije do planety, na którą tak dążył.

– Idziemy za nimi, Lemak.

Admirał gwałtownie podniósł głowę.

– Kal, zwariowałaś.

Izabela odwróciła się i obrzuciła spojrzeniem Marjan – jaka szkoda, że mechanicy odrzucają aTan. Przeniosła spojrzenie na Louisa i rozpięła kaburę. Jej głos był miękki jak aksamit.

– Nomachi, musimy ich gonić. Przez aTan. Louis cofnął się o krok, podnosząc rękę, jakby chciał się zasłonić przed promieniem. Powoli, jak we śnie, wymamrotał:

– Kal, mam mało pieniędzy, a na Dogarze były takie ceny...

– Opłacę ci ten aTan – Kal nacisnęła na spust.

Nomachi runął, na podłogę. Chwilę potem upadła Izabela od ciosu Lemaka.

– Stuknięta suko! Strzelać na mostku!

– Twoje złomy są pewne... mocniejsze od ludzi... – Kal zachichotała, przenosząc spojrzenie z Lemaka na dwóch oficerów, którzy już do niej celowali. – Pomóż mi, admirale.

W Lemaku walczyła wściekłość z rozsądkiem. Popatrzył na sierżanta komandosa, który przybiegł z posterunku, i rozkazał:

– Zastrzelcie ją. Za próbę buntu w trakcie operacji bojowej.

– Z przyjemnością – odparł Ralph Gordon. Jego pierwszy wystrzał spalił Kal nogi, drugi pierś. Dopiero trzeci trafił w głowę.

– Coś zacząłem kiepsko trafiać – zauważył Ralph chowając pistolet. – Proszę wybaczyć, admirale..

– Trzy dni karceru – powiedział Lemak, patrząc na drgające jeszcze ciało. – Za niski poziom przygotowania.

Ralph zasalutował i odwrócił się. Jeśli admirał nawet usłyszał jego odpowiedź: „A choćby i trzydzieści trzy...”, to w żaden sposób nie zareagował.

Muhammadi nadal stała nad trupem Louisa. Lemak przez sekundę popatrzył na mechanistkę i powiedział:

– Proszę pomóc przygotować statek desantowy. Jak sądzę, zna się pani na technice, Marjan?

– Chętnie pomogę – mechanistka skierował się do wyjścia, przechodząc nad ciałem Louisa.

Rzeczywiście przyspieszyła konserwację łodzi: przy jej pomocy technicy poradziliby sobie w ciągu trzech godzin. Ale po dwóch z niszczycielem połączył się sztab operacyjny grupy dogarskiej. Lemak wysłuchał meldunku swojego zastępcy, wydał rozkazy i statek zszedł z orbity planetarnej. Rozpęd był krótki – niszczyciel nie musiał oszczędzać energii. Gdy wchodził w hiperprzestrzeń, planeta wyglądała jak mały dysk.

Do pełnoprawnego oddziału aTanu Graal pretendować nie mógł.

Tutaj kompania postawiła minimalny kompleks – „trójlistek”. Zresztą nawet dwaj klienci jednocześnie na Graalu zdarzali się rzadko. Co najwyżej wpadali pod zawał pracujący w górach górnicy, którzy na żyłę kryształów dzot zdążyli zarobić na nieśmiertelność.

Ten dzień na długo został w pamięci personelu.

– Sygnał poszedł!

Karen Broudi prawie tańczyła przy pulpicie. Key Ovald, kupiec z Endorii – jaki wiatr przywiał go w te strony? Rodak samego Imperatora. Podobno Endoriańczycy są niesamowicie przystojni i prawdziwi z nich arystokraci. Jak w serialu Lodowy tron.

Karen urodziła się na Graalu, była bardzo młoda i jeszcze nie straciła naiwności ani radości życia. Sygnały na równoległych monitorach, przy których nawet nikt nie dyżurował, zauważyła dopiero po kilku minutach i rzuciła się do wideofonu, by wezwać drugą zmianę.

Key Dutch zrozumiał, że znowu żyje. Jego ósma śmierć była lekka – nie ma porównania do poprzednich. Po prostu mgnienie ciemności.

I koniec z bólem przeciążonych w bazie mięśni, koniec ze swędzeniem przemienionej w pancerz skóry. Był tylko strach.

Otworzył oczy.

– Wszystko w porządku, żyje pan – zakomunikowała mu szczuplutka dziewczyna w aTanowskim uniformie. – Jest pan bezpieczny, proszę się nie denerwować.

Sama mogłaby się uspokoić. Key zerknął na świecąca tablicę.

Graal.

Przedarł się. Jego aTan był opłacony i wbrew temu, co zamyślił Curtis, replikator włączono nie tylko na Terrze. Teraz miał dwa ciała w zamian za to, które stracił w płomieniach atomowego rozpadu.

Jedno u Curtisa van Curtisa, drugie na planecie, na której zdaniem Artura był Bóg. Ale tylko jedno ciało mogło zdobyć pełnowartościowy rozum – to, które wskrzeszono jako pierwsze.

– Dzięki za operatywność – rzekł Key. Dziewczyna zaczerwieniła się i od razu spoważniała, pytając oficjalnym tonem:

– Pańskie imię?

– Key Ovald, Endoria, kod trzy, dziewięć, sześć, trzy, jeden, cztery, dziewięć, jeden. Czuję się dobrze. Wszystko pamiętam i mam świadomość tego, co się ze mną dzieje.

Spuszczając nogi z chłodnego dysku, Key z przyzwyczajenia wymacał tanie kapcie i zaczął się ubierać. Dziewczyna patrzyła na niego stropiona.

– Naprawdę, bardzo dziękuję – odezwał się z wdzięcznością Key, wkładając spodnie. – Nie jestem nowicjuszem, panienko. To już drugi raz.

Dziewczyna skinęła głową, trochę uspokojona.

– Nie byłem sam – Key poczuł, że serce zaczyna mu szybciej bić. – Wszystko w porządku?

Nic nie mogło być w porządku, nic. Dwie siatki neuronowe o jednakowych numerach przekazują jednocześnie dwa różne sygnały. Oczywiście nikt nie sprawdza struktury numeru, szeregu nic nieznaczących cyfr. Ale jak może odebrać ten sygnał komputer? Jako pomyłkę. ATan nie zna pomyłek. Jako jeden sygnał? Najprawdopodobniej. Arturze i Tommy, jak się czujecie w jednym mózgu? I kto się tego dowie – Curtis van Curtis czy Dutch?

– Pańscy chłopcy żyją. – Dziewczyna wydawała się wzruszona. Rzeczywiście, dzieci rzadko miewają aTan.

– Chłopcy?

– Proces zaraz się zakończy... albo już się zakończył. Przepraszam, panie Ovald, czy to endoriański zwyczaj dawać bliźniętom jednakowe imiona?

– Prawdopodobnie – wyszeptał Key.

Maszyny. Tylko maszyny, które nie umieją się mylić. Nikt i nigdy nie wymagał od nich porównywania sygnałów. Artur Ovald, lat dwanaście, aTan opłacony. I jeszcze raz Artur Ovald, lat dwanaście, aTan opłacony. Numery prawidłowe. Można ożywiać. Obu. Tak?

Key poczuł zamęt w głowie. Nie, to niemożliwe...

Ale przecież się stało. Karty rozdane, na stole dwa walety kier.

I nikogo to nie dziwi.

Tylko komu dostały się karty-bliźnięta?

– Bardzo pani miła. Jak pani na imię? – zapytał Key.

– Karen – zmieszła się dziewczyna. Mój Boże, co za planeta... Skansen niewinności.

– Proszę mnie zaprowadzić do dzieci, Karen. Bardzo się o nie martwię.

W odróżnieniu od kobiety z Incediosa Karen nawet nie pamiętała o zasadach.

– Chodźmy, proszę pana. Zginął pan... przepraszam, kłopoty wydarzyły się w kosmosie?

– Tak, uderzyliśmy w asteroidę – odparł posępnie Key. Dla dziewczyny, znającej kosmos jedynie z programów TV, była to przyczyna nie gorsza od każdej innej.

Wyszli z modułu reanimacyjnego do małej kwadratowej salki.

Na każdej ścianie drzwi – trzy z nich jednakowe, jedne najwidoczniej prowadziły do pomieszczeń służbowych.

– Tu i tu – pokazała Karen i dodała przeproszającym tonem: Mam tylko trzy moduły, kobieta będzie musiała poczekać. Jej sygnał przyszedł później.

– Kobieta?

– Ojej, nie jesteście razem? Pomyślałam... Prawie od razu po panu były dwa sygnały. Mężczyzna i kobieta z SB1. Ale mężczyzna miał nieopłacony aTan. Wie pan, to takie przykre, gdy człowiek

mógłby przedłużyć aTan, ale nie zdołał zapłacić...

Key nie dosłuchał do końca i zrobił krok w stronę pierwszych drzwi. Cóż, Kal nadal depcze im po piętach. Dobrze chociaż, że jest sama.

– Proszę poczekać, tu jest zamek sensoryczny – Karen położyła dłoń na płytce i Key, wyprzedzając ją, wszedł do modułu pierwszy.

W sama porę – krata emitera aTanu już uniosła się w górę, odsłaniając małe nagie ciało, leżące nieruchomo na białym dysku. Pracownica, znacznie starsza od Karen, ale w jakiś sposób do niej podobna, rzuciła na nich szybkie spojrzenie i pochyliła się nad chłopcem.

Przez chwilę Keyowi wydawało się, że jednak przegrał. Ciało (Artura? Tommy'ego?) było nieruchome. W końcu kobieta powiedziała:

– Wszystko w porządku, przyjacielu. Wszystko dobrze. Żyjesz.

To kompania aTanu.

Chłopiec uniósł się na łokciach i Key pochwycił jego spojrzenie. Artur? Tommy? Pracownicy przyjmą tylko jedną odpowiedź.

– Synku! Artur! – krzyknął Key, rzucając się do chłopca. – Artur, to ty... ty, Artur!

– Proszę wyjść! – w głosie kobiety dało się słyszeć rozdrażnienie. – Chłopcze, wszystko pamiętasz? Jak się nazywasz?

– Artur. – Tommy ledwie zauważalnie mrugnął do Keya. Dutch zaczął się szybko wycofywać, wziął za rękę Karen i wyskoczyli z modułu.

– Dostanie mi się od mamy – mruknęła dziewczyna, ale bez specjalnej paniki. – Widzi pan, aTan działa bez zarzutu.

– To prawda.

Karen w milczeniu otworzyła drugie drzwi i została na progu.

Key też nie miał zamiaru wchodzić – zobaczył, że Artur siedzi na brzegu dysku i mówi coś do niskiego, oliwkowosmagłego aTanowca.

– Dziękuję – rzekł Key – bardzo pani dobra.

Wziął Karen za ramiona i pocałował w usta. Nie wywołało to oporu – dziewczynę przyciągał ten dziwny, erotyczny zapach, który otacza wskrzeszonych i który przyciąga do pracy w aTanie tak wielu nekrofilów.

– Zaraz podejdzie nasz psycholog – oznajmiła Karen, powoli uwalniając się z jego objęć. – Nie sądzę, żeby był potrzebny, ale...

– Bardzo nam się spieszy – Key pokręcił głową. – To przecież nasze prawo, odejść natychmiast?

– Tak, ale na powierzchni...

– Wojna?

– Co pan! Noc!

Key zachichotał, ciągle nie wypuszczając dziewczyny. Noc. Tylko noc. Tak, nie odmówiłby kolacji i normalnego snu. Artur tym bardziej.

Ale za kilka minut ta naiwna dziewczynka zacznie ożywiać Izabelę Kal, która ma prawo posiadania ciężkiej broni i zdolna jest podnieść na nogi całą SB1 Graala, bez względu na opieszałość i prowincjonalność tutejszej Służby.

– Przepraszam, Karen, ale naprawdę się spieszymy. Tak bardzo, że zaryzykujemy utratę snu i

waszego wspaniałego bezpłatnego śniadania.

Rozdział 10

Dżip był stary i jego autokierowcy Key nie zaufałyby nawet na szosie. A droga stawała się coraz gorsza – jeśli pierwsze kilometry najwyraźniej budował aTan razem z kompleksem swoich budynków, to dalej za robotę wzięły się władze planetarne.

– Ominiemy stolicę – powiedział Artur. – Tu na mapie zaznaczyli jeden hotel, można by tam kupić jedzenie. Potem w góry... póki silnik wytrzyma.

Wbrew oczekiwaniom Keya zasnął tylko Tommy, zawinięty w pled na tylnym siedzeniu. Artur siedział z przodu, obok Keya, rześki i zadowolony. Na mapę ledwie zerkał – na pewno znał ją na pamięć.

– Nie mamy czasu zmieniać samochodu.

– Jasne.

Kupili dżip w punkcie sprzedaży obok aTanu, budząc starszawego, kompletnie obojętnego stróża. Key uczciwie wyłożył całą wartość tej ruiny, wiedząc, że raczej nie odda jej z powrotem. Ubranie i broń (tradycyjnie już konwój i stannera) sprzedano im w sklepiku aTanu. Sprzedawcy na miejscu oczywiście nie było, obsłużyła ich Karen. Pomimo nici sympatii, która pojawiła się pomiędzy nimi, Keyowi nie udało się wyprosić trzmiela.

Zresztą nie miał zamiaru walczyć. Ich ratunek był wyłącznie w ucieczce i Key wyciskał ze zdezelowanego silnika setkę.

– Mogę czekoladkę? – zapytał Artur.

– Bierz...

Chłopiec rozwalił się w fotelu, wyciągając nogi na przednią szybę. Szeleszcząc papierkiem, patrzył w noc. Żółte wachlarze reflektorów omiały pustą drogę.

– Jeśli zahamuję, wylecisz przez szybę – uprzedził Key.

– Przypiąłem się. A prędkość zmniejsz, zaraz zaczniesz się grunt.

I motel możemy przegapić.

– Jesteś głodny?

– Strasznie. Dwa tygodnie nic prócz zastrzyków, obrzydło mi.

– Spieszyłem się.

– Przestań, Key, wszystko się dobrze skończyło. Obaj pokpiliśmy sprawę na Tauri.

Key Dutch zerknął na Artura z boku. Mały jadł swoją czekoladkę, jeżdżąc noskiem adidasa po szybie. Z jakiegoś powodu wybrał sobie takie samo ubranie jak na Incediosie, a Tommy po prostu powtórzył jego zamówienie.

– Dorosłeś, królu – powiedział Key.

– Tak? Ciekawe od czego?

– Zignorowałeś śmierć, która zawsze była dla ciebie łatwym wyjściem z kłopotów.

– I tak musiałem umrzeć.

– Ale nawet śmierć wybraliśmy sami.

W dali zamigotało słabe światelko – szyld motelu. Key przyhamował i powiedział:

– Nie rozumiem tylko jednego: dlaczego obaj ożyliście? Komputerowi obojętne, czy jeden i ten

sam człowiek umarł dwa razy, a przy tym jednocześnie, to prawda. Ale przecież aTan był opłacony tylko raz!

Artur roześmiał się.

– Key, zapominasz o jednym szczególe. W pomieszczeniu aTanu ci, których ożywiono, mają tymczasową nieśmiertelność.

– Do diabła...

– Gdy komputer potwierdził, że jeden z nas ma prawo do ożywienia, to pod prawo o tymczasowej nieśmiertelności trafiłem albo ja, albo Tommy. I rozpatrując drugi sygnał, komputer zezwolił na ożywienie z tego właśnie powodu. W statystyce taki przypadek podchodzi pod kategorię: „Śmierć w pomieszczeniu kompanii z niewyjaśnionych przyczyn”. Rzadko się to zdarza, ale gdyby było nas nie dwóch, a siedmiu, i tak ożywiono by wszystkich.

W motelu, przysadzistym drewnianym budynku, obok którego stało kilka furgonetek, Key obudził gospodarza i zadał kolejny cios swoim oszczędnościom. Miejscowe artykuły spożywcze nie były drogie, ale za sprzedany wbrew prawu karabin fuzyjny zdarto z niego potrójną cenę.

– Jak chcesz, to poprowadzę samochód – zaproponował Artur, gdy Key wrócił z ciężką torbą.

– Dobra.

Dutch przelazł na tylne siedzenie, dostatecznie szerokie, by pomieścić i jego, i Tommy’ego. Tutaj było ciepło, po równej drodze Artur prowadził samochód, włączając tylko napęd na tylne koła. Tommy mruknął coś przez sen i przytulił się do Keya.

– A właśnie, twój kontrakt wygasł – zauważył Artur. – Jestem na Graalu... i to nawet w dwóch egzemplarzach.

– Jesteś przekonany, że moje usługi nie będą ci już potrzebne?

– Absolutnie.

– Mimo wszystko wolę towarzyszyć ci do końca. Pamiętasz naszą małą umowę?

– Pamiętam.

Artur prowadził samochód spokojnie i Key szybko zasnął. Był zmęczony, bardzo zmęczony. Jego klient uważał kontrakt za wypełniony, ale w nagrodę Key nie wierzył. Nie miał już pieniędzy, kutra ani nieśmiertelności.

Dobrze by było zachować przynajmniej siły.

Na małym, nieoświetlonym placu punktu wynajmu Kal szybko ominęła kilka samochodów, dożywających tu swoich ostatnich dni w oczekiwaniu na bogatych nieśmiertelnych. Wstąpiła do domku gospodarza, spędziła tam kilka minut i wyszła na świeże powietrze.

Tu rzeczywiście lekko się oddychało. Noc była chłodna i przywracała siły jak mocna kawa. Kal siedziała na masce sportowego torrero i patrzyła w niebo, szukając szybkiej i jasnej gwiazdy – niszczyciela Lemaka. Droga Mleczna błyszczała nad Graalem niczym brylantowe kruszywo.

– Szczęściarz – powiedziała Kal do nieba. – Dlaczego jest taki fartowny?

Niebo nie odpowiedziało. Tylko iskierki meteorów płonęły nad głową kobiety.

– Głupcy też mają pecha tylko wyjątkowo – ciągnęła Kal – wtedy, kiedy są potrzebni mądrym. Ta gruba świnka nie opłaciła swojego aTanu! Kto by pomyślał.

Z daleka, od strony miasta, które na Graalu nazywano stolicą, rozległ się równy huk. Izabela zaczekała, aż flaker służby medycznej wyląduje, po czym zeskoczyła z maski. Lekarz z trudem

wyciągał z maszyny swoją walizkę – pewnie zaczepiła o coś.

– Co się stało? – zerknął przelotnie na kobietę. W słabym świetle kabiny jego nieogolona twarz wydawała się jeszcze bardziej senna niż w rzeczywistości.

– Staruszek umarł – oznajmiła Kal.

– Jest pani pewna, że ubezpieczenie... To po jakie лихо? Co ja jestem, grabarz? – Lekarz obejrzał się i zostawił torbę w spokoju.

Kobieta podeszła wystarczająco blisko, by mógł zobaczyć jej oczy.

Było w nich szaleństwo i śmierć.

– Nie, klient grabarza – odparła Kal. Szybkostrzelny laser w jej rękach plunął ogniem. Kal przesunęła celownik na pilota i zobaczyła, jak drgnęła mu twarz.

– Proszę pani...

– Wyłaź.

– Po co?

– Szybko.

Pilot opuścił swój fotel na sztywnych nogach. Posłusznie wykonał polecenie kobiety i odszedł od flaueru. Sto metrów dalej świeciły lampy przed wejściem do podziemnego centrum aTanu – świąteczny blask niekończącego się życia, zapomnianych strachów, nowych nadziei. To była ostatnia rzecz, jaką zobaczył.

– Flaer pilnie potrzebny – oświadczyła Kal, zwracając się do nieba, a może do zabitych ludzi. Fotel był jeszcze ciepły. Izabela mogłaby zarekwirować dowolny samochód na Graalu, ale jej żeton został na niszczycielu.

Rozdział 11

Droga najpierw była gruntowa, potem znikła wśród kamienistych wzgórz. Koła dżipa wzbijały fontanny drobnego, białego pyłu. Artur prowadził samochód do świtu, potem zatrzymał się, obudził Keya i Tommy'ego. Zjedli wędzone mięso, opakowane w gruby plastik, potem Artur zasnął, a Key siadł za kierownicą. Przejechał jeszcze dziesięć kilometrów, gadając o różnych głupstwach z Tommym i słuchając radia. Na Graalu były chyba tylko dwa kanały – planetarny i imperialny. W południe nadawanie muzyki na kanale planetarnym zostało przerwane i usłyszeli wystąpienie Imperatora. Grey powiedział to, czego Key spodziewał się przez ostatnie dziesięć dni – zaczęła się wojna z Darlokiem. Powód – eksplozja w ambasadzie Imperium na Nardii, centralnej planecie Jedności Darloka. Dutch tylko się uśmiechnął, wspominając Wiaczesława z grupy Tarcza. Nie spodziewał się po tej wojnie specjalnych wstrząsów; jedyny sprzymierzeniec Darloka, Związek Alkari, miał wystarczająco dużo własnych problemów. Potrójny Alians, którego podstawę stanowiła flota imperialna, desantowe oddziały Bullratów i mekłońska technika, był zdecydowanie najsilniejszy w galaktyce. Może gdyby Imperator Grey postawił sobie za zadanie całkowitą zagładę starożytnej rasy, do gry włączyłyby się Silikoidy, poruszyłaby się Konfederacja Pylonu i płomień wojny zalałby świat. A tak wszystko ograniczy się do zniszczenia wrogiej floty i okupacji kilku planet. Key był tego prawie pewien.

Kal, krążąca na flaerze sto kilometrów od nich – los sprawił, że sprawdziła najpierw drugą drogę – też usłyszała przemowę Imperatora. Prawdopodobnie zrozumiała z niej, że niszczyciel Lemaka od dawna idzie przez hiperprzestrzeń i niedługo połączy się z eskadrą. Ale trudno było za to ręczyć – świadomość Izabeli, zawsze dość chwiejna, szybko pogrążała się we własnym spaczonym świecie. Nie było w nim ani Imperatora, ani Lemaka, ani planety Incedios, gdzie ogłoszono, że jest wakat na jej stanowisku. Istniał tylko Graal – szmaragdowozielony na nizinach, bezpłodnie kamienisty w górach; istniały rzadkie osiedla, gdzie można było wypytać o starego dżipa z trzema pasażerami; istniał Key Altos i Artur, który rozdziwił się w jakiś koszmarny sposób.

Samochód służył im do wieczora, dopóki wzgórze nie przeszły w płaskowyż usiany ogromnymi głazami. Keyowi mimo woli przyszła do głowy myśl o lodowcu, ale na kamieniach nie było śladów wygładzenia, same ostre kanty i poszarpane granie. Zgasił silnik i cisza otuliła starego dżipa pogrzebowym całunem.

– Na mapie to miejsce nazywa się Zła Ziemia – rzekł Artur. Tutejsi mieszkańcy wolą inne niecenzuralne słowo.

– Dlaczego? – zainteresował się Key.

– Ci, którzy się tu znaleźli, bardzo często przeżywają nieszczęśliwe wypadki. Niemal wszyscy. Zaostrzenie przewlekłych chorób, nieostrożne posługiwanie się bronią, upadki ze skał. Jeszcze pięć, sześć lat i miejscowe władze zajmą się tym miejscem na poważnie.

Dlatego tak się spieszyliśmy.

– A jak ty byś nazwał Złą Ziemię?

– Progiem. Nie bój się, Key, ty masz klucz. Nawet dwa. Wiedziałeś o tym, inaczej nie rwałbyś się po Tommy'ego. – Artur wysiadł z samochodu, odszedł za najbliższy głaz i krzyknął:

– Ale postaraj się być blisko któregoś z nas, dobrze?

Zostawili dżipa i ruszyli na południe. Szli przez pustynię, potykając się na drobnych kamieniach i omijając wielkie głazy. Key podzielił zapasy na trzy części i chłopcy w milczeniu powkładali

pakunki do kieszeni kurtek. Na rozmowę nie mieli ani sił, ani ochoty.

Dutch spostrzegł, że zaczyna mylić Artura z Tommym. Identyczność ich ciał i ubrań wzmocniło mylące podobieństwo zachowania.

Czy Tommy mimowolnie naśladował Artura? A może, chociaż to dziwne, było na odwrót?

Wieczorem Tommy zsunął się z głazu i podrapał sobie policzek, Key poczuł dziwną ulgę. Ściemniało się, gdy zatrzymali się na nocleg, rozkładając na kamieniach zdarte z foteli dżipa pokrowce. Polimerowy aksamit niemal nie przepuszczał zimna i Key błyskawicznie usnął.

Rano zobaczył, że podeschnięte zadrapania zdobią już obu chłopców.

– Poszedłem się w nocy wysikać i wpadłem na kamień – wyjaśnił Artur.

– Pewnie przed lustrem? – skomentował Key.

Zjedli i poszli dalej. Prowadził Artur. Drogę znał tak dobrze, jakby szedł po niej setny raz. Dwa razy musieli zboczyć, żeby napełnić butelki wodą przy małych źródelkach.

Key prawie się nie odzywał. Po raz pierwszy w ciągu ostatniego miesiąca poczuł się zbędny – uczucie, normalne pod koniec zlecenia, nabrało bolesnej ostrości.

– Dutch, twój statek naprawdę był rozumny? – zapytał Tommy na jednym z krótkich postojów.

– Zaprogramowałem mu pseudoswobodę zachowania.

– Co to znaczy?

– Starał się być osobowością. Każdy kapłan czy programista udowodni ci, że nie ma to nic wspólnego z rozumem. Zwykła imitacja nie do odróżnienia.

– To jest jakaś różnica?

– Ano żadnej...

Na mały placyk pomiędzy skałami wyszli pod wieczór, gdy zaczął zapadać zmrok. Artur stanął i obejrzał się na Keya z lekką ironią, którą Dutch widywał w jego spojrzeniu jedynie na Terrze.

– Warto tu zanocować, Dutch?

Key przyjrzał się kamieniom pod nogami. Były cieplejsze niż powinny i wydawały się wypolerowane wodą, wiatrem... lub ogniem.

– Sądzę, że nie. Jednoosobowe korwety miewają bardzo brudne silniki. Mogę się założyć, że kamień cuchnie.

– Kapuję – skonstatował Artur.

– Curtis tu lądował – ciągnął Key. – Właśnie takie planety wybierał... gdzie nie było ryzyka wpadnięcia na wroga. Z komputerami zawsze był za pan brat i jego pokładowy dziennik nie wzbudzał zastrzeżeń. Swobodni łowcy nie uznawali rozkazów i przed nikim w zasadzie nie odpowiadali. Bardzo wygodne.

– Przestań.

Dutch nadal patrzył na stopione kamienie.

– Plazmowa torpeda do rozwalenia wrogiego transportu, dwa neutralniki, żeby odbić się od myśliwców, trzy gramy antyhelu w magnetycznej pułapce, które można wyrzucić na obcą planetę.

Bardzo udane statki, okazały się pożyteczniejsze niż liniowce. Tysiące statków, tysiące pilotów, wśród których było niemało tchórzów.

Nie musisz mieć kompleksów, Arti.

– Co on chce powiedzieć? – Tommy wziął Artura za rękę. Stali przed Keyem niczym odbicia w niewidzialnym lustrze.

– Że ojciec jest tchórzem.

– Artur, Curtis van Curtis nie jest twoim ojcem. To ty sam, tylko przeżyłeś inne życie. Wtedy van Curtis miał tylko dziewiętnaście lat, nie miał aTanu, pieniędzy ani władzy. I nie chciał umierać.

Artur uśmiechnął się krzywo, nie po dziecięcemu i powiedział:

– Ty pewnie chcesz, co? Chodźmy dalej, tam jest zagajnik nad rzeką.

Rzeka płynęła spokojnie, nie przypominała rwącego górskiego potoku i brzegi miała porośnięte kłującymi krzewami. Obiecany zagajnik składał się z kilkunastu drzew – przysadzistych i obsypanych soczystymi pomarańczowymi strączkami.

– Trucizna – zauważył Artur. – Ale kolczaki można jeść, tylko są niesmaczne.

Z połamanych suchych gałęzi Key rozpałił ognisko. Zjedli mięso i czerstwe placki, posypane ostrą przyprawą. Tommy niemal od razu zasnął, nie zadając pytań, nie interesując się dniem jutrzejszym.

Dutch przelotnie pomyślał, że chłopiec rozpoczął własną grę.

– Mieliśmy umowę – odezwał się Key do Artura.

Curtis junior popatrzył na niego przez płomień ogniska.

– Naprawdę chcesz mnie zabić?

– Jeśli nie będzie innego wyjścia. Chcę prawdy.

– Do jutra poczekaasz?

– A po co?

– Nocą nawet słowa mają inną barwę.

– Trzeba nimi mniej grać.

– Opowiedz mi bajkę, Key. Na koniec.

Dutch rzucił na ziemię pokrowiec i położył się na cienkim materiale. Nad nimi płynęło niebo – chłodna, połyskliwa zasłona. Artur ułożył się obok.

– Dawno, dawno temu – zaczął Key – chłopiec, który bał się umrzeć, znalazł Boga. Bóg był bardzo stary i strasznie się nudził.

Kiedyś stworzył świat i w tym świecie zabrakło dla niego miejsca.

Zapytał chłopca, czego on chce. I chłopiec wyznał mu: chciał być władcą życia i śmierci.

– Znam tę bajkę – przerwał Artur. – Nie ma w niej nic interesującego.

– Najśmieszniejsze było to – ciągnął Key – że chłopiec nie wierzył w Boga. Wierzył tylko w maszyny, które były mu posłuszne.

A więc Bóg też był dla niego maszyną i nawet życie i śmierć, które zostały mu oddane we władanie, okazały się maszynami.

– Dlaczego Bóg dał mu taki prezent?

– Dlatego, że nieskończona władza i wiedza nie pozostawiają miejsca na pragnienia. Pragnienia chłopca stały się pragnieniami Boga. Odszedł z kamiennymi tablicami, na których były szkice życia i schematy śmierci. Postarzał się, zanim wbił je w żelazo... Śpij, Artur. Poczekaam na świt.

– Dlaczego?

– Dlatego, że ta noc ma swoje barwy i chcę je zapamiętać. Jutro jeden z nas umrze, prawda?

- Tak – przyznał Artur.
- Przykre. Zdążyłem się do ciebie przywiązać.
- Wzajemnie. Lepiej odejść, Key. Weź Tommy'ego i idźcie.
- Odpowiadam za ciebie.

Rozdział 12

Kal nawet nie wylądowała obok porzuconego dżipa. Flaer zatoczył krąg, oblewając maszynę światłem reflektorów, i znowu wzbił się niebo.

– Idę – powiedziała Izabela. – Myślałeś, że uciekniesz?

W kabinie flaeru nieznośnie śmierdziało. Już drugi dzień Kal nie trudziła się, by lądować w celu załatwienia potrzeb fizjologicznych. Zapach wydawał się jej całkiem naturalny.

– Nie jesteś mi już potrzebny – ciągnęła Kal. – Mam w nosie twój aTan. I to, czego tu szukasz. Prawda, Lemak? Ty też to olałeś, więc chyba nie jest nic warte...

Lemak, istniejący tylko w wyobraźni Izabeli, skinął głową z drugiego fotela. Znowu był stary, taki, jaki powinien być. Bohaterom dziecięcych snów aTan nie jest potrzebny.

– I wiem, jak zabić nieśmiertelnego – ciągnęła Kal, zwracając się teraz do Louisa, który w nieuchwytny sposób zastąpił admirała.

Nomachi opuścił głowę. – Głupiec umrze sam – ciągnęła, wpatrując się w ekranik noktowizora. – Wystarczy traktować go jak mądrego, a umrze. A mądrego można złamać. Sam nie będzie chciał żyć... ty też nie będziesz chciał, chłopcze...

Zerknęła na fotel, ale Artur się tam nie pojawił. Szczeniak czekał na nią gdzieś w dole, ze swoim sobowtórem znikąd i wiernym psem-ochroniarzem.

– Lecę do ciebie – powiedziała czule Kal, kierując flaer ku ziemi. – Już lecę...

Niewidoczna nić, którą utkał rozpadający się umysł kobiety, połączyła ich niemal tak mocno jak zakochanych. Sama o tym nie wiedząc, Kal miała klucz, więc jej flaer nie spadł nad Złą Ziemią, gdzie przypadkowe awarie stawały się regułą.

W różowym świetle poranka Kal zobaczyła na ekranie ciemną plamę – ślad dopalającego się ogniska. Zachichotała, poprawiła włosy i wylądowała sto metrów dalej, żeby huk silników nie zakłócił nawet najczujniejszego snu. Wsiadła z kabiny, wciskając za pasek laser; nie zauważyła bólu w osłabłych nogach ani zimnego wiatru, wkradającego się pod lekką sukienkę.

Ponad rzeką płynęły strzępy mgły, w lazurze nieba paliła się jeszcze jakaś uparta gwiazda. Kal podeszła do wody i chciwie się napiła, stojąc jak pies na czworakach i chłopcząc wprost z rzeki. Posłuszna nagłemu porywowi, rozebrała się i umyła do pasa.

Poczuła się lepiej. Pospiesznie włożyła sukienkę, podeszła do flaeru i krzywiąc się, ściągnęła z umocowanych w ładowni noszy ciepły koc. W walizeczce zabitego doktora znalazła flakon ze spirytusem i wypila dwa duże łyki. Potem usiadła na brzegu i zaczęła czekać.

Artur obudził się pierwszy. We śnie tulił się do Keya i mężczyzna objął go jedną ręką. Tommy, ze swoją zdobytą na Cailisie wiedzą o stosunkach dziecko-dorosły, natychmiast by się uwolnił. Curtis przez lata swojej drogi nauczył się rozpoznawać różnicę dotyku.

Poleżał minutę, patrząc na twarz Keya, w którym teraz nie było nic poza piętnem zmęczenia, potem ostrożnie zdjął jego rękę. Key spał dalej. Artur cichutko wstał i poszedł w stronę rzeki.

Kal siedziała nieruchomo, jak rzeźba owinięta przez jakiegoś żartownisia w koc. Artur przeszedł obok Izabeli w odległości dziesięciu metrów, nie zauważając jej wśród drzew w łudzącym porannym świetle. Kobieta bezszelestnie wstała i poszła za nim, utrzymując ten sam dystans.

Na chwilę jej świadomość się rozjaśniła: Kal długo patrzyła, jak chłopiec się myje, prychając od

zimnej wody i wybuchając wymuszonym śmiechem. W jej oczach był teraz smutek, czuły jak macierzyńska miłość.

Chłopiec odwrócił się i zobaczył ją.

– Sprawileś mi tyle kłopotów, Artur – powiedziała Kal.

Nie odpowiedział. Nie mógł mówić.

– Rozumiem, ja ciebie też nie oszczędzałam – ciągnęła kobieta.

– Ale to ty zaczęłaś tę grę. Trzeba było się poddać wcześniej, a ty walczyłeś, zwyciężałeś. Co teraz?

– Zwyciężyłem – powiedział chłopiec. – Stałem się dorosły.

– Tak? Po to tu szedłeś? Obrządek inicjacji Curtisów... – pokonać armię i SB1? Dobrze, nieważne... Jeszcze nie jesteś dorosły.

Zrobiła krok w stronę Artura, a chłopiec cofnął się, wchodząc po kostki do lodowatej wody. Kal podniosła laser.

– Nie potrzebuję twoich tajemnic. Zachowaj je sobie. Różne dobre dziewczynki w tutejszym aTanie martwiły się, że Altos nie przedłużył nieśmiertelności ani sobie, ani dzieciom... Ty i tak nie umrzesz, prawda? Tatusz ożywi cię na Terrze. Żyj. Podróżuj od nowa.

– Nie trzeba – rzekł Artur. – Proszę.

– Miałam rację – Kal uśmiechnęła się czystym uśmiechem, który umarł w niej kilka dziesięcioleci temu. – Można cię złamać...

Więc łam się. Drugiego ciebie też zabiję. A Key niech sobie żyje. To będzie interesujące.

Dotknęła spustu i cienki biały promień uderzył Artura w pierś.

– Pierwszy – powiedziała Kal.

Artur stał. Jego kurtka parowała, jakby przeprasowano ją żelazkiem. Kal znowu nacisnęła spust i promień trafił w twarz.

Artur stał dalej.

– Padaj! – krzyknęła Kal. – Padnij, jesteś zabity!

Obłęd znowu zakipiał w niej jak wściekły czarny wir. Wystrzeliła jeszcze raz.

Artur zaśmiał się.

– Jeden gotowy – oznajmiła Kal, wypuszczając w chłopca całą serię. – Teraz kolej na drugiego.

Potem położyła laser na ziemi i w zadumie popatrzyła na zagajnik.

Curtis junior przestał się śmiać, gdy przeszła obok niego. Zatrzymała się na chwilę, dotknęła jego ramion i musnęła czoło lekkim pożegnalnym pocałunkiem.

– Tak trzeba. Śpij.

Nurt był spokojny. Kal przeszła z dziesięć metrów, zanim zbiło ją z nóg i powlokło po kamieniach. Mogłaby łatwo wypłynąć, ale Artur odniósł wrażenie, że Izabela nawet nie próbuje walczyć z potokiem. Na chwilę mignęła wyrzucona z wody ręka i to wszystko.

Artur długo stał w wodzie. ATan ratował tylko ciało, chory umysł pozostawał problemem lekarzy. Oczywiście nie było mu żal Izabeli, ale radości też nie czuł.

Po chwili ręka Keya dotknęła jego dłoni.

– Chcesz się przeziębic?

– Była tu Kal – powiedział Artur. – Zwariowała i skończyła ze sobą.

– Masz szczęście, królu.

Artur popatrzył na swojego ochroniarza.

– Chodźmy, Dutch. Wszystko ci opowiem. Chciałbym, żeby Tommy też usłyszał.

Rozdział 13

Curtis junior zdjął buty i owinał bosc nogi kurtką. Adidasy Key ustawił tak, żeby wysuszyły się przy rozpalonym na nowo ognisku.

– Ojciec znalazł tę planetę pierwszy – powiedział z dziwną dumą Artur. – Możesz go uważać za tchórza, ale za odkrycie tlenowego świata klasy A przebaczano znacznie większe winy.

– A podał współrzędne służbie kolonialnej?

Artur spuścił oczy.

– Mów dalej.

– Spędził na statku tylko jedną noc. Rano coś go... jakby zawołało. Ojciec nawet nie wziął broni. Po prostu poszedł w stronę rzeki, do tego właśnie miejsca...

Curtis van Curtis, powołany do floty według nowego prawa Imperium, które odwoływało wszystkie poprzednie ulgi, stał na brzegu. Nie wiedział, co go tu przywiodło. Powinien odlecieć – na Terrze czekała go nagroda za odkrycie świata odpowiedniego do zasiedlenia. Nie warto było ryzykować, skacząc po kamieniach w poszukiwaniu miejscowych zwierząt.

Przeszedł rzekę w bród i pomaszerował w stronę skały, niczym nieróżniącej się od innych – ot, martwy granitowy głaz. Curtis nie czuł już strachu, który stał się towarzyszem jego życia. Ucieszyłoby go to, gdyby jeszcze mógł czuć emocje. Jak dwunożny automat podszedł do kamienia. I nagle świat wokół znikł, zmienił się w osłepiającą mgłę bez czasu i przestrzeni.

Nawet wtedy się nie bał. Stał się częścią czegoś tak ogromnego, że dwa kilogramy neuronów w kruchej czaszce znaczyły mniej niż pył na wietrze. Otwarty na oścież, nie czuł ani aprobaty, ani niezadowolenia. Niczego. Zbyt był mały.

I jednocześnie stał się jedynym bodźcem dla tego, co go otaczało.

Na chwilę zobaczył siebie obcym wzrokiem, płynącym zewsząd.

Człowieczek wystarczająco silny, by wymyślić cele i wystarczająco słaby, by je mieć.

Curtis van Curtis poczuł wzrok Boga.

A potem mgła się rozplynęła i zobaczył Go.

– Ojciec nie wie – mówił Artur – czy tam jest planeta, czy cały świat. Świat Boga... Nie mógłby stworzyć Wszechświata, gdyby nie był mu równy.

– Żelazna planeta z fabrykami gwiazd – Key patrzył na rzekę.

Było tam dużo skał i nie sposób odgadnąć, która z nich to Wrota.

– Oczywiście, że nie. Ojciec nazwał Go maszyną tylko dlatego, że był fizycznie realny. Nie wyjaśnił mi tego, sam muszę zobaczyć.

– Curtis nie mógł zobaczyć innego Boga. Potrzebował gruntu pod nogami, czegoś, co mogło mówić, czegoś, co umiało patrzeć.

Znalazł swojego osobistego Boga.

– Tak. I co z tego? Jeśli nawet zobaczył tylko część i tylko tę, którą mógł zobaczyć, to co? Żeby zobaczyć wszystko, trzeba być równym Bogu.

– Masz rację – zgodził się Dutch. Popatrzył na siedzącego obok Tommy'ego. Co zobaczyłby ten chłopiec – lśnienie w bezkształtnym obłoku, jak na freskach w kościołach Wspólnej Woli, czy giganta, nieludzko silnego tytana?

A co zobaczyłby on?

– Ojciec mówi, że On nie ma pragnień – ciągnął Artur. – Tu twoja bajka ma rację. On stworzył świat, ale więcej na niego nie wpływał. To po prostu nie ma dla Boga sensu. I gdy ojciec przeszedł Wrota, stał się tą częścią Wszechświata, która umie pragnąć. Bóg zaproponował mu świat.

Artur opowiadał monotonnym, znudzonym głosem. Key nie wątpił, że mówi prawdę. Artur Curtis wyrósł z tą wiedzą. Jego ojcu jemu samemu – Bóg podarował Wszechświat.

A on zrezygnował z podarunku?

– Nie powiedziałbym, że ten świat jest światem Curtisa – zauważył Key.

– Nie ten. Ten świat został stworzony i jest niezmienny. Nawet to, co się jeszcze nie zdarzyło, jest z góry przewidziane. Bóg otworzył drogę i ojciec nazwał ją Linią Marzeń. Można ją zobaczyć i można po niej przejść. Na końcu drogi ojciec otrzymałby nowy świat, nowy wszechświat, stworzony dla niego. Wszechświat jego marzeń.

– I zrezygnował?

– Poprosił o czas na zastanowienie. Nieskończony czas, by uświadomić sobie własne marzenia. I dostał aTan. Teraz postanowił otrzymać również Linię Marzeń.

Key zaśmiał się. Oparty o chłodne kamienne wezłowie, patrzył na stworzone przez kogoś niebo. Sto metrów dalej, za świętymi Wrotami, drzemał flegmatyczny Bóg, który dawał prezenty pierwszym pielgrzymom. Na odległej Terrze Curtis van Curtis robił szkice marzeń.

– Bóg powiedział mu, że będzie musiał wrócić – ciągnął z lekką urazą Artur. – Powiedział, że ojciec musi przyjść... Nieważne, czy będzie starszy czy młodszy. I on przyszedł. Ja przyszedłem do Boga.

– Będiesz marzył za Curtisa? – zapytał Dutch. Poczł, jak opada z niego napięcie. Dramat okazał się farsą. Keyowi odpowiadał taki Bóg, którego nie obchodzą ludzkie sprawy. Nie niepokoił go świat marzeń, który wymyślił dla siebie Curtis van Curtis.

– Każdy ma swoje marzenia. Ojciec wybierze sam, a ja sam. Artur przysunął się do ognia, zdejmując adidas z wbitych w ziemię kijów. – Pomyśl, czego ty pragniesz.

– Przede wszystkim nie chcę cię zabijać – odparł Key. – I cieszę się, że nie muszę tego robić.

– Ja też, bo nie mógłbyś mnie zabić.

Artur włożył rękę w ogień. Powoli wyjął garść węgla. Tommy krzyknął.

– Spróbuj, też ci się uda – zachęcił go Artur, wyjmując rękę z ognia. – To Próg, tu mogą stać jedynie wybrańcy. Jesteśmy pod ochroną. Ojciec też tak przypuszczał, ale nie miał pewności.

Węgle tliły się na jego dłoni – purpurowo-czarny, sączący niebieskawy dymek stosik. Key uderzył w tę rękę, strząsając węgle, aż rozprysnięte iskry ukłuły mu skórę.

Dłoń Artur była czysta, nietknięta żarem. Skóra nawet się nie zaczerwieniła.

– Nie martw się, Key. W świecie twojego marzenia możesz być tak samo nietykalny. To będzie twój świat, odpowiadający twoim pragnieniom. Jeśli zechcesz, spalą w nim statki Sakry przy podejściu do Shedara. Jeśli zechcesz, w ogóle nie będzie tam obcych.

– Mnie nikt nie dał Linii Marzeń – zauważył Key, nie wypuszczając dłoni chłopca. – Przyszedłem za późno.

– Ale Linia dana jest nam.

Dopiero teraz Key zrozumiał.

– To będzie jak z aTanem?

– Tak. Światy na sprzedaż. Płać i idź. Prawdziwy świat, nie haj narkomana, nie wirtualna rzeczywistość. Świat, w którym można zostać imperatorem albo niewolnikiem, nieśmiertelnym albo jętką jednodniówką. To, czego chcesz. Żadnych granic.

– Teraz rozumiem Sedmina – stwierdził Key. – ATan był dalszym ciągiem ewolucji. Ewolucja plus. Linia Marzeń to ewolucja z trzema minusami. Najpierw odejdą najbardziej utalentowani, żeby zrealizować swoje marzenia. Potem słabi i niecierpliwi, zmęczeni walką. Wszyscy, którzy są cokolwiek warci i mogą zapłacić.

– Ojciec daje ludziom wolność.

– Sprzedaje ludzkości degradację.

Dutch podniósł z ziemi karabin i nie odrywając spojrzenia od Artura, odbezpieczył.

– Nie sądzę, żeby ci się udało.

– Ja też nie. Ale warto spróbować.

– Nie masz racji, Key – Artur nie wydawał się przestraszony.

Siła, która obroniła go przed promieniem lasera, raczej nie zrobi wyjątku dla plazmy. – Pogadaj z ojcem, on długo nad tym myślał.

– Za głośno trzeba by krzyczeć.

– Niekoniecznie. To Próg, Key. Stąd jest wiele dróg...

Dutch właściwie nic nie zauważył – żadnego ruchu warg, żadnej koncentracji spojrzenia. Tylko cień nieobecności w twarzy chłopca...

...i oto Curtis van Curtis, ubrany w surowy garnitur, znalazł się obok nich. Key nawet nie zdążył się zdziwić.

– Cieszę się, że pana widzę, szefie – przywitał van Curtisa. Rozmawiamy o marzeniach. Niech pan nie robi gwałtownych ruchów, a wszystko będzie dobrze.

Curtis van Curtis czekał na tę chwilę cztery lata. Od pierwszego razu, gdy Artur, wtedy jeszcze naprawdę dwunastoletni, odszedł do Graala przez aTan. Wtedy prowadził go człowiek przewyższający Keya Altosa pod każdym względem – zmodyfikowany genetycznie zabójca, zdolny pokonać Bullrata i wyprzedzić Mekłończyka. Zginęli zaraz po tym, jak kupili statek w kosmoporcie Coolthosa.

Akt terrorystyczny, którego Artur stał się przypadkową ofiarą.

Potem takie przypadki zmieniły się w regułę, jak na Złej Ziemi, na którą nie mogą wejść niegodni. Gdyby Curtis nie był tak pewny, że Bóg nie wtrąca się do biegu wydarzeń we wszechświecie, przyjąłby to za znak z góry i wyruszył w drogę sam. Gdyby istniała jakakolwiek szansa, że w oddziałach aTanu nie ma wrogich agentów, gwizdnąłby na własne zasady i polecił ożywić Artura na Graalu.

Wszystko to stało się niemożliwe, gdy ożywione ciało chłopca okazało się pozbawione osobowości. Ktoś dowiedział się, że coś się dzieje, i teraz jedyną nadzieją Curtisa był przypadek – nie można przewidzieć, na jakiej planecie ożyje człowiek, który zginął na Terrze. Wszystkich dróg nie sposób zamknąć i van Curtis zbierał coraz to nowych przewodników. Altos był dobry, ale nic więcej. Curtis oczekiwał wpadki, gdy tylko dowiedział się, że ożyli na Incediosie.

Ale czas płynął, a sygnały neuronowych siatek nie przerywały się.

Potem nastąpił dziwny postępek Altosa, który odnowił aTan i wysłał Curtisowi list. A jeszcze później były trzy zombie. I Graal.

Curtis van Curtis stał na planecie, na której nie był od ponad stu lat. Nie przy samych Wrotach, ale już na Progu. Zresztą do Wrót trzeba jeszcze dojść. Key Altos, najlepszy z jego sług, celował do swojego pana ze starego plazmowego karabinu. Obok siedziało dwóch chłopców, podobnych do siebie jak odbitki z jednego negatywu. Z jednakowymi zadrapaniami na policzkach, ubrani w jednakowe tanie szmatki... Jakby Curtis wrócił do swojego dzieciństwa.

Jeden patrzył na niego poważnie i spokojnie, drugi uśmiechał się, najwyraźniej czekając na reakcję.

– Niech się pan nie wygłupia, Key – rzucił ostro Curtis.

– Nie mam zamiaru. – Altos przesunął karabin, ale tylko odrobinę.

Curtis van Curtis przeniósł spojrzenie na chłopca z poważną twarzą:

– Witaj, synu. Widzę, że mamy kłopoty.

Odpowiedział mu drugi:

– Witaj, ojciec. Bardzo byłem ciekaw, czy mnie poznasz.

Curtis usiadł obok Artura i zerknął na Keya, który zaczął szalenie się interesować rzeką.

– Zmieniłeś się – przyznał Curtis i krzepiąco uśmiechnął się do drugiego chłopca:

– A ty zapewne jesteś z Sigmy-T? Artur ze startą pamięcią?

– Brawo – odezwał się Key. – Nazywa się Tommy, ale to też pański klon:

– Dużo opowiedziałeś? – spytał Curtis Artura.

– Wszystko. Trzeba było.

Key Dutch czekał na odpowiedź Tommy'ego, ale chłopiec milczał. Odezwał się Curtis:

– Cóż, wykonał pan zadanie i to w dwustu procentach. Zapewne chce pan wynegocjować nową cenę?

– Tak. Chcę wiedzieć dwie rzeczy.

– Proszę pytać.

– Co jest za Progiem?

– Bóg.

– Maszyna, która stworzyła świat, jeszcze nie jest Bogiem.

– Key, mógłby mnie pan zrozumieć tylko wtedy, gdyby znalazł się pan za Wrotami. Ale tam mogą wejść tylko ja, Tommy i Artur.

– A ja jestem panu potrzebny? – odezwał się Tommy po raz pierwszy od pojawienia się Curtisa.

– Oczywiście. – Curtis jakby przestał interesować się Altosem.

– Niepokoi cię twój los, chłopcze? Rozumiem. Pewnie Key przeprowadził z tobą wiele rozmów o moim cynizmie. Jesteś mi potrzebny. Nawet jeśli twoja nowa osobowość jest absolutnie odmienna od poprzedniej, nie zmienia to istoty rzeczy. Jesteś moim ciałem i moją krwią, w większym stopniu niż syn. Potrzebuję sprzymierzeńców.

Tommy skinął głową i Curtis poklepał go po ramieniu.

– Coś jeszcze, Key? – zapytał.

– Dlaczego chce pan zagłady ludzkości?

Curtis sposepniał.

– Niech pan tak na mnie nie patrzy – uśmiechnął się Dutch. Sto lat temu, gdy Imperium trzeszczało w szwach, pograniczne planety płonęły w ogniu i myśliwce pilotowały dzieci-kamikadze, zrezygnował pan z najbardziej szcudrego prezentu w całej historii wszechświata. Odrzucił pan świat, prawdziwy świat, który urzeczywistniłby wszystkie pańskie marzenia. Ja pewnie przeszedłbym Linią Marzeń. Ale pan wrócił do armii, ukrywając współrzędne planety i pokonując strach, nadal pan latał.

– Altos, sam pan sobie przeczy.

– Nie sądzę, by powodował panem patriotyzm... gdyby tak było, wróciłby pan po Linię Marzeń, gdy zawarto Alians. Ale nawet teraz nie potrzebuje jej pan dla siebie, tylko na sprzedaż.

– Ja już stworzyłem świat własnych marzeń – odparł poważnie Curtis. – Oto całe rozwiązanie. Mnie Linia nie jest potrzebna, ale jeśli można na niej zarobić i przynieść szczęście milionom...

– Niech mnie pan nie rozśmiesza, Curtis. Przez Linię Marzeń z Wszechświata odejdzie kwiat ludzkości, skończy się nauka, idioci dowódcy będą dowodzić żołnierzami debilami. Możliwe, że wówczas odejdzie również pan. I zapewne rozwalą się aparaty aTanu i Linii Marzeń. A nasi przyjaciele Bullraty przypomną sobie dawne ambicje. Pylon przerwie samoizolację, alkaryjczycy zainteresują się nie sąsiednią galaktyką, lecz planetami, które kiedyś im zabrano.

Imperium, cała ludzka rasa, zginie. Po co?

– Nie otrzyma pan odpowiedzi, Altos – rzekł szybko Curtis.

Patrzył na Artura, jakby oczekując poparcia, ale ten wydawał się zbyt skonsternowany.

– Muszę spróbować... – Key podniósł karabin. Twarz Curtisa drgnęła, zaczął wstawać i wtedy Dutch nacisnął na spust.

To był bardzo stary model i wyrzut pocisku plazmowego zabrzmiał jak wybuch. Na piersi Curtisa

rozkwitł ognisty kwiat; mężczyznę rzuciło na kamienie.

Najbardziej zszokowany był sam Dutch. Artur tylko potrząsnął głową, patrząc na leżącego ojca, i zapytał:

– I co, teraz ja?

– Wybacz – powiedział Key.

– Nie krępuj się – zachęcił go chłopiec. – Omówiliśmy ten wypadek i jesteś zwolniony z obietnic.

Nagle Curtis van Curtis poruszył się, stanął na czworakach, w końcu się wyprostował. Jego twarz była biała jak kreda, krawat pomięty. To wszystko.

– Tato, za szybko wstałeś – zauważył Artur. – Dalej nie wiem, czy Key mnie zabije czy nie.

Dutch starannie położył karabin przy ognisku i wstał. Curtis już doszedł do siebie. Jego gniew był skierowany bardziej przeciwko Arturowi niż niedoszłemu zabójcy.

– Ty... Ty wiedziałeś, że jesteśmy chronieni... smarkacz... eksperymentator...

– Tato, do mnie strzelano setki razy... Bardzo interesujące odczucie, chciałem się nim podzielić.

Tommy sięgnął po karabin.

– Daj! – rzekł ostro Curtis. Chłopiec posłusznie podał broń i Key Dutch pomyślał, że on już wybrał swoją rolę. Widocznie to samo pomyślał również Curtis – poklepał Tommy'ego po policzku i wymierzył broń w Keya.

– Nie trzeba – Artur stanął pomiędzy Keyem i lufą karabinu.

– Artur, mam teraz dwóch synów – zauważył sucho Curtis. I widzę wyraźnie, że jeden z nich jest bardziej posłuszny.

– Za to drugi bardziej wdzięczny. Key mnie tu przyprowadził, ojcze, i to jest najważniejsze, nie sądzisz?

Curtis opuścił karabin i zmierzył Keya zamyślonym spojrzeniem.

Złość na jego twarzy zaczęła się rozplýwać.

– Altos, zgadza się pan dalej dla mnie pracować? Umiem wybaczać.

– Jeśli Bóg daje panu takie prezenty, to już lepiej zacznę czcić diabła.

– Pańskie prawo. – Curtis odwrócił się, jakby przestał się interesować Keyem. – Chodźcie, chłopcy, za długo tu marudzimy.

– Wiem, dlaczego chce pan śmierci Imperium – powiedział Key.

– Urzeczywistniło nie pańskie marzenie, prawda?

Żadnej reakcji, zresztą Key na to nie liczył. Curtis van Curtis miał nerwy z żelaza. Dutch miał nadzieję, że Artur się obejrzy. Że zobaczy w jego spojrzeniu pożegnanie, żal, aprobatę. Artur się nie odwrócił.

Key wzruszył ramionami i patrzył, jak odchodzą. Na brzegu Curtis zatrzymał się i krzyknął:

– Szczęśliwej drogi powrotnej, Altos!

– Nie zamoczcie nóg – odparł Key.

Curtis nie zamoczył nóg. Poszedł po wodzie. W ślad za nim, wzruszająco trzymając się za ręce, ruszyli Artur i Tommy.

Key Dutch stał pośrodku Złej Ziemi i czekał. Gdyby miał przedłużony aTan, zastrzeliłby się. Ale teraz był takim samym nędzarzem, jak na początku swojej kariery.

Biednym nie należy się aTan. Tak samo, jak przysła Linia Marzeń.

Jedyne, co Key miał, to nadzieję.

Na środku rzeki wszyscy trzej się zatrzymali. Key nie słyszał słów, ale widział gestykulację van Curtisa. Rozmowa nie była długa, potem Curtis zamachnął się ręką.

Odgłos uderzenia w twarz doleciał do Keya. Dopóki jeden z chłopców szedł z powrotem, Dutch zbierał chrust. Rozgrzebał dogasające ognisko, nabił resztki mięsa na zerwane gałązki. W jakość miejscowych konserw nie wierzył, trzeba je było przynajmniej przypiec.

Chłopiec zatrzymał się w odległości kilku kroków.

– Wiedziałem, że wrócisz – odezwał się Key.

– Tak?

– Byłem pewien... prawie. Szczerze mówiąc, liczyłem, że i Artur rozczaruje Curtisa, ale on zbyt mnie nienawidzi. Ma za co, przyznaję. A nowy status jest bardzo kuszący... Zjemy śniadanie i idziemy. Kal nie mogła nas gonić na piechotę, gdzieś niedaleko powinna być jej maszyna.

Chłopiec milczał.

– Curtis nie zrozumiał, że ty dorosłeś – ciągnął Key. – Dla niego nie ma między wami różnicy.

– Bo naprawdę jej nie ma.

Key odrzucił zaimprovizowany szaszłyk. Podeszedł do Tommy'ego i ujął go za ramiona.

– Dlaczego wróciłeś?

– Jeśli powiem, że zrobiło mi się ciebie żal, uwierzysz?

– Nie.

– Słusznie. Ja też zrozumiałem, dlaczego Curtis chce wystawić całą ludzkość, i też mi się to nie podoba.

– A jak wystawić Curtisa, wiesz?

– Ty masz to wymyślić.

Dutch zachichotał. W oddali Curtis van Curtis i Artur szli do Wrót – już nie po tafli wody, lecz po ziemi. Key odniósł nawet wrażenie, że domyśla się, przy której skale zakończy się ich droga.

– Tommy, wybrałeś sobie nie najlepszego towarzysza. I zbyt trudny cel. Dlaczego?

– Gdybym został, ja i Artur stalibyśmy się wrogami.

– A tak jesteście przyjaciółmi?

– Teraz tak.

Po kamiennym gruncie planety Graal, zagubionej na peryferiach Imperium, szło dwóch ludzi. Key Dutch, super z Drugiej Planety Shedara, i Tommy Curtis, pozbawiony pamięci klon władcy życia i śmierci. Nie skorzystali z flaueru Kal – za bardzo cuchnęło w nim śmiercią i gównem. W końcu to był dopiero początek drogi.

Setki parseków od Graala eskadra Lemaka weszła w przestrzeń Darloka i osłaniała desantowe transporty Bullratów. To była porządna i uczciwa praca. Marjan Muhammadi, formalnie wchodząca w skład SB1, została na pokładzie flagowca. Miała cierpliwość nieboszczyka Nomachi i znacznie odporniejszy umysł niż Kal.

Izabela Kal, ubrana w szarą, za dużą piżamę, siedziała w malutkim pokoiku jedyne na Graalu szpitala psychiatrycznego. Dla lekarzy ciągle jeszcze stanowiła interesujący przypadek, chociaż zdążyli już stracić nadzieję na wyleczenie pacjentki. Kal po prostu nie chciała wrócić do

rzeczywistości. Było jej dobrze w świecie własnych mrzonek, gdzie Artur Curtis i jego sobowtór leżeli na brzegu martwi, martwi na zawsze.

Kas/s/is i T/san, rozdzieleni przezroczystą przegrodą, patrzyli na siebie. Możliwe, że rozmawiali. Ale jeszcze nikomu nie udało się podsłuchać rozmowy Mekłończyków, prowadzonej w prostym promieniu. Jednego czekał międzyrasowy sąd Aliansu, drugiego – raport przed zarządem SB1. Ale chyba niespecjalnie ich to martwiło.

Lika Seyker stała przed lustrem. Andriej, obojętny na jej kosmetyczne zabiegi oraz nagie ciało, trzymał cienką pajęczynkę jedwabnej sukni. Dzisiaj Rodzina spotykała się ze swoją Matką. Wielu Synów chciało zostać sierotami.

Dżip czekał na swoich właścicieli – na granicy Złej Ziemi nigdy nie kręciło się zbyt wielu ludzi. Key stracił pół dnia, zanim wyjechali na drogę, ale potem już było łatwiej. Przed wieczorem dotarli do motelu.

Key wyłączył silnik i razem z Tommym wysiedli z samochodu.

Przy świetle gasnącego dnia motel wyglądał sympatycznie – mrok skrył nieheblowane deski i szpary w drzwiach, położył łagodny fiolet na brudnych szybach i głębokie cienie na stertach śmieci. Z otwartego okna dobiegał dobrze wyregulowany głos – ktoś słuchał kanału imperialnego:

-...zapobieżono rozpadowi trytonu i liczba ofiar dywersji nie przekroczyła pięćdziesięciu tysięcy. Humanitarna pomoc Demokratycznego Związku Bullratów nadal przebywa na Endorii. W swoim wystąpieniu Imperator Grey...

– To wszystko było czyimś marzeniem – odezwał się Key. Bardzo bym chciał wiedzieć, kto przeszedł przez Linie Marzeń, tworząc nasz świat. Chcę mu opowiedzieć o Trzech Siostrach, o Incediosie i więzieniu Darloka.

– Ja wolę talerz zupy i furę kanapek.

– Chodź, obżartuchu. – Key położył rękę na ramieniu Tommy'ego. – Na kolację jeszcze wyskrobie...

Odwrócił się przed samymi drzwiami – zerknął na światła małego miasta, będącego stolicą Graala. Tu było cicho i spokojnie – statki Imperium ginęły daleko od nikomu niepotrzebnej planety. Gdzieś tam już płonęły miasta, a Bullraty, urodzone, żeby zabijać, szły do walki.

Jeśli Curtis van Curtis da ludziom Linie Marzeń, wszystko powtórzy się miliony razy. Zamiast Shedara spłonie Tauri, zamiast Sakry ludzie zniszczą Meklon. Istota będzie ta sama. Bóg dawał swoje prezenty, a ludzie marzyli tylko o jednym.

Siła i władza. Życie i śmierć. Miłość i podłość.

Bez względu na to, kto przejdzie przez Linie, nowy świat stanie się szczęśliwy tylko dla niego samego. Tak samo, jak nie stał się szczęśliwy ten świat – urzeczywistniający czyjeś marzenia.

– Już ja was oduczę marzyć – oznajmił Key Dutch.

Spis treści

[STRONA TYTUŁOWA.. 1](#)

[CZEŚĆ PIERWSZA BÓG OJCIEC I SYN BOŻY.. 4](#)

[Rozdział 1. 5](#)

[Rozdział 2. 9](#)

[Rozdział 3. 12](#)

[Rozdział 4. 14](#)

[Rozdział 5. 19](#)

[Rozdział 6. 22](#)

[Rozdział 7. 26](#)

[Rozdział 8. 28](#)

[Rozdział 9. 32](#)

[Rozdział 10. 35](#)

[Rozdział 11. 40](#)

[CZEŚĆ DRUGA OCHRONIARZ.. 45](#)

[Rozdział 1. 46](#)

[Rozdział 2. 49](#)

[Rozdział 3. 52](#)

[Rozdział 4. 55](#)

[Rozdział 5. 60](#)

[Rozdział 6. 65](#)

[Rozdział 7. 68](#)

[Rozdział 8. 71](#)

[Rozdział 9. 76](#)

[Rozdział 10. 80](#)

[Rozdział 11. 83](#)

[Rozdział 12. 85](#)

[CZEŚĆ TRZECIA ŚLISCY PRZYJACIELE.. 88](#)

[Rozdział 1. 89](#)

[Rozdział 2. 91](#)

[Rozdział 3. 94](#)

[Rozdział 4. 99](#)

[Rozdział 5. 101](#)

[Rozdział 6. 104](#)

[Rozdział 7. 106](#)

[Rozdział 8. 109](#)

[Rozdział 9. 112](#)

[Rozdział 10. 115](#)

[Rozdział 11. 118](#)

[Rozdział 12. 121](#)

[Rozdział 13. 126](#)

[CZEŚĆ CZWARTA KAMIENNI GOŚCIE.. 130](#)

[Rozdział 1. 131](#)

[Rozdział 2. 134](#)

[Rozdział 3. 137](#)

[Rozdział 4. 140](#)

[Rozdział 5. 145](#)

[Rozdział 6. 150](#)

[Rozdział 7. 153](#)

[Rozdział 8. 158](#)

[Rozdział 9. 162](#)

[Rozdział 10. 166](#)

[Rozdział 11. 168](#)

[Rozdział 12. 172](#)

[CZEŚĆ PIĄTA DOWODY I SZANSE.. 177](#)

[Rozdział 1. 178](#)

[Rozdział 2. 183](#)

[Rozdział 3. 185](#)

[Rozdział 4. 191](#)

[Rozdział 5. 195](#)

[Rozdział 6. 198](#)

[Rozdział 7. 201](#)

[Rozdział 8. 206](#)

[Rozdział 9. 210](#)

[Rozdział 10. 213](#)

[Rozdział 11. 217](#)

[CZEŚĆ SZÓSTA NIEŚMIERTELNOŚĆ DLA ŻEBRAKA.. 221](#)

[Rozdział 1. 222](#)

[Rozdział 2. 228](#)

[Rozdział 3. 232](#)

[Rozdział 4. 236](#)

[Rozdział 5. 242](#)

[Rozdział 6. 245](#)

[Rozdział 7. 248](#)

[Rozdział 8. 252](#)

[Rozdział 9. 255](#)

[Rozdział 10. 258](#)

[Rozdział 11. 263](#)

[Rozdział 12. 267](#)

[CZEŚĆ SIÓDMA LEGOWISKO BOGA.. 272](#)

[Rozdział 1. 273](#)

[Rozdział 2. 278](#)

[Rozdział 3. 281](#)

[Rozdział 4. 284](#)

[Rozdział 5. 289](#)

[Rozdział 6. 293](#)

[Rozdział 7. 296](#)

[Rozdział 8. 300](#)

[Rozdział 9. 303](#)

[Rozdział 10. 308](#)

[Rozdział 11. 312](#)

[Rozdział 12. 317](#)

[Rozdział 13. 320](#)